

JESTEM MISJĄ

CHŁOPAK
NIKT



TOM 2

ALLEN ZADOFF

Feeria



**CHŁOPAK
NIKT**

ALLEN ZADOFF

TŁUMACZENIE:
ŁUKASZ PRASKI

Feeria
young

STOJĘ NA SKAŁACH WYSOKO NAD JEZIOREM.

Woda pode mną ma ciemnozielony kolor, fale łagodnie omywają brzeg zatoczki, ocienionej koronami drzew. Jest ciepły letni wieczór, ale wiem, że woda w cieniu będzie chłodna.

Chłodna i głęboka.

Nie powinno nas tu w ogóle być, nie mówiąc już o wspinaniu się na skały i skakaniu z ich szczytu. Wychowawcy z obozu uważają, że to niebezpieczne – i mają rację. Jeżeli polecisz pod niewłaściwym kątem, wylądujesz w płytkiej wodzie, poślizgniesz się i uderzysz o skały, możesz wyrządzić sobie krzywdę.

Albo gorzej. Możesz sobie złamać kark. Dlatego wstęp na skały nad wodą jest surowo zakazany.

Mnie to nie obchodzi.

Jest wieczór trzeciego dnia mojego pobytu na letnim obozie sportowym dla chłopców w południowym Vermoncie, niedaleko granicy z New Hampshire. Jestem WS, wychowawcą stażystą. Niektórzy obozowicze i wychowawcy mnie poznali, ale nie wiedzą, kim naprawdę jestem. Nie znają mojej prawdziwej tożsamości.

Nie wiedzą, że jest między nimi żołnierz.

Patrzę na tafłę wody pode mną.

Skok z tej wysokości jest niebezpieczny. Tak mówią. Większość dzieciaków boi się to zrobić.

Ja nie.

Skaczę.

Rzucam się w otwartą przestrzeń, czując dreszcz emocji, a potem spadam, spadam z coraz większą prędkością, by wreszcie runąć do jeziora na głowę. Wpadam w wodę pod idealnym kątem, przecinając ją jak pocisk. Poruszam nogami, żeby zanurkować jeszcze głębiej, i błyskawicznie zbliżam się do czarnego dna. Przez moment wydaje się, że źle ocenilem odległość, za mocno pracowałem nogami, że uderzę w dno i skręcę sobie kark. Wyciągam przed siebie ręce, przygotowując się na obrzydliwy chrzęst kości o kamień.

Nic takiego się nie dzieje.

Opór wody zwalnia mój pęd do tego stopnia, że tylko muskam dno opuszkami palców.

Zostaję tam. Siadam, biorę do rąk dwa spore kamienie, żeby mnie obciążyły.

Tkwię w ciszy i mroku, gdzie nie przeszkadza mi żaden człowiek ani żadna myśl. Moje ostatnie zadanie zakończyło się zaledwie tydzień temu, ale wydaje mi się już bardzo odległe.

Dziewczyna została daleko. W ciemności nie widzę jej twarzy.

Cieszę się z tego.

W organizmie gwałtownie spada poziom tlenu, płuca mnie palą. Niech mnie palą. Ból nie jest zły.

Wyszkolono mnie, żeby umiał sobie radzić z bólem, znosić jego intensywność, rozsiąć go po całym ciele, aż rozproszy się w całej sieci neuronów.

Fizyczny ból łatwo znieść. Inaczej jest z drugim rodzajem, który jest dla mnie nowy. Z bólem emocjonalnym.

Moje ciało rozpaczliwie domaga się tlenu, ale nie ulegam jego żądaniom, zostając na dnie

jeszcze dwie minuty.

Panowanie nad bólem. Niezłe ćwiczenie.

Kiedy jestem gotowy, odpycham się od dna i mocno pracując nogami, wydostaję się na powierzchnię. Wtedy go widzę. Chłopaka, który przygląda mi się z brzegu.

Jak mogłem go nie zauważyć? Nawet pod wodą powinienem się zorientować, kiedy ktoś okazuje mi taki stopień zainteresowania.

– Tak długo nie wypływałeś, że już pomyślałem, że nie żyjesz – mówi chłopak.

– Chciałbyś.

Uśmiecha się i ja też się uśmiecham.

Chłopak ma na imię Peter. Jest stażystą i zajmuje łóżko obok mnie. Poznałem go trzy dni temu i zostaliśmy przyjaciółmi. Zaprzyjaźniliśmy się od razu, w naturalny sposób.

Jestem w tym specjalistą. Uczono mnie, jak nawiązywać przyjaźnie.

A przynajmniej udawać, że się zaprzyjaźniam.

– Widziałem, jak skoczyłeś z klifu – mówi Peter ze zdumieniem w oczach.

– To nie jest klif – zwracam mu uwagę.

Wychodzę z jeziora, otrząsając wodę z włosów.

– Dla mnie to jest klif – oznajmia, zadzierając głowę, żeby popatrzeć na skały. – Straszny jak cholera klif.

– Wszystko jest dla ciebie straszne. Grasz w piłkę z ochraniaczem na zębach.

– Lubię swoje zęby. Nie możesz mieć mi tego za złe.

– Ja też lubię swoje zęby. Ale nie boję się stracić paru dla sprawy.

– Jakiej sprawy? Przecież nie jesteśmy w wojsku; to tylko głupi obóz letni.

W oddali rozlega się gong z jadalni.

– Już pora na kolację? – pytam.

– Drugi gong. Właśnie dlatego przyszedłem cię znaleźć.

Dwa gongi. Są tylko trzy. Spóźnialscy nie dostają posiłku.

Próbują tu narzucić obozowiczom trochę dyscypliny, a my – jako wychowawcy stażyści – powinniśmy świecić przykładem.

– Chodźmy – mówię. – Umieram z głodu.

Biorę swój T-shirt z brzegu, gdzie go wcześniej zostawiłem. Zakładam go i ruszamy w kierunku obozu.

Peter odwraca się do mnie plecami i nawet nie wie, że naraża się na niebezpieczeństwo. Atak spoza pola widzenia zawsze jest najskuteczniejszy. Zanim Peter by się zorientował, co się dzieje, byłoby za późno.

– Co dzisiaj podają? – pytam.

Peter ogląda się przez ramię. Utrzymuję się w odpowiedniej odległości, ponad metra. Nic nie powinno wzbudzić w nim niepokoju.

– Jest Rybny Czwartek – odpowiada. – Wysoki współczynnik smrodu.

Wyszczierzam zęby w uśmiechu.

– W ogóle się nie śmiejiesz – zauważa.

– Śmieję się.

– Tylko się uśmiechasz. Ale nie śmiejiesz.

– Co cię to obchodzi?

– Nic. Tylko mówię.

Dlatego właśnie ograniczam kontakty z ludźmi. Zaczynają się interesować i zadawać pytania. Patrzę na Petera, któremu przy każdym ruchu głowy opadają na czoło kasztanowe włosy. Nie jest dla mnie zagrożeniem. Tylko gada.

– Wyglądasz dzisiaj strasznie poważnie – mówi. – Coś cię gryzie?

Myślami wracam do ostatniego zadania, do oczu dziewczyny, które niemo błagały mnie o litość.

– Żałujesz czegoś, co kiedyś zrobiłeś? – pytam. Słowa wymknęły mi się, zanim się zorientowałem, co mówię.

– To ci dopiero pytanie – odpowiada Peter.

Ma szesnaście lat, tak jak ja. Ale jest normalnym chłopakiem z przedmieścia, który chodzi do jedenastej klasy i wydaje mu się, że wie, co się dzieje na świecie, chociaż nic jeszcze nie widział.

Ja też mam szesnaście lat, ale przeżyłem już co najmniej dwa życia. Widziałem umierających ludzi. Sam ich zabijałem.

– Nieważne – mówię.

Nie odzywa się, idąc ze mną przez las w stronę obozu.

– Mój brat – odpowiada w końcu. – Tego żałuję.

– Nie wiedziałem, że masz brata.

– Nie odzywamy się do siebie.

– Pokłóciliście się?

– Parę lat temu brał narkotyki. Dowiedziałem się o tym i powiedziałem rodzicom. Teraz jest w szkole z internatem na drugim końcu kraju, a ja zostałem wrednym bratem, który go zdradził.

– Jeżeli brał, to może uratowałeś mu życie.

– Aha, może. A może przechodził tylko trudny okres, a ja mu zrujnowałem życie.

– Myślę, że zrobiłeś to, co trzeba.

– Tak mi też powiedział psycholog w szkole. Ale sam nie wiem. Gdybym był lojalny, może trzymałbym gębę na kłódkę.

Patrzę na Petera. Nie wyczuwam żadnego fałszu, żadnego podstępu. Nie próbuje mnie nabrać ani mi się przypodobać. Po prostu opowiada coś o sobie, jak przyjaciel przyjacielowi.

– A ty? – pyta mnie. – Czego żałujesz?

Ja zadałem to pytanie, ale nie umiem odpowiedzieć. Nie wolno mi zdradzać szczegółów żadnego zadania, dawnego ani obecnego.

Prowadzę sekretne życie. Nikt nie wie, co robię ani dlaczego.

– Dziewczyny. – Nic więcej nie mogę powiedzieć.

– Fajnej dziewczyny?

Uśmiecham się.

– Bardzo fajnej.

– Spaliście ze sobą?

– Nie chcę o tym mówić.

Mam Petera na wyciągnięcie ręki, w strefie rażenia.

– Po prostu zastanawiam się, czego konkretnie żałujesz – wyjaśnia.

Rozlega się trzeci gong na kolację.

– Wszystkiego – mówię.

POJAWIA SIĘ WE ŚNIE, KTÓRY WCALE NIE PRZYPOMINA SNU.

Mój ojciec.

Mam dwanaście lat i Program jeszcze nie odmienił na zawsze mojego życia. Ojciec jest obok mnie i otacza mnie ciepłym ramieniem.

Kiedy nie śpię, nie myślę o śmierci mojego ojca. Związane z nią uczucia zagrzebałem tak głęboko, że nie mogą mnie dekoncentrować. Ale gdy śpię, wracają wspomnienia, razem z niewiarygodnym bólem po jego stracie.

We śnie ojciec ma mi coś ważnego do powiedzenia. Chce mi wyjaśnić coś, co muszę zrozumieć, żeby przeżyć.

Pochyłam się w jego stronę. Otwiera usta, żeby się odezwać...

Ale zamiast jego głosu słyszę trzask, jak gdyby odgłos otwieranej puszkę z gazowanym napojem.

Znam ten dźwięk. To trzask granatu gazowego i w wyobraźni widzę znajomy podłużny kształt metalowej skorupy z uchem zawleczonej u góry. Wystarczy szarpnąć i rzucić, a granat wylądowuje na podłodze i potoczy się zgodnie ze swoim przeznaczeniem.

Jeżeli to był prawdziwy odgłos odbezpieczonego granatu, zaraz nastąpi coś jeszcze.

Syk wydostającego się gazu. Właśnie go słyszę.

Działać. Szybko.

Zanim sobie uświadomiam, że granat jest prawdziwy, moje ciało już się porusza. Staczam się z łóżka i ląduję na podłodze.

Nie wstaję, bo gaz się unosi. Jest ciepła letnia noc, ale ze szkolenia wiem, że gaz w chwili uwolnienia z pojemnika ma wyższą temperaturę niż powietrze. Będzie się unosił aż pod dach, a potem zacznie opadać w kierunku podłogi. Mam czas. Kilkanaście sekund. Może nawet pół minuty.

Nie więcej.

Wiem o tym, zanim zdążę pomyśleć. Mówi mi o tym instynkt i to wystarczy, bo szkolono mnie, żebym działał instynktownie. Nie żebym rozważał opcje, analizował argumenty za i przeciw, zastanawiał się nad strategią. Należy to wszystko robić, ale we właściwym czasie. Przychodzi jednak moment, gdy trzeba zrobić tylko jedno.

Przeżyć.

W ciemności czołgam się na brzuchu, mijając śpiących obozowiczów, i kieruję się do łazienki w głębi domku.

Słucham syku uchodzącego gazu. Pojemnik jest jeden.

To dwunastoosobowy domek. Myślę o wielkości pomieszczenia, obliczam współczynnik rozprężania się gazu i absorpcji. Zastanawiam się nad celem użycia granatu gazowego. Atak gazowy ma trzy podstawowe zadania:

Zasłona.

Obezwładnienie.

Likwidacja.

Bez względu na intencję tego ataku, podejrzewam, że jego celem jestem ja.

Po zakończeniu ostatniego zadania polecono mi czekać na dalsze instrukcje. W pewnym hotelu w pewnym mieście. To standardowa procedura mojego pracodawcy, Programu. Wykonuję

zadanie, a potem czekam, aż Program przyśle mi instrukcje.

Ale kiedy siedziałem w pustym pokoju hotelowym w obcym mieście, nie miałem nic innego do roboty, jak tylko myśleć o tym, co zrobiłem. Gdy myślenie stało się za bardzo dokuczliwe, wyszedłem na spacer. Spacer zaprowadził mnie do autobusu. Autobus zawiózł mnie do Vermont, gdzie na ścianie miejscowego baru znalazłem ogłoszenie, które zaprowadziło mnie na obóz, a tam zostałem wychowawcą stażystą.

Chciałem uciec od tamtego zadania, od myśli o dziewczynie i od snu o ojcu, który się pojawia, kiedy czekam.

Ale myśli i sny mnie ścigały. Najwyraźniej nie tylko one.

Domyślam się, kto to może być, ale nie mam pewności. Z granatu wrzuconego do domku wydobywa się gaz, więc nie pozostaje mi nic innego, jak tylko się przed nim ochronić.

Najpierw się broń, potem zadawaj pytania.

Myślę o tym wszystkim w ciągu piętnastu sekund, bo tak długo pełnę na brzuchu do łazienki w głębi domku. Znajduję po omacku rurę syfonu pod umywalką i wyciągam rękę obok chłodnej porcelany, żeby znaleźć czyjś ręcznik.

Moczę ręcznik i owijam sobie nim twarz, robiąc z niego prowizoryczną maskę przeciwigazową. Powinna mi dać kilka dodatkowych sekund.

Domek ma tylne wyjście, ale na pewno będzie obstawione.

Nieruchomieję na podłodze i nasłuchuję.

Nie słyhać żadnych kroków. To oznacza, że czekają na efekt działania gazu.

Tak właśnie przeprowadziłbym operację tego typu. Zamknąłbym szczelnie domek, wsunął pojemnik z gazem pod drzwiami wejściowymi i czekał. A potem wykonałbym zadanie.

Jakie dostali instrukcje? Nie zamierzam tu zostawać, żeby się o tym przekonać.

Z mokrym ręcznikiem na twarzy ruszam nie do wejściowych ani tylnych drzwi, ale w kierunku ruchomej deski w podłodze łazienki. Przypuszczam, że ich zwiad nie odkrył jej istnienia, ponieważ taka deska jest tylko w naszym domku. Pozostałość po projekcie Kolorowych Wojen z zeszłych lat. Tak mi powiedziano i dlatego wybrałem ten domek. Unoszę tajną klapę w podłodze i zsuwam się w chłodne błoto.

Nie wiem, co mnie czeka w ciemności, więc muszę być gotów na wszystko.

SA TU ŻOŁNIERZE.

Dostrzegam ich kilku w ciemnościach. To oddział szpicy, który omiata laserowymi celownikami drewnianą ścianę domku nade mną.

Przetaczam się po ziemi, odsłonięty przez kilka cennych sekund, po których kryję się pod sąsiednim domkiem.

Domkiem Petera.

Nie mam wobec niego żadnego długu wdzięczności. Jestem tu dopiero od trzech dni. Staram się być prawie niewidzialny, rozwodnić swoją osobowość, aby była rozmyta i nieostra jak blask lampy ze ściemniaczem ustawionym na najniższym poziomie. Tylko Peter mnie zna, przynajmniej od tej strony, którą chciałem mu pokazać.

Może wie o mnie więcej. Mówiłem więcej niż zwykle. Potrzebowałem tego.

Mimo to Peter nie powinien mnie w ogóle obchodzić. Powinienem przemknąć spod tego domku pod następny i posuwać się skokami od osłony do osłony, aż znajdę się na skraju obozu i będę mógł zniknąć w lesie.

Nie mogę jednak pozwolić, żeby Peter cierpiał za to, że chciał się ze mną zaprzyjaźnić. Muszę go ostrzec.

Wydostaję się więc spod domku, sunę palcami po drewnianych listwach ściany i odnajduję parapet pod oknem. W pobliżu jest tylko jeden żołnierz, który kieruje laser w inną stronę, więc wisząc na samych palcach, podciągam się, odchylam roletę i zaglądam do środka przez siatkę w oknie.

Na środku podłogi tu też leży granat, z którego wydobywa się gaz.

Nabieram do płuc czystego powietrza i przepycham się przez siatkę w oknie. Trzymając się nisko, przemieszczam się w mroku, tuż pod warstwą gazu.

Szybko odnajduję Petera leżącego w łóżku.

Potrząsam nim.

– Obudź się!

Nie reaguje. Nachylam się nad nim i przykładam ucho do jego piersi. Serce ciągle bije, wolno, ale miarowo. Oddech ma płytki, ale regularny.

Chłopak obok niego jest w takim samym stanie. Jego sąsiad też.

W granatach jest gaz obezwładniający.

Wiem już, że Peter przeżyje, więc wyskakuję przez okno na zewnątrz.

Gaz jest już wszędzie.

Płynie od drzwi domków i ściele się po ziemi jak mgła w świetle księżyca.

Nie mogę pomóc Peterowi. Na to już za późno. Dlatego pomogę sobie.

Biegnę.

Przypadam do ściany domku i przyklejam się do niej całym ciałem. Czekam przez chwilę pod jej osłoną, a potem znowu rzucam się sprintem, przemieszczając się od domku do domku, w stronę otaczającego obóz lasu, gdzie będę bezpieczny.

Docieram do najdalej położonego domku, ale zanim mogę pokonać ostatni odcinek dzielący mnie od lasu, widzę zmierzający w moją stronę tłum żołnierzy, który wylania się pomiędzy ciemnych drzew. Co najmniej dwudziestu zawodowców idących w zwartej formacji za oddziałem szpicy. Mają na sobie kombinezony ochronne z tychemu, maski przeciwgazowe i gogle noktowizyjne. Trzymają uniesioną broń i szukają mnie, przecinając mrok laserami celowników.

Żołnierze są świetnie wyszkoleni i wyposażeni. Pracują dla Programu? Program formalnie nie ma własnych zasobów wojskowych, ale zasięg jego wpływów jest ogromny, a środki prawie nieograniczone.

Ale jeżeli nie Program, to kto to może być? Myślę o wielu grupach, o które się otarłem w poprzednich misjach. Zbuntowane elementy Mosadu, pracownicy chińskiego Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwa, agenci ukraińskiego wywiadu SZRU. Wydaje się mało prawdopodobne, żeby któraś z nich umiała mnie namierzyć, zwłaszcza w lasach Vermontu, ale nie czas teraz ryzykować.

Muszę uciekać.

Jeżeli wyjdę spod osłony ściany domku, zdradzi mnie sygnatura w podczerwieni. Moja jedyna nadzieja to miejsce, gdzie zebrało się najwięcej gazu. Może zakłócić obraz kamer termowizyjnych na tyle, że zdołam uciec.

Daję nura w najbliższy obłok gazu, ale zanim udaje mi się cokolwiek zrobić, pojawiają się przy mnie żołnierze, wykonując manewr okrążający i obezwładniając mnie samą demonstracją siły.

Nieruchomieję, zatrzymany na otwartej przestrzeni.

Laserowe wskaźniki celu omiatają moje ciało. Otacza mnie ponad dwudziestu mężczyzn z bronią, którzy mają nade mną przewagę techniczną i liczebną.

Szybko rozglądam się po terenie, szukając możliwości i dróg ucieczki, jakiegokolwiek sposobu, żeby utrudnić im oddanie celnych strzałów, ale niczego nie znajduję.

Wpadłem.

Zauważam, że otaczający mnie żołnierze przestępują z nogi na nogę. Nerwy. Mają zdecydowaną przewagę liczebną i ogniową, a jednak się denerwują.

Co oznacza, że wiedzą, kim jestem.

Jak to możliwe?

Nagle pierścień wokół mnie się rozrywa; dwaj żołnierze odsuwają się na bok, żeby zrobić miejsce. Z ciemności wyłania się jakiś mężczyzna i zdecydowanym krokiem wchodzi w środek koła. Nie ma na sobie ochronnego kombinezonu ani broni. Zanim jeszcze zobaczę jego twarz, wiem, kim jest. Poznaję go po pewności ruchów. Nie widziałem go od ponad dwóch lat, ale dziesiątki razy rozmawialiśmy przez telefon, kiedy kierował moimi zadaniami.

To człowiek, który mnie szkolił.

Człowiek, którego nazywam Ojcem.

Nie jest moim prawdziwym ojcem. Jest kimś innym. Moim dowódcą.

Wiem już, kto mnie tu odnalazł. Program. Ale dlaczego przyszli po mnie z oddziałem żołnierzy?

Przyglądam się twarzy Ojca. Ma obojętny, nieprzenikniony wyraz.

Czuję jakiś skurcz w piersi, mój oddech nagle staje się płytki.

Potrafię nazwać to uczucie.

Strach.

Ale znika równie szybko, jak się pojawiło.

Zawsze tak jest. Rzeczy, których boją się inni ludzie, na mnie rzadko robią wrażenie.

Patrzę na zbliżającego się do mnie Ojca.

Zamiast się przestraszyć, jeszcze raz oceniam możliwości i szanse. Obecność Ojca w kole zmniejsza prawdopodobieństwo oddania strzałów o najwyżej dwadzieścia procent. Żołnierze nie mogą strzelać przez niego, więc nieświadomie zmienił układ sił. Jeszcze nie na moją korzyść. Ale sytuacja się poprawia.

Podchodzi jeszcze bliżej, zatrzymując się nie dalej niż osiem kroków ode mnie. Na tyle

daleko, żeby nie groził mu fizyczny atak, na tyle blisko, żebym go usłyszał.

– Nie znają twojego imienia, więc nie będę go używał – mówi cicho.

Patrzę na żołnierzy.

– To nie są nasi ludzie – ciągnie. – Myślą, że osłaniają operację Departamentu

Bezpieczeństwa Krajowego.

Program nie funkcjonuje w strukturach Departamentu. Jesteśmy czymś innym. Czymś, co oficjalnie nie istnieje.

– Do czego są ci potrzebni? – pytam.

– Zabezpieczenie – wyjaśnia. – Nie znaleźliśmy twojego statusu.

Rozglądam się po obozie, oceniając rozmiary operacji.

– Sporo ludzi jak na sprawdzenie statusu – zauważam.

Dostrzegam napięcie mięśni szczęki Ojca. Nie mówi mi wszystkiego.

– Ile wiedzą żołnierze? – pytam.

– Wiedzą, że jesteś niebezpieczny. I że jesteś potencjalnym wrogiem Stanów

Zjednoczonych.

Wrogiem?

Jestem przeciwieństwem wroga. Jestem żołnierzem Programu, czyli patriotą, który broni Stanów Zjednoczonych. Na tym opiera się całe moje szkolenie, to podstawa istnienia Programu.

Dlaczego mieliby myśleć inaczej?

Ojciec nie udziela mi żadnych wyjaśnień. Krzyżuje ręce na piersi i przygląda mi się z daleka.

– Dawno cię nie widziałem – mówi.

– To prawda – przyznaję.

Nie spotkałem się z Ojcem od zakończenia szkolenia. Walczyłem wtedy z dziesiątkami ludzi i dostałem nożem w klatkę piersiową. Głęboką na ponad dwa centymetry ranę zadał mi nóż Mike'a, mojego „brata” w Programie. Brata, któremu w ramach testu rozkazano mnie zabić.

Przeżyłem pierwszą walkę z Mikiem. Tym samym ukończyłem szkolenie.

– Od dnia zakończenia szkolenia – mówi Ojciec. – Wtedy był ostatni raz.

Przypomina sobie to samo co ja.

– To było dwa lata temu – mówię.

– Dwa lata i całe wieki. Od tego czasu dokonałeś tylu zdumiewających rzeczy, przerosłeś nasze marzenia. Matka jest z ciebie bardzo dumna.

Matka. Kobieta, która nadzoruje Program.

– Ja też – dodaje Ojciec. – Dlatego dziwię się, że znaleźliśmy się w takim trudnym położeniu.

Wskazuje otaczających nas żołnierzy.

Trudne położenie. Już rozumiem, po co to wszystko się dzieje. Przynajmniej zaczynam rozumieć.

– Zniknąłem wam z oczu siedemdziesiąt dwie godziny temu – mówię.

– Wszystko jedno, siedemdziesiąt dwie godziny czy siedemdziesiąt dwie minuty. Nie wolno ci zniknąć nam z oczu. To nie należy do zakresu twoich obowiązków.

Procedura mojego działania polega na tym, aby wykonać zadanie, a potem czekać na następne. Tak wygląda stale powtarzający się cykl mojego życia. Praca i czekanie. I znowu praca.

Proste.

– Dlaczego trafiłeś do takiego miejsca? – pyta Ojciec, rozglądając się z pogardą.

– Musiałem uciec – odpowiadam.

– Przed czym?

Przed wspomnieniami. Ale tego mu nie mówię.

– Po prostu uciec.

– Jesteś żołnierzem – przypomina mi Ojciec, jak gdyby rozumiał mój problem, chociaż go nie wtajemniczam. – Wykonujesz robotę, którą trzeba wykonać. Czasami jest nieprzyjemna, ale to dla ciebie nic nowego.

– Nie.

– No więc co się stało?

Prawdę mówiąc, sam nie wiem. Dawny ja nigdy nie znalazłby się na tym obozie, nie złamałby rozkazów, choćby w najmniejszym stopniu. Dawny ja nigdy by nie zniknął. Taka myśl nawet nie przyszłaby mi do głowy.

Przed moją ostatnią misją.

Przed dziewczyną.

– Cały obóz ma cierpieć za to, że chcesz mnie ukarać? – pytam.

– Cierpieć? Nie. Wszyscy śpią. Za jakieś sześć godzin obudzą się ze strasznym bólem głowy i biegunką. Niczego nie będą pamiętać. W najgorszym razie wyciągną z kosza resztki wczorajszej kolacji i zbadają. Znajdą salmonellę. Skazimy nią odpadki, zanim wyjdziemy z obozu.

– To wyjaśni objawy.

– Rano po Rybnym Czwartku cały obóz będzie się źle czuł. Życie bywa okrutne.

Może to jednak ja jestem okrutny. W końcu sam tu przyjechałem. Jak myślałem, co się stanie z tymi chłopakami? Z Peterem?

Ojciec robi jeszcze jeden krok w moją stronę. Ścisza głos.

– Wiem, dlaczego to zrobiłeś – mówi.

Zaskakuje mnie to zdanie. Uważniej przyglądam się Ojcu.

– Wstrząsnęła tobą ta historia z córką burmistrza – ciągnie.

W jego głosie brzmi nietypowa dla niego nuta współczucia, jak gdyby mówił do kogoś, na kim mu zależy i komu chce pomóc. Czuję, jak moje ciało minimalnie się rozluźnia.

– Rozumiesz? – pytam.

– Potrzebowałeś trochę czasu. Mogłeś nas poprosić o przerwę. Mogłeś zadzwonić.

Z mojego specjalnego iPhone'a. Który niszczy po każdym zadaniu. To standardowa procedura operacyjna. Ale nie sprawiłem sobie nowego aparatu. Wtedy właśnie wypadki potoczyły się inaczej niż zwykle.

– Popełniłem błąd, zrywając łączność – przyznaję.

Patrzę na dwudziestu kilku żołnierzy, którzy stoją wokół mnie w pogotowiu, z palcami pod kabłąkami spustów.

Ci ludzie są gotowi do otwarcia ognia.

Taka jest pierwsza lekcja szkolenia z posługiwania się bronią. Nie dotykaj spustu, jeżeli nie jesteś gotów do strzału.

Ojciec twierdził, że obecność żołnierzy to zabezpieczenie, ale żaden z nich nie opuścił broni. Co oznacza, że Ojciec mi nie ufa.

To prawda, że zniknąłem, ale ich reakcja wydaje się przesadna. Ojciec mógł wysłać po mnie samochód albo przekazać wiadomość odpowiednimi kanałami. Mógł zapukać do drzwi mojego domku pod byle pretekstem. Gdyby chciał, mógłby się ze mną skontaktować na tysiąc sposobów i żaden z nich nie wymagałby użycia broni.

No więc o co chodzi?

Oceniam możliwości działania, niebezpieczeństwo grożące mnie i Ojcu, przewiduję

trajektorie pocisków.

Szukam drogi ucieczki.

Mógłbym zdobyć jeden karabin i zdjąć tego naprzeciwko mnie. Ale żołnierze nie są głupi i zajęli takie pozycje, aby żaden z nich nie znalazł się na linii ognia drugiego. Mimo to mógłbym coś osiągnąć, zlikwidować jednego czy dwóch. Może nawet czterech. Ale dwudziestu?

Może gdybym najpierw zagroził Ojcu, żołnierze nie otworzyliby ognia...

Nie. Każdego da się zastąpić. Tego mnie uczono.

Ojca. Matkę. Wszystkich żołnierzy.

Mnie oczywiście też.

– Wiem, o czym myślisz – informuje mnie Ojciec.

– Wiesz?

– Naturalnie. To ja cię uczyłem myśleć.

– No więc o czym myślę?

– Zastanawiasz się, po co są tu ci żołnierze i dlaczego nie opuścili broni. I zastanawiasz się nad możliwościami działania.

– Skąd wiesz? – pytam.

– Tak bym zrobił na twoim miejscu.

– Byłeś kiedyś na moim miejscu?

Nie odpowiada, tylko się do mnie uśmiecha. Chytrze.

Wtedy właśnie odnajduję rozwiązanie. Wyjście z sytuacji.

Myliłem się. Nie muszę wykorzystywać Ojca jako straszaka.

Muszę go użyć jako tarczy.

Dopaść pierwszego żołnierza, z jego karabinu zlikwidować dwóch z naprzeciwka, a potem chwycić Ojca i osłonić się jego ciałem przed nieuchronnym gradem kul.

Jeżeli poświęcę Ojca, będę żył. Odgrywam w myślach ten scenariusz i wiem, że mam duże szanse.

Mój wyraz twarzy się nie zmienia, w każdym razie nie tak, żeby zwykły człowiek potrafił cokolwiek zauważyć. Ojciec nie jest jednak zwykłym człowiekiem.

Uśmiecha się.

– Już widzisz, zgadza się? – pyta.

– Widzę.

Rachunek ciał i układu w przestrzeni. Ludzka układanka opracowana przez Ojca w ramach testu.

Zawsze jest jakiś test – tyle już rozumiem.

– Ty albo ja – mówi. – Ale nie obaj.

Kiwam głową.

– Zostałeś wyszkolony, żeby za wszelką cenę chronić Program i przeżyć – mówi Ojciec.

– To główny nakaz twojej misji.

Przenoszę wzrok z Ojca na żołnierzy. Powoli biorę głęboki oddech, szykując się, żeby do niego doskoczyć.

– Poświęciłbyś mnie, żeby wykonać zadanie? – pyta Ojciec.

– Musiałbym ustalić, który z nas jest cenniejszy dla Programu.

– A potem?

– Potem zrobiłbym to, co trzeba – odpowiadam. – Jestem lojalny wobec misji. Nie wobec ciebie.

I to wystarcza.

Ojciec unosi rękę, dając znak żołnierzem. Przygotowuję się na ból wielu kul.

Ból nie nadchodzi.

Palce odrywają się od spustów. Karabiny się pochylają. Pierścień wokół mnie się rozsypuje.

– Przeszedłem sprawdzić, co z tobą – mówi Ojciec. – Ale widzę, że wszystko w porządku.

Miałem rację. To był test.

I zdałem.

Żołnierze wracają do lasu. Ojciec z szerokim uśmiechem na twarzy idzie w moją stronę.

– Dobra robota – chwali.

– To takie ważne, że potrzebowałeś całego oddziału wojska? – pytam.

Jego twarz poważnieje.

– Chodzi o pewne rzeczy, o których nie wiesz.

– Jakie?

Rozgląda się po obozie.

– Nie tutaj – mówi. Odwraca się w stronę lasu. – Chyba musimy pogadać jak ojciec z synem.

– Co masz na myśli?

– Lekcję nauki jazdy.

– Umiem już jeździć.

– Ale to inny rodzaj jazdy – mówi i rusza w głąb lasu.

Nie pozostaje mi nic innego, jak pójść za nim w ciemność.

PO OKOŁO KILOMETRZE MARSZU DOCHODZIMY DO POLANY.

Stoi tu zaparkowany konwój wojskowych ciężarówek. Miejsce zgrupowania przed operacją w obozie.

– Masz ochotę na lekcję? – pyta Ojciec.

Sięga do kieszeni, wyciąga kluczyk na breloczku i rzuca mi je.

– Umieć prowadzić humvee – mówię.

– Nie chodzi mi o ciężarówkę – odpowiada z uśmiechem.

Pokazuje na polanę za miejscem zgrupowania oddziału. Zauważam łopaty wirnika zakamuflowanego w lesie helikoptera.

– Nie mam kwalifikacji pilota helikoptera – protestuję.

– Jeszcze nie – mówi.

NAD DOLINĄ POD NAMI WSTAJE ŚWIT.

Siedzę obok Ojca i pilotuję helikopter, patrząc, jak w dole przemyka ziemia. Sady jabłoniowe, pola, połacie lasu. W promieniu wielu mil rozciąga się piękny krajobraz północnego wschodu.

– Jak ci się podoba? – pyta Ojciec, przekrzykując ryk wiatru.

– Świetna maszyna – mówię.

Latanie helikopterem to skomplikowana sprawa, nawet bardziej niż małym samolotem. W ramach początkowej nauki w Programie spędziłem siedem i pół godziny w symulatorze, ale nie uzyskałem kwalifikacji. Uznano, że to niepotrzebne. Krótkie szkolenie pozwoliło mi zrozumieć dynamikę lotu oraz poznać podstawowe sterownice i awionikę, na wypadek gdybym musiał rozmawiać z kimś o helikopterach albo, co bardziej prawdopodobne, gdybym przechwycił informacje na ich temat i musiał je zinterpretować.

Teraz jednak pod okiem Ojca pilotuję prawdziwy wojskowy śmigłowiec.

– Pociągnij do siebie drążek – instruuje Ojciec. – Delikatnie. Wystarczy. Teraz dodaj trochę mocy.

Spełniam polecenia i maszyna reaguje, wznosząc się pod większym kątem i dynamicznie zwiększając prędkość.

– Fantastycznie! – wołam.

– To prawdziwa bestia – mówi Ojciec. – Wersja oswojona, ale powinieneś zobaczyć ją w prawdziwej akcji bojowej.

– Chciałbym – przyznaję. Widzę rozmazane kontury pędzącego świata, miga granatowa plama mijanego jeziora, a wszystkiemu towarzyszy dudnienie wirników nad nami.

Nie mogę powstrzymać uśmiechu. Ilu szesnastolatków ma okazję pilotować helikopter?

Parę mil przed nami pojawia się niewielka góra, choć na tyle wysoka, że nie zdołamy nad nią przelecieć. Zmieniam kurs, zbaczając na wschód, żeby ominąć przeszkodę z dużym zapasem czasu.

– Myślisz, że nie dałbyś rady jej ominąć?

– Nie byłem pewien.

– Dasz radę – zapewnia mnie Ojciec. – Możesz zrobić wszystko. Musisz tylko zapamiętać lekcje.

Ojciec jest życzliwy, prowadzi mnie i uczy. Tak samo jak wtedy, gdy trafiłem do Programu. Przez dwa lata mieszkałem i szkoliłem się w domu. Porzuciłem dawne życie i zacząłem nowe, którego większość ludzi doświadcza przez kilka godzin, kiedy ogląda film.

– Zabrałem cię tu, żebyśmy mogli porozmawiać jak mężczyzna z mężczyzną – mówi Ojciec.

Zerkam na niego i przekonuję się, że na mnie patrzy. Nie podoba mi się to, co widzę. Chwytam drążek trochę za mocno i helikopter przechyla się w lewo.

Ojciec reaguje na to uniesieniem brwi.

Wyciąga rękę, kładzie ją na mojej dłoni i koryguje tor lotu. Zaskakuje mnie jego dotyk, nieoczekiwany poufały gest w tej ciasnej przestrzeni. Ale poprawka odnosi skutek. Helikopter wychodzi z przechyłu.

– Ignorujesz zasady? – pyta Ojciec poważnym tonem.

– Dlaczego tak myślisz?

– Urwałeś się nam.

– Zrobiłem sobie przerwę – mówię.

Jakimś sposobem po ostatniej korekcie sterów góra znów znalazła się pośrodku mojego okna. Zmniejszam moc i zmieniam kąt nachylenia łopat wirników, żeby zejść jej z drogi. Zanim jednak udaje mi się dokończyć manewr, Ojciec znów kładzie mi dłoń na rękę i zaciska, uniemożliwiając mi zmianę kierunku lotu.

W ten sposób mamy górę na wprost siebie, na kursie kolizyjnym.

– Powiedziałem, że mamy pogadać po męsku. Czyli mówić sobie prawdę – przypomina Ojciec.

Test z żołnierzami nie wystarczył. Widzę, że szykuje się następny.

Zawsze jest następny test.

Nie staraj się zwalczać siły siłą. Uchyl się przed nią i skieruj ją w inną stronę.

Tak brzmi zasada wielu sztuk walki i lekcja, której bez przerwy udzielała mi Matka.

Dlatego nie spieram się z Ojcem, tylko wyznaję mu prawdę. Taką część, jaką mogę wyznać.

– Urwałem się, bo potrzebowałem czasu, żeby pomyśleć – mówię.

– Dajemy ci czas między zadaniami.

– Potrzebowałem czasu dla siebie. Żeby go spędzić po swojemu.

Ojciec naciska moją rękę mocniej. Maszyna pędzi naprzód i w dół, w kierunku groźnie bliskiej góry.

– Jesteśmy w niebezpieczeństwie – mówię.

– Właśnie. To kryzys zaufania – odpowiada Ojciec. – Twojego do nas. I naszego do ciebie.

Widzę już wyraźnie zbocze góry. To, co z daleka wyglądało jak piękna zielono-brązowa mozaika, zmienia się w poszarpane skały i mocno pochylone drzewa.

– Po zakończeniu misji zgodnie z instrukcją czekałem w hotelu – mówię. – Ale zaczęły się te myśli.

Waham się, nie wiedząc, ile mogę mu zdradzić, nie ryzykując.

– Te myśli? – powtarza Ojciec. – Czyli jakie?

Zerkam przez przednią szybą. Do zderzenia z górą zostało czterdzieści pięć sekund.

– Czasem ciężko znoszę czas między zadaniami – mówię. – Zaczynam myśleć o przeszłości, o rzeczach, które zrobiłem. Przyjechałem tu, bo musiałem przewietrzyć głowę.

– Nie ukrywałeś się przed nami?

– Nie.

Wyją syreny ostrzegające przed kolizją. Na tablicy przyrządów błyskają czerwone lampki.

– Jak możemy ci pomóc? – pyta Ojciec.

– Dajcie mi znowu pracę.

Ojciec przygląda mi się uważnie, cały czas trzymając rękę na drążku.

Piętnaście sekund do zderzenia. Badam wzrokiem zbocze góry. Gęste drzewa, brak miejsca do lądowania.

– Muszę wiedzieć, komu jesteś wierny – mówi Ojciec. – Ciągłe jesteś z nami?

Po co zadaje mi te pytania?

– Komu innemu miałbym być wierny? – odpowiadam.

Widzę, jak Ojciec zaciska kanciaste szczęki, szukając w mojej twarzy oznak prawdy.

Nagle odrywa dłoń od drążka sterowniczego.

Ale jest już za późno.

– Przygotuj się na zderzenie – mówię, wciskając plecy w oparcie fotela, żeby ochronić

kręgosłup.

– Słuchaj i rób dokładnie to, co powiem – nakazuje Ojciec. – Pociągnij drążek, zredukuj moc i mocno wciśnij prawy pedał.

Wykonuję polecenie. Nie zadaję pytań.

Helikopter gwałtownie traci prędkość i przeciążenie wypycha mnie naprzód.

– Teraz nabierz wysokości. Szybciej.

Gwałtownie się wznosimy i przechylamy, słysząc podmuch wiatru na zewnątrz, widząc zbliżającą się szybko górę...

A potem, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, śmigłowiec dygocze, staje się lżejszy i wznosi się pod ostrym kątem, mijając górę o najwyższej trzy metry. Czekam na zgrzyt metalu o kamień, na szarpnięcie spowodowane zahaczeniem płozy o gałąź drzewa, na jeden z kilkunastu możliwych powodów, przez który maszyna runie na ziemię i stanie w płomieniach.

Ale nic takiego się nie dzieje.

Minęliśmy górę. Jesteśmy bezpieczni.

– Co się dzieje? – pytam. – Akcja w obozie, teraz ten lot, twoje pytania: nie chodzi o moje zniknięcie na kilka dni.

Ojciec milczy przez chwilę, żeby starannie dobrać słowa.

– Ktoś zaginął – wyjaśnia.

– Ktoś?

– Żołnierz. Taki jak ty.

– Mike?

Mike to jedyny oprócz mnie żołnierz Programu, którego znam.

– Nie Mike – odpowiada Ojciec. – Coś takiego nigdy nie przytrafiłoby się Mike’owi.

– No więc kto?

– Ktoś inny.

Są inni.

To właśnie mówi mi Ojciec, chociaż nie wprost. Poza Mikiem i mną są inni agenci Programu. Tak przypuszczałem, ale nigdy nie miałem pewności.

– Czyli straciliście człowieka? – pytam.

– Chłopaka – odpowiada Ojciec. – To był jeszcze chłopiec. Zniknął kilka tygodni temu, potem ty zerwałeś z nami łączność. Chyba rozumiesz, dlaczego musieliśmy zachować ostrożność, szukając cię.

To tłumaczy zachowanie Ojca i testy, którym mnie poddał.

– Żołnierz – mówię. – Co się z nim stało?

– Nie żyje.

Głos Ojca jest obojętny, ale na jego twarzy maluje się napięcie. Kiedy na niego zerkam, patrzy przed siebie, unikając kontaktu wzrokowego ze mną.

– Zdarzyło się wcześniej coś takiego? – pytam.

– Nigdy.

Przyglądam się jego twarzy, szukając emocji wywołanej stratą żołnierza, ale nie widzę żadnej reakcji.

– Zastanawiasz się, co czuję – zauważa Ojciec.

– Tak.

– Oddzielałam swoje uczucia od zadania. Nie mieszam ich do pracy.

Teraz to ja unikam wzroku Ojca. Wiem, że to krytyka pod moim adresem. W ostatniej misji pozwoliłem dojść do głosu uczuciom, co miało wpływ na moje późniejsze zachowanie. To było nieprofesjonalne z mojej strony.

– Prowadzimy wojnę – ciągnie Ojciec. – Są straty. Prywatnie nad nimi boleję, ale potem zaczynam nową akcję.

Myszę o ostatniej misji, o dziewczynie, której twarz ciągle mam przed oczami.

Miała imię.

Samara.

Ojciec ma rację. Czas, żebym zaczął nową akcję.

– Powiedz mi coś więcej o tym żołnierzu – proszę.

– Wykonywał zadanie o kluczowym znaczeniu i straciliśmy z nim łączność – mówi Ojciec.

– Wiecie na pewno, że nie żyje?

– Nie znaleźliśmy ciała. Ale przez trzy miesiące działał bez żadnych problemów i nagle zniknął z radarów. Ostatni raz kontaktował się z nami ponad miesiąc temu. Nie ma innego powodu, dla którego mógł zniknąć na tak długo.

Wyobrażam sobie sytuację, w której nie mogłbym się kontaktować podczas misji. Nie tylko przez kilka godzin, ale kilka tygodni z rzędu.

– Może został uwięziony? – podsuwam.

Ojciec przecząco kręci głową.

– Mamy procedury na taki wypadek.

Ma na myśli dwa nadrzędne cele każdej operacji, w której uczestniczę.

1. Chronić Program.

2. Przeżyć.

Problem w tym, że pierwszy cel może stać w sprzeczności z drugim, bo w przypadku bardzo mało prawdopodobnej sytuacji, w której zostaję uwięziony i zdemaskowany, muszę przede wszystkim chronić Program. Jeżeli nie można jednocześnie uratować życia i ochronić Programu, organizacja jest na pierwszym miejscu.

Musiałbym poświęcić siebie.

Nigdy nie znalazłem się w takim położeniu, ale przypuszczam, że będę miał dość odwagi, żeby to zrobić, gdyby kiedykolwiek do tego doszło.

– Rozumiesz? – pyta Ojciec.

Kiwam głową.

– Niemożliwe, żeby żył.

– Zgadza się – przytakuje Ojciec.

Bez względu na to, czy żołnierz został zdemaskowany, czy schwytyany, na pewno już nie żył.

Zastanawiam się, z czym mógł się zmierzyć podczas zadania, z jak poważną sytuacją, wobec której jego wyszkolenie i środki Programu okazały się niewystarczające. Staram sobie wyobrazić, co to mogło być, ale nie potrafię.

– Przykro mi z powodu śmierci twojego żołnierza – mówię – ale nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną.

– Ta misja się nie udała – odpowiada Ojciec.

Przegrana misja. Tak Program nazywa operację, która się nie powiodła. Nigdy dotąd nie musiałem używać tego określenia, nawet nie słyszałem, żeby ktoś je głośno wymawiał.

– Chcesz powiedzieć, że ten żołnierz zginął, zanim wykonał zadanie?

– Tak – potwierdza Ojciec. – Dlatego musisz wejść za niego i je dokończyć.

OJCIEC KAŻE MI SKIEROWAĆ HELIKOPTER PROSTO NA WSCHÓD.

Lecimy przez pewien czas, przekraczamy granicę Vermontu i New Hampshire i kontynuujemy lot w prawie prostej linii na wschód.

– Słyszałeś kiedyś o Eugenie Moorze? – pyta Ojciec.

Nazwisko z jakiegoś powodu budzi we mnie niepokój. Pewnie natknąłem się na nie kiedyś w przeszłości. Tak właśnie działa moja pamięć, odnotowując istotne fakty i klasyfikując je według ogólnych kryteriów, żeby w razie potrzeby mieć do nich dostęp.

Eugene Moore równa się agresja/niebezpieczeństwo. Takie mam skojarzenie.

– Eugene Moore prowadzi wojskowy obóz dla nastolatków w New Hampshire – wyjaśnia Ojciec.

Przypominam sobie już, gdzie o nim słyszałem.

– To nie jest typowy obóz wojskowy – mówię. – Raczej zgrupowanie szkoleniowe dla dzieci prawicowców.

– Zgadza się – potwierdza Ojciec. – Nazywa się Camp Liberty, obóz „Wolność”, i według Moore’a szkoli przyszłych członków „innego” wojska, wojska narodu. Powiedzmy, że twoje poglądy polityczne lokują się na skrajnej prawicy, tak skrajnej, że nie ufasz rządowi, ale chcesz, żeby twoje dziecko umiało się posługiwać bronią i poruszać po lesie. Nie wysyłasz go do zwykłej akademii wojskowej. Wysyłasz je do Eugene’a Moore’a.

Ojciec wyciąga rękę, sugerując zmianę kursu na południowy.

– Moore chyba sam służył w wojsku? – pytam.

– Doszedł do stopnia podpułkownika, a potem stanął przed sądem wojskowym za odmowę wykonywania rozkazów.

– Jakaś sprawa polityczna, zgadza się?

– Chodził na wiece w mundurze, pełniąc czynną służbę. Wszczęto przeciwko niemu postępowanie, ale zaskarżył je i skończyło się na zwolnieniu ze służby. To dla niego powód do dumy. Twierdzi, że względy sumienia nie pozwalają mu pełnić służby wojskowej. Jeżeli się weźmie jego radykalne poglądy polityczne i dorzuci grubą forszę od jego bogatych zwolenników i wysoko zaawansowaną technologię, powstanie dość niebezpieczna mieszanka.

– Gdzie jest ten obóz?

– W dolinie w górach na północ od Manchesteru w New Hampshire. To nie są drewniane domki w lesie, ale skomplikowany i supernowoczesny obiekt, prawie nie do zdobycia z ziemi ani powietrza.

– Mówiłeś, że na obozie są same dzieciaki.

– Tak.

– Co Programowi do tego, że dzieciaki chcą się w lesie bawić w żołnierzy?

Ojciec milczy przez chwilę.

– Nietypowe pytanie.

– Bo sytuacja jest nietypowa.

Zwykle nie pytam o powody misji. To zbędne informacje, które czasem nawet przeszkadzają. Moje zadanie polega po prostu na zlokalizowaniu i zlikwidowaniu obiektu. Nie interesuje mnie kogo ani dlaczego.

Tym razem jest jednak inaczej.

– Mam zakończyć przegraną misję, a dotąd nic takiego się jeszcze nie zdarzyło – mówię.
– Potrzebuję jak najwięcej informacji.

– Nie mogę się z tobą nie zgodzić – odpowiada Ojciec. – Między innymi dlatego jestem tu osobiście.

Zazwyczaj otrzymuję instrukcje zdalnie, przez media społecznościowe, gdzie w dostępnych dla wszystkich, stale zmieniających się profilach na Facebooku jest ukryte dossier zadania.

– Odpowiem ci na to pytanie – kontynuuje Ojciec. – Ale chcę uniknąć nieporozumień na przyszłość. To tylko jednorazowa zgoda.

– Rozumiem.

Ojciec kiwa głową.

– Interesuje nas Camp Liberty, ponieważ nasze źródła informacji odebrały sygnały o niepokojących działaniach w Sieci, podejmowanych na terenie obozu. Ktoś stamtąd bada infrastrukturę północnego wschodu. Sprawdza elektronicznie, komputery Departamentu Transportu i tak dalej. Gdyby traktować każdy z tych przypadków oddzielnie, na ogół są to niewinne naruszenia zabezpieczeń, ale razem składają się na dość niepokojący obraz. Nasze algorytmy sugerują, że zapowiada to coś poważnego, ale nie możemy czekać, aż to się wydarzy. Musimy działać natychmiast.

– Kiedy chcecie mnie tam wysłać?

Ojciec przygląda się mojej twarzy, próbując coś ustalić. Po chwili oznajmia:

– Najpierw musimy załatwić kilka spraw.

Wskazuje przez okno w prawo.

– Przed nami Manchester – mówi. – Lecimy do tego kompleksu budynków zaraz za miastem.

Pokazuje duży obiekt niedaleko autostrady, gdzie na jednym z dachów jest wymalowany duży biały krzyż z literą H pośrodku.

– Szpital? – dziwię się.

– Kiedy ostatni raz się badałeś?

Ojciec wie kiedy. Dwa lata temu, kiedy Mike wbił mi nóż w klatkę piersiową podczas egzaminu końcowego.

Nie wspominam o tym, mówię tylko:

– Dawno temu.

– Przed misją musisz mieć pełną zdolność operacyjną.

Na dachu stoi mężczyzna w pomarańczowym kombinezonie, który wymachuje do mnie rękami.

– Nie jesteśmy szpitalnym śmigłowcem – mówię. – Wzbudzimy zainteresowanie.

– Wprowadziliśmy procedury nadzwyczajne CDC¹. Szpital opróżnił i przygotował dla nas całe piętro. Nie będą wiedzieć, kim naprawdę jesteśmy.

Program jest niewidzialny dla świata. Tak jak ja może udawać, kogo zechce, ale nie pamiętam, żeby kiedykolwiek sięgał po takie środki: korzystał z oddziału Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, żeby mnie znaleźć, stosował specjalne przepisy federalnego Centrum Zwalczania Chorób, żeby przejąć część placówki medycznej. Fakt, że użyli tylu środków, wskazuje na to, jaka to dla nich ważna sprawa.

– Najpierw cię obejrzymy, a później podam ci resztę instrukcji – zapowiada Ojciec.

Zauważam, że nie odpowiedział na moje pytanie, kiedy zostaną wysłany do Moore'a, ale teraz nie pora, aby to drażnić.

Mężczyzna w pomarańczowym kombinezonie daje mi znaki czerwonymi latarkami.

Macha rękami w taki sposób, jak gdyby chciał mnie ostrzec, żebym się nie zbliżał.

Centers for Disease Control and Prevention – Centrum Zwalczenia Chorób, instytucja rządu federalnego USA z siedzibą w Atlancie, wchodząca w skład Departamentu Zdrowia [przyp. tłum.]. [\[wróć\]](#)

OJCIEC ZOSTAJE, A MEŹCZYŻNA PROWADZI MNIE PO SCHODACH DO SZPITALA.

Piętro jest zupełnie puste, w korytarzu czekają wózki szpitalne, urządzenia są podłączone, ale nikt ich nie używa. Mężczyzna zatrzymuje się przed jakimiś drzwiami, a potem bez słowa odchodzi.

Gdy sięgam do klamki, drzwi się otwierają.

Patrzy na mnie piękna młoda kobieta w białym fartuchu. Ma długie, ciemne włosy i przenikliwe oczy.

– Jestem doktor Acosta. Ojciec i Matka wyznaczyli mnie, żebym się dzisiaj tobą zajęła.

Przyglądam się jej twarzy, zwracając uwagę na subtelny makijaż oczu.

– Ja to mam szczęście.

– Jeszcze nie usłyszałeś, co chcę ci zrobić.

– Powinienem się bać?

– Nie wyglądasz na strachliwego – mówi.

– Jestem bardziej wrażliwy, niż się wydaje na pierwszy rzut oka.

– Może więc zamiast do mnie powinniśmy cię wysłać do psychiatry.

– Nie jest pani psychiatrą?

– Zajmuję się tylko ciałem – odpowiada.

– Wiedziałem, że nie bez powodu mi się pani spodobała.

Dostrzegam na jej wargach lekki uśmiech, który zaraz znika, ustępując miejsca oficjalnej lekarskiej minie.

– Zaczynamy – mówi. – Zdejmij koszulę.

Przystępuje do długiego i szczegółowego badania ogólnego, po którym następuje test wysiłkowy, spirometria, EKG, echo serca i pełne badanie krwi. Doktor Acosta wykonuje wszystkie czynności szybko i profesjonalnie, ograniczając rozmowę ze mną do minimum. Jest młoda, ale najwyraźniej świetnie się zna na swojej pracy.

Po zakończeniu wstępnych badań prowadzi mnie korytarzem do laboratorium diagnostyki obrazowej. Pośrodku pomieszczenia stoi nowoczesne urządzenie diagnostyczne. Wygląda jak coś w rodzaju tomografu, ale nie rozpoznaję większości zastosowanych w nim rozwiązań technicznych.

– Co to takiego? – pytam.

– Najnowocześniejszy skaner PET/CT SabreLight z sześćdziesięcioma czterema detektorami i zaawansowaną procedurą analizy obrazowania. Jeszcze jakieś pytania?

– Będzie mnie pani trzymać za rękę podczas skanowania?

– Nie, ale potem dostaniesz lizaka – obiecuje.

– Zgoda.

– W porządku. Połóż się i miłej jazdy.

Kładę się na łóżku. Doktor Acosta manipuluje kilkoma pokrętłami na boku maszyny, sprawdza, czy jestem we właściwej pozycji, po czym wycofuje się do bezpiecznego miejsca – sąsiedniego pomieszczenia, z którego może mnie obserwować przez szybę. W pokoiku jest ciemno i widzę tylko jej sylwetkę pochyloną nad panelem sterowania.

– Gotowy? – pyta. Jej głos dobiega z głośnika umieszczonego na boku urządzenia.

Pokazuję uniesiony kciuk.

Maszyna zaczyna się nade mną poruszać.

Spoglądam na doktor Acostę schowaną za szybą. Obok niej stoi jakaś wyższa postać. Rozpoznaję charakterystyczną sztywność sylwetki.

Ojciec.

– Weź głęboki oddech i się rozluźnij – poleca przez głośnik doktor Acosta. – Nie ruszaj się przez chwilę.

Maszyna z szumem i stukotem przesuwa się nade mną od czubka głowy do pięt, wykonując pełne skanowanie całego ciała. Chcę wstać, ale doktor Acosta prosi:

– Jeszcze chwileczkę.

Skaner ponownie przesuwa się nad moim ciałem, tym razem zatrzymując się na wysokości klatki piersiowej.

Czuję ciepło rozlewające się pod blizną na klatce piersiowej. Potem nadchodzi fala zawrotów głowy.

– Trochę kręci mi się w głowie – mówię.

– Pobraliśmy wcześniej dużo krwi – odpowiada doktor Acosta. – To nic nadzwyczajnego.

Uczucie ciepła pod blizną przybiera na sile, zaczyna nawet sięgać granicy bólu, gdy nagle znika.

– Lepiej? – pyta przez głośnik doktor Acosta.

– O wiele lepiej – mówię.

– Jeszcze tylko parę sekund...

Maszyna zatrzymuje się, a po chwili pierścień detektorów przejeżdża nad moją głową i odsuwa się od ciała.

Głęboko oddycham i zerkam przez szybę.

Ojca już nie ma.

– Skończyliśmy – oświadcza doktor Acosta.

Pocieram bliznę na piersi.

– Mogę już dostać tego lizaka? – pytam.

– Psiakość, skończyły się – odpowiada doktor Acosta. – Obiecuję, że dostaniesz następnym razem.

– Jestem bardzo rozczarowany, pani doktor.

– Życie jest pełne rozczarowań – oznajmia. – Odpocznij tu chwilę, zaraz ktoś po ciebie przyjdzie.

CZEKAM NA WYNIKI W GABINECIE OBOK.

Doktor Acosta wchodzi po dwudziestu minutach. Wydaje się bardziej energiczna niż przedtem, ma świeżo uczesane włosy i róż na policzkach.

- Wspaniała wiadomość – informuje mnie. – Kwalifikujesz się do zadania.
- Mam jakieś powody do niepokoju?
- Ojciec przekaże ci wszystko, co musisz wiedzieć.
- Ojciec nie jest lekarzem – zauważam.

Uruchamiam swój wdzięk i posyłam jej serdeczny uśmiech. Intuicja mi podpowiada, że muszę zobaczyć wyniki skanowania. Moja dłoń bezwiednie unosi się do piersi, a palec badawczo dotyka blizny. Zdecydowanym ruchem opuszczam rękę.

– Nie jest lekarzem – potwierdza doktor Acosta – ale bądź spokojny, rozumie wszystkie informacje, które mu przekazuję.

– Nie mam wątpliwości – odpowiadam. – Ale myślę, że przydałoby się rzucić okiem na wyniki. Dla mnie najbardziej liczą się surowe dane.

Przygląda mi się przez dłuższą chwilę.

– Rzut oka na wyniki jest wykluczony – mówi. – Ale zanim wyjdiesz, powinniśmy zrobić coś innego.

Zaczyna rozpinąć fartuch. Dopiero po chwili dociera do mnie, co jest grane. Kiedy rozpina górny guzik bluzki, nie mam już wątpliwości, o co chodzi.

– To część badania? – pytam.

– W pewnym sensie ma związek z twoim stanem fizycznym. Powiedzmy, że to element moich obowiązków zawodowych.

– Ojciec wpadł na ten pomysł?

Przecząco kręci głową.

– Matka uznała, że potrzebujesz trochę relaksu.

Rozpina pozostałe guziki bluzki i spod tkaniny ukazuje się różowy, koronkowy push-up.

– Miło, że Matka o mnie myśli.

– Zapomnij o Matce – radzi. – Możesz się skupić na czymś ciekawszym.

Kiedy wyciąga do mnie ręce, z jej dekoltu unosi się woń perfum.

Całujemy się. Jej usta są miękkie i ciepłe, lepkie od jakiegoś błyszczyku, który chyba nałożyła przed powrotem do gabinetu. Myślę o tym, co się stanie, o możliwej przyjemności.

Potem myślę o czymś innym

Kładę jej dłoń na ramieniu, żeby ją powstrzymać.

– Coś nie tak? – pyta.

Mam w głowie ostatnią misję. Wszystko, co się zdarzyło w Nowym Jorku.

– Nie mogę – mówię.

– Nie możesz?

– Nie chcę. Nie teraz.

Patrzy mi w oczy, szukając wytłumaczenia, ale nic po sobie nie pokazuję. Po chwili odsuwa się ode mnie. Podejrzewam, że informacja o tym znajdzie się w raporcie. Matka i Ojciec będą się nad tym zastanawiali, ale zajmę się tą sprawą we właściwym czasie.

– Ale to nie znaczy, że nie doceniam pani życzliwości – dodaję.

– Życzliwość nie ma tu nic do rzeczy. To wyłącznie profesjonalna sprawa, co, nawiasem mówiąc, wcale nie znaczy, że nie sprawiłyby mi przyjemności.

Waha się przez moment, może dając mi jeszcze jedną szansę. Nie korzystam z niej. Wzdycha i rusza do drzwi, zapinając bluzkę.

– Może innym razem – mówi.

– Niczego nie wykluczam – odpowiadam.

Uśmiechamy się do siebie. Zastanawiam się, czy nie zmienić zdania, ale nie zmieniam.

Lepiej się skupić na czekającej mnie misji. Kiedy dostaję zadanie, wszystko jest łatwiejsze.

Przed wyjściem odwraca się do mnie.

– Życzę ci szczęścia we wszystkim – mówi.

– Nie potrzebuję szczęścia.

– Wiem – odpowiada. – Ale tak mówią sobie zwykli ludzie.

Nie jestem zwykłym człowiekiem.

Tak myślę, ale nie mówię tego na głos.

Gdy otwiera drzwi, widzi, że czeka za nimi Ojciec. Kiwa głową, podaje mu moją dokumentację medyczną i wychodzi. Ojciec wkracza do pokoju, zamykając za sobą drzwi.

– Przyjemnie upłynęła wizyta u pani doktor? – pyta.

– Za bardzo skupiałem się na czymś innym, żeby myśleć o przyjemności.

Patrzy na mnie z niepokojem.

– Mówię o zadaniu – wyjaśniam. – Chciałbym jak najszybciej zacząć.

– Rozumiem – odpowiada.

– Widziałeś moje wyniki?

– Wszystkie są dobre. Doktor Acosta zezwoliła na przydział zadania.

Biorę koszulę, ale zanim udaje mi się ją założyć, Ojciec podchodzi do mnie, aby obejrzeć bliznę po nożu na mojej piersi.

– Ładnie się zagoiło – mówi.

Zerkam na bliznę. Myślę o Samarze, która pytała o nią w Nowym Jorku, zanim zaczęliśmy się kochać.

– To znak rozpoznawczy – mówię do Ojca. – Mój słaby punkt.

– Pomyślimy o tym.

– Chciałbym to usunąć.

Ojciec potakuje skinieniem głowy.

– W najbliższej przyszłości zaplanujemy operację plastyczną. Ukryjemy to na zawsze.

– To dobrze.

– Ale nie teraz. Teraz jesteś nam potrzebny w akcji.

– Ja też tego potrzebuję.

– W takim razie pora zacząć – mówi.

Ojciec podchodzi do pompy infuzyjnej, urządzenia powszechnie spotykanego w szpitalach. Ale tego, co robi potem, nie widuje się często. Otwiera ukryty z boku plastikowy otwór i wysuwa stamtąd małą antenę. Następnie wstukuje do pompy jakiś kod. Słyszę elektroniczny trzask, a w środku urządzenia zaczyna pulsować niebieskie światelko.

– Do czego to służy? – pytam.

– Nazywamy to MNZP: mobilnym nadajnikiem zabezpieczenia pomieszczeń. Mobilnym, bo można go zakamuflować w innych urządzeniach i w razie potrzeby przenieść. Zabezpieczenia pomieszczeń, bo wszystkie sygnały przychodzące i wychodzące z tego gabinetu są teraz zablokowane. Nadajnik wykorzystuje technologię aktywnej redukcji hałasu do tłumienia każdego dźwięku generowanego w pomieszczeniu i skutecznie go niweluje. Praktycznie rzecz biorąc, jesteśmy teraz w komunikacyjnej czarnej dziurze.

– Świetny wynalazek do łazienki – zauważam. – Zapewnia stuprocentową prywatność.

– Nie wykorzystywałem go do tego – mówi z uśmiechem Ojciec – ale dzięki za sugestię. Wyciąga z torby iPada i ustawia na blacie przed nami.
– MNZP nie tylko blokuje wszystkie sygnały z zewnątrz – ciągnie – ale umożliwia nam też korzystanie z zabezpieczonego łącza satelitarne.

– Do czego nam to wszystko potrzebne? – pytam.

– Zamierzamy podać ci resztę instrukcji – mówi Ojciec.

– Zamierzacie?

Ojciec wykonuje specjalny gest na ekranie iPada, swoją wersję gestu, którego używam na swoich iPhone'ach. Wszystkie cyfrowe urządzenia Programu są wyposażone w ukryty system operacyjny, działający równolegle z widocznym.

Chwilę później na ekranie otwiera się okno.

Widzę Matkę.

Siedzi w jakimś biurze. Patrzy na mnie, a przy jej policzku błyszczą słuchawka.

Prostuję plecy, moje ciało odruchowo wypręża się na baczność, przyjmując postawę żołnierza, który znajduje się w obecności przełożonego.

– Słyszałam od twojego ojca, że dobrze się czujesz – mówi Matka.

– Dobrze – odpowiadam.

– Martwiłam się, kiedy się do nas nie odzywałeś.

– Przepraszam. To się już więcej nie powtórzy.

– Jesteś dla nas bardzo cenny – przyznaje Matka. – Dla mnie.

Cenny. Cenny może być majątek, nie człowiek. Ale rozumiem, co Matka ma na myśli. Jestem żołnierzem, sprawnym narzędziem Programu. I przypuszczam, że na swój sposób Matce na mnie zależy. W końcu wzięła mnie pod swoje skrzydła i wyszkoliła mnie, żebym się stał osobą, którą dzisiaj jestem. Dała mi nowy cel w życiu, kiedy zginął mój prawdziwy ojciec.

Na ten temat nigdy nie rozmawialiśmy, ale prawdopodobnie został zabity na jej rozkaz.

– Ojciec już cię wtajemniczył? – pyta Matka.

– Częściowo.

Matka znika z ekranu, ustępując miejsca serii zdjęć. Widzę wysokiego, poważnego mężczyznę z ogoloną głową, najpierw na fotografiach ze służby wojskowej, potem starszego, na zdjęciach zrobionych z daleka, prawdopodobnie telefonem podczas obserwacji.

– To Eugene Moore – przedstawia go Matka.

– Nie mamy zbyt wielu nowych zdjęć – dodaje Ojciec. – Moore z czasem popada w coraz większą paranoję i coraz bardziej się izoluje. Rzadko opuszcza Camp Liberty.

Następnie wyświetlają się zdjęcia dwojga młodych ludzi. Chłopak ma krótko ostrzyżone kasztanowe włosy, dziewczyna długie i rude, a jej ładna, piegowata twarz ma w sobie coś chłopięcego. Zwracam uwagę na podobieństwo ich rysów.

– Moore ma dwoje dzieci – ciągnie Ojciec. – Syna Lee, który jest w twoim wieku, i córkę Mirandę. Rok młodszą.

Na ekranie znów pojawia się Matka.

– Obiektem jest Moore, zgadza się? – domyślam się.

– Owszem – potwierdza Ojciec.

– A które z nich jest celem pośrednim? – pytam.

Moje zadanie składa się z dwóch elementów. Pierwszym jest cel pośredni, osoba mniej więcej w moim wieku, z którą się zaprzyjaźniam i która wprowadza mnie do środowiska. Drugi to obiekt, osoba, którą mam wyeliminować.

– Nie ma celu pośredniego – informuje mnie Matka.

– Nie rozumiem.

Fotografie Moore'a i jego rodziny znikają z ekranu iPada, a w ich miejsce pojawiają się ujęcia dużego ceglano-budynku, otoczonego parkingiem.

– Kilka razy w roku w różnych miejscowościach New Hampshire Moore urządza akcje rekrutacyjne – mówi Matka. – Zgłaszają się rodzice i młodzież z całego kraju, licząc na audiencję u niego. Będziesz na następnej rekrutacji.

– Mam wypełnić zgłoszenie? – pytam.

– Już wypełniłeś – odpowiada Matka. – Zajęliśmy się tym. Ale niestety to nie takie proste. Moore wybiera z tłumu kandydatów, z którymi chce porozmawiać po spotkaniu. Nawet jeżeli tam jesteś, niekoniecznie udzieli ci audiencji.

– Na jakiej podstawie ich wybiera? – pytam dalej.

– Twierdzi, że ma szósty zmysł – wyjaśnia Ojciec. – Uważa, że potrafi wyczuć, czy młody człowiek jest odpowiednim kandydatem, czy nie.

– Jak mogę sprawić wrażenie odpowiedniego kandydata, jeżeli nawet nie wiem, czego szuka?

Na ekranie iPada pojawia się twarz Matki.

– Naszym zdaniem już sprawiasz wrażenie odpowiedniego kandydata – oświadcza.

– Co to znaczy? – pytam, starając się panować nad głosem.

Ojciec robi krok w moją stronę.

– Chodzi o twoje ostatnie problemy. Sprawy, przez które postanowiłeś zniknąć nam z oczu.

Podczas ostatniej misji miałem problemy, które po raz pierwszy skłoniły mnie do kwestionowania rozkazów. Odstąpiłem od misji, sądząc, że jestem mądrzejszy od Matki i Ojca. Dopiero potem dowiedziałem się, że Program od początku miał rację, a ja się myliłem.

Spotykam wzrok Matki, patrzącej z ekranu iPada.

– Te problemy zostały rozwiązane. Powiedziałem Ojcu, że muszę pracować dalej.

– Przekazał mi treść waszej rozmowy – mówi Matka. – Ale pozostaje faktem, że już wiesz, co to znaczy mieć wątpliwości. Chcemy, żebyś wykorzystał ten element w zadaniu.

Siedzę nieruchomo i bardzo powoli oddechuję.

Przez chwilę zastanawiam się, czy to nie jest następny test, czy nie skonstruowano całego scenariusza, żeby sprawdzić moją lojalność.

– Chcecie, żebym znowu miał wątpliwości? – pytam.

– Niezupełnie – odpowiada Matka. – Chcemy, żeby Daniel Martin miał wątpliwości.

– Kto to jest Daniel Martin?

– To twoja tożsamość w tej misji – wyjaśnia Ojciec.

Nowa misja, nowe nazwisko. Zawsze tak jest.

– Moore będzie szukał młodych ludzi, którzy są zagubieni i kwestionują status quo – ciągnie Matka. – Zdezorientowanych umysłów, które może ulepić zgodnie ze swoim zamysłem. Musisz wystąpić w roli takiego dzieciaka.

Myślę o tym, co to oznacza, o zagubieniu, które muszę ucieleśnić, żeby Moore zobaczył we mnie obiecującego kandydata.

– Chcecie, żeby mnie przyjęli – mówię. – Na tym polega moja misja.

Ojciec potakująco kiwa głową.

– Żebym dostał się do obozu i tam go zlikwidował.

– Absolutnie nie – zaprzecza Ojciec. – Nie możemy cię umieścić w Camp Liberty. To zbyt niebezpieczne.

– Jest tam całkowita blokada łączności – dodaje Matka. – Obóz leży w dolinie otoczonej górami. Ma nowoczesne elektroniczne blokady sygnałów. Nic ani nikt nie może się tam dostać

ani się wydostać bez zgody Moore'a. Gdybyś tam trafił, nie moglibyśmy ci pomóc.

– Nie można wysłać drona?

– Departament Bezpieczeństwa próbował. Dwa drony spadły na ziemię. Moore ma odpowiednio zaawansowane środki techniczne, żeby je zwalczać.

Wtedy właśnie zaczynam rozumieć, co się wcześniej stało, jaki jest powód przydziału tego zadania.

– Ten żołnierz... – mówię. – Dostał się do obozu.

Twarz Matki tężeje w maskę złości i rozczarowania.

Ojciec odwraca wzrok od iPada.

Nie mogę mieć mu tego za złe. Liczę na to, że nigdy nie zobaczę takiego spojrzenia skierowanego w moją stronę.

Przyglądam się pulsującemu niebieskiemu światełku MNZP. Myślę o nieżyjącym żołnierzu, o rzeczach, które mogły mu się przytrafić, o jego osamotnieniu i niemożności skontaktowania się z Programem.

– To jest odprawa przed misją – przypomina nam Matka. – Nie ceremonia żałobna.

Ojciec otrząsa się z zamyślenia. Ja też.

– Musisz trafić na audiencję u Moore'a – mówi Matka – żebyś mógł go zlikwidować w jej trakcie.

– Publicznie?

– Publicznie, ale w niewidoczny sposób – uściśla Ojciec. – To twoja specjalność.

Zastanawiam się nad różnymi czynnikami. Ile czasu będę potrzebował, żeby poznać świat Moore'a, wejść w rolę, zapoznać się z obiektem, w którym się pojawi, przygotować warianty scenariuszy wejścia i wyjścia, plany ucieczki, działań na wypadek nieprzewidzianych sytuacji.

– Kiedy jest następna rekrutacja? – pytam Ojca.

Przenosi wzrok z Matki na mnie, ale nie odpowiada.

– Kiedy mam wejść do akcji? – pytam.

– Dziś wieczorem – mówi Matka.

ZOSTAJĘ SAM, ŻEBY SIĘ PRZEBRAĆ W CZYSTE UBRANIE.

Dają mi maskę chirurgiczną, a potem przeprowadzają przez szpital jak zwykłego pacjenta, wypisują i sanitariusz wywozi mnie z budynku na wózku. Następnie karetka transportuje mnie do dzielnicy mieszkalnej na przedmieściu Manchesteru.

Kierowca zatrzymuje się naprzeciwko sklepu Cumberland Farms i bez słowa wręcza mi karteczkę. Kiedy wysiadam, od razu odjeżdża.

Na kartce jest tylko numer: 578.

Patrzę na najbliższy dom. Ma numer 62.

Ambulans w dzielnicy mieszkalnej przyciąga uwagę, więc pewnie wysadzili mnie daleko od miejsca przeznaczenia.

Ruszam w drogę. Idę swobodnym krokiem, rozluźniony, jak chłopak trochę później wracający do domu ze szkoły w piątkowy wieczór.

Kilka skrzyżowań dalej zabudowania zaczynają się przersedzać i droga kończy się ślepym zaułkiem, gdzie stoi tylko parę domów ukrytych za wysokimi krzewami. Na skrytce pocztowej domu na samym końcu ulicy widnieje numer 578.

Skręcam na ścieżkę i dochodzę nią do oddalonego od ulicy biało-żółtego domu, przed którym na podjeździe stoi srebrny ford escape. Naciskam klamkę i okazuje się, że drzwi wejściowe są otwarte. Wchodzę do środka.

– Jak było w szkole? – woła z kuchni Ojciec, jak gdyby to była zwykła sytuacja, którą powtarzaliśmy tysiące razy.

– Świetnie – mówię, jak gdybym w ogóle nie był zdziwiony obecnością Ojca, po czym zamykam za sobą drzwi.

Słyszę dziwny dźwięk, podobny do odgłosu szczelnie zamykanej śluzы powietrznej.

– Teraz możemy rozmawiać normalnie – mówi Ojciec, wystawiając na moment głowę z kuchni i szybko chowając ją z powrotem.

Rozglądam się po salonie. Wszędzie są drobiazgi z życia rodziny, od portretów na półce nad kominkiem po zielone koce, niedbale zarzucone na oparcie kanapy.

Słyszę dobiegający z kuchni szcęk naczyń. Wchodzę tam i widzę stół zastawiony mnóstwem niezłego jedzenia: kurczak, burgery, sałata, świeże pieczywo. Ojciec nalewa sok do szklanki.

– Twój widok w terenie to niespodzianka – mówię.

Ojciec nigdy nie towarzyszy mi w misji. Zawsze czuwa, monitorując sytuację z daleka, przysyłając zespoły sprzątaczy albo w moim imieniu korzystając z cyfrowych zasobów.

– Tym razem operacja jest zorganizowana inaczej – odpowiada Ojciec. – Ze względów praktycznych zawożę cię na miejsce, a potem odbieram.

Ojciec jedzie ze mną na zadanie. Zastanawiam się, co to może znaczyć. Może być przejawem braku zaufania, przekonania, że trzeba mnie uważniej monitorować. A może oznaczać coś odwrotnego: mają do mnie takie zaufanie, że Ojciec jest skłonny powierzyć mi swój los.

Być może wyjaśnienie jest prostsze. Jestem cennym narzędziem Programu, które należy chronić.

Patrzę na pełen jedzenia stół.

– Tak się zaangażowałaś w misję, że przygotowałaś dla mnie kolację?

– Żartujesz? To z Whole Foods.

Stawia pusty talerz.

– Siadaj i jedz. – Spogląda na zegarek. – Mamy być gotowi do misji za trzy godziny. Jest jeszcze dużo do zrobienia.

POCHŁANIAM TYLE KALORII, ŻEBY WYSTARCZYŁO NA DWANAŚCIE GODZIN PRACY WYMAGAJĄCEJ DUŻEJ ILOŚCI ENERGII.

Więcej nie będę potrzebował.

Po posiłku idę do Ojca do salonu. Zauważam odrobinę inny odcień światła wpadającego przez okna. Podejrzewam, że powodem jest zabezpieczający laminat, prawie niewidzialna warstwa pokrywająca wewnętrzną stronę okien, która pozwala nam widzieć, co się dzieje na zewnątrz, ale uniemożliwia ludziom zaglądnąć do środka. Blokują też mikrofony laserowe i inne urządzenia podsłuchowe.

Oprócz tego nadaje szybom kuloodporność, chroniąc przynajmniej przed pociskami do kalibru .50.

– To kryjówka – mówię.

– Tymczasowa – odpowiada Ojciec.

– Program jest właścicielem tego domu?

Przecząco kręci głową.

– Rodzina wyjechała z miasta na kilka dni. Jesteśmy tu tymczasowo i opuścimy dom, zanim ktokolwiek się zorientuje. Gdybyśmy przypadkiem nie mogli się spotkać zaraz po dzisiejszej akcji, wrócisz tu i będziesz czekał na dalsze instrukcje.

Ojciec wyjmuję szarą kopertę i mi ją podaje.

Otwieram ją i wysuwam nowego iPhone'a.

Wykonuję gest palcem na ekranie. Sprawdzam USTAWIENIA: OGÓLNE: TO URZĄDZENIE i widzę, że telefon ma nazwę:

iPhone Daniela Martina

– Na Facebooku znajdziesz swój profil – kontynuuję Ojciec. – Będziesz miał czas, żeby się go nauczyć, potem zostanie usunięty. Obejrzymy też plany ośrodka kultury i omówimy procedury wejścia i wyjścia. Teraz jednak chcę, żebyś poświęcił trochę uwagi temu.

Sięga do kieszeni i wyjmuję etui na okulary.

– Doktor Acosta powiedziała, że mam problemy ze wzrokiem?

Ojciec wyciąga okulary i patrzy przez szkła.

– Wzrok masz w porządku. Jest bardzo niewielka korekcja do bliży w słabszym oku.

Wystarczy, żeby wyglądały jak okulary na receptę, gdyby ktoś chciał się im przyjrzeć, ale za mało, żeby w znaczący sposób utrudnić ci patrzenie.

– Po co mam nosić okulary?

– Prawe ramię oprawek. Jest zdejmowane.

Podaje mi okulary.

Są jasnoszare, średniej marki, ale mają ładny fason. Takie okulary kupiłby modny chłopak w jakimś centrum handlowym na północnym wschodzie. Poruszam prawym ramieniem oprawek, częścią, która znajduje się nad uchem. Kiedy przekręcam ramię przeciwnie do ruchu wskazówek zegara, odłącza się od zawiasu.

– Ostrożnie – przestrzega Ojciec.

Na jednym końcu zauważam przycisk sprężyny. Naciskam go raz i patrzę, jak z drugiego końca wysuwa się igła wstrzykiwacza.

Wiem, że pojemnik wstrzykiwacza będzie wypełniony trzema dawkami trucizny, toksyny

porażającej układ nerwowy. Używałem go już wiele razy. Nigdy nie potrzebowałem więcej niż jednej dawki. Wystarczyło ukłuć ofiarę, żeby po kilku chwilach nastąpiła cicha i spokojna śmierć.

Znam truciznę, ale narzędzie jest dla mnie nowe. Muszę je opanować.

– Możesz sobie wyobrazić scenariusz? – pyta Ojciec.

Uczono mnie używać wyobraźni i przenosić się myślą w czasie i przestrzeni, żebym mógł zobaczyć pomyślnie zakończenie misji.

Robię to teraz, nie wiedząc nic o szczegółowym przebiegu spotkania ani układzie miejsca, nie znając żadnych detali z wyjątkiem narzędzia, którego użyję, i obiektu, który zlikwiduję.

Wyobrażam sobie siebie na spotkaniu z Eugene'em Moore'em. Może dojdzie do niego w prywatnym pokoju, gdzie przesłuchuje kandydatów. Będziemy siedzieć po przeciwnych stronach stołu, nad którym wyciągnę rękę i ukłuję go igłą w ramię.

A może stanie się to publicznie i wykorzystam zamieszanie, żeby w gromadzie kandydatów zdjąć okulary, dotknąć igłą Moore'a i się odsunąć. Po kilku sekundach upadnie, jak gdyby miał udar albo atak serca. Wyobrażam sobie, jak przepycham się przez spanikowany tłum i uciekam.

To bardzo ryzykowny manewr, ale wykonalny.

Unoszę wzrok i napotykam spojrzenie Ojca.

– Widzisz to – mówi.

– W zarysie. Tak.

– To nie będzie łatwe.

– Nie będzie. Ale tym się nie przejmuję.

Wyciąga rękę w moją stronę, kładzie mi na ramieniu i łagodnie ściska. To gest, jaki mógłby wykonać ojciec.

Zatroskany ojciec.

Odsuwam się przed dotykiem jego dłoni.

– Mam dużo pracy przy przygotowaniach – mówię.

– Oczywiście – przytakuje. – Chcę ci pokazać jeszcze tylko jedną rzecz, a potem zostawię cię samego.

Wychodzę za nim do ogrodu za domem, otoczonego wysokim ogrodzeniem. Stoi tu niewielka metalowa szopa z kłódką na drzwiach. Ojciec naciska jej środek i otwiera się górna część kłódki, ukazując ukryty pod spodem cyfrowy czytnik linii papilarnych.

– Rozpoznaje tylko twój kciuk – mówi Ojciec.

Przyciskam kciuk do czytnika i drzwi otwierają się z sykiem hydraulicznego zamka.

Szopa jest pusta, nie licząc dwóch rzeczy.

Pierwszą jest lśniący czarny przedmiot wielkości mniej więcej pudełka na buty.

Drugą nowoczesne działo bezodrzutowe S-59 zamocowane na ścianie.

– Czarna skrzynka to zestaw do bezpiecznej łączności cyfrowej – wyjaśnia Ojciec.

– Gdybyś musiał skontaktować się z domem.

– A do czego jest działo? – pytam.

– Na wypadek niebezpieczeństwa.

– Nie używam broni palnej.

– Ty nie, ale oni używają. Jeżeli będziesz potrzebował, wiesz, gdzie jest.

Potrząsam głową.

– Rozumiem, że nigdy wcześniej nie byliśmy razem na akcji – mówi Ojciec.

– Przynajmniej w taki sposób. Ale zawsze czeka na ciebie taki dom jak ten.

– Wiem, ale nigdy wcześniej nie był mi potrzebny.

– I nie przewiduję, żeby tym razem był ci potrzebny. Ale to misja zorganizowana w przyspieszonym trybie i nie mieliśmy czasu wprowadzić normalnych procedur. Powinniśmy być przygotowani na każdą ewentualność.

– A twoja broń? – pytam. – Mówiłeś, że czytnik rozpoznaje tylko mój kciuk.

– O mnie się nie martw – uspokaja mnie Ojciec. – Mam do dyspozycji inne środki.

Myślę o żołnierzach szturmujących dziś rano obóz. Nie mam wątpliwości, że Ojciec ma odpowiednie środki.

Ojciec zamyka drzwi szopy i zamek szczelnie je blokuje.

– No dobrze – mówi Ojciec. – Zostawię cię samego na półtorej godziny, a potem razem omówimy scenariusze misji.

– Może być.

Czyli mam dziewięćdziesiąt minut na zapoznanie się z Danielem Martinem, zapamiętanie szczegółów jego życia, opracowanie jego światopoglądu i reorganizację swojego myślenia, żeby odzwierciedlało jego doświadczenia, nie moje.

Ojciec wraca do domu, a ja siadam na patio z tyłu. Wyjmuję nowego iPhone'a i otwieram aplikację Facebooka.

Muszę zdobyć tyle informacji na temat Daniela Martina, żeby wieczorem zmienić się w niego na co najmniej godzinę. Wtedy będę mógł zrobić to, po co zostałem wysłany.

Zbliżyć się do Moore'a. Wykonać zadanie.

DO OŚRODKA KULTURY W PENACOOK JEDZIE SIĘ PROSTO JAK STRZELIŁ DROGĄ NUMER 93 NA PÓŁNOC.

Przez jakiś czas panuje milczenie, gdy Ojciec bez trudu manewruje fordem w niewielkim wieczornym ruchu.

– Jesteś zadowolony? – pyta zniecierpliwiona.

– Z jazdy?

Uśmiecha się.

– Tak w ogóle. Z życia. Jesteś szczęśliwy?

– Dziwne pytanie.

– Cały dzień był dziwny – mówi Ojciec.

– Czasem jestem szczęśliwy – mówię, wzruszając ramionami.

– Co stoi na drodze do twojego szczęścia?

Pyta, jak gdybym miał być szczęśliwy, jak gdyby szczęście było normalnym stanem rzeczy dla kogoś takiego jak ja.

Czy jestem szczęśliwy? Wiem, że niekiedy czuję się całkiem nieźle. Gdy jestem w ruchu, gdy mam zadanie, gdy kończę misję i oddalam się, wysyłając sygnał Ojcu, żeby dać mu znać, że praca została wykonana.

Czy to jest szczęście?

– Może jestem – odpowiadam. – Nie wiem tylko właściwie, co to jest szczęście.

– Dam ci wskazówkę – mówi. – Jeżeli musisz się nad tym tak długo zastanawiać, to nie jest szczęście.

Nie rozumiem celu tej rozmowy, ale wyczuwam, że Ojciec chce mnie ocenić pod jakimś względem i muszę zachować ostrożność.

– Jestem szczęśliwy, kiedy pracuję – mówię mu.

– To dobrze – uznaje. – A kiedy indziej?

– Na przykład teraz.

Patrzy na mnie z łagodnym wyrazem twarzy, jakiego u niego nie pamiętam. Przez moment wyobrażam sobie, jak by to było, gdyby naprawdę był moim ojcem. Dokąd prawdziwy ojciec mógł zabrać syna w piątek wieczorem?

Może na kolację. Może do domu po meczu bejsbola.

Nie powinienem teraz o tym myśleć. Mam prawdziwego ojca, który nie żyje. Po prostu.

– Dlaczego zadałeś mi to pytanie?

– Może po zakończeniu tego zadania spróbujemy dać ci trochę wolnego?

– Coś w rodzaju urlopu? – pytam.

– Chciałbyś?

Myślę, co mogłoby się wydarzyć w moim wolnym czasie.

– Nie – oznajmiam.

Wygląda na zadowolonego z mojej odpowiedzi, więc daje spokój.

Kiedy jesteśmy niecały kilometr od ośrodka kultury, widzę przed nami blokadę drogową. Przy drodze stoi kilkudziesięciu demonstrantów odgradzonych przez policję. Są wściekli, zaglądnę do samochodów i krzyczą do kierowców, każąc im zawracać. Antyautorytarna ideologia Moore'a budzi wielkie kontrowersje nawet w tak tolerancyjnym stanie jak New Hampshire.

Przed demonstrantami stoją funkcjonariusze policji stanowej, nie pozwalając im wylać się na drogę. Widzę, że policjanci odnoszą się życzliwie do manifestantów, rozmawiają z nimi i uprzejmie ich proszą, żeby się cofnęli.

Czekamy w krótkiej kolejce samochodów na możliwość przejechania przez blokadę. Przed nami dwaj policjanci pomagają zawrócić jakiejś terenówce. Zwracam uwagę na tablicę rejestracyjną SUV-a ze znajomym motto stanu New Hampshire:

ŻYC WOLNYM ALBO UMRZEĆ

Kiedy przychodzi nasza kolej, Ojciec podjeżdża, a policjant daje mu znak, żeby otworzył okno.

– Dokąd jedziecie?

– Wiozę syna na spotkanie Camp Liberty.

– Liberty. Wolność – mówi z drwiną w głosie policjant.

– Ma pan z tym jakiś problem, panie władzo? – pyta Ojciec.

Sarkastyczny ton, który brzmi w ostatnich słowach, sugeruje, że pytanie dotyczy raczej autorytetu policjanta, nie celu naszej podróży.

– Mam problem z dziećmi, które biegają z bronią po tych wzgórzach – odpowiada funkcjonariusz.

– Pan może ma – ripostuje Ojciec – ale Konstytucja nie. To się nazywa druga poprawka.

Po oczach policjanta poznaję, że poczuł się urażony i że zaczyna się zastanawiać, czy nie utrudnić nam przejazdu. Ale Ojciec zupełnie zmienia postawę. Wydaje się wyższy, wygląda na zamożnego człowieka na wysokim stanowisku, który nie jest przyzwyczajony, żeby ktokolwiek kwestionował jego poglądy.

– Całkowicie popieram drugą poprawkę – mówi policjant. – Niepokoją mnie tylko uzbrojone dzieciaki.

– Nie jestem dzieciakiem – odzywam się urażonym tonem.

Policjant wzdycha.

– Nie mogę wam radzić, jak macie spędzać wolny czas – mówi, spoglądając to na Ojca, to na mnie. – To wasza prywatna sprawa. Ale chcę was ostrzec, żebyście się dobrze zastanowili przed decyzją.

– To tylko spotkanie informacyjne – zauważam. – Jeszcze nie podjąłem żadnej decyzji.

– W porządku. Mamy wolność słowa, tak w każdym razie przekonują nas najwyższe sądy. Od was zależy, z kim się chcecie zadawać i po co. Ja tylko sugeruję ostrożność.

– Dziękuję, że zechciał się pan podzielić z nami swoimi obawami – mówi Ojciec, dając mu do zrozumienia, że przyjęliśmy je do wiadomości.

W lusterku wstecznym widzę rozbłysk światła. Za fordem jest drugi policjant, który robi zdjęcie naszej tablicy rejestracyjnej aparatem z fleszem.

– No dobrze, przepuścimy was – odpowiada funkcjonariusz.

Podchodzi do przodu samochodu i mówi coś do partnera. Otwierają blokadę i policjant macha ręką na znak, że możemy jechać, przyglądając się nam uważnie, kiedy go mijamy i ruszamy dalej pustą drogą.

– Gotowy? – pyta Ojciec.

Poprawiam okulary na nosie. Noszę je już od kilku godzin, przyzwyczajając się do ich obecności na twarzy, ćwicząc nakładanie i zdejmowanie każdą ręką, dopóki ten gest nie staje się automatyczny.

– Bardziej niż gotowy – odpowiadam.

– Wysadzę cię przed wejściem, a potem będę czekał kilometr dalej na północ, na drodze technicznej, tak jak się umówiliśmy. W spotkaniu będzie uczestniczyć kilkoro rodziców, ale

uznaliśmy, że lepiej będzie, jeżeli pójdziesz sam. Niech myślą, że chcę, żebyś tam był, ale że jest między nami jakaś różnica zdań, którą Moore być może zechce wykorzystać.

– Jasne – mówię.

– Nie używaj telefonu w zabezpieczonym trybie. Ci ludzie znają się na technice i na pewno będą monitorować wszystkie sygnały w okolicy. Gdybyś mnie potrzebował, skorzystaj z publicznego numeru, który ci podałem.

Prawie kilometr dalej widać już budynek ośrodka kultury. Na drodze ustawiono pomarańczowe pachołki, zwężając ją do jednego pasa ruchu. Na początku podjazdu czekają młodzi ludzie ubrani w spodnie i koszulki polo, witając nadjeżdżające osoby. Jest nawet facet z lusterkiem na kiju, który ogląda podwozia samochodów.

Patrząc na młodych ludzi, myślę o żołnierzu, którego przysłano tu przede mną i który zginął. Ciekawe, czy jego zadanie zaczęło się od przyjazdu na podobne spotkanie.

Młody człowiek w niebieskim polo daje Ojcu znak, żeby otworzył okno.

– Dobry wieczór, jak się pan miewa? – wita nas z przesadną życzliwością.

– Doskonale – odpowiada Ojciec.

– Ja też – dorzucam z radością w głosie, która podwyższa go o pół tonu.

– Zaproszenie? – indaguje Polo.

Wyjmuję z kieszeni wydruk e-maila z informacją, że zostałem przyjęty, który Ojciec dostał po wysłaniu zgłoszenia w moim imieniu.

– Daniel? – pyta Polo.

– To ja – mówię.

– Witamy – dorzuca Polo. – Dodam tylko, że na terenie ośrodka nie będzie zasięgu żadnej sieci komórkowej aż do zakończenia spotkania.

– Naprawdę? – pyta Ojciec.

– Na parkingu jest zainstalowany zagłuszacz. To, co zostanie powiedziane na sali, zostanie na sali – dodaje Polo z uśmiechem. – Po spotkaniu wyłączamy zagłuszanie.

– W porządku – mówi Ojciec. – Niech do nas zadzwoni, kiedy spotkanie się skończy, a ja albo moja żona przyjedziemy po niego.

– Pan nie będzie uczestniczył? – pyta Polo.

Mówi przyjaznym tonem, ale twarz zdradza jego zdanie na temat nieobecności Ojca.

– Niestety, nie.

– Na pewno? – nie ustępuje Polo. – Będzie nam miło pana gościć, jeżeli zechce pan zostać. Rodzice są zawsze mile widziani. Może to pana zainteresuje.

– Kwestionujesz mój patriotyzm, chłopcze? – nieoczekiwanie atakuje go Ojciec.

Polo sztywnieje.

– Skądże znowu, proszę pana. Chciałem tylko...

– W ciągu ostatniego pół roku zrobiłem dla kraju więcej niż ty przez całe swoje życie – mówi ze złością Ojciec.

– N-nie... nie wątpię – jąka Polo.

– Masz rację – dodaje Ojciec. – Syn przekaże mi szczegóły później.

– Złożę pełne sprawozdanie – mówię, przewracając oczami, jak gdybym był zażenowany wybuchem gniewu ojca.

Polo nerwowo kiwa głową. Pokazuje miejsce położone z boku budynku.

– Tam jest strefa dla samochodów przywożących uczestników spotkania – mówi.

– Proszę tam podjechać. I jeszcze raz przepraszam, nie chciałem...

– Dziękuję – ucina Ojciec. Zanim Polo ma czas się odezwać, zamyka okno i wrzuca bieg. Patrzą na Ojca. Jego występ zrobił na mnie wrażenie.

- Jesteś całkiem niezły w akcji – mówię.
- Całkiem niezły? – powtarza z szerokim uśmiechem.

Mijamy zaparkowaną przed frontem budynku furgonetkę z kilkoma antenami i talerzem satelitarnym na dachu. Ojciec zauważa, że się jej przyglądam.

- Zagłuszacze sygnału – mówi. – Tak jak mówił ten mały.

Wyjmuję iPhone'a i widzę, że nie ma dostępnej żadnej sieci. Żadnego połączenia.

- Nie będę mógł zadzwonić – mówię.

– Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, nie będziesz musiał dzwonić. Zobaczymy się za godzinę w umówionym miejscu.

Patrzy na mnie przez dłuższą chwilę.

Zwalniam oddech i rytm serca do tempa, które pozwoli utrzymać optymalne natlenienie mięśni.

- Nie wolno ci jechać na Camp Liberty. Rozumiesz to?

– Doskonale.

- W takim razie jesteś gotowy – decyduje Ojciec. – Zrób to szybko i dobrze.

– Do zobaczenia – mówię.

I wysiadam z samochodu.

PRZY WEJŚCIU REWIDUJE MNIE DZIEWCZYNA Z OCHRONY.

Jest sprawna i dobrze wyszkolona, jak reszta młodych ludzi, których tu dotychczas widziałem.

Nie utrudniam jej zadania, bo mam przy sobie tylko portfel, telefon i etui na okulary. Szybko mnie sprawdza, a potem wręcza bilet na wyznaczone miejsce.

Kiedy wchodzę na salę, są tylko miejsca stojące, a na składanych krzesłach siedzi około siedemdziesięciorga młodych osób, część w towarzystwie rodziców. Jest oczywiste, że to kandydaci, a za nimi pod ścianą stoi grupa chłopaków i dziewczyn podobnych do ochrony, którą widziałem na zewnątrz, ubranych w spodnie khaki i polo z krótkim rękawem. Chłopcy są krótko ostrzyżeni albo podgoleni, a dziewczyny mają włosy upięte w ciasne koki. Gdybym nie wiedział, co to za miejsce, pomyślałbym, że jestem na piątkowej potańcówce w miejscowej akademii wojskowej.

Znajduję swoje miejsce w bocznej części sali, skąd mam dobry widok na przód i tył. Rozglądam się po sali, szukając twarzy, które zobaczyłem podczas odprawy. Dostrzegam ładną rudowłosą dziewczynę stojącą z przodu sali, która śmieje się z czegoś, co od kogoś usłyszała.

Miranda, córka Moore'a.

Ma prześliczną twarz o dużych, wyrazistych oczach, usianą piegami i otoczoną kosmykami rudych włosów. W odróżnieniu od pozostałych dziewczyn nosi rozpuszczone włosy, które sięgają jej ramion. W jej osobowości kryje się jakaś siła, jakaś dostrzegalna prostota i konkretność.

Obok stoi wysoki, szczupły chłopak o wyrazistej twarzy.

Lee Moore.

Nerwowo spogląda to na siostrę, to na tłum na widowni.

Przeprowadzam własne rozpoznanie, porównując widok sali z planami, które oglądaliśmy dziś po południu z Ojcem. Zwracam uwagę na wejścia i wyjścia, na drzwi obok sceny, wiodące, jak przypuszczam, do przedsionka, przez który przechodzi się w głąb budynku. Wyobrażam sobie, że właśnie tam jest teraz Moore i tam wróci zaraz po spotkaniu.

Wykorzystuję czas oczekiwania, aby wprowadzić poprawki na mapie budynku, którą mam w głowie, analizując jeszcze raz kilkanaście scenariuszy ucieczki, które opracowałem tego popołudnia, i ustalając ich kolejność według swoich preferencji.

Kiedy kończę przygotowania, w sali rozlega się gwar podnieconych głosów. Wyczuwam jakiś ruch od strony przedsionka.

Nagle na scenę wkracza Eugene Moore w towarzystwie dwóch młodych ochroniarzy. Rozpoznaję człowieka z fotografii. Jest wysoki i mocno zbudowany, o posturze byłego żołnierza. Kładzie na pulpicie iPada, a potem zaczyna spacerować tam i z powrotem.

Nie odzywa się, tylko przemierza scenę po tej samej linii, kumulując w sobie energię.

Wreszcie zaczyna:

– Z pewnością wiele o mnie słyszeliście, o moich poglądach, o Camp Liberty i o rzeczach, które tam robimy.

Spogląda na publiczność, sprawdzając, czy uważnie go słuchamy.

– Otóż wszystko, co słyszeliście, to kupa bzdur – oświadcza.

Większość zebranych z zaciekawieniem pochyla się do przodu.

– Wybaczcie mój język, ale jestem człowiekiem prostolinijnym. Nazywam rzeczy po imieniu. A mamy do czynienia z wymysłami, przyjaciele. Mówią, że buduję tu roboty, dzieci, które nie potrafią same myśleć i ślepo wykonują rozkazy. Czy po to dzisiaj przyszliście? Żeby ślepo wykonywać rozkazy?

– Nie! – krzyczy kilkoro dzieciaków.

– Tak myślałem – mówi z uśmiechem Moore. – Powiem wam, co naprawdę robię. Wspieram młodych ludzi, żeby stali się silnymi, niezależnie myślącymi jednostkami, które mają na tyle wiary w siebie, żeby zacząć działać. Ludzie sprawujący władzę mają z tym problem. Nie chcą, żebyście myśleli niezależnie, bo co się stanie, jeżeli nie będziecie się z nimi zgadzać? I jeżeli postanowicie coś z tym zrobić?

Połowa sali zaczyna klaskać, druga połowa zachowuje się z większą rezerwą, siedząc spokojnie i uważnie słuchając.

– Ludzie oskarżają mnie o radykalizm, bo założyłem Camp Liberty. Niektórzy nazywają mnie nawet zdrajcą naszego kraju – mówi.

W sali zapada cisza.

– Ale ja uważam, że jeżeli nie potrafią odróżnić zdrajcy od patrioty, to szczerze mi ich żal.

Grupka w khaki z tyłu sali reaguje śmiechem i okrzykami. Zachęcony ich aplauzem Moore przechadza się po całej scenie, swobodny i opanowany, w swoim żywiole.

– Przyszliście tu dzisiaj, bo wiecie, że w Ameryce coś się popsulo. I być może jeżeli wszyscy zaczniemy od uznania tego faktu, przejdziemy do ważniejszej kwestii i zastanowimy się, jak to naprawić. Powtarzam, być może.

Głowy na sali kiwają się potakująco.

– Tam – mówi, wskazując świat za murami ośrodka – nie są jeszcze na to gotowi. Nie przyjmują tego do wiadomości. Ale tu? – Uśmiecha się. – To zupełnie co innego.

Spogląda na publiczność.

– Jesteście gotowi usłyszeć prawdę. Wasi rodzice chcą, żebyście ją usłyszeli, bo sami was tu dziś przywieźli. Niektórzy są z nami teraz na sali. Rodzice, mam dla was propozycję. Może opuścicie nas na chwilę, żebym mógł porozmawiać z młodymi ludźmi?

Rodzice zostają na miejscach, odrobinę zdezorientowani. Moore namawia ich, żeby wstali, a grupa dzieciaków z Camp Liberty otacza ich i prowadzi w stronę bocznych drzwi.

Ukazuje się w nich niewysoki, barczysty mężczyzna po czterdziestce, z ogoloną głową. Wygląda dość dziwnie wśród młodych ludzi z obozu, ale najwyraźniej budzi w nich głęboki szacunek.

Moore wita go skinieniem głowy.

– Sierżant Burch dobrze się wami zaopiekuje – uspokaja rodziców. – Za jakiś czas do nas wrócicie.

Po wyjściu dorosłych łatwiej mi zobaczyć, ilu kandydatów jest na sali. Trzydzieści kilka osób na numerowanych składanych krzesłach i mniej więcej tyle samo dzieciaków z Camp Liberty stojących po bokach sali i za nami.

Myślę o logistycznej stronie mojej misji.

Siedemdziesiąt pięć osób na sali, łącznie z dwoma młodymi ochroniarzami pilnującymi Moore'a. Około dwudziestu rodziców w innym pomieszczeniu w głębi budynku.

Sporo oczu może mnie zobaczyć i sporo ciał spróbuje mnie zatrzymać.

– Zostaliśmy sami – mówi cicho Moore, ponownie kierując uwagę obecnych na scenę. Sala natychmiast cichnie.

Dwaj ochroniarze otaczają go z dwóch stron jak agenci Secret Service. Chłopak po lewej,

szczupły i muskularny, ma niewiele ponad dwadzieścia lat i bez przerwy kręci głową we wszystkie strony. Więcej w tym teatru niż prawdziwej oceny sytuacji.

Drugi sprawia inne wrażenie. Wyczuwa się w nim jakiś spokój, kiedy patrzy w tłum, prawie nie poruszając głową. Ma gęste włosy i brodę i mimo upalnego wieczoru jest ubrany we flanelową koszulę z długim rękawem. Na pierwszy rzut oka Flanelowy wygląda na stukniętego trapera z New Hampshire, który przed chwilą wyszedł z górskich lasów. Jego spojrzenie zbacza w lewo i na moment zatrzymuje się na mnie. Dopasowuję swoją energię do reszty młodych ludzi obecnych w sali, naśladując ich podniecenie i oczekiwanie, ale dodaję do tego głębszą warstwę. Warstwę wątpliwości.

Wydaje mi się, że ta warstwa zainteresuje Moore'a. Łatwo zwerbować ludzi, którzy już w ciebie wierzą. Ale przekonanie kogoś sceptycznego wymaga większych umiejętności.

Flanelowy przygląda mi się przez chwilę, po czym przenosi wzrok na następną osobę.

– Od czasu do czasu przyjeżdżam do Manchesteru – zaczyna znów Moore – i chodzę po ulicach. Widzę dobrych ludzi, takich jak wasi rodzice, którzy starają się robić to, co należy, starają się być dobrymi obywatelami, ciężko pracują, żeby zadbać o siebie i swoje rodziny. Żyją najlepiej, jak potrafią: chodzą do pracy, wychowują dzieci, głosują, oszczędzają na emeryturę. W czym więc problem?

– To nudne! – wykrzykuje jakiś chłopak w środkowym rzędzie.

Wokół niego rozlegają się stłumione śmiechy.

– Być może nudne – przytakuje z uśmiechem Moore. – Ale chodzi o coś innego.

Groźniejszego.

Przerywa, czekając, aż oczy wszystkich zwrócą się na niego.

– Tego się od nich oczekuje – mówi.

Kilka osób kiwa głową.

– Ludzie robią to, czego się od nich oczekuje, i nic się nie zmienia. System dalej jest zepsuty. Tymczasem każdy zajmuje się własnymi sprawami, nie zadając istotniejszych pytań.

Moore spaceruje po scenie, ma rozluźnioną sylwetkę, zachowuje się swobodnie.

– I wiecie co? Nie mam im tego za złe. Trudno jest kwestionować status quo. To wymaga wysiłku. I odwagi. A większości z nas, prawie wszystkim, brakuje tej odwagi, więc gramy w to dalej, przestrzegając zasad. Robiłem tak samo. Chodziłem do szkoły i dostawałem dobre stopnie. Potem wstąpiłem do wojska, żeby móc chodzić z podniesionym czołem i żeby moi rodzice mieli powód do dumy. Chciałem się dopasować. Chciałem znaleźć swoje miejsce w świecie. Przede wszystkim chciałem wspierać nasze władze jako żołnierz armii, bo wierzyłem w to, co mi mówili: że są rządami narodu, przez naród i dla narodu. Któż nie chciałby uczestniczyć w takich rządach?

Przez salę przebiega niezręczny chichot.

– Niestety – ciągnie – mamy inne rządy. Mamy rządy pieniędzy, przez pieniądze i dla pieniędzy. Wielki rząd, wielkie pieniądze. Od czasu do czasu pojawiają się reformatorzy, wielu z nich to nasi przyjaciele z Partii Republikańskiej, ludzie kierowani dobrymi chęciami, którzy próbują przeprowadzić jakąś zmianę od środka, ale system stawia opór. I kończy się na większym rządzie, większych budżetach, wyższych podatkach.

Wbija wzrok w ziemię, jak gdyby przytłoczony smutkiem.

– Kiedy znajdziesz się wewnątrz systemu, zostajesz człowiekiem systemu. To nieuniknione. Niektórzy wierzą, że zmianę można przeprowadzić tylko od wewnątrz, ale to mit. Wasi rodzice o tym wiedzą, bo próbowali to zrobić i ponieśli porażkę. Dlatego was dzisiaj tu przyprowadzili.

Wychodzi naprzód, stając na krawędzi sceny.

– Przeprowadzili was do mnie.

Patrzy po twarzach publiczności.

– Jestem poza systemem. Jestem miejscem, od którego zaczyna się zmiana.

Ludzie Moore'a na sali wydają ryk aplauzu. Wpatrują się w niego z uwielbieniem w oczach. Staram się zobaczyć w nim to samo co oni, ale nie potrafię. Przynajmniej na razie.

– Wasi rodzice chcą, żebyście brali udział w tej zmianie. Chcą, żebyście zrobili to, czego oni nie mogli uczynić mimo swoich pieniędzy i wpływów. Ale zdradzę wam sekret: wy możecie tego dokonać.

Chłopak siedzący obok mnie z zapalem kiwa głową.

– Być może przyszedliście tu dzisiaj, bo boicie się o swoją przyszłość. Obawiacie się, że sytuacja się pogarsza, że pogarszamy ją my, dorośli, a wy będziecie musieli w niej żyć.

Przerywa, aby ta myśl dotarła do wszystkich obecnych.

– Macie rację. Ale takiej przyszłości nie chcecie i możecie coś z tym zrobić.

Publiczność wychyla się w jego stronę.

– Dziś. Teraz. Mam plany, jak możemy zmienić sytuację. Razem. Co o tym sądzicie?

– Tak! – krzyczy chórem sala.

– Ufacie mi?

– Tak!

– Jesteście gotowi?

– Tak!

– Jeżeli mi ufacie i jesteście gotowi... – Moore spogląda mi w oczy – mogę wam pokazać, jak dokonać zmiany.

Czuję drgnienie w sercu, wzbierającą falę nadziei i podniecenia.

Moore odrywa ode mnie wzrok i odczucie znika.

Widzę wokół siebie uśmiechy, młodzi ludzie na sali promieniają, ulegając temu samemu magnetyzmowi, który poczułem chwilę temu.

– Kto chce przystąpić do Camp Liberty? – pyta Moore.

Patrzę na dzieciaki, które wpatrują się w niego z zachwytem na twarzach. Ja też to czuję.

Wątpliwości wobec swojego życia. Wobec swoich decyzji podjętych do tej chwili. Wobec różnicy między osobą, którą, jak mi się wydaje, jestem, a osobą, którą kiedyś chcę się stać.

Osobą, którą mógłbym się stać z Moore'em.

Już wiesz, co to znaczy mieć wątpliwości – powiedziała Matka.

Czy o to jej chodziło, dlatego wysłała mnie na tę misję?

Nagle czuję, jak otwiera się we mnie wielka szczelina. Staram się zostać w tej sali, ale zagarnia mnie fala wspomnień i przenosi do innego miejsca, w inny czas.

WIDZĘ PRZED SOBĄ OJCA.

Swojego prawdziwego ojca. Siedzi przywiązany do krzesła, zamroczony środkami odurzającymi, ze zwieszoną głową, z kącika ust sączy mu się krew.

Mam dwanaście lat. Obok mnie stoi Mike. On to zrobił mojemu ojcu – teraz to wiem. Wiedziałem też wtedy, w tej okropnej chwili, gdy wróciłem do domu z biura ojca i zastałem czekającego na mnie Mike'a.

Myślę o tym, co się wydarzyło potem. O innym domu.

O szkoleniu w domu Programu.

Mike zabrał mnie tam tego samego dnia, w którym zabił moich rodziców. Zamknął mnie w pokoju, żebym mógł się wykrzyczeć i wypłakać. A potem żebym mógł siedzieć w ciszy.

Dopiero potem pojawił się jakiś mężczyzna i zapytał, czy jestem gotowy.

Gotowy na co?

Nie miałem odwagi zapytać.

Tym mężczyzną był Ojciec, ale wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem.

Dał mi ręcznik i przybory toaletowe, pozwolił mi się umyć. Kiedy skończyłem, zaprowadził mnie w głąb domu.

Weszliśmy do gabinetu, gdzie miałem poznać kobietę, którą odtąd nazywałem Matką. Zapytała mnie, czego chcę. Skoro mój ojciec nie żyje. Skoro moje dawne życie się skończyło i wszystko zostało ostatecznie i nieodwracalnie odmienione.

Powiedziała mi, że muszę dokonać wyboru, wyboru, który zmieni resztę mojego życia.

SZCZELINA SIĘ ZAMYKA.

Znów jestem w miejscowym ośrodku kultury, z Moore'em.

Inny czas. Inny wybór.

Kto chce przystąpić? – powiedział Moore.

Daję się porwać entuzjazmowi. Z powodu wielkości, którą dostrzega w nas Moore.

Z powodu sekretów, które obiecuje nam zdradzić, jeżeli się do niego przyłączymy.

Moore nadal powoli rozgląda się po sali, równocześnie zaznaczając coś rysikiem na ekranie iPada. Rozumiem już, dlaczego miejsca są numerowane. Moore prawdopodobnie ma na ekranie plan sali. Wybiera dzieciaki, z którymi chce porozmawiać.

Czekam, aż jego spojrzenie znów zatrzyma się na mnie. Nasze oczy spotykają się po raz drugi.

Pokazuję mu to, co chcę, żeby we mnie zobaczył: dezorientację i entuzjazm, który wzbudzam w sobie specjalnie dla niego. Utrzymuję kontakt wzrokowy, więc nie widzę, czy robi znaczek rysikiem. Staram się sprawić wrażenie, że nie obchodzi mnie wynik, i skupiam się tylko na tej chwili.

Która mija.

Moore dalej obserwuje twarze zebranych, a potem szybko kończy i bez słowa wraca na scenę. Jego ochrona reaguje, stając u jego boków. Prowadzą go w kierunku przedsiionka przy scenie.

Dzieciaki z Camp Liberty krążą po sali, odszukując kandydatów i zamieniając z nimi parę słów, a potem zabierają przejętych nastolatków na osobiste spotkanie z Moore'em.

Poprawiam okulary. Czekam.

Chwilę później czuję, że ktoś klepie mnie po ramieniu.

TO LEE.

Mój ojciec chce się z tobą spotkać – mówi.

– Twój ojciec?

– Jestem Lee Moore – przedstawia się. – Jak leci?

Zwracam uwagę na nutę dumy w jego głosie, kiedy to mówi, ale i coś jeszcze. Kładzie nacisk na imię bardziej niż na nazwisko, chcąc w ten sposób subtelnie odróżnić się od ojca.

– Daniel Martin – mówię, wyciągając do niego rękę.

– Daniel. Aha. Czytałem twoje zgłoszenie. Twoja rodzina mieszka w Manchesterze, zgadza się? Dziwne, że cię tu wcześniej nie widziałem.

– Przeprowadziliśmy się z Bostonu pół roku temu. Jestem teraz chłopakiem z Akademii Phillipsa w Exeter – mówię, recytując wyuczone szczegóły swojego życiorysu.

– Chodzisz do prywatnej szkoły – zauważa z kpiącym uśmiechem.

– Coś nie pasuje? – pytam.

Występuję w roli Daniela Martina, którą przygotowałem na dziś, chłopaka z zamożnej rodziny, z pozoru aroganckiego, który w głębi serca nosi jednak poważne wątpliwości co do samego siebie i swojej rodziny.

– Pasuje, pasuje – wycofuje się Lee. – Akurat o tym zapomniałem. Szczerze mówiąc, przychodzi mnóstwo zgłoszeń. Czasem zdążę je tylko szybko przejrzeć, kiedy dostaję od komisji całą stertę.

Obraża mnie i jednocześnie przyznaje się do słabości. Z jednej strony daje mi do zrozumienia, że jestem za mało ważny, żeby uważnie czytać moje zgłoszenie, a z drugiej przyznaje, że nie jest doskonały, może po to, żebym stracił czujność.

– Komisja – mówię. – Sam nie prowadzisz rekrutacji?

– To nie moja broszka. Tylko konsultuję.

– A jaka jest twoja broszka?

Widzę, jak zaciska szczęki. Pytanie go irytuje. Domyślam się, że sam jeszcze nie wie, na czym polega jego rola.

Rozdrażnienie znika w ułamku sekundy, ustępując miejsca czemuś innemu.

– Jestem synem – mówi z przekonaniem w głosie. – To jest moja broszka.

Głęboko oddycham, redukując swoją energię o jeden stopień. Mniejsza energia to niższy status.

– Ja, szczerze mówiąc, sam nie wiem, jaka jest moja broszka – mówię.

Widzę, jak się uspokaja, rozbrojony moją bezradnością.

– W zgłoszeniu napisałeś, że twój tato jest kimś ważnym w sektorze energetycznym – mówi. – Nie chcesz iść w jego ślady?

Domyślam się, że jednak czytał moje zgłoszenie uważniej, niż twierdzi.

Wzruszam ramionami.

– Fakt, dobrze mu się powodzi, ale za jaką cenę? Czasem wydaje mi się, że mniej jestem jego synem, a bardziej odpisem podatkowym. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Patrzy na mnie z nowym zainteresowaniem.

– Zauważyłem, że ojciec z tobą nie przyszedł – mówi.

– Podwiózł mnie, ale nie został. Powiem ci tylko, że bardzo chciał, żebym tu dzisiaj był. To w ogóle był jego pomysł.

– Nie twój? – dziwi się, słuchając uważnie.

– Nie mój – potwierdzam – ale zaczynam się przekonywać do jego zdania.

Lee się uśmiecha.

– Ciężko jest przyznać, że tato ma rację w jakiejś sprawie, nawet kiedy wiesz, że ma.

– Co ty powiesz – mówię. – W każdym razie zawsze mogę na nim polegać, na sto procent, zwłaszcza jeżeli chodzi o wypisanie czeku. W tym akurat jest bardzo dobry.

– Na razie nie ma co wypisywać czeku – zauważa. – Jeszcze nie zostałeś przyjęty.

Przypomina mi mój status w rozmowie. Lee ma dziwny zwyczaj: najpierw się przed tobą otwiera, a zaraz potem zamyka.

Postanawiam na razie pozwolić mu się rządzić. Wykorzystać jego arogancję, żeby przeciągnąć go na swoją stronę.

– Jeszcze nie jestem przyjęty – przytakuje – ale mam nadzieję.

Patrzę na niego, jak gdybym oczekiwał od niego pomocy. Czuję, jak jego energia łagodnieje.

– Zobaczmy, co się da zrobić – mówi, patrząc w stronę drzwi prowadzących do przedsionka sceny. – Lepiej już chodźmy.

Prowadzi mnie przez tylną część sali, gdzie mijamy stół z przekąskami. Jest podzielony pośrodku na zdrowe i niezdrowe jedzenie: jedna strona jest pełna warzyw, serów i batonów proteinowych, druga babeczek, brownie, herbatników i czekolady w przeróżnej postaci. Lee przelotnie zerka na stół, kiedy przechodzimy obok niego, ale po chwili patrzy jeszcze raz.

– Zaczekaj – prosi.

Zawraca, podchodzi do stołu, uważnie rozgląda się po sali, a potem znów kieruje uwagę na desery.

– Lubię słodkie – wyznaje.

Przygląda się talerzowi ciastek z kawałkami czekolady, jak gdyby kontemlował tajemnice wszechświata.

Jego ręka wyciąga się w stronę ciastek, potem skręca w kierunku brownie i wraca do ciastek.

– Nie umiem się zdecydować – mówi.

– Czemu nie weźmiesz jednego i drugiego? – pytam.

– W ogóle nie powinienem tego jeść.

– Dlaczego?

– Ojciec twierdzi, że cukier źle wpływa na ciało i duszę.

– A ty co twierdzisz?

Nie odpowiada, tylko stoi ze wzrokiem wlepionym w desery. W końcu starannie wybiera czekoladowe brownie i zanim zaczyna jeść, odwraca się plecami do drzwi prowadzących do przedsionka sceny.

– Uwielbiam czekoladę – mówi.

– Wszyscy uwielbiają – odpowiadam. – Dlaczego musisz to ukrywać?

Lee zniża głos.

– Ojciec stawia ciastka na stole, żeby sprawdzić, kto je wybiera.

– Obserwuje?

– Wszystko – mówi Lee. – Nic mu nie umknie. Dzieciaki, które jedzą słodkie, nie dostają zaproszenia. Uważa to za oznakę słabości.

– Trochę to dziwne – zauważam.

– Nigdy tego przy nim nie mów – ostrzega Lee.

To mówi o Moorze dużo więcej. Mówi mi, jak bardzo będę musiał uważać w ciągu najbliższych dziesięciu minut.

- Chcesz coś ze stołu? – pyta Lee.
- Po tym, co mi powiedziałeś?
- To zostanie między nami – uspokaja mnie.

Patrzę na przekąski. Mam ulec łakomstwu razem z Lee, czy raczej odciąć się od niego?

Odwracam się tyłem do przedśionka tak jak Lee, po czym wybieram ciastko z kawałkami czekolady.

W razie wątpliwości naśladowaj. Tego się nauczyłem.

- Fajnie – mówi.

Kiedy pochłaniam ciastko, Lee kończy brownie. Potem ociera brodę i przygląda się koszulce, szukając dowodów winy w postaci okruchów.

- Gotowy? – pyta.

- Zaczekaj – powstrzymuję go.

Strzepuję kilka okruchów z jego rękawa.

- Możesz iść – mówię, pokazując mu uniesiony kciuk.

- Dzięki – odpowiada. – W porządku z ciebie gość, Daniel.

- Mam nadzieję, że twój ojciec też tak pomyśli.

- Ja też – mówi. – Sprawdźmy, co się stanie.

- Sprawdźmy.

WYBRANO DWUNASTKĘ DZIECIAKÓW.

Ustawiają się przed drzwiami przedsiönka, każde ze swoim opiekunem z Liberty.

Lee daje mi znak, żebym podszedł do przodu. Sięgam do okularów, odnajdując niewidzialny zatrzask, który odłącza prawe ramię od reszty oprawek.

Przechodzimy obok czterdziestokilkuletniej kobiety o potarganych czarnych włosach przetykanych blond pasemkami, która poci się w klimatyzowanej sali. Trzyma się z boku, nie stojąc w kolejce, ale dość blisko niej. Mam wrażenie, że z jej energią jest coś nie tak.

Kiedy ją mijamy, Lee wita ją skinieniem głowy.

– Kim jest ta kobieta? – pytam.

– Awanturnicą – odpowiada Lee i kręci głową.

– Co ona tu robi?

– Jej córka jest w Liberty, a ona czasami ma u nas zastępstwo na angielskim.

– No to skąd awantury?

– To długa historia – ucina Lee, nie mając ochoty rozwijać tematu.

Wzruszam ramionami.

– Ciekawa fryzura.

– Wiesz, jacy są nauczyciele angielskiego – mówi. – Kreatywni.

Ku mojemu zdziwieniu, Lee mija kolejkę kandydatów czekającą na audiencję u Moore'a i prowadzi mnie na jej początek.

– Nie czekam? – pytam go.

– Masz status VIP-a, bo jesteś ze mną – wyjaśnia Lee.

– Dobrze jest być następcą – mówię z uśmiechem.

– Czasem tak, czasem nie.

Zaglądam przez drzwi do przedsiönka sceny. Eugene Moore siedzi za stołem w głębi pomieszczenia.

Nie jest sam.

Obok niego stoi Flanelowy, ale trochę dalej od stołu, w pozycji obronnej umożliwiającej dobry widok i swobodę ruchów. Pojawia się córka Moore'a, Miranda, i siada obok ojca. Przy niej stoi tamten umięśniony ochroniarz z głową na śrubkach.

Moore, Miranda, Flanelowy i Śrubogłowy.

Czyli cztery osoby w pomieszczeniu. Kiedy Lee wprowadzi mnie do środka, będzie nas pięcioro.

Zamierzam odwrócić ich uwagę na tyle, żeby móc niepostrzeżenie wstrzyknąć Moore'owi toksynę. Wyobrażam sobie przebieg wypadków. Zdejmuję okulary i upuszczam je u stóp Moore'a, równocześnie odbezpieczając broń. Może Moore pochyla się, żeby pomóc mi je podnieść, i odsłania skórę przedramienia. A może podnoszę je sam i przyciskam igłę do jego łydki.

To będzie trudne, ale możliwe do wykonania.

Jesteśmy w odległości ponad pięciu metrów od niego, kiedy przechodzimy przez ostatnią linię ochrony. Lee kładzie mi rękę na ramieniu, pokazując wszystkim, że jesteśmy razem. Że osobiście prowadzi mnie na spotkanie ze swoim ojcem.

Mam napięte wszystkie zmysły. Siłą woli zmuszam ciało, żeby się rozluźniło, uspokajam oddech.

Jestem trzy metry od Moore'a, gdy Flanelowy unosi wzrok. Nasze oczy się spotykają.

Wyraz jego twarzy błyskawicznie się zmienia.

Coś jest nie tak.

Flanelowy dotyka ramienia Moore'a. Moore przerywa to, co właśnie robi, i nachyla się w jego stronę.

Flanelowy szepcze mu coś do ucha.

Już niecałe dwa metry. Zdejmuję okulary i zaczynam je kołysać w rękę, starając się, aby ten ruch wyglądał naturalnie.

Flanelowy przestaje szeptać. Moore lekko kiwa głową, a potem patrzy na nas, najpierw na syna, potem na mnie.

Ma przenikliwe spojrzenie, bez cienia życzliwości.

Odpieram jego energię, przywołując na twarz niewymuszony uśmiech, rozluźniając całe ciało, opuszczając ramiona do najniższej, najmniej groźnej pozycji. Postukuję okularami o udo, przygotowując dłoń do odłączenia ramienia od oprawek.

Pokonuję ostatnie kroki dzielące mnie od Moore'a.

Lee zaczyna mówić:

– Tato, chcę ci przedstawić Daniela Martina...

Moore przerywa mu, przecząco kręcąc głową.

Potem wszystko dzieje się szybko.

Flanelowy staje przed Moore'em, zasłaniając go przed moim wzrokiem. Dołącza do niego Śrubogłowy, który powstrzymującym gestem unosi rękę.

Lee zdejmuje rękę z mojego ramienia i chwyta mnie za biceps.

– Zaczekaj – mówi.

Śrubogłowy idzie w naszą stronę.

– Co się dzieje? – pytam z napięciem w głosie.

– Nie chce cię poznać – wyjaśnia krótko Lee.

– Jak to? Przecież mnie wybrał.

– Zmienił zdanie. Przykro mi. Czasem tak bywa.

Lee odciąga mnie od Moore'a, a Śrubogłowy obejmuje mnie ramieniem w pasie, chcąc mi pomóc mnie wyprowadzić.

Mógłbym w ciągu sekundy wywinąć się im obu, ale w ten sposób zwróciłbym na siebie większą uwagę.

– Co z obozem? – pytam.

– Obóz nie wchodzi w grę – odpowiada Lee.

– Może na następnej rekrutacji? Na przykład latem w przyszłym roku?

– Kiedy mój ojciec mówi nie, to kłamka zapadła. Przykro mi, że dowiadujesz się dopiero tutaj. Nie wiedziałem, że tak to się skończy.

Podchodzą do nas następni ochroniarze, zacieśniając pierścień wokół mnie. Ludzie na sali wyciągają szyje, żeby sprawdzić, co się dzieje.

Dostrzegam jakiś ruch z boku. Nauczycielka angielskiego o rozwichrzonych włosach przesuwa się za ochroniarzy. Wykorzystuje zamieszanie wokół mnie, żeby podejść bliżej Moore'a.

Grzebie w torebce, próbując coś wydobyć.

– Będziesz musiał wyjść – mówi do mnie Śrubogłowy i chwyta mnie mocno za ramię.

Patrzę na Lee, szukając pomocy, ale on się oddala, nie mając już ochoty się mną zajmować.

Opieram się Śrubogłowemu, który zaciska uchwyt. Jest silny, najwyraźniej ćwiczony, ale nie jest fachowcem. Trzyma mnie za nisko. Gdyby chwycił wyżej, unieruchomiłby staw

barkowy. Skuteczniej nawet byłoby chwycić mnie wpół i wyprowadzić. Tak się szkoli bramkarzy w lokalach, żeby radzili sobie z pijanymi. Podchodzą od tyłu i zakładają im niedźwiedzi chwyt w pasie, przyciskając ręce do ciała.

Śrubogłowy tego nie robi. Trzyma mnie za łokieć i chociaż to boli, reszta mojego ciała ma pełną swobodę ruchów.

Właśnie w tym momencie rozczochrana kobieta wyjmuję z torebki jakiś przedmiot.

Ścisną w dłoni czarny, matowy kawałek metalu. To mały pistolet.

Jestem świadkiem próby zabójstwa. Przeprowadzanej niezbyt umiejętnie. Ze sposobu, w jaki trzyma broń, domyślam się, że kobieta nie była szkolona do zabójstw.

Podbiega do Moore'a, próbując wyciągnąć pistolet, ale zahacza przegubem o uchwyt torebki. Usiłuje uwolnić rękę, tracąc dwie cenne sekundy.

Jej strata to mój zysk.

Obliczam dzielącą nas odległość, czas potrzebny, żeby ją pokonać.

Obliczam coś jeszcze – prawdopodobieństwo, że się jej uda. Bo jeśli strzeli i zabije Moore'a, będę mógł wyjść, a misja zostanie wykonana bez mojego udziału.

Ale wystarczy rzut oka, żeby wiedzieć, że szanse są niewielkie. Kobieta jest spocona i przerażona, potyka się w biegu.

Jeżeli strzeli do Moore'a i nie trafi, ochrona natychmiast zamknie go szczelnym kordonem. Moore zaszyje się w swoim obozie i nie będę miał drugiej szansy.

Podejmuję decyzję.

Napinam mięśnie barku, a potem szybkim ruchem opuszczam łokieć, wrywając się z uścisku Śrubogłowego.

Odskakuję od niego, robiąc unik przed innym ochroniarzem.

Ochrona wyciąga ręce w moją stronę i krzyczy. Lee odwraca się do nas, zaskoczony, że jeszcze tu jestem.

Cała uwaga jest skierowana na mnie, nikt nie patrzy na kobietę z pistoletem.

Unosi broń z twarzą wykrzywioną gniewem.

W tym momencie skaczę, rzucając się na kobietę całym ciężarem ciała.

– Broń! – krzyczę w nadziei, że samo słowo wystarczy, aby wywołać wyćwiczoną reakcję ochrony Moore'a.

Uderzam kobietę w bok i pocisk trafia wysoko, roztrzaskując lampę na suficie. Gdzieś za mną rozlega się wrzask. Padając na podłogę, kobieta strzela jeszcze dwa razy, ale zdążyłem już złapać ją za rękę i skierować lufę w stronę ściany, gdzie kule nie mogą nikomu zrobić nic złego.

Kobieta krzyczy spode mnie:

– Puść! On nie może zabrać mojej córki!

Mocno ścisną jej nadgarstek, żeby wypuściła pistolet.

Gdy tylko broń wypada jej z ręki, kobieta wydaje wściekły i bezsilny krzyk, a potem osuwa się bezwładnie na podłogę pode mną.

Młodzi ludzie z obozu już są przy nas, jeden z nich przygniata kobiecie ręce, inny siedzi jej na piersi, żeby nie mogła uciec.

– Nie dostaniesz jej, Moore! – krzyczy kobieta. – Nie dam ci mojego dziecka!

Jeden z chłopaków zakrywa jej usta ręką i tłumi wrzaski.

Oglądam się za siebie i widzę grupę młodych ludzi, którzy otaczają Moore'a i szybko prowadzą w stronę wyjścia.

– Wezwijcie policję! – woła jeden z kandydatów.

– Nie – sprzeciwia się jego opiekun z obozu. – Nie ma potrzeby.

Patrzę w głąb pomieszczenia, żeby sprawdzić, którą Moore wyszedł, ale ze

zdziwieniem widzę, że ciągle jest w środku i kłóci się z grupą z obozu.

Próbują go nakłonić do wyjścia, a on się nie zgadza.

Nauczycielka angielskiego wciąż leży przygwożdżona do podłogi i płacze. Nagle łapie drugi oddech, usiłując się wyrwać z rąk kilku chłopaków.

– Moooooore! – wrzeszczy przeraźliwie. – Nie zrobisz tego!

Wtedy Moore rusza w jej stronę, przepychając się przez tłum.

Dotyka ramienia jednego z chłopaków, którzy siedzą na jej nogach. Chłopak wstaje. Daje znak pozostałym, żeby też ją puścili.

Kobieta nie wie, co ma robić. Leży na podłodze jak dziecko i bezradnie patrzy na Moore'a.

Moore podchodzi bliżej i klęka przy niej.

Mógłbym się do niego dostać, zbliżyć się w zamieszaniu na tyle, żeby mu wstrzyknąć truciznę. Ale to zbyt ryzykowne.

Będę musiał znaleźć inny sposób.

Moore szepcze coś do kobiety, za cicho, żebym mógł usłyszeć. Wyraz jej twarzy się zmienia: znika nienawiść, pojawia się zaskoczenie, aż wreszcie coś innego, coś zbliżonego do spokoju.

Po chwili Moore wyciąga rękę, aby pomóc jej wstać. Kobieta bez słowa ją przyjmuje, podnosi się i otrzepuje.

Oboje stoją naprzeciw siebie...

I nagle Moore wyciąga ramiona, a kobieta rzuca mu się w objęcia.

Kilka osób w pomieszczeniu tłumi okrzyki zdumienia. Dziewczyna obok mnie ociera z oczu łzy.

Moore przytula kobietę, a po chwili zostawia ją i odchodzi w otoczeniu swoich ludzi. Mijając mnie, rzuca mi krótkie spojrzenie, ale nic nie mówi. Znika za tylnymi drzwiami.

Roztrzęsioną kobietę otacza kilka dziewczyn, które najwyraźniej ją znają. Głaszcząc ją po plecach i ramionach, odprowadzają ją.

Chwilę później obok mnie pojawia się Lee.

– Nic ci nie jest? – pyta.

– Nie wiem – odpowiadam, jak gdybym był w szoku, choć jestem najzupełniej pewien, że nic mi się nie stało.

Lee lustruje mnie od stóp do głów, dokonując szybkiej oceny obrażeń z wprawą człowieka, który przeszedł gruntowny kurs pierwszej pomocy.

– Nie dostałeś – stwierdza.

– Dzięki Bogu – mówię. – Policja już przyjechała?

– Nie przyjedzie – informuje mnie Lee. – Zajmiemy się tym sami.

– Mówiłeś wcześniej, że ta kobieta to awanturka.

Lee patrzy w ziemię.

– Myśli, że jej córce grozi niebezpieczeństwo, że w obozie stanie się coś złego.

– A stanie się?

– Wręcz przeciwnie – odpowiada Lee. – Tylko coś dobrego.

Rozglądam się, sprawdzając reakcje wśród pozostałych obozowiczów. Dziwnie milczący, zajmują się swoimi sprawami, sprzątając i porządkując salę, jak gdyby nic się nie stało.

Niech sobie milczą, ale ja reaguję jak normalny chłopak, kiedy mija szok po silnym przeżyciu. Zaczynam drżeć, mój oddech staje się płytki i szybki.

– Chyba muszę usiąść – wyznaję.

Lee ma zatroskaną minę.

– Spróbuj się uspokoić – radzi. – To całkiem normalne, że tak się czujesz po porcji adrenaliny.

– Nie mogę uwierzyć w to, co się stało – mówię. – Próbowala zabić twojego ojca.

– Próbowala – zgadza się Lee. – Ale jej przeszkodziłeś.

Cofa się o krok ze zmienionym wyrazem twarzy.

– Daniel, jak ci się udało jej przeszkodzić?

– Sam nie wiem. Po prostu ją złapałem.

– Nie tak po prostu. Zaatakowałeś ją ciałem, a potem złapałeś za rękę z pistoletem, żeby nie mogła oddać strzału.

Jest znacznie bardziej spostrzegawczy, niż sądziłem. Muszę na niego uważać.

Kręci głową.

– Zachowałeś się jak zawodowiec – mówi.

– Jaki zawodowiec?

– Ochroniarz.

– Trochę trenowałem

– Co?

– Sztuki walki. Mój ojciec uważa, że człowiek powinien wiedzieć, jak się bronić.

Spogląda ponad moim ramieniem w stronę tylnego wyjścia.

– Będziesz musiał opowiedzieć o tym mojemu ojcu – mówi.

– Twojemu ojcu?

– Chce teraz z tobą porozmawiać.

MOORE STOI ZA BUDYNKIEM OŚRODKA W BLASKU REFLEKTORÓW SAMOCHODU.

Nie widzę jego twarzy, tylko jego profil, wmieszany między profile młodych ludzi, którzy go ochraniają.

Lee prowadzi mnie do niego. Mijamy Mirandę, której połowę twarzy oświetlają reflektory.

Nagle Lee przystaje i daje mi znak, żebym dalej szedł sam. Ochrona stoi uformowana w szpaler, obserwując mnie, kiedy ją mijam.

Moore czeka, żebym podszedł bliżej.

Dzieli nas już tylko cztery kroki. Czuję się tak, jakby powietrze wokół niego wibrowało. Stoi z jedną ręką wspartą o maskę samochodu, od pasa w dół oświetlony blaskiem reflektorów, ale jego twarz kryje ciemność.

Zatrzymuję się dwie stopy od niego. W odległości uznawanej za granicę strefy osobistej. W Ameryce nieznajomi zbliżają się do siebie najwyżej na sześćdziesiąt centymetrów. W krajach azjatyckich ta odległość jest mniejsza. W Wielkiej Brytanii większa.

Ale w Stanach Zjednoczonych przestrzeń osobista ma szerokość sześćdziesięciu centymetrów. Stając dalej, wysyłasz komunikat, że się boisz. Bliżej – jesteś nieuprzejmy, aspołeczny. Albo niebezpieczny.

Zatrzymuję się w odległości sześćdziesięciu centymetrów, dając Moore'owi do zrozumienia, że ani się go nie boję, ani nie stanowią dla niego zagrożenia.

Nie widzę jego oczu, ale wyczuwam, że na mnie patrzy. Wokół nas stoją ludzie, tuż za zasięgiem światła reflektorów, uważnie obserwując każdy mój ruch.

Zastanawiam się, czy na pozór niewinnym gestem nie zdjąć okularów, aby mieć w ręku broń, ale gdy zerkam w lewo, dostrzegam w ciemności zarys czerwono-szarej kratki.

Flanelowy.

Czai się z boku, krążąc jak rekin. Postanawiam trzymać ręce przy sobie.

– Jesteś bohaterem? – pyta Moore.

Z bliska jego głos brzmi donośniej i wyraźniej, bardziej zdecydowanie.

– Nie sądzę – mówię. W moim głosie brzmi niepewność.

– Zdobyłeś się na bohaterski czyn.

– Wszystko stało się tak szybko. Nawet nie bardzo wiem, co zrobiłem.

– Przeszkodziłeś w próbie zabójstwa.

– Tylko zareagowałem – mówię.

– Ludzie, którzy reagują, to bohaterowie.

– Naprawdę?

– Naprawdę – potwierdza Moore, po czym wyciąga rękę i kładzie mi na ramieniu, jakby chciał mnie uspokoić.

Kontakt fizyczny. Moore znajduje się w mojej strefie rażenia, ale jestem osaczony przez światło. Nie mogę wykonać żadnego ruchu, który mógłby się wydać niebezpieczny.

– A więc sądzi pan, że jestem bohaterem? – pytam, jak gdybym nie umiał w to uwierzyć.

Moore nagle zaciska dłoń na moim ramieniu. Wiję się, udając zaskoczenie i ból wywołany jego żelaznym uściskiem.

Zwykły człowiek byłby zaskoczony i poczułby ból.

Nie ja. Ja jestem zaciekawiony.

– To boli – mówię.

– Wiesz, co mnie niepokoi w tym, co zrobiłeś? – pyta Moore.

Próbuję się wyswobodzić z jego uścisku, ale nie potrafię bez wykonania jawnego ruchu obronnego.

– Między bohaterem a czarnym charakterem jest bardzo cienka linia – ciągnie Moore.

Spoglądam na niego, jak gdybym nie rozumiał.

– Chyba nie jestem ani jednym, ani drugim.

Jeszcze mocniej wbija mi palce w ramię. Przywołuję na twarz grymas bólu.

– Mylisz się – oświadcza Moore. – Myślę, że jesteś albo jednym, albo drugim.

Wyczuwam, że Flanelowy zbliża się do mnie tuż poza moim polem widzenia. Wyciągam szyję jak przestraszone dziecko, które chce zobaczyć, co się dzieje wokół niego. Przy okazji rejestruję liczbę osób poza zasięgiem światła. Być może za chwilę będę się musiał bronić, a wtedy chcę wiedzieć, z jaką siłą mam do czynienia.

Moore wpatruje się we mnie coraz intensywniej.

– No więc kim jesteś? – pyta. – Bohaterem czy czarnym charakterem?

Czeka na odpowiedź.

Powoli wypuszczam powietrze z płuc. Staram się wyczytać o nim jakąś informację, żebym wiedział, co powiedzieć, ale to prawie niemożliwe. Jego energia jest tak płynna, że trudno mi za nią nadążyć.

Mimo to muszę jakoś zareagować. To przełomowy moment, po którym Moore zadecyduje o moim losie.

Nagle mam przeczucie. Moore to szorstki człowiek, były wojskowy. Powinienem odwołać się do tej energii w sposób, który wyda mu się znajomy.

– Nie przyjechałem tu wysłuchiwać takich bredni – mówię i wykręcam ramię na tyle mocno, żeby go zaskoczyć i uwolnić się z uścisku.

Z ciemności przyskakuje do nas kilka osób, ale Moore unosi rękę, powstrzymując je.

– Myślałem, że jest pan wybitnym człowiekiem – ciągnę, szybko wyrzucając z siebie słowa. – Przynajmniej tak powiedział mi ojciec, a ja chciałem zobaczyć, czy to prawda. Ale nie przyjechałem tu, żeby ktoś do mnie strzelał ani mnie przesłuchiwał. Naprawdę, do diabła z tym.

Prostuję plecy i patrzę mu w twarz, podważając jego władzę.

– Nikt cię nie przesłuchuje – mówi Moore, na chwilę przechodząc do defensywy.

– Narażałem własny tyłek, żeby pana ochronić przed jakąś wariatką, a pan nawet mi nie podziękuje. Oskarża mnie pan, sam nie wiem o co. Widzę, że muszę się stąd zabierać.

Opuszczam ramiona i wbijam wzrok w ziemię, wyczerpany swoim wybuchem.

– Źle mnie zrozumiałeś – odpowiada Moore. – Po prostu rozmawiamy.

– Chcę wrócić do domu, wziąć prysznic i zapomnieć, że w ogóle tu byłem.

Wtedy robię coś, czego Moore prawdopodobnie nie widział od bardzo dawna.

Odwracam się do niego plecami i zaczynam odchodzić.

– Chwileczkę – powstrzymuje mnie stanowczo.

Zatrzymuję się, ale nie odwracam.

– Może pomyliłem się co do ciebie – mówi.

Moore podchodzi do mnie, łamiąc zasadę strefy dwóch stóp.

Jest blisko. Na tyle blisko, że mogę wypełnić misję.

Moje zadanie zawsze polega na tym, żeby zabić w sposób, który będzie wyglądać jak śmierć z przyczyn naturalnych. Muszę je wykonać, nie demaskując się i nie narażając Programu.

W sytuacji takiej jak ta, kiedy prawdopodobieństwo odkrycia mojej roli jest wysokie,

procedury nakazują, żebym się wycofał i czekał na następną okazję. W każdej innej misji mam czas, aby odpowiednio zbliżyć się do obiektu, i wiele okazji do działania. Muszę tylko przygotować grunt i wybrać jedną z możliwości.

Nigdy nie było tak jak dziś.

Jedno spotkanie. Jedna próba. Jedna chwila z Moore'em.

Może drugiej nie będzie.

– Mogę ci zaufać, Danielu? – pyta Moore.

– Czyli uratować panu życie to za mało, żeby zdobyć pana zaufanie?

Moore patrzy w niebo, lekko wyciągając szyję. W wysokiej trawie wokół nas cykają świerszcze.

– Przemądrzalec z siebie – mówi Moore.

– Trochę – przyznaję.

Moore się uśmiecha.

– Przypominasz mi mnie samego – mówi.

Kiwa głową, a potem odchodzi, oddalając się szybko ode mnie i znikając w ciemności.

Stoję sam, osaczony przez blask reflektorów.

Moja misja się nie powiodła.

Myślę o Ojcu czekającym na mnie niecały kilometr stąd. Wyobrażam sobie, jak idę do niego i opowiadam, co się tu dzisiaj stało.

Ta misja już raz się nie udała. Co to dla mnie oznacza, skoro nie umiałem jej teraz wykonać? I jeżeli dodać kłopoty, jakie Program już ze mną ma, moje zniknięcie i wyjazd do Vermontu, problemy z ostatnim zadaniem...

Za sobą słyszę pisk hamulców. Odwracam się i widzę Moore'a, który stoi obok terenówki, nachyla się i szepcze coś do Lee. Po chwili Moore wsiada do SUV-a, który natychmiast rusza za innym samochodem, a kawalkadę zamyka trzeci wóz.

Moore odjeżdża, a razem z nim przepada moja misja.

Podchodzi do mnie Lee ze zdziwioną miną.

– Niewiarygodne – mówi.

– Co?

– Ojciec zaprosił cię do zwiedzenia Liberty.

– Naprawdę?

Nadchodzi chwila, do której mnie przygotowywano, połączenie zrządzenia losu i okazji, które pozwala odróżnić doświadczonego agenta od amatora. Amator się waha, a doświadczony żołnierz działa.

Problem to Camp Liberty. Mam tam wzbroniony wstęp.

– Co o tym myślisz? – pyta Lee.

– O zwiedzaniu? Świetna wiadomość – zapewniam go.

Mogę wrócić do Ojca nie z informacją o nieudanej misji, ale z alternatywnym rozwiązaniem. Pojadę do Camp Liberty i zlikwiduję Moore'a. Do takiej misji się nie przygotowywałem – jest bardziej złożona i trudniejsza – ale można ją zaplanować, opracować szczegóły i wykonać.

Skończę misję. Muszę tylko przekonać Ojca, żeby pozwolił mi to zrobić od środka.

– Kiedy mogę tam pojechać? – pytam Lee.

– Teraz – odpowiada.

– To niemożliwe – mówię.

– Dlaczego?

Nie mogę. Nie mam żadnego wsparcia ani planu awaryjnego. Ojciec nie ma żadnej

informacji o tym, co się wydarzyło.

- Już późno – mówię, szukając wiarygodnego wytłumaczenia, żeby nie jechać.
- Możesz tam dzisiaj przenocować – proponuje Lee. – Jest dużo miejsca. A rano cię oprowadzimy.

Nie możemy cię umieścić w Camp Liberty. Tak powiedział Ojciec.

- Zaraz przyjdzie po mnie tato – mówię.
- Możesz zadzwonić do niego z drogi – radzi Lee.

Obok nas zatrzymuje się czarny pikap, nie wyłączając silnika. Za kierownicą siedzi Flanelowy i patrzy prosto przed siebie.

- Musimy już jechać – ponagla Lee. – To znaczy, jeżeli się z nami zabierasz. Otwiera tylne drzwi.

Zerkam na ekran iPhone'a. Sygnał nadal blokuje instalacja zagłuszająca na samochodzie zaparkowanym przed ośrodkiem.

Wyobrażam sobie Ojca czekającego na mnie na drodze dojazdowej. Mogę tam dotrzeć w ciągu dziesięciu minut i – bezpiecznie siedząc na fotelu pasażera – omówić z nim, co poszło nie tak i jak to można rozwiązać.

Ale jeżeli teraz nie pojedę, czy będę miał jeszcze szansę zlikwidować Moore'a? Będę miał szansę dokończyć misję?

Szukam w głowie innych możliwości, ale nie znajduję. Prawdopodobieństwo powodzenia zmaleje niemal do zera w chwili, gdy zostawię Lee.

Nie mogę przegrać tej misji, skoro wysłano mnie, żebym ją dokończył.

Jeżeli teraz pojedę, Ojciec i Matka mogą być na mnie źli. Ale jeżeli szybko wykonam zadanie, jak mogę im nie zaimponować?

Silniejszy żołnierz osiąga cel tam, gdzie słabszemu się nie udaje.

Pokażę Programowi, że jestem silniejszym żołnierzem.

Patrząc na Lee, który stoi z ręką na otwartych drzwiach samochodu.

- To jak, jedziesz? – pyta.
- Jadę – odpowiadam i wsiadam do pikapa.

– CO ON TU ROBI, DO CHOLERY? – PYTA JAKAŚ DZIEWCZYNA.

Siedzi z tyłu, a jej twarz jest niewidoczna w półmroku.

– Jedzie z nami – informuje ją Lee. – Tato go zaprosił.

– Coraz bardziej zakręcony ten wieczór – mówi i patrzy przez okno.

Wsuwam się obok niej, za mną wsiada Lee.

– Poznałeś już moją siostrę, Mirandę? – pyta.

– Nie miałem jeszcze przyjemności – odpowiadam.

Miranda nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi.

– I chyba na razie nie będę miał – dodaje.

Spodziewam się, że ta uwaga wywoła jakąś reakcję, ale się mylę. W samochodzie panuje napięta atmosfera.

– Myślałem, że dzisiaj udało mi się uratować sytuację – mówię. – Czemu wszyscy są w takim złym humorze?

– Może dla ciebie próba zabójstwa jest zabawna – odzywa się Flanelowy – ale nas nie bawi. W ogóle.

Nadaję głosowi ton skruchy.

– Masz rację. Przepraszam. To było głupie.

Ktoś puka w przednią szybę, dając sygnał Flanelowemu. Mruczy pod nosem i wrzuca bieg. Zatrzymuje się na moment przy końcu podjazdu, a potem z piskiem opon rusza za następnym pikapem. Za nami zauważam trzeci samochód, zamykający kawalkadę zmierzającą do Camp Liberty.

– Wszyscy są trochę podminowani – wyjaśnia Lee. – Nie bierz tego do siebie.

– Nie wiem, o czym myślałem – mówię.

– Nie myślałeś – odburkuje pod nosem Miranda.

– To u mnie nic niezwykłego – mówię.

Wyczuwam, że po prztyczku, który dałem samemu sobie, jej energia łagodnieje.

Flanelowy jedzie po krętej drodze dość szybko i co chwilę wpadam na Mirandę, zderzając się z nią w ciemnościach.

– Przepraszam. Trochę ciasno tu z tyłu – mówię.

Nie odpowiada, tylko poprawia się na siedzeniu i kładzie ręce na kolanach.

Muszę uważać, flirtując z Mirandą. Chcę ją przekonać do siebie, ale nie kosztem moich stosunków z Lee.

Misja zmienia się z każdą chwilą. To, co niedawno było bezpośrednią próbą zamachu, coraz bardziej przypomina standardowe zadanie, ponieważ należy traktować Lee i Mirandę za cele pośrednie, które mogę wykorzystać, żeby zbliżyć się do Moore'a. Będę musiał ich obserwować i szybko ocenić ich wzajemne relacje i relacje z ojcem, żeby był bezpieczny, gdy zaczną podchody do Moore'a.

– Wyjechaliśmy już za strefę blokady sygnału – mówi Lee. – Możesz zadzwonić do taty.

– Dobry pomysł – przytakuję.

Wyjmuję iPhone'a. Miranda zerka na telefon.

– Nowy? – pyta.

– Tak. Interesujesz się techniką?

– Wszyscy się interesujemy – odpowiada.
– Interesujecie?
– W Liberty. Tym się między innymi zajmujemy.
– Jesteśmy organizacją opartą na nowoczesnej technologii – wyjaśnia Lee. – Mój ojciec uważa, że jeżeli nie jesteś na bieżąco z najnowszymi osiągnięciami, zostajesz w tyle.
– Zauważyłem, że na scenie korzystał z iPada – mówię.
– Zgadza się. Uwielbia ten tablet.
– Fajnie, kiedy starsi ludzie próbują używać cyfrowej technologii – mówię. Miranda parska śmiechem. Flanelowy chrząka za kierownicą. Ostrzeżenie?
– Nie chcę nikogo obrazić – dodaję szybko.
– Nikogo nie obrażasz – odpowiada Lee. – Ale jak powiesz coś takiego w obozie, długo nie zagrzejesz tam miejsca.
– Twój ojciec nie za bardzo ma poczucie humoru – mówię.
– Czasami ma, czasami nie – przyznaje Lee. – Ale kiedy nie ma, to naprawdę nie ma.
– Będę uważał – obiecuję.
– Obóz jest zorganizowany na wzór wojskowego – ciągnie Lee. – A to znaczy, że szanujesz przełożonych albo wynocha.
– Spokojnie – powstrzymuje go Miranda. – Przecież on jedzie tylko pozwiedzać.
– Lepiej, żeby od razu wiedział – mówi Lee.
– Daniel miał zadzwonić do taty – wtrąca z przodu Flanelowy. Dziwne, że mu zależy na tym telefonie.
– Spróbuję teraz – oznajmiam pasażerom pikapa.
Patrzę na ekran iPhone'a. Nie mogę ryzykować i na ich oczach przełączać go w zabezpieczony tryb, ale Ojciec i ja mamy odpowiednie procedury na taką sytuację. Mam publiczny numer, pod który mogę zadzwonić, a sygnał za pośrednictwem przekazników połączy mnie na żywo z telefonem Ojca, przeznaczonym wyłącznie do tego celu.
Kiedy wybieram numer, w samochodzie panuje cisza.
Wystarczą trzy dzwonki. Wcześniej dwa razy korzystałem z publicznego numeru, raz podczas zadania w Ann Arbor, drugi przy okazji misji w Austin, zawsze w publicznych okolicznościach, gdy byłem monitorowany. Po trzech dzwonkach ojciec odbierał. Tak to działało.
Czekam trzy dzwonki, ale nic się nie dzieje.
Cztery dzwonki i nie odbiera.
Dziwne.
Pięć dzwonek. Potem sześć.
Czekam do dziesiątego, ale Ojciec się nie zgłasza.
– Co jest? – pyta Lee.
– Nie odbiera.
– Może przez góry – przypuszcza Lee. – Zdarza się, że sygnał tu zanika.
– Ale słyszę dzwonek – mówię.
– Może cię ignoruje – odzywa się Miranda z drwiną w głosie.
– Tak, mógł cię porzucić – dorzuca Lee, dołączając do energii Mirandy. Przychodzą mi na myśl hieny, które potrafią walczyć ze sobą, a chwilę potem działają w stadzie.
Muszę na to uważać.
– Wszystko jedno, ale to cholernie dziwne – mówię, pozwalając im usłyszeć nutę zaniepokojenia w moim głosie.
Dzwonię jeszcze raz i w znów słyszę tylko sygnał.

– Nic? – pyta Miranda.

Odkładam telefon.

– Spróbuję za parę minut. Muszę mu dać znać, gdzie jestem, bo strasznie się wkurzy.

A wtedy naprawdę lepiej, żebyście nie byli na moim miejscu.

Nagle samochodem szarpie i z dołu dobiega miarowy głuchy łomot.

– Niech to szlag – mruczy Flanelowy. Udaje mu się zapanować nad wozem i zatrzymać go przy poboczu drogi.

– Zdaje się, że złapaliśmy gumę – zauważa Lee.

– Pieprzone boczne drogi – mówi Flanelowy, ale w jego tonie jest coś, co budzi mój niepokój. Odtwarzam to zdanie w głowie, szukając odchyleń od jego zwykłej wymowy. Wtedy już wiem, co to jest:

Nie jest zaskoczony.

Kawalkada zatrzymuje się przed i za nami.

– Pora na pomoc drogową – mówię.

– Pora na samopomoc – odpowiada Flanelowy. – Moją.

– Przydam ci się? – pyta go Lee.

Flanelowy spogląda na niego, potem na mnie.

– Dobry pomysł – uznaje.

Lee wysiada z samochodu, ale Flanelowy przez chwilę zwleka.

– Możesz zostać? – zwraca się do Mirandy.

– Jakby co, mam gaz pieprzowy – odpowiada dziewczyna.

– Jasne – mówi Flanelowy.

Wyłącza silnik i wyciąga ze stacyjki kluczyki, chowając je w kieszeni. Rozsądny środek bezpieczeństwa. Nie zostawia się auta z pracującym silnikiem i obcym w środku, nawet jeżeli samochód złapał gumę.

Zamykają się drzwi i zostają sam z Mirandą. Z zewnątrz dobiegają głosy. To Flanelowy i Lee ustalają najbezpieczniejszy sposób wymiany koła na bocznej drodze pozbawionej pasa awaryjnego. Po niecałej minucie lodowato zimne wewnątrz samochodu zmienia się w rozgrzany piec.

– Gorąco jak diabli – mówię.

Miranda się nie odzywa.

– Psikniesz mi w twarz gazem pieprzowym, jeżeli odepnę ostatni guzik koszulki?

– Wyglądasz mi na całkiem miłego chłopaka... – mówi.

– Kurczę, zaraz usłyszę „zostańmy przyjaciółmi”. Daj mi zapiąć pasy przed tą wielką katastrofą.

Bok pikapa przechyla się o kilka stopni, gdy Flanelowy unosi go lewarkiem.

– Posłuchaj mnie – mówi. – Nie wiem, po co chcesz jechać do Camp Liberty, ale to nie jest właściwa pora.

– Dlaczego? – dziwię się.

Słyszę zgrzyt metalu o metal. To Flanelowy zaczyna odkręcać nakrętki na kole. Miranda zerka w stronę tyłu pikapa.

– Nie mogę ci tego wytłumaczyć – odpowiada. – Ale możesz mi wierzyć, kiedy ci mówię, że to cię przerasta.

– Może lubię, kiedy mnie coś przerasta. To wyzwanie.

– Nie potrzebujesz takich wyzwań.

Nagle wyciąga do mnie rękę i chwyta mnie za ramię. Kiedy dotyka mojej skóry, czuję ciepło jej dłoni.

– To nie jest teraz bezpieczne – mówi coraz bardziej gorączkowo. – Obóz nie jest bezpieczny.

Nagle otwierają się drzwi po jej stronie. Puszczą mnie, szybko chowając rękę.

Widzę Flanelowego z plamami potu na grubej koszuli.

– Mirando, zabierzesz się drugim samochodem – informuje ją.

– Nareszcie – mówi Miranda, jak gdyby miała już dość. Nie wiem, samochodu czy mnie.

Wysiada, a ja ruszam za nią.

– Ty nie – powstrzymuje mnie Flanelowy. – Tylko Miranda i Lee.

– A co ze mną?

– Zaczekasz – odpowiada.

– Jestem spocony – skarżę się. Marudzę jak rozdrażnione dziecko, przyzwyczajone, że zawsze stawia na swoim.

– Na pewno przeżyjesz – ucina Flanelowy i zamyka drzwi.

Samochód z przodu cofa, żeby zrównać się z naszym. Miranda spogląda w moją stronę, po raz ostatni wbijając we mnie wzrok, a potem wsiada i znika za przyciemnianymi szybami.

Widzę, jak z drugiej strony wsiada Lee, i dwie trzecie naszej kawalkady rusza w dalszą drogę.

Zostaję na poboczu sam z Flanelowym.

Słyszę, jak elektrycznym kluczem usuwa po kolei nakrętki. Niecałe półtorej minuty później wrzuca koło z przebitą oponą do bagażnika z tyłu.

Włącza mi się wewnętrzny alarm.

Jeżeli miało to potrwać tylko półtorej minuty, po co Lee i Miranda przesiadali się do innego samochodu?

Rozglądam się wokół siebie, szukając rzeczy, którymi mógłbym się bronić. Narzędzia leżące luzem na podłodze, mapy, nawet ciasno zwinięta gazeta stają się bronią w odpowiednich rękach.

Moich rękach.

Flanelowy otwiera drzwi z tyłu.

– O co chodzi? – pytam. – Potrzebujesz pomocy?

– Już zrobione – mówi. – Teraz pojedziesz z przodu.

– Dlaczego?

– Żebym cię widział.

– Dziewczyny mi mówią, że jestem niebrzydki.

Patrzy na mnie bez rozbawienia. Przytrzymuje drzwi, czekając, aż wysiądę.

– Koniec wożenia się limuzyną – oświadczam lekkim i aroganckim tonem, pasującym do Daniela Martina, którego osobowość naprędce buduję.

Miałem jedno popołudnie na przygotowanie tej tożsamości. Zawierała tylko tyle szczegółów, żebym mógł wystąpić w tej roli w trakcie dwugodzinnego spotkania w ośrodku kultury, aż do zakończenia misji. Nie przewidywałem, że jako Daniel Martin będę musiał prowadzić liczne rozmowy z ludźmi o różnych intencjach, próbującymi dowiedzieć się o mnie czegoś więcej.

– Wsiadka – komenderuje Flanelowy.

Czeka, aż wysiądę z pikapa i zajmę miejsce pasażera z przodu. Wtedy zamyka za mną drzwi.

Byłoby szybciej, gdyby obszedł samochód z przodu, ale rusza w kierunku tyłu, idąc wyjątkowo powoli i znikając mi z oczu.

Każąc mi czekać, buduje napięcie. To klasyczne posunięcie podczas przesłuchań, które

ma wzbudzić strach.

Flanelowy nie wie, że nie czuję strachu.

Dzięki jego taktyce zyskuję trochę czasu i wykorzystuję go, żeby dostroić się do nowego miejsca, do jego specyfiki i pola manewru, do zagrożeń i możliwości.

Kiedy Flanelowy w końcu wsiada za kierownicę, przez chwilę siedzi bez ruchu, nie uruchamiając silnika. Otwiera okno do połowy i zapala papierosa.

Otwieram okno po swojej stronie.

– Nazywam się Francisco – przerywa wreszcie ciszę.

– W myślach nazwałem cię „Flanelowy”.

Patrzy na swoją koszulę i kiwa głową.

– Ma sens – mówi.

Bez uśmiechu.

– Jestem Daniel – przedstawiam się. – Miło mi cię poznać.

– Wiem, kim jesteś. W każdym razie kim mówisz, że jesteś.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że kłamiesz.

– Co jest, do cholery? Nazywasz mnie kłamcą? – zaperzam się, każąc Danielowi oburzyć się na ten zarzut.

Zerkam na osłonę przeciwsłoneczną. Gdyby oderwać ją od dachu pod odpowiednim kątem, można ukręcić kawałek metalowej rurki i użyć jej do ataku.

Szyja. W nią bym najpierw celował.

Francisco nie reaguje na mój mały wybuch. Mówi tylko:

– Wszyscy kłamią, kiedy wypełniają zgłoszenie.

– Ja nie.

– Wszyscy – powtarza. – Ludzie chcą się dostać do Camp Liberty. Nie mówią prawdy, bo myślą, że prawda nie wystarczy. A wiesz, co jest śmieszne? Prawda to jedyny sposób, żeby się tam dostać. Musisz mówić prawdę.

– W takim razie jestem już prawie przyjęty.

– To ja o tym zdecyduję.

– Myślałem, że decyzja już została podjęta.

Przez Moore'a. Na parkingu, parę minut temu.

– No to się pomyliłeś – odpowiada Francisco, ściskając papierosa w dwóch palcach i zaciągając się głęboko.

Przychodzi mi na myśl, że nasz samochód wcale nie złapał gumy. Że może wszystko zostało zaaranżowane. Żebym przerwał podróż i stanął oko w oko z Franciskiem.

– Nie chodzi o to, czy kłamałeś – ciągnie Francisco – bo już wiem, że tak. Bardziej mnie interesuje, po co kłamałeś.

– Już mi mówiłeś po co. Chciałem się dostać do obozu.

– Nie przyznałeś się jeszcze do kłamstwa. Chcę to od ciebie usłyszeć.

Mógłbym udawać głupiego, ale nie sądzę, żeby tego oczekiwał. Lepiej się z nim zgodzić, ale dodać coś do smaku.

– Nie kłamałem – mówię.

Widzę, jak napina ramiona, gotów znów zaatakować.

– Trochę podkoloryzowałem – wyjaśniam, wymawiając to słowo z pretensjonalnym akcentem.

Trochę się rozluźnia.

– Co konkretnie?

– Nie mam średniej ocen cztery zero. Miałem w zeszłym semestrze, ale już nie.

– Co się stało?

Wzdycham, jak gdybym został przyłapany.

– Dałem dupy z fizyki i dostałem cztery minus na semestr. W klasie była jedna dziewczyna i może trochę mnie rozpraszała. Zresztą nie ma się co usprawiedliwiać. Poległem. To wyjdzie w średniej dopiero jesienią. Nawet jeszcze nie powiedziałem ojcu.

Francisco kiwa głową, zastanawiając się nad tym. Zmyśliłem to na poczekaniu, ale zawsze mogę przekazać to Ojcu i poprosić, żeby sfabrykował mój arkusz ocen. To rutynowe działanie hakerów Programu, którzy bez trudu mogą się włamać do komputera szkoły średniej i umieścić tam dane fałszywego ucznia, żeby moja wersja miała potwierdzenie w faktach. Odnotowuję w pamięci, żeby powiedzieć o tym Ojcu, gdy będę z nim rozmawiać.

– Naprawdę chcesz się dostać do Camp Liberty? – pyta Francisco.

– Mowa.

– Tak bardzo, że jesteś gotów kłamać.

– Koloryzować.

Kiwa głową.

– Niech będzie. Powiedz mi jeszcze jedno: dlaczego akurat Camp Liberty?

– Bo nie przyjęli mnie na obóz odchudzający.

– Żarty są dobre na Moore'a. Na mnie nie.

– A co jest dobre na ciebie?

Przez chwilę zastanawia się nad odpowiedzią. Zaciąga się papierosem i wydmuchuje dym przez okno. Widzę, że się namyśla, wreszcie podejmuje decyzję.

– Wiesz co? – mówi. – Na razie dość pytań.

– To dobrze, bo koszulka już mi się robi mokra od potu.

– Lepiej zadzwoń do ojca – mówi.

Już drugi raz każe mi dzwonić. Dlaczego tak mu na tym zależy?

Nieznacznie przechylam ciało, poprawiając pozycję obronną na wypadek, gdyby doszło do użycia siły.

– Chcesz, żebym zadzwonił do taty? – pytam od niechcienia.

– Powiedziałeś, że musisz zadzwonić. No to dzwoń.

– Próbowałem parę minut temu.

– Spróbuj jeszcze raz.

– Dobry pomysł – mówię.

Czeka, aż wyjmę telefon. Trzyma papierosa w ustach, a ręce ma ukryte w ciemności gdzieś pod kierownicą.

Włączam iPhone'a. Obserwuje mnie, gdy przechodzę na ekran główny i znów wybieram publiczny numer Ojca.

– Włącz głośnik – mówi Francisco.

– Dlaczego?

– Chcę wiedzieć, do kogo dzwonisz.

– Słyszałeś kiedyś o prawie do prywatności wynikającym z czwartej poprawki?

– Dobrze wiem, co to jest czwarta poprawka – odpowiada. – W Camp Liberty tego nie mamy.

– A co macie?

– Transparentność. Dzięki niej wiemy, że możemy sobie ufać. Jeżeli chcesz być jednym z nas, musisz się dopasować.

– Świetnie – odpowiadam. – W takim razie może pogadasz z moim ojcem. Oszczędzisz

mi fatygi.

Przełączam telefon na głośnik.

Słyszymy trzy sygnały, które rozbrzmiewają głośno w panującej w samochodzie ciszy. Czekam, żeby Ojciec odebrał, i wiem, że w czasie rozmowy przez publiczną linię będzie trzymał się roli. Mam nadzieję, że to wystarczy, by przekonać Francisca.

Telefon ciągle dzwoni, ale w głośniku nie odzywa się znajomy głos Ojca.

Nie odbiera.

– Gdzie jest twój ojciec? – pyta Francisco z groźbą w głosie.

– Nie wiem – odpowiadam. Zgodnie z prawdą.

– Nie ma poczty głosowej?

Nie nagrywamy wiadomości. Połączenia są zabezpieczone i zawsze odbierane. Nie ma potrzeby zostawiać wiadomości. Ale tego Franciscowi nie mówię.

– W swoim prywatnym telefonie nie korzysta z poczty – wyjaśniam. – Nie jest do niej przekonany. Ma oldskulowe podejście. Albo się dodzwonisz, albo nie.

– Oryginalne.

– Mój ojciec w ogóle jest oryginalny – przytakuję. – Ale czyta SMS-y. Napiszę mu wiadomość, żeby się nie martwił. Odwiozł mnie dzisiaj, więc wie, że tu jestem. Nie powinno być problemu z przenocowaniem w obozie.

– Na pewno? – pyta Francisco. – Zawsze mogę cię odstawić do domu.

– Na pewno – mówię.

Piszę wiadomość na publiczny numer, parę słów, które Daniel Martin mógłby powiedzieć ojcu. Potem wysyłam.

– Gotowe – mówię. – Jedziemy?

– Może tak, może nie.

Od jakiegoś czasu gram z tym gościem w szachy, starając się zaspokoić jego ciekawość. Ale jestem już zmęczony ciągłą obroną. Postanawiam przejść do ofensywy i pozwolić się wkurzyć Danielowi Martinowi.

– Słuchaj, tamci odjechali już jakiś czas temu – zauważam. – Chciałeś zapalić, zadać mi parę pytań, rozumiem.

– Naprawdę? – pyta rozbawiony.

– Ale to Moore zaprosił mnie do obozu. Może więc do niego zadzwonisz, co? Powiesz mu, że odpowiedziałem na wszystkie twoje pytania, ale że unieważniasz jego decyzję.

Przyglądam się uważnie jego twarzy, żeby zobaczyć reakcję. Czy Francisco ma tyle władzy, żeby mnie nie wpuścić do obozu? Dostrzegam nieznaczne, prawie niezauważalne napięcie w kąciu ust i już znam odpowiedź. Gość przegina.

– Aha, a kiedy będziesz dzwonił do Moore'a – dodaję – możesz przełączyć na głośnik. Transparentność, rozumiesz.

Francisco przygryza wargę. Widzę, że nie wyjmuje telefonu, nie wykonuje żadnego ruchu, aby to zrobić.

– Nigdy nie unieważniam decyzji Moore'a. Dzielę się z nim swoją opinią.

– Czyli jesteś tylko doradcą – naciskam dalej.

– Doradcą w sprawach bezpieczeństwa – uściśla. – Mam go chronić. Zrobię wszystko, co będzie trzeba, żeby nic mu się nie stało.

– Nie jestem dla niego żadnym zagrożeniem – mówię. – Po tym, co dzisiaj zrobiłem, możesz mnie nawet uważać za przeciwieństwo zagrożenia.

Francisco głęboko zaciąga się papierosem. Widzę, że przygląda się mojej twarzy w słabym świetle w kabinie.

Wreszcie wypuszcza dym i wyrzuca niedopałek za okno.

– Logiczne – przyznaje.

I odpala silnik.

– Nareszcie – mówię.

WSPINAMY SIĘ KRĘTĄ DROGĄ NA PRZEŁĘCZ.

Francisco pamięta trasę i pokonuje ją znacznie szybciej, niż nakazywałyby względy bezpieczeństwa. Wreszcie zwalnia przed zakrętem o sto osiemdziesiąt stopni i nagle droga gwałtownie opada przez ponad kilometr, schodząc na dno głębokiej doliny. Na dole las rzednie i przechodzi w otwartą przestrzeń, o szerokości stu metrów w każdym kierunku.

Nie wygląda to na granicę zwykłego obozu młodzieżowego. Raczej na strefę wokół bazy wojskowej. Osłona zapewnia obozowi bezpieczeństwo; brak osłony naraża nieprzyjaciela. Razem tworzą yin i yang niezłego obwołu obronnego.

Wjeżdżamy do doliny i przecinamy szeroką polanę, a w blasku reflektorów pojawia się na moment drewniana tablica z napisem „Camp Liberty”.

– Nie ma jak w domu – mówi Francisco.

Przed nami jest tak ciemno, że ledwie dostrzegam cienie niewielu budynków, stojących na kilku akrach. Ich zarysy pojawiają się i znikają w szaroniebieskim świetle księżyca przebijającym zza chmur.

Podczas odprawy nie dostałem mapy Camp Liberty, ponieważ nie powinno mnie tu w ogóle być, więc będę musiał poznać wszystkie istotne szczegóły na miejscu.

Francisco najwyraźniej wie, dokąd zmierza. Podjeżdża bliżej i zatrzymuje się przed budynkiem wyłaniającym się z mroku.

– Koniec jazdy – oznajmia.

– Przepraszam, jeżeli wcześniej byłem dla ciebie trochę wredny – mówię, ofiarowując mu gałązkę oliwną.

– Trochę? – powtarza, najwyraźniej niezainteresowany zawarciem pokoju.

– No dobra, do zobaczenia – mówię.

– Na pewno.

Otwieram drzwi samochodu. Z ciemności zbliża się do mnie światło latarki. Świeci mi w oczy, na moment mnie oślepiając.

– Dotarliście – mówi Lee.

Pikap za nami odjeżdża.

– Nie była to moja najprzyjemniejsza podróż – przyznaję.

– Przepraszam, że tak cię zostawiliśmy. To nie była nasza decyzja.

– Domyśliłem się – odpowiadam.

– A Franky faktycznie nie jest duszą towarzystwa.

– Franky? Tak nazywacie Francisca?

– Jest w porządku, kiedy się już do kogoś przekona.

– Jak długo to trwa?

– Ja jeszcze czekam – mówi Lee. Wybucham śmiechem. – W każdym razie teraz jest szefem ochrony ojca, więc wolę, żeby wykonywał swoją robotę, niż się ze mną przyjaźnił.

Zwracam uwagę na słowo „teraz”. Może Francisco niedawno awansował?

– Chodź za mną – nakazuje Lee. Rusza w ciemność, kierując latarkę na ziemię przede mną, żebym wiedział, gdzie stawiać nogi. – Łatwo się tu zgubić.

Ma rację. Bez latarki nie widziałbym nawet swoich stóp na ziemi.

– Przy okazji, trochę się martwię, że nie udało mi się jeszcze dodzwonić do taty.

– Tutaj telefon nie będzie działać.

– Z powodu gór?

– Mamy centralny zagłuszacz. Przy nim tamten aparat przed ośrodkiem kultury to zabawka.

W czasie odprawy Matka powiedziała mi, że łączność z terenem obozu jest całkowicie zablokowana.

– Po co zagłuszacie sygnał, skoro jesteście tak dobrze ukryci w górach? – pytam.

– Żadnych połączeń przychodzących ani wychodzących – mówi Lee, nagle poważniejąc.

– Dla własnej ochrony.

– Przed kim?

– Przed wrogami – odpowiada, wskazując szerokim gestem latarki w stronę gór. Ostatnie słowo wymawia złowieszczym tonem.

– Czyli nie ma żadnego sposobu, żebym skontaktował się z tatą?

– Możemy wysłać do niego wiadomość, jeżeli to ci w czymś pomoże.

Przecząco kręcę głową.

– Chyba zaczekam z tym do jutra – mówię. – Wysłałem mu wcześniej SMS-a, poza tym nie zamierzam zostawać tu na zawsze.

– Kto wie? – odpowiada Lee. – Kiedy zobaczysz, co tu robimy, może będziesz chciał zostać.

– Pewnie coś fantastycznego – mówię.

– To będziesz musiał sam ocenić. Chodź.

Lee prowadzi mnie dalej, oświetlając drogę latarką. Zna obóz jak własną kieszeń i pewnie stawia kroki mimo braku oświetlenia.

– Plan jest taki – ciągnie. – Pokażę ci, gdzie będziesz dzisiaj spał, a rano oprowadzimy cię po obozie.

Słyszę jakiś dźwięk dobiegający z oddali, rytmiczny łomot, jak gdyby młot uderzał w metal, a w tle pogłos fabrycznych odgłosów. Brzęk stali, warkot silnika.

– Dużo hałasu jak na niezamieszkane góry – mówię.

– To warsztat – wyjaśnia Lee. – Pracuje dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Co tam robicie?

– Między innymi w ten sposób zarabiamy. Outsourcing elementów elektrycznych.

– Myślałem, że tu są tylko dzieciaki.

– Przeważnie.

– A co z przepisami o zatrudnianiu dzieci?

– O to pytaj mojego ojca – mówi Lee. – Bardzo chętnie pogada o tym z tobą.

– Drażliwy temat między wami?

– Nie prowokuj.

Zapuszczamy się w głąb obozu. Nigdzie nie widać śladu żadnych ludzi, słysząc tylko dziwny metaliczny łomot rozlegający się echem w dolinie.

– Ilu ludzi tu jest w jednym okresie? – pytam.

– Zwykle przyjmujemy najwyżej dwadzieścia pięć osób na każdą zmianę. Ale teraz nie ma żadnego turnusu. Są tylko tutejsi.

– Tutejsi?

– Dzieciaki, które mieszkają tu na stałe.

Myślę o rozkochanej nauczycielce angielskiego krzyczącej do Moore'a, że nie zabierze jej córki. O to jej chodziło?

– Dzieciaki mogą tu mieszkać bez rodziców? – dopytuję się.

– Nie dziw się tak. To przypomina szkołę wojskową. Albo zwykłą szkołę z internatem.

Przecież wiesz, jak to wygląda w Exeter, Daniel.

Przez chwilę nie dociera do mnie, że to moje imię. Jestem wyszkolony do ciągłego zmieniania tożsamości, ale przyzwyczajenie się do nowego imienia ciągle wymaga trochę czasu. Zmiana imienia nie jest tak łatwa, jak można przypuszczać. Twoje imię to twoja tożsamość, słyszysz je od urodzenia. Głęboko w podświadomości kojarzysz z nim wszystko, co wiąże się z twoją osobą.

Jestem Daniel, powtarzam sobie. To jest teraz moja tożsamość. Daniel Martin.

Moje imię, prawdziwe imię, zostało ukryte w mojej świadomości. Nie używam go ani nie sięgam po nie.

– Wszystko w porządku? – pyta Lee.

– Zamyśliłem się – odpowiadam. – To nic ważnego.

Kiedy idziemy w ciemnościach, dostrzegam kształt samochodów, zaparkowanych z dala od budynków i zwróconych przodem w stronę wyjazdu. Następny środek ostrożności. Pojazdy i zbiorniki z paliwem daleko od drewnianych konstrukcji, tyłem do ścian, z kluczykami w stacyjce, żeby w każdej chwili były gotowe do drogi. Podczas bitwy nie ma czasu na zawracanie.

Czy to możliwe, że obóz przygotowywał się na atak? Taka myśl wydaje się idiotyczna, ale mam coraz więcej dowodów. Dużo więcej będę wiedział jutro, kiedy go obejrzę w dziennym świetle.

– Tato chciał cię przywitać osobiście – mówi Lee – ale jest jeszcze na spotkaniach.

– Trochę późno na spotkania, nie?

Przybiera poważny ton.

– Musimy omówić to, co się dzisiaj stało. I inne rzeczy... – zawiesza głos.

Jego mina wskazuje, że chce powiedzieć coś więcej, ale się powstrzymuje.

Przy jakimś mniejszym budynku skręca w prawo i rusza ścieżką, którą prawdopodobnie oddalamy się od centralnej części obozu.

– Musisz wiedzieć, że takie coś, znaczy ta dzisiejsza próba zamachu, nie zdarza się regularnie.

– Ale już się zdarzyła?

– Dostawaliśmy pogrózki – mówi. – Ale nikt nie posunął się tak daleko. Zwłaszcza ktoś...

– Kto?

– Ktoś, kogo znamy.

Wyobrażam sobie scenariusz dzisiejszego zdarzenia. Nauczycielka angielskiego ma córkę na obozie, więc ochrona przepuszcza ją bez dokładnej rewizji, nie spodziewając się, że kobieta ma w torebce broń.

– Nie mogę przestać o tym myśleć – mówi Lee. – Skąd wiedziałeś, że ma pistolet? Rzuciłeś się na nią, zanim zdążyła go wyjąć z torebki.

– Jak powiedziałeś wcześniej, mam prawdziwy talent do tej roboty. Może powinienem wstąpić do Secret Service.

– Serio.

– Dobra, chcesz znać prawdę? Mój tato ma pozwolenie na broń, więc z tysiąc razy widziałem, jak wyjmuje albo chowa pistolet do torby. Trudno nie poznać tego ruchu, kiedy się go zna. Po prostu zauważyłem.

Kiwa głową, analizując tę informację.

– Skoczyłem na nią, ale to było trochę głupie – dodaję. – I miałem trochę szczęścia.

– To powinienem być ja – mówi.

Milknie i patrzy w ciemność.

– Ja też zobaczyłem pistolet – ciągnie, zniżając głos do szeptu. – Ale nie mogłem się ruszyć. Nie wiedziałem, co zrobić.

– Większość ludzi nie wiedziałaby, co zrobić.

– Nie jestem większością ludzi. Jestem synem Eugene’a Moore’a. Po mnie spodziewa się czegoś więcej.

To zdanie mówi mi wszystko, co muszę wiedzieć o Lee. Silny ojciec i syn, który nie umie wykorzystać swoich możliwości, przynajmniej w oczach ojca.

Źle odczytałem intencje Lee. Jego pytania nie miały nic wspólnego ze mną. Chodziło mu tylko o niego i jego poczucie winy.

– Działalem instynktownie – mówię, starając się go pocieszyć. – Kto wie, co bym zrobił, gdyby to się powtórzyło?

– Może to samo.

– Tak. A może narobiłbym w spodnie.

Parska śmiechem.

– Od razu usunąłbyś wszystkich z sali, co?

– Każdy sposób jest dobry.

– Ale mówiąc poważnie, może przydałbyś się mojemu ojcu w ochronie. Akurat kogoś potrzebuje.

– Naprawdę?

– Stracił jednego człowieka – mówi cicho.

– Jak to się stało? – pytam.

Lee szybko zakreśla koło latarką, sprawdzając, czy w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby nas usłyszeć.

– Musiał się pozbyć jednego ochroniarza.

Myślę o żołnierzu z Programu. Cztery miesiące temu był w tym samym obozie, a teraz nie żyje. Czyżby miało to coś wspólnego z tym, o czym mówi Lee?

– Ten ochroniarz się nie sprawdził? – pytam.

– Nie był lojalny – wyjaśnia chłodno Lee. – Trzeba było rozwiązać problem.

Nie odpowiadam.

– Nie chciałem cię przestraszyć – uspokaja mnie Lee. – Mówię ci tylko, że jest wolne miejsce.

Lee kieruje światło latarki na średniej wielkości kwadratowy budynek stojący nieco dalej od innych.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmia.

Drzwi wejściowe są zamknięte i Lee odchyła metalową klapkę, otwierając klawiaturę cyfrowego zamka.

Przesuwa się na bok, żeby zasłonić ją ciałem. Robię krok do tyłu, jak gdybym chciał mu zapewnić prywatność, ale nieznacznie zmieniam pozycję i zaglądam mu przez ramię. Trzymając latarkę pod pachą, wstukuje czterocyfrowy kod.

9 6 6 4

Przekręca gałkę i otwiera drzwi.

– Tu będziesz spał – informuje mnie.

– Będę miał własny pokój?

– Fajnie, co? Zainstaluję cię, a potem muszę iść na spotkanie.

– Mam nadzieję, że jest tu kablówka – mówię.

– Mam coś lepszego niż kablówka – odpowiada.

– JESTEŚ GRACZEM KOMPUTEROWYM? – PYTA LEE.

Stoimy w pomieszczeniu przypominającym pokój w trzygwiazdkowym hotelu. Skromnie urządzone, ale czyste i najwyraźniej przeznaczone dla gości. Stoi tu duży regał, wypełniony książkami, ale Lee mówi o czymś innym. Wskazuje sześćdziesięciocalowy ekran LCD zajmujący ścianę przed nami, który w małym pokoju wydaje się gigantyczny.

Jeszcze lepiej wygląda to, co stoi na półce pod ekranem. Supernowoczesna konsola do gier, z której część przewodów biegnie do ściany, a część w górę, znikając za obudową telewizora.

– „Graczem” to trochę za dużo powiedziane – mówię. – Ale od czasu do czasu gram.

Myślę o „Zombie Crushed Dead!” – świecie gry MMORPG, w którym spotykam się z Matką w wyjątkowych sytuacjach, żeby odbyć z nią naradę operacyjną, wykorzystując anonimowość tysięcy graczy do ukrycia naszej rozmowy. Gdybym mógł nawiązać z nią kontakt online...

– Jestem właśnie w trakcie gry – mówię. – Mogę się do niej stąd zalogować?

– Mówisz o prawdziwym świecie? – pyta, wskazując na zewnątrz. – Nie da rady. Stąd jest dostęp tylko do intranetu. Gramy sami ze sobą.

– Tak spędzacie czas? Dziwię się, że ojciec pozwala wam grać. Mój tego nie cierpi.

– To nie jest zwykła gra. To szkolenie – wyjaśnia. – Pomagałem przy jej tworzeniu.

– Pisałeś program?

– Osobiście nie. Ale nadzorowałem programistów. I ja wpadłem na pomysł scenariuszy.

– Czyli to coś w rodzaju symulatora lotów?

– Dobre porównanie. Rozwija koordynację wzrokowo-ruchową, myślenie strategiczne i znajomość manewrów bojowych. „Poważna zabawa”, jak to nazywa mój ojciec.

– Idziecie do swoich pokoi i gracie ze sobą?

– Tylko niektórzy mają konsole w pokojach. Ale mamy kilka stanowisk we wspólnych salach w całym obozie.

– Nieźle.

– Właściwie to kompromis. Nie mamy komputerów, iPhone’ów ani żadnych tabletów.

– Ale w zamian macie to.

– Tak. Każdy w obozie ma swój zaprogramowany profil. Nasze postacie mają cechy fizyczne i sprawność opartą o nasze rzeczywiste zdolności. Kiedy szkolimy się w realu i stajemy się silniejsi, nasi bohaterowie też stają się silniejsi.

– Brzmi niesamowicie – przyznaję.

– Ty też masz swój profil.

– Ja?

– Zaprogramowany w oparciu o dane ze zgłoszenia. I kilka innych rzeczy, które o tobie wiemy.

Co o mnie wiesz?

– Gra zapisuje twoje wyniki – ciągnie Lee – i porównuje z wynikami wszystkich w obozie. Tu najważniejszy jest ranking. Sam zobaczysz.

– Rozumiem już, dlaczego chcecie tu mieszkać – mówię z uśmiechem.

– Jeszcze nie rozumiesz – odpowiada, nagle poważniejąc. – Ale ci pokażę. Jeżeli cię to interesuje.

– Przecież tu jestem, nie?

– Jesteś – przytakuje. – I masz jak w banku, że zostaniesz tu co najmniej do rana.

– Co to znaczy?

– Musze cię zamknąć. Standardowa procedura. Przepraszam.

– Nie ma sprawy – mówię. – I tak za drzwiami gównem widać. Dokąd pójde?

Śmieje się.

– Do zobaczenia rano – mówi i wychodzi.

Słyszę jego kroki w korytarzu. Drzwi wyjściowe otwierają się i zamykają, czemu towarzyszy szcęk zatrzasnkującego się zamka.

Gdy tylko jestem pewien, że zostałem sam, wydaję iPhone'a.

Chodzę po pokoju, szukając jakichkolwiek śladów sygnału, próbując trzymać telefon pod różnym kątem na różnych wysokościach, badając zasięg działania instalacji zagłuszającej.

Telefon wciąż szuka, nie mogąc się połączyć z wieżą przekaźnikową ani wi-fi.

Nie ma żadnego sygnału.

Patrzę na sześćdziesięciocalowy telewizor zamontowany na ścianie. Jeżeli nie mogę dziś obejrzeć Camp Liberty, to przynajmniej obejrzę grę jego mieszkańców i zaaklimatyzuję się w ich kulturze. Może przy okazji dowalę komuś w sieci.

Uruchamiam system w pokoju. Na ekranie pojawia się awatar – zwyczajny chłopak mniej więcej mojego wzrostu i budowy ciała, który obraca się w przestrzeni. Z tyłu koszuli ma napis DANIEL X, jak na sportowym uniformie z nazwiskiem zawodnika.

Klikam na postać i wyświetla się lista scenariuszy w grze:

Planowanie

Prowadzenie wojny

Uformowanie

Szpiegostwo

Atak ogniowy Zastanawiam się, gdzie wcześniej widziałem takie wyrażenia i przypominam sobie już po sekundzie. „Sztuka wojenna”, klasyczny podręcznik doktryny wojennej napisany przez Sun Zi w drugim wieku przed naszą erą. Czytałem go w ramach swojego szkolenia.

Przypuszczam, że gra została oparta na zasadach wojennych opisanych w tekście.

Klikam, aby otworzyć PLANOWANIE i widzę kolorową mapę. Przyglądam się jej przez chwilę i zdaję sobie sprawę, że to plan obozu. Widzę główną drogę, którą przyjechaliśmy z Franciskiem od strony góry. Camp Liberty ma kształt dużego owalu i jest otoczony górami. Prowadzi do niego jedna główna droga, a z boku odchodzi węższa droga pomocnicza. Na terenie znajdują się dwa większe budynki: długi prostokątny dom, stojący dokładnie pośrodku kompleksu, oraz drugi, którego jeszcze nie widziałem, oddalony od pozostałych zabudowań i wciśnięty w zbocze góry. Główny budynek otacza kilka mniejszych, stojących w nieregularnych odstępach. Próbuję ustalić, w którym z nich właśnie jestem, ale to może być jeden z kilku.

Studiuję mapę uważniej i dostrzegam zaznaczone na niej pozycje obronne rozmieszczone w różnych częściach obozu.

Planowanie

Scenariusz przedstawia rozmieszczenie sił w celu prowadzenia najbardziej skutecznej obrony obozu. Ale dlaczego mieliby bronić obozu dla dzieci? Przed kim?

Może się dowiem.

Pojawia się okno dialogowe:

Jesteś gotowy? T/N

Wciskam T i mapa na ekranie rusza w moją stronę, nabierając trójwymiarowości, jak gdyby wystrzelono mnie na nią z przestrzeni kosmicznej. Świat obozu wokół mnie ożywa. Mój

awatar stoi niedaleko głównej drogi. Słyszę jego oddech, zupełnie niepodobny do mojego. Jest ciężki i nierówny.

Obok mnie rozlega się jakiś krzyk. Odwracam się i widzę leżącego na ziemi i wijącego się u moich stóp człowieka, który dostał postrzał w brzuch. Kiedy się odwraca, widzę na jego plecach nazwisko: P. MERCURIO.

Ziemia odskakuje od moich nóg o ćwierć metra. To siła uderzenia pocisku po strzale. Dostrzegam błyski od strony drogi głównej.

Biegnę.

W prawym dolnym rogu widzę okienko statystyki, z którego wynika, że w tym scenariuszu gry uczestniczy czternaście osób. Nagle wyświetla się na czerwono nazwisko P. Mercuria i liczba w okienku gaśnie. Teraz jest trzynastu aktywnych graczy.

Zaczynam chwytać, o co tu chodzi.

Poruszam się po cyfrowej wersji Camp Liberty. W grze uczestniczy znacznie więcej niż trzynastu graczy. Kiedy awatary odwracają się do mnie plecami, mają identyfikatory numeryczne, na przykład KOMPUTER 1249, co oznacza, że komputer generuje dodatkowe postacie, aby zaludnić wirtualny świat. Ci bohaterowie wysypują się z budynków zdezorientowani i przestraszeni. Niektórzy z nich zostają trafieni na otwartej przestrzeni i padają trupem, inni biegną z bronią w rękę, poruszając się zygzakiem, jak gdyby wiedzieli, co robić. Prawie wszyscy zbiegają w stronę głównego budynku na środku.

Dudni pode mną ziemia i słyszę, jak drogą w kierunku obozu jadą wielkie wozy opancerzone.

– Daniel, tędy! – woła jeden z bohaterów.

Pojawia się przede mną i biegnie, dając mi znak, żebym ruszył za nim. Na plecach ma napis L. MOORE.

To Lee.

Biegnę za nim w kierunku głównego budynku. Jeżeli świat gry wygląda tak realistycznie, jak przypuszczam, będę mógł poznać układ wnętrza domu.

Tracę z oczu Lee w tłumie biegnących ludzi. Niektórzy krzyczą w panice, inni zachowują spokój. Do głównego budynku prowadzą różne wejścia, ale postacie chyba wiedzą, do którego trzeba się kierować. Ci, którzy dobiegają do drzwi, zostają bezpiecznie wpuszczeni do środka.

Patrzę, jak jeden z bohaterów wpada do budynku od frontu. Biegnę do tych samych drzwi, naciskam klamkę...

Zamknięte.

– Brak dostępu – informuje mnie gra, ostrzegając mnie bolesną wibracją kontrolera.

Kule siekają drewniane deski nad moją głową. Pochylam się i biegiem ruszam w stronę bocznego wejścia.

– Brak dostępu – recytuje znowu gra.

Odwracam się i widzę jakąś postać, przyglądającą mi się z drugiej strony drogi. W tym bohaterze jest coś innego, co odróżnia go od pozostałych awatarów na mapie. Z początku wydaje mi się, że nie żyje, ponieważ się nie porusza, kiedy ludzie go mijają.

Ale dostrzegam nieznaczne drgnienie głowy. Stoi nieruchomo, ale wygląda, jakby mnie obserwował.

Kto w tej grze może mnie obserwować? To nie Lee. Widziałem, jak zniknął w głównym budynku.

Ruszam w kierunku nieznannej postaci, starając się podejść z tyłu, aby zobaczyć nazwisko na bluzie. Przesuwam się wzdłuż ściany, zbliżając się do niego.

Nagle pocisk wyrywa z deski chmurę odłamków drewna tuż przy oczach mojego awatara.

Na chwilę tracę wzrok. Kiedy go odzyskuję, nieznajomego już nie ma.
Słyszę krzyki za sobą. Do obozu wbiegają mężczyźni w granatowych kurtkach ze złotymi literami ATF z przodu. W rękach mają broń szturmową.

ATF. Federalne biuro do spraw alkoholu, tytoniu, broni palnej i materiałów wybuchowych.

Zaczynam rozumieć, dlaczego obóz jest zorganizowany w taki sposób. Myślę, że grozi im akcja agencji rządowych. Nie tylko akcja, ale szturm. I przygotowują się do obrony przed tym atakiem.

Patrzę, jak w grze agenci ATF wpadają do obozu. W pierwszym odruchu myślę, że powinienem im zaufać. Pracują dla rządu, tak jak ja, choć w rzeczywistości nie mieliby o tym pojęcia.

W grze wychodzę z ukrycia, żeby agenci ATF mogli mnie zobaczyć, i w geście kapitulacji unoszę ręce.

W odpowiedzi unoszą karabinki szturmowe i zaczynają ostrzeliwać moją pozycję.

W rzeczywistości funkcjonariusze organów ścigania nigdy nie strzelają do nieuzbrojonych cywilów. Ale w grze Camp Liberty obowiązuje etos „my kontra oni”. Ci agenci ATF dostali rozkaz strzelania do przeciwnika.

Odwracam się i uciekam.

Kieruję się w stronę małego domku stojącego z dala od głównego budynku. Uderzam o drzwi ciałem awatara jak taranem.

– Brak dostępu – mówi system.

Czuję, jak przyspiesza mi puls, podczas gdy agenci ATF atakują obóz.

Przecież to tylko gra, mówię sobie.

Ale niesamowicie realistyczna i plastyczna. Słyszę wrzaski, dudnienie wozów opancerzonych, syk pojemników z gazem łzawiącym, które padają wokół mnie, wypuszczając swoją zawartość.

Słyszę nawet kaszel swojego awatara. Porusza się coraz wolniej. Wciskam przycisk kontrolera, ale nie mogę go zmusić do szybszego biegu.

Nie umiem się oddalić od uzbrojonych agentów.

Ostatnia szansa to oszklone okno w małym budynku z boku. Biegnę tam i rzucam się swoją postacią w okno, licząc na to, że usłyszę brzęk tłuczonej szyby.

Ale rozlega się tylko głośny szcęk.

– Brak dostępu – oznajmia znowu gra.

Wtedy dosięgają mnie kule.

Przez kontroler przebiega wibracja i słaby ładunek elektryczny, który wywołuje skurcz mięśni ręki.

Patrzę na brzuch swojego awatara, widzę krew sączącą się spod bluzy..

Naciskam kontroler, ale mam wrażenie, jakbym próbował brnąć przez mokry beton.

Unoszę wzrok i dostrzegam nieznaną postać stojącą biernie z boku i patrzącą na mnie. To ten sam człowiek, który mnie wcześniej obserwował.

Ekran zaczyna gasnąć.

Postać odwraca się i odchodzi. Przez gęstniejącą mgiełkę patrzę na tył jego bluzy. Każda postać ma tam nadrukowane nazwisko albo komputerowy numer.

Każda postać z wyjątkiem tej.

Nie ma nazwiska. Tył bluzy jest pusty.

Ekran zalewa czerń. Słychać wiatr, stłumione wycie, jak gdyby na pustym polu szalała burza. Na telewizorze wyświetla się jedno słowo:

Wyaliminowany

Na środku ekranu pojawia się tabela danych. To statystyka mojej postaci, Daniela X.

Miejsce w rankingu aktywnych graczy: 14. na 14

Szansa przeżycia w podobnym scenariuszu w rzeczywistości: 0%

Szansa przeżycia we wszystkich scenariuszach: 32%

Miejsce w rankingu ogólnym: 128. na 128 statystycznych graczy

Jestem nie tylko martwy. Jestem martwy i ostatni.

Nieważne.

Bo w trakcie gry po raz pierwszy widziałem mapę Camp Liberty. Teraz będę mógł odnaleźć drogę.

Dość gry. Pora wrócić do misji.

Muszę skontaktować się z Ojcem i dać mu znać, gdzie jestem.

Biorę iPhone'a z biurka. Patrzę na ekran i widzę, że nadal nie ma zasięgu.

Zastanawiam się, jak grupa ludzi mogła zainstalować skuteczną elektroniczną blokadę w takim otoczeniu. Wyobrażam sobie, że główne urządzenie nadaje sygnał ze środka obozu, a w górach znajdują się dodatkowe elektroniczne przekaźniki.

Wysoko w górach. Tam będę się musiał dostać, żeby pokonać zagłuszacz i znaleźć zasięg.

Jest już późno, sporo po północy. Pora wykorzystać to, czego się nauczyłem w grze.

WKALKULOWANE RYZYKO.

Nauczono mnie jego oceny. Każde działanie niesie ze sobą ryzyko. Wyjście z domu rano, chodzenie po ulicy, wsiadanie do samochodu, latanie samolotem. Wszystko jest ryzykowne, ale zwykły człowiek nie patrzy na to w ten sposób. Bo jeśli poziom ryzyka spadnie poniżej pewnego progu, zwykły człowiek nie uważa, by dana czynność była niebezpieczna z natury.

Nie ja. Ja znam prawdę.

Każde działanie niesie ze sobą ryzyko, ale ryzyko należy ocenić.

Opuszczenie pokoju i przejście przez ciemny i uzbrojony obóz? Próba ucieczki na zbocze góry i wspięcia się tak wysoko, żebym mógł znaleźć zasięg i skontaktować się z Programem?

Skrajnie wysokie ryzyko.

Pozostanie w pokoju i brak kontaktu z Programem, mimo świadomości, że podejmuję misję, która nie została zaplanowana i w której nie mogę liczyć na żadne wsparcie?

Jeszcze większe ryzyko.

Moja decyzja jest zatem prosta. Muszę porozmawiać z Ojcem albo Matką.

Wybieram więc mniejsze ryzyko i przygotowuję się do wyjścia.

Penetruję pokój, szukając wszystkiego, co mogłoby mi się przydać. Otwieram szafę i widzę zestaw spodni kamuflażowych z motywem leśnym oraz brązowych T-shirtów. Wybieram coś w swoim rozmiarze i zakładam. iPhone'a wsuwam do zapinanej kieszeni w spodniach. Pamiętam, aby mieć na nosie swoje specjalne okulary.

Idę korytarzem do drzwi. Przekręcam gałkę. Są zamknięte, tak jak zapowiadał Lee. Ale znam kod. Wstukuję go.

Chwilę później zamek zostaje odblokowany i wychodzę na zewnątrz.

KSIĘŻYC ZUPEŁNIE ZNIKNAŁ ZA CHMURAMI.

Wychodzę w tak głęboką ciemność, że oczy stają się zupełnie bezużyteczne.

Nieważne. Będę używać innych zmysłów. Nasłuchuję metalicznego łomotu dobiegającego z oddalonego warsztatu. Śledzę dźwięk, gdy odbija się od zbocza góry, i określam odległość od miejsca, w którym stoję. W ten sposób ustaliam położenie góry za pomocą echolokacji i mogę ruszyć w jej kierunku, idąc w stronę krańca obozu.

Mam jeden zasadniczy cel.

Wspinać się.

Wspinać się, dopóki mój iPhone nie odbierze sygnału, dopóki nie poinformuję Programu o swojej lokalizacji i razem opracujemy plan awaryjny dla tej misji.

Wspinać się.

Ale muszę jednocześnie pozostać niezauważony, bo inaczej moja misja zakończy się jeszcze tej nocy.

W CIEMNOŚCI KORZYSTAM Z TEGO, CZEGO NAUCZYŁEM SIĘ PODCZAS GRY.

Kieruję się za swój budynek, idąc bezszelestnie po ziemi i trawie, wyciągając przed siebie ręce, żeby zbadać, czy na drodze nie znajduje się przeszkoda. Kilka razy zauważam poruszających się w mroku wartowników, ale przypadam do ziemi i czekam, aż mnie miną, krążąc po swoich ustalonych trasach.

Księżyc wysuwa się zza chmur i dostrzegam przed sobą ogromną sylwetkę góry. Widzę, że jestem blisko obwodu obronnego, otwartej strefy między granicą obozu a lasem po drugiej stronie. Wygląda na to, że mam prostą drogę do lasu, ale wątpię, żeby to było takie proste.

Przystaję na skraju obwodu i przyglądam się miejscu przed sobą.

Wieje wiatr, niosąc liście od strony lasu i rozsypując je w pustej strefie. Na jednym z liści dostrzegam odbłask czerwonego światła.

Biorę garść ziemi i rozcieram w palcach, dopóki nie zmieni się w drobny proszek. Powoli idę naprzód, po drodze dmuchając pyłem przed siebie.

Wtedy właśnie je dostrzegam – poczwórne czerwone linie zaznaczające niewidzialną laserową barierę. Najniższa linia jest na wysokości około piętnastu centymetrów nad ziemią, a reszta w odległości czterdziestu centymetrów od siebie. Za nisko, żebym mógł się przeczołgać pod barierą, za wysoko, żebym mógł przeskoczyć. Taki system jest zapewne podłączony do jakiegoś monitorowanego komputera w którymś z budynków. Bariera laserowa w pobliżu lasu często wywoływałaby fałszywy alarm: spadające gałęzie, zwierzęta, wiele różnych rzeczy mogło przerwać wiązkę lasera i postawić ochronę na nogi. Ten system musi być na tyle zaawansowany, aby odrzucać fałszywe przypadki naruszenia bariery, żeby przebiegający szop nie uruchomił alarmu i nie sprowadził strażników.

Mógłbym zaryzykować, i szybko i nisko przebiec przez wiązki lasera, naśladować ruch zwierzęcia, ale dmucham następnym obłokiem pyłu i przyglądam się odległości między dwiema najniższymi liniami. Jeżeli dobrze to zrobię...

Cofam się o kilka kroków i skaczę między wiązki lasera, spłaszczając ciało. Prześlizguję się na drugą stronę, nie uruchamiając alarmu podłączonego do bariery. Zrywam się z ziemi po skoku i bez wahania gnam do lasu.

Przystaję między pierwszymi drzewami i nasłuchuję. Nie ma strażników, nawoływania, odgłosów pościgu.

Jestem wolny.

Ruszam przed siebie, przemykając zygakiem od drzewa do drzewa, nie zatrzymując się, dopóki nie mam pewności, że jestem zupełnie zasłonięty liśćmi. Wtedy dopiero przystaję, żeby sprawdzić otoczenie, szukając najdogodniejszej drogi prowadzącej w górę zbocza.

Wspinając się, myślę o centralnym urządzeniu zagłuszającym i regeneratorach sygnału rozmieszczonych w lesie i nad obozem. Jak wysoko musiałyby się znajdować regeneratory, żeby tłumić całą łączność? Przynajmniej na tym samym poziomie, co najwyższe budynki, plus dodatkowa odległość, żeby zapobiec zakłóceniom w linii prostej między urządzeniami.

Oceniam wysokość regeneratorów na zboczu góry, a potem zaczynam się wspinać, żeby znaleźć się wyżej niż one.

Po pokonaniu najwyższej dziesięciu metrów z dołu spomiędzy drzew dobiega jakiś chrzęst. Czekam i nasłuchuję.

Za moimi plecami, gdzieś w dole, trzaska gałązka. To nie zwierzę. Chód wskazuje na człowieka.

Ktoś idzie za mną od obozu. Nie wiem, kto to jest, ani jak trafił na mój ślad, ale wiem.

Ktoś mnie śledzi.

Zanurzam się głębiej w las, poruszając się po nieregularnej spirali, cofając się po własnych śladach i utrudniając zadanie tropiącemu mnie człowiekowi, jak tylko się da. W takiej sytuacji amator szybko by się pokazał albo zupełnie gubiąc ślad, albo odkrywając się bezwiednie.

Ktokolwiek to jest, nie dał się zwieść moim manewrem. Porusza się dokładnie wtedy, gdy ja się poruszam, i zatrzymuje się wtedy, kiedy ja, z minimalnym poślizgiem.

Podziwiam. Jest naprawdę niezły.

Ale ja jestem lepszy.

Kiedy znów ruszam, udaję, że się przemieszczam, ale nigdzie nie idę. Ukryty za drzewem, drepczę w miejscu, stawiając stopy głośniejsze i ciszsze, przesuwając się za drzewem pod różnymi kątami, żeby zmienić kierunek dźwięku, i wabię go do siebie. Genialny tropiciel być może zorientowałby się, co robię, ale każdy poniżej tego poziomu na pewno się na to nabierze i w końcu się ukaże.

Pół minuty później słyszę zbliżające się kroki i widzę zarys sylwetki w bluzie z kapturem, ciasno przylegającym do głowy.

Kiedy jest już blisko, przystaje, wyczuwając, że coś jest nie tak. Być może nie jest to wybitny tropiciel, ale na pewno bardzo dobry. Czeka i nasłuchuje.

Wydamę ledwie słyszalny dźwięk, szelest tkaniny o korę, jak gdyby nogawka otarła się o pień drzewa. Chcę go zwabić do siebie, przekonać go, że mnie znalazł.

Słyszę ostrożność w jego krokach, kiedy zmienia pozycję, okrążając drzewo i idąc w kierunku źródła odgłosu z innej strony, być może przypuszczając, że mnie zaskoczy.

Dobry ruch. Ale nie dość dobry.

Bezszelestnie przemykam do sąsiedniego drzewa i czekam.

Odliczam kroki, dopóki nie znajdzie się tuż obok. Trzy, dwa...

W chwili, gdy zakapturzona postać mnie mija, wychodzę zza drzewa i łapię ją, zaciskając jedną rękę wokół piersi, drugą na wysokości głowy. Nie chcę mu zrobić krzywdy, tylko obezwładnić, zneutralizować zagrożenie, dopóki nie dowiem się, z kim mam do czynienia. Wtedy zdecyduję, co dalej.

Próbuje się wyrwać, obraca się i wyczuwam coś miękkiego na jego piersi. zaskakująco miękkiego.

Kobięcy biust.

Za szybko rozluźniam uścisk i postać siłą rozpędu obraca się w moją stronę.

– Puść mnie! – woła Miranda.

Widzę jej twarz skrzywioną ze złości. Rude włosy kryją się pod kapturem.

– Śledziłaś mnie – mówię.

– Wyszedłeś z domku po godzinie wyznaczonej regulaminem i wydostałeś się z obozu – mówi. – Masz szczęście, że tylko ja cię śledziłam.

– Co ty tu robisz?

– Idę za tobą – odpowiada.

Stoimy naprzeciw siebie w środku lasu. Ma rację, mogła wezwać wartowników, podnieść alarm, zatrzymać mnie, zanim dotarłem tak daleko.

Ale tego nie zrobiła.

Przypominam sobie, jak mnie ostrzegła w samochodzie, gdy złapaliśmy gumę. Dlaczego wtedy mi pomogła i dlaczego pomaga teraz?

Poprawia bluzę na wysokości biustu.
– Bolało? – pytam
Ściąga usta.
– To wrażliwe miejsce – mówi – ale jakoś przeżyję.
Jej oczy odnajdują mnie w ciemności.
– Usłyszałam, jak mnie mijasz w lesie za obozem – mówi. – Jak się wydostałeś?
– Wyszedłem.
– Niemożliwe. Włączyłbyś alarm.
Wzruszam ramionami.
– Ty przecież wydostałaś się bez problemu, nie?
– Wiem, jak to zrobić.
– W takim razie miałem szczęście.
– Drugi raz dzisiaj? – pyta.
– Jak to?
– Najpierw wrywasz kobiecie pistolet z ręki, teraz przechodzisz przez laserową barierę.
Musisz być największym szczęściarzem na świecie.
Gdyby chciała mnie wydać, już by to zrobiła. Dlatego postanawiam zagrać bezczelnego i pokazać jej arogancką twarz Daniela Martina.
– Ścisłe biorąc, miałem dzisiaj szczęście trzy razy – mówię.
– A trzeci?
– Jestem w lesie z fajną dziewczyną.
Staje jak wryta. Ale tylko na sekundę.
– Nie wyszedłeś na podryw – zauważyła. – Co tu robisz?
W tym momencie brzęczy mój iPhone. Miranda patrzy na moją kieszeń.
– Próbujesz zadzwonić! – oznajmia triumfalnie, jak gdyby coś odkryła.
Większość agentów w takiej sytuacji miałyby ochotę skłamać i zatrzeć za sobą ślady, ale nauczyłem się, że moim najpotężniejszym narzędziem jest prawda.
Wyjmuję telefon i pokazuję.
– Nakryłaś mnie – mówię.
Patrzę na ekran w nadziei, że to odpowiedź Ojca na mój SMS, ale wyświetliło się tylko przypomnienie o zadaniu domowym na poniedziałek. Do iPhone'a zostały wprowadzone dane fikcyjnego ucznia Daniela Martina.
– Wiesz, że w obozie nie ma zasięgu – mówi – więc wymknąłeś się do lasu, bo masz nadzieję, że tu będzie sygnał.
Zaczyna kojarzyć. Na tym obozie są przyzwyczajeni do strategicznych gier, rozwiązywania zagadek. Może będę to mógł wykorzystać do swoich celów.
– Masz rację. Właśnie po to wyszedłem – przyznaję. – Ale do kogo dzwonię?
– Zastanówmy się – mówi zaintrygowana. – Próbujesz dzwonić w środku nocy, co jest dość głupie. Żeby to zrobić, wykradasz się z obozu, ryzykując, że zostaniesz wyrzucony. Też głupie. Dajesz się przyłapać, co jest...
– Głupie – uzupełniam.
– Tak. Dlatego trzeba zapytać: z jakiego powodu facet robi same głupstwa?
– I jak brzmi odpowiedź?
– Z powodu dziewczyny.
Śmieję się.
– Masz dziewczynę, tak? – pyta.
Przestaję się śmiać.

W pamięci staje mi obraz z ostatniej misji: Samara i ja biegniemy w deszczu przez Central Park.

Odsuwam od siebie to wspomnienie, ukrywam je głęboko w podświadomości, żeby do niego nie wracać.

– Nie mam dziewczyny – oświadczam.

Ekran telefonu świeci jasno w ciemnym lesie.

– Bardzo chcesz do kogoś zadzwonić – mówi Miranda.

W jej głosie słyszę napięcie, w miejsce zaciekawienia wkrada się rozdrażnienie. Muszę je złagodzić.

– Nie do dziewczyny – odpowiadam. – Do matki.

Widzę, jak się rozluźnia.

– Maminsynek! – mówi, zadowolona, że w końcu znalazła odpowiedź.

Pokazuję wrażliwą twarz Daniela, żeby zobaczyła we mnie bezbronną istotę.

– Rodzicie nie wiedzą, gdzie jestem – mówię. – Wcześniej wysłałem tacie wiadomość, ale nigdy nie można liczyć, że przekaże ją mamie. Jeżeli w ogóle teraz z nią rozmawia.

– Ale po co chcesz do niej dzwonić w środku nocy?

– Na pewno nie śpi. Ciągle się zamartwia.

– Chciałabym, żeby moja mama się o mnie martwiła.

Dziwna odpowiedź.

– Nie martwi się? – pytam.

Garbi się, jakby uszło z niej powietrze, i zniża głos do szeptu.

– Nie. Ona nas zdradziła.

– Co to znaczy? – pytam, zszokowany tym słowem.

– Odeszła w zeszłym roku – wyjaśnia Miranda.

– Twój rodzice się rozwiedli?

Przecząco kręci głową.

– Po prostu zabrała się i spieprzyła – mówi. – Zostawiła go. Nas. To miejsce. Nasze życie.

W środku nocy spakowała walizki i wyszła, nie mówiąc nikomu ani słowa.

Próbuję wyobrazić sobie kobietę, która bez słowa wyjaśnienia zostawia męża i dziecko.

To może być niezrównoważona osoba. Albo kobieta, która zakochała się w innym mężczyźnie, i zaślepiły ją miłość i obsesja. A może inaczej, kobieta bardzo bała się o swoje życie i uznała, że nie pozostaje jej nic innego, jak tylko ucieczka.

Dobrze byłoby wiedzieć, o którą z tych możliwości chodzi.

– Dlaczego odeszła? – pytam.

– Sama nie wiem. Od tamtej nocy się nie odezwała.

– Nigdy?

– Raz dostałam kartkę pocztową. Jedną kartkę, bez adresu zwrotnego.

– Ale się posypało.

– Zupełnie.

– Czyli nigdy się nie dowiedziałas dlaczego?

Kręci głową. Może wie coś więcej, ale wyraźnie nie ma ochoty mi tego zdradzać.

Twarda z niej sztuka. Potrafię to docenić w Mirandzie. I wyczuwam, że to nie jest dobra pora, aby próbować wyciągnąć z niej więcej informacji.

Ekran mojego telefonu gaśnie, z powrotem pogrążając nas w ciemności.

– Jeżeli chcesz zadzwonić do mamy, to dzwoń – mówi Miranda. – Ale nie stąd.

– Dlaczego?

– Jesteśmy za blisko obozu. Monitorują cały teren i mogą namierzyć sygnał.

- To skąd mam zadzwonić?
- Chodź za mną – mówi i rusza w górę zbocza.

IDZIE PRZED MNA, PORUSZAJAC SIĘ PRAWIE BEZGŁOŚNIE.

Ciche chodzenie po lesie jest wyjątkowo trudne. Ciche chodzenie po lesie, gdy człowiek w ciemnościach wspina się na górę, jest prawie niemożliwe. Ale Mirandzie udaje się to niemal bez wysiłku. Jej ruchy są wyćwiczone i jednocześnie naturalne. To dużo mówi o tym, kim jest i jak wyglądało jej dotychczasowe życie.

Mówi mi też dużo fakt, że nie umie ukryć przede mną swoich umiejętności. Na tym polega różnica między żołnierzem a agentem. Żołnierz jest zawsze żołnierzem, ale agent ma niezliczone tożsamości, które wybiera w zależności od miejsca, czasu i sytuacji.

Dziewczyna ma wrodzony talent, ale samorodne talenty należy rozwijać, by ich posiadacze stali się wartościowymi agentami. Obóz nie może już nic więcej dla niej zrobić. Ciekawe, kim mogłaby się stać, gdyby skończyła się w odpowiednim kierunku.

Wraca do mnie niepokojące wspomnienie sprzed lat. Byłem na lekcji wuefu z Mikiem, zanim jeszcze zabił moich rodziców, zanim dowiedziałem się o Programie.

Ćwiczyliśmy obroty w koszykówce i nauczyciel kazał nam biegać sprintem po boisku – do linii rzutów wolnych i z powrotem, do linii połowy boiska i z powrotem, do linii końcowej i z powrotem – i za każdym razem mieliśmy wykonywać obrót o sto osiemdziesiąt stopni, żeby poprawić gibkość i szybkość. Mike biegł obok mnie, wykonując dokładnie te same ruchy.

Kiedy potem wracaliśmy do szatni, odwrócił się do mnie.

– Patrzyłem na ciebie – powiedział. – Masz naturalne zdolności.

– Nie, jestem za mały do koszykówki – odparłem. Miałem dopiero dwanaście lat i byłem jeszcze przed fazą gwałtownego wzrostu.

– Nie chodzi mi tylko o koszykówkę – wyjaśnił Mike. – Mówię ogólnie.

Nie zastanawiałem się wtedy nad tą uwagą.

To było prawie pięć lat temu, ale myślę o tym teraz, idąc za Mirandą.

Oceniam zdolności tak samo jak Mike. On wówczas potajemnie rekrutował nowego agenta.

A ja co robię?

Staram się chronić siebie. Nic więcej.

Odsuwam od siebie tamto wspomnienie.

Wspinając się za Mirandą, staram się nie zdradzić ze swoją sprawnością. Od czasu do czasu następuję na gałęzie, ocieram się o liście, robię dwa kroki tam, gdzie wystarczyłby jeden. Może udało mi się wydostać z obozu i złapać Mirandę w pułapkę, kiedy mnie tropiła, ale mogę teraz starać się ją upewnić, że szczęście odegrało w tym większą rolę niż w rzeczywistości.

Przez kilka minut idziemy w milczeniu, aż w końcu wspinamy się na szczyt wzniesienia. Miranda przystaje. Słyszę szum rzeki płynącej niedaleko stąd.

– To tutaj – mówi. – Tu jest bezpiecznie.

– Skąd wiesz?

– Bo nigdy mnie tu nie przyłapali.

Sięga do kieszeni i wydobywa coś małego i czarnego. Nie widzę, co to jest, dopóki nie włączy urządzenia i jej twarz oświetla blask iPhone'a.

– Wolno ci mieć telefon?

Potrząsa głową.

– Nikt o tym nie wie – odpowiada. – I to się nie może zmienić.

– Komu mógłbym o tym powiedzieć?

– To źle sformułowane pytanie.

– A jak brzmi prawidłowe?

– Kto by ci uwierzył?

Ostrzeżenie. W świetle ekranu wygląda przez chwilę jak upiór.

– Do kogo stąd dzwonisz? – pytam.

– Do nikogo. Czytam wiadomości, oglądam YouTube. Chcę wiedzieć, co się dzieje w prawdziwym świecie.

– Jestem zaskoczony.

– Dlaczego? Myślałeś, że jestem grzeczną dziewczynką?

– Coś w tym rodzaju.

– No więc nie jestem.

– Kim w takim razie jesteś?

Odwraca wzrok i patrzy w ciemność między drzewami.

– To skomplikowane.

Panuje cisza, którą zakłócają tylko głosy nocnych ptaków i daleki odgłos płynącej wody.

– Ten szum to rzeka? – pytam.

Miranda kiwa głową.

– Dzięki niej istnieje Liberty. Rzeka przepływa przez obóz. Czerpiemy z niej wodę.

– A w drugą stronę? Dokąd płynie?

– Nigdy nie sprawdzałam.

Stuka w ekran telefonu.

– Chcę przeczytać gazetę – mówi. – Możesz zadzwonić. Nie chcemy, żeby mamusia się o ciebie martwiła.

– Hej, powiedziałem przecież, że jestem maminsynkiem. Nie wstydę się tego.

– W końcu będziesz musiał opuścić gniazdko.

Wskazuje telefon w jej ręce.

– To właśnie próbujesz zrobić? Łamać zasady ojca?

– Nie mówimy o mnie. Zauważyłam, że masz niezwykły talent do zmiany tematu rozmowy.

– Może krępuje mnie mówienie o sobie – odpowiadam.

– Czyli to mechanizm obronny?

– Jeden z wielu.

– Przed czym musisz się bronić?

Pokazuję na świat wokół nas, powtarzając wcześniejsze słowa Lee:

– Przed wrogami.

Miranda patrzy na mnie.

– Ciekawy z ciebie człowiek.

– Już jestem ciekawy, a prawie mnie nie znasz. Wyobraź sobie, jaki ci się będę wydawał za kilka dni.

– Mam nadzieję, że dasz radę spędzić tu kilka dni – mówi z przebiegłym uśmiechem.

Puszczam do niej oko i odwracam się. Zamierzam spędzić tu tylko tyle czasu, ile będzie wymagało wykonanie zadania. Dlatego koniecznie muszę porozmawiać z Ojcem.

Za pomocą specyficznego gestu palca otwieram w iPhone alternatywny system operacyjny.

Telefon natychmiast przełącza się w zabezpieczony tryb, dając mi dostęp do zestawu

bezpiecznych aplikacji, nieosiągalnych dla zwykłego użytkownika. Otwieram aplikację Poker i układam dziesięć kart odpowiadających numerowi telefonu Matki.

Skoro Ojciec nie odbiera tymczasowego telefonu z publicznym numerem, zadzwonię pod stały bezpieczny numer, który gwarantuje niemal natychmiastowe połączenie z Matką.

Zerkam przez ramię na Mirandę. Stoi odwrócona do mnie plecami, żeby zapewnić mi prywatność.

Słucham elektronicznej ciszy, czekając na dźwięk połączenia i głos Matki, który na pewno zaraz usłyszę. Zawsze odbierała, o każdej porze dnia i nocy, bez względu na to, skąd dzwoniłem. Tak było przez dwa lata i wiele misji.

Dzisiaj jest inaczej.

Jest tylko cisza.

Najpierw sprawdzam sygnał sieci komórkowej. Cztery kreski pełny zasięg.

Potem cofam się do punktu wyjścia, zamykam aplikację i ponownie otwieram. Układam karty, sprawdzając, czy zgadza się kolejność liczb i kolorów.

Znów czekam na połączenie i znowu nic się nie dzieje.

Wyłączam telefon.

– Rozmawiałaś z nią? – pyta Miranda.

– Miałaś rację – odpowiadam. – Pewnie śpi.

– No i masz swoją zamartwiającą się matkę.

– Bierze ambien. Jedno z drugim często się łączy.

Podchodzę do Mirandy, chowając telefon do kieszeni.

– Chciałem cię spytać o coś poważnego – mówię. – Dzisiaj w samochodzie powiedziałaś mi, żebym trzymał się z daleka od obozu.

Zniża głos do szeptu.

– Dużo się tu zmienia.

– Jak się zmienia?

– To już nie jest zwykły obóz. Mój ojciec... od odejścia matki stał się inny. Chyba w jakiś sposób pomagała mu zachować spokój. Już jej nie ma. Teraz ma plany.

– Jakie plany?

Zbliża się jeszcze bardziej, tak że prawie dotykamy się twarzami.

– Straszne – mówi i czuję na policzku jej oddech.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi.

– Nie mogę powiedzieć więcej – ucina.

Pochylam się w jej stronę, parę centymetrów od jej twarzy.

– Ale kiedy siedzieliśmy w samochodzie, nawet mnie jeszcze nie znałaś. Po co miałabyś mi cokolwiek mówić?

Wbija wzrok w ziemię, jak gdyby nagle onieśmielona.

– Od razu mi się spodobałaś – mówi.

– W dziwny sposób to okazujesz.

– Jestem przyzwyczajona do towarzystwa chłopaków w typie wojskowych – wyjaśnia.

– Chyba przez to stałam się trochę surowa.

– Ale skąd to ostrzeżenie? – pytam, wracając do sedna.

– Uważałam, że to nie fair przywozić cię tu, jeżeli nie wiesz, w co się pakujesz.

– Staram się o przyjęcie na następny turnus w obozie. To chyba dobra rzecz, prawda?

– Mój ojciec odwołał następny turnus. Spotkanie w ośrodku było tylko przedstawieniem.

– Nie będzie obozu w tym roku? To co ja tu robię?

– Chciał cię tu przywieźć. Od samego początku, gdy tylko wszedłeś na salę. Rozmawiali

o tobie przed spotkaniem. Podśluchałam ich.

– Kto rozmawiał?

– Francisco i mój ojciec.

– Dziwne.

Moore po swoim wystąpieniu odrzucił moją kandydaturę i nie chciał ze mną rozmawiać.

Próbował raczej uniemożliwić mi wstęp do obozu niż mnie tu sprowadzać.

Dlaczego więc Miranda twierdzi coś przeciwnego?

– Nic się nie dzieje bez woli mojego ojca – mówi.

– Nic? – Zerkam na jej telefon.

– Prawie nic – poprawia.

Może to noc, może ta dziewczyna albo poczucie otaczającego nas zagrożenia. Wiem tylko, że mam ochotę podejść i pocałować Mirandę.

Mogłoby to pomóc mojej misji albo jej zaszkodzić. Nie wiem.

Dlatego robię krok do tyłu.

– Późno się robi – mówi Miranda, czując się wyraźnie skrępowana. – Powinniśmy chyba wracać, zanim w obozie zauważą, że nas nie ma.

– Miło było, ale się skończyło – mówię, a ona parska śmiechem, tak uroczym, że zaczynam żałować, że jej nie pocałowałem.

Jestem jednak żołnierzem. Przyjechałem tu wykonać zadanie. Nic więcej.

Miranda odsuwa się ode mnie i idzie w głąb lasu.

– Hej, którądy najlepiej stąd zejść? – wołam do niej.

Nie zatrzymuje się.

– Okazałeś się na tyle zdolny, żeby tu wejść – mówi nieoczekiwanie kpiącym tonem.

– Nie potrafisz znaleźć drogi powrotnej?

– Potrafię, jeżeli pójde za tobą.

– Schodzę sama – oświadcza. – Nie chcę ryzykować, że ktoś zobaczy nas razem poza

obozem.

Jej sylwetka staje się ledwie widoczna.

– Albo zobaczymy się na śniadaniu – dodaje – albo kiedy ekipa ratowników znajdzie twoje ciało.

– Zaczekaj... – mówię.

Ale nie czeka. Znika w mroku nocy.

Zostaję w ciemnościach sam, myśląc o tym, co się właśnie stało.

Zejscie ze szczytu góry nie stanowi problemu. Jestem niedaleko rzeki, która płynie na południe i przecina obóz. Nie chodzi więc o ustalenie kierunku.

Ani o powrót przez laserową barierę.

Chodzi o to, w jakim świetle mnie to postawi. Miranda zabrała mnie ze ścieżki, zaprowadziła na szczyt góry i tam zostawiła. Mój powrót powie dużo o moich umiejętnościach. Za dużo.

A jeżeli nie zejde, zaczną mnie szukać i cały obóz się dowie, że złamałem regulamin. Zaczną się pytania, wątpliwości, może nawet czeka mnie nagana.

Muszę więc dokonać wyboru.

Zanim podejmę decyzję, jeszcze raz wyjmuję telefon, otwieram zabezpieczone połączenie i próbuję skontaktować się z Matką.

To samo co przedtem. Cisza.

Próbuję się dodzwonić do Ojca, pod numer publiczny i prywatny.

Nic.

Możliwe, że góry powodują zakłócenia sygnału. Możliwe, że aparatura zagłuszająca w Camp Liberty ma wpływ na połączenia satelitarne.

Możliwe, ale mało prawdopodobne.

Co się właściwie dzieje?

Nie wiem.

Wiem tylko, że muszę się skupić na tej chwili, a ta chwila wymaga dokonania wyboru.

Iść wzdłuż rzeki do obozu, czy udać, że się zgubiłem? Każda z tych decyzji może przynieść dobry albo zły skutek.

Z życiem wiąże się ryzyko. Tak samo jest z dynamiką zdarzeń podczas misji. Tyle że podczas misji gra idzie o wyższą stawkę.

Znacznie wyższą.

Wybieram.

Kieruję się na południe. Poruszam się bezszelestnie w ciemności, schodząc w kierunku Camp Liberty.

WRACAM DWIE GODZINY PRZED ŚWITEM.

Z doświadczenia wiem, że ochrona jest najmniej uważna tuż przed świtem, kiedy zbliża się koniec zmiany. Koniec służby przypomina ostatek minuty w pracy, w szkole, prawie wszędzie. Wtedy każdy tylko czeka, żeby się skończyło, żeby mógł wrócić do domu i robić, na co ma ochotę.

Dla mnie to doskonały czas na spenetrowanie terenu.

Obserwuję obóz, ukryty na skraju lasu. Słucham szczerku i warkotu towarzyszących produkcji metalowych elementów, a potem ruszam w kierunku budynku warsztatu, poruszając się wzdłuż linii drzew za obozem, zwrócony do niego twarzą, żeby móc zauważyć zagrożenie.

Kiedy jestem blisko źródła dźwięku, wracam na teren obozu, prześlizgując się przez laserową barierę, i natychmiast zaczynam iść swobodnym krokiem kogoś, kto wybrał się na spacer, bo nie może spać. Skręcam za róg i moim oczom ukazuje się budynek fabryki z dwuskrzydłową bramą takiej szerokości, że mogłaby przez nią przejechać ciężarówka. Rozpoznaję budynek z gry, drugi z dwóch największych w obozie. Mimo ciemności dostrzegam, że brama jest zamknięta potężnymi kłódkami.

Okna warsztatu są przyciemnione, ale przez szczeliny w spękanej farbie widać rozbłyki światła. Zapalają się i gasną w rytmie staccato. Z początku nie jestem pewien, co to jest, ale po chwili rozpoznaję znajomą nieregularność.

Błyśki palników spawalniczych. W warsztacie coś się montuje w środku nocy.

Patrzę na zaparkowane przy drodze białe furgonetki. Wyglądają na samochody firmowe, ale na bokach nie mają żadnych napisów.

Lee powiedział, że produkują elementy elektryczne na zlecenie, żeby mieć dodatkowe dochody. To wyjaśniało obecność samochodów, ale nie wyjaśniało całonocnej produkcji.

Podchodzę bliżej warsztatu, kierując się w stronę rzędu wysokich okien z boku. Jeżeli znajdę coś, na czym będę mógł stanąć, może uda mi się zajrzeć...

– Nie można tu przebywać – mówi jakiś głos.

W twarz świeci mi latarka.

Poznaję ten głos. To ochroniarz Moore'a, Śrubogłowy.

Jak mnie tu znalazł? I jak mogłem nie zauważyć, kiedy podszedł?

Nie śpię od prawie doby i zaczynam popełniać błędy. Miranda wytropiła mnie w lesie, a teraz podkraść się do mnie Śrubogłowy. Złe znaki.

Teraz jednak nic nie mogę na to poradzić. Muszę zareagować.

Unoszę rękę do oczu, grając zaskoczonego.

– Co jest? – pytam, a po chwili udaję, że nagle go rozpoznaję. – Pracujesz też na nocną zmianę?

– Pracuję cały czas – odpowiada. – A tobie nie wolno tu teraz być.

– Nie mogłem spać. Wszedłem się przejść i usłyszałem jakieś hałasy.

– Z domków można wychodzić dopiero o świcie. Do rana przebywanie na zewnątrz jest zabronione – wyjaśnia Śrubogłowy.

– Jest zakaz wychodzenia? Nikt mi nie powiedział.

Kieruje mi w twarz snop światła latarki.

– Zabronione. No dobrze – mówię, wzruszając ramionami. – Przy okazji, o której tu jest śniadanie? Chyba że gofry też są zabronione.

– Ale śmieszne – mówi. – Chodź za mną.

Odwraca się, a światło latarki pada na coś czerwonego leżącego na ziemi.

Ruszam za nim, zatrzymując się na moment, żeby zawiązać but. Podnoszę mały czerwony przedmiot i chowam w dłoni.

– Idziesz? – niecierpliwi się.

– Już, już. A w ogóle jak się nazywasz?

– Po co chcesz wiedzieć, jak się nazywam?

– Spokojnie. Próbuję się tu jakoś odnaleźć.

Znów świeci mi w twarz latarką.

– Jestem Aaron.

Potem znów odwraca latarkę i daje mi znak, żebym poszedł za nim do domku, gdzie zostałem zakwaterowany.

– Śniadanie jest w głównym budynku o siódmej zero zero – informuje mnie.

Wstukując kod domku, zasłania ciałem klawiaturę. Szczeka zamek, a Śrubogłowy otwiera drzwi i czeka, żebym wszedł do środka.

– Dzięki, Aaron.

– Jak ty w ogóle stąd wyszedłeś?

– Było otwarte.

– Ten Lee – mówi, kręcąc głową. – Niedbalstwo.

Zamyka drzwi i słyszę trzask zamka.

Idę do swojego pokoju i zapalam światło.

Otwieram dłoń, żeby obejrzeć przedmiot znaleziony na ziemi.

To cienki, wygięty kawałek czerwonej gumowanej izolacji. Jego kształt mówi mi, że pochodzi z jakiegoś przewodu. Być może z samochodu albo jakiejś maszyny czy silnika, który naprawiano. Być może z instalacji elektrycznej w którymś z budynków.

Może pochodzić skądkolwiek.

Chowam izolację w zapinanej bocznej kieszeni spodni, a potem się rozbieram i kładę do łóżka.

NIE ŚPIĘ.

Przez resztę nocy leżę w łóżku, myśląc o Programie i zastanawiając się, dlaczego nie mogę się z nim skontaktować. Przychodzą mi na myśl trzy główne hipotezy:

Zakłócenia techniczne: albo wywołane przez człowieka, albo przez czynniki naturalne.

Odcięli łączność ze mną celowo: albo dlatego, że kontakt z nimi może być dla mnie niebezpieczny, albo z innych powodów, których nie umiem pojąć.

Sami zostali odcięci, mają kłopoty albo coś im zagraża.

Za najbardziej prawdopodobną z tych trzech możliwości uznaję drugą. Gdyby ludzie Moore'a naruszyli zabezpieczenia naszego systemu łączności, jedynym wyjściem byłoby przerwanie kontaktu ze mną, dopóki nie będzie można bezpiecznie przesłać wiadomości.

Ale jeżeli to prawda, co to oznacza dla mojego zadania? Mam je kontynuować i dostać się do Moore'a, żeby wykonać ostatni rozkaz, jaki dostałem? Czy skupić się na nadrzędnych celach, chroniąc przede wszystkim Program, a potem siebie?

Analizuję możliwości, ale nie dochodzę do żadnych wniosków.

Po jakimś czasie wstaję z łóżka i siadam na krześle. Badania snu wykazały, że jeżeli ktoś spędza w łóżku pół godziny, nie mogąc zasnąć, lepiej nie walczyć z bezsennością. Skuteczniejsze jest zajęcie się przez pewien czas czymś innym, zmiana miejsca i rodzaju czynności, pozwolenie ciału na odnalezienie własnego rytmu snu. Później człowiek się zmęczy i wróci do łóżka bez konieczności zmuszania się do zaśnięcia.

Siedzę więc na krześle i myślę o wszystkim, czego się dotychczas dowiedziałem o Camp Liberty. Myślę o Moore, zastanawiając się, gdzie może spać, jak mam się do niego zakraść, żeby zastać go bez ochrony i wykonać zadanie.

Przez sekundę myślę też o Mirandzie, o miękkim dotyku jej piersi na mojej ręce, kiedy złapałem ją w lesie.

Spędzam na krześle resztę nocy.

Nie śpię.

Niespostrzeżenie dla mnie robi się jasno, spomiędzy rolet w oknie sączy się światło, a ja słyszę dobiegające z oddali huki, charakterystyczne i mrozące krew w żyłach.

To odgłos wystrzałów.

ZACZYNA SIĘ OD POJEDYNCZEGO STRZAŁU.

Potem pada drugi, a potem zaczyna się kanonada ognia karabinowego, której echo przetacza się przez dolinę.

Padam z krzesła na podłogę i odczułuję się od okna, spodziewając się brzęku tłuczonych szyb i uderzeń pocisków w ścianę nad moją głową. Nic takiego się nie dzieje.

Strzały cichną. Przez ułamek sekundy myślę, że to wszystko mi się przysniło, ale znów ciszę rozdierają serie z broni automatycznej.

To nie atak. To ćwiczenia.

Wychodzę na korytarz i szybko korzystam z toalety, przystając na moment przed lustrem.

Widzę w nim chłopaka z workami pod oczami i twarzą spuchniętą z braku snu. Widzę, że powinienem sobie przystrzyć włosy, które zwykle mam obcięte bardzo krótko. Zauważam, że na obozie sportowym i w czasie podróży do New Hampshire trochę straciłem na wadze, przez co za bardzo wyraźnie rysują się moje mięśnie. Zwykle wolę ukrywać swoją sprawność fizyczną za paroma dodatkowymi kilogramami, tyłoma, żeby inni zaniżyli oczekiwania wobec mnie.

Widzę tego zbyt szczupłego i zbyt zmęczonego chłopaka, który prawie całą noc był na nogach, najpierw próbując wykonać misję, a potem planując działania po misji, i przetwarzam jego energię w energię chłopaka, który nie mógł spać, ponieważ denerwował się nadchodzącym dniem. Szesnastolatka, który bardzo chce zrobić wrażenie, ale nie bardzo wie, kim właściwie jest i co ma tu osiągnąć.

Krótko mówiąc, staję się Danielem Martinem, nowym obozowiczem.

Na koniec rozciągam T-shirt, żeby wyglądać na drobniejszego i mniej wysportowanego.

Potem odwracam wzrok od lustra i z powrotem skupiam się na poranku i na tej chwili.

Z oddali wciąż dobiegają odgłosy strzelaniny.

Podchodzę do drzwi wyjściowych na końcu korytarza.

W nocy były zamknięte od zewnątrz. Dziś rano są otwarte, jak zaproszenie do gry.

Przyjmuję je.

LEE CZEKA NA MNIE.

Stoi pogrążony w myślach, opierając się o ścianę mojego budynku, z rękami głęboko wbitymi w kieszenie spodni kamuflażowych.

– Wstałeś – mówi na mój widok.

– Jak długo tu stoisz?

– Niedługo. Tato prosił mnie, żebym pozwolił ci się wyspać. Powiedział, że traumatyczne przeżycie może wyczerpać człowieka psychicznie i emocjonalnie.

Traumatyczne przeżycie. Obezwładnienie wariatki z bronią w rękę. Ledwie uszedłem z tego cało. Sam widok tego zajścia dla większości osób byłby zbyt silnym doświadczeniem, wywołując trwające kilka dni niepokoje i objawy stresu pourazowego. A udział w takim zdarzeniu? To byłoby naprawdę traumatyczne przeżycie.

Ja natomiast nie mam symptomów stresu. W ogóle.

W obozie rozbrzmiewa echo następnej salwy z karabinów. Z niezadowoleniem zauważam u siebie krótkie opóźnienie między wystrzałem a moją reakcją na niego. Czas reakcji wydłuża się z powodu braku snu.

– Rozstrzeliwują kogoś? – pytam.

– Egzekucje są tylko w środy – odpowiada. – Dzisiaj mamy sobotę.

– Fajnie, że jest na co czekać.

Uśmiecha się i daje mi znak, żebym poszedł za nim.

– Ćwiczmy codziennie – informuje mnie po drodze. – Poznasz tu smak życia.

– Może zacznijmy od smaku śniadania?

– Potem będzie mnóstwo czasu na jedzenie – mówi.

Prowadzi mnie na tyły budynku i idziemy w stronę granicy obozu. W drodze zapamiętuję szczegóły, dopasowując małe i ciemne drewniane domki oraz większe białe budynki do obrazów z wczorajszej gry, tworząc w myślach mapę obozu, żebym potrafił się po nim poruszać w dzień i w nocy.

Przechodzimy przez miejsce zabezpieczone w nocy laserową barierą, mijamy pusty pas obwołu obronnego i wchodzimy na strzelnicę. Urządzono ją kilkaset metrów od obozu, a stanowiska strzeleckie są skierowane w stronę góry. Każdy zabłąkany pocisk leci w tamtą stronę, dopóki nie trafi w jakąś przeszkodę w lesie, gdzie nikomu nie robi krzywdy.

Jest tu dwudziestu kilku nastolatków, część z nich na pozycjach strzeleckich, część obserwuje ich z tyłu i czeka na swoją kolej.

Ćwiczenia ze strzelania.

Można przejść szkolenie z posługiwania się bronią, żeby człowiek potrafił jej użyć w obronie własnej albo stał się fachowym myśliwym. Ale tu widzę coś zupełnie innego.

Nastolatki leżą na brzuchach w pozycjach bojowych i strzelają z karabinków szturmowych.

Poznaję instruktora prowadzącego strzelanie, który wczoraj był w ośrodku na spotkaniu. To ten mężczyzna po czterdziestce, z ogoloną głową, którego opiece Moore powierzył rodziców.

Instruktor rozkazuje przerwać ogień i dzieciaki wystrzeliwują ostatnie sztuki amunicji, wyciągają magazynki i sprawdzają komory. Znają się na rzeczy i przestrzegają odpowiedniej etykiety na strzelnicy. Prowadzący strzelanie idzie wzdłuż stanowisk, przeprowadza inspekcję broni i poprawia, jeżeli znajdzie błąd.

Potem pochodzi do nas, rzucając mi przelotne spojrzenie.

– To jest ten chłopak, o którym tyle słyszałem? – pyta.
Lee potakująco kiwa głową.
– Danielu, to jest Burch – przedstawia.
– Sierżant Burch – poprawia go z naciskiem instruktor.
– Był pan wczoraj w ośrodku na spotkaniu – mówię.
– Ty też. I wykonałeś kawał dobrej roboty, synu. Miło mi cię poznać.
– Dziękuję, panie sierżancie.
Wyciąga do mnie stwardniałą dłoń. Pozwalam mu zgnieść swoją rękę, żeby od razu zaznaczył, kto tu rządzi.
Prawdziwy wojskowy.
– Chciałbym, żeby Daniel miał okazję trochę sobie postrzelać – mówi Lee.
Na twarzy sierżanta Burcha pojawia się niepokój.
– To nie jest najlepszy pomysł – oznajmia.
– Mnie się wydaje, że jest – odpowiada Lee. – Co o tym myślisz, Danielu?
Przeszedłem szkolenie strzeleckie, ale nie przepadam za broń.
Charakter mojej pracy nie wymaga jej użycia. W przypadku broni palnej nie ma mowy o anonimowości, nie można posłużyć się nią cicho, nie ma się kontroli nad rozmiarami spowodowanych uszkodzeń ani możliwości usunięcia pozostałych po fakcie dowodów.
Mimo swojej siły rażenia, dla kogoś takiego jak ja broń palna jest nieefektywna.
– To nie ja decyduję, czy mogę strzelać – mówię, oddając rozstrzygający głos sierżantowi Burchowi.
– Zgadza się – przytakuje Burch, z aprobatą kiwając głową. – Nie bierz tego do siebie, młody człowieku, ale nie pozwalamy nikomu nowemu...
– Będzie strzelał – przerywa mu Lee. – Wszyscy tu strzelamy. – Przez twarz Lee przemyka cień złości, jakaś mroczna energia, która pojawia się znikąd i równie szybko znika.
– Poza tym – dodaje – strzelanie jest ważne, bo poprawia statystyki w grze. Bądźmy szczerzy, przyda ci się trochę je poprawić.
– Skąd znasz moje statystyki? – dziwię się.
– Wszyscy je znają – odpowiada. – Wyniki każdy widzi.
Wokół mnie rozlega się stłumiony śmiech. Grupa nastolatków z uwagą przysłuchuje się naszej rozmowie.
– Może to was śmieszy, chłopaki – mówię – ale nie zostałem wpuszczony do żadnego budynku. To ma być fair?
– Gra jest realistyczną symulacją – wyjaśnia Lee. – Tak by to wyglądało, gdyby teraz ktoś naruszył granice obozu. Zostałbyś sam pod gołym niebem i nie mógłbyś liczyć na niczyją pomoc.
– Nie wpuścilibyście mnie do budynku?
– To nie zależy ode mnie – mówi Lee. – Nie masz uprawnień. Wiesz, kim wtedy jesteś?
– Kim?
– ŻOL-em. Żalosną ofiarą losu.
Szybko pstryka palcami i znów dostrzegam u niego tamto napięcie.
– Wracamy do ćwiczeń – komenderuje sierżant Burch. – Grupa B na stanowiska. Załadować broń i czekać na moją komendę.
Odwraca się do Lee.
– Zabierz swojego kolegę na spacer i daj nam skończyć trening.
– Nie mów mi, co mam robić. Nie jesteś moim ojcem – odpowiada Lee.
Wymieniają spojrzenia.
– Burch czasem się gubi – wyjaśnia Lee, zwracając się do mnie. – Myśli, że skoro służył

razem z moim ojcem, może mi wydawać rozkazy.

Sierżant Burch zachowuje obojętną minę, ale wyciąga szyję i przechyla na bok, dopóki nie rozlega się chrupnięcie.

– Chcę, żeby Daniel strzelał – oświadcza Lee.

– Sam powiedziałeś, że nie ma uprawnień.

– Właśnie mu je daję.

– Nie włożę broni w obce ręce – mówi sierżant Burch. – To wbrew regulaminowi.

– Kto powiedział, że to obce ręce? Zaprosił go mój ojciec, a ja jestem za niego osobiście odpowiedzialny.

– Ręczysz za niego? – pyta Burch.

– Tak – odpowiada Lee.

– W takim razie bardzo proszę, dajmy mu karabin – mówi Burch, po czym krzyczy:

– Opuścić stanowiska!

Dzieciaki leżące w pozycji strzeleckiej odkładają broń na ziemię i wycofują się w bezpieczne miejsce, stając przy ławce obserwacyjnej.

Sierżant Burch wybiera ze stołu broń i podchodzi z nią do mnie. Rozpoznaję kształt karabinka M4, wojskowej broni, która jako następcza M16 weszła do uzbrojenia armii USA. Posiadanie M4 przez prywatne osoby albo ich sprzedaż są nielegalne. Możliwe, że mam przed sobą legalną, uboższą wersję dla cywilów, bez pełnej automatyki. Ale nie dowiem się tego, jeżeli nie strzelę.

– Znasz się na karabinkach bojowych? – pyta sierżant Burch.

– Poznałem kilka sztuczek w czasie trzech turnusów w Afganistanie – mówię.

Sierżant Burch patrzy na mnie bez cienia uśmiechu na twarzy.

– Czyli nigdy nie strzelałeś z takiej broni – mówię.

– Nie. Mam dopiero szesnaście lat.

– Mam trzynastolatków, którzy radzą sobie z tą bronią.

– Wygląda na to, że mam sporo do nadrobienia.

– Dobra – mruczy Burch ze spokojem dobrego instruktora. – Jeżeli mamy to zrobić, trzeba to zrobić porządnie.

Pod bacznym okiem Lee Burch udziela mi jednogodzinnej lekcji ładowania i strzelania z karabinka oraz procedur bezpieczeństwa.

Kiedy kończy, podaje mi broń.

– To nie jest zabawka – przestrzega mnie sierżant Burch. – Masz być stuprocentowo skoncentrowany.

– Jestem – odpowiadam.

Biorę od niego karabinek. Przyciskam do ramienia składaną kolbę, mierzę do celu, zgrywając przyrządy celownicze.

W tym momencie na strzelnicę wkracza Moore w towarzystwie idących za nim Aarona i Francisca.

Obracam się w stronę Moore'a, który szeroko otwiera oczy, widząc karabinek w moich rękach. Francisco i Aaron reagują szybko, wysuwając się przed niego, a Aaron z kabury pod pachą błyskawicznie wyciąga pistolet.

Moore powstrzymuje Aarona gestem. Staje między Aaronem i Franciskiem i z odsłoniętą pierśią rusza w moją stronę.

– Co tu się dzieje? – pyta cicho.

– Zapytali mnie, czy chcę strzelać – wyjaśniam.

– Kto cię zapytał? – indaguje dalej Moore.

Poruszając tylko oczami, nie ciałem, patrzę na przyglądającą się nam grupę nastolatków.
– Lee – odpowiadam.

Moore podchodzi do mnie. Francisco i Aaron sztywnieją, ale zostają na swoich miejscach.

Obrót o dwadzieścia stopni. Tyle by wystarczyło, żeby wycelować krótką lufę M4 w pierś Moore'a. Z tej odległości pocisk trafiłby w cel z druzgocącą siłą. Dwie kule w pierś i byłoby po wszystkim.

Moore na pewno o tym wie, ale ta świadomość go nie powstrzymuje. Nie kryje się przed zagrożeniem.

– Wiesz, jak używać tego karabinka? – pyta Moore, wskazując na broń.

– Sierżant Burch mi pokazał – mówię.

– Lee zaręczył za niego – wtrąca sierżant Burch.

– No dobrze – mówi Moore. – Danielu, chcę, żebyś wycelował broń w mojego syna.

Lee szeroko otwiera oczy.

– Nie mogę – mówię.

– Dlaczego?

– Nie celuje się do nikogo z broni, jeżeli nie chce się go zabić – odpowiadam.

– Powiedziałem, żebyś wycelował, nie strzelał.

– To oznacza to samo – mówię. – Miałem lekcje strzelania. Wiem, że trzeba to traktować jednakowo.

Wyczuwam za sobą jakiś ruch. To sierżant Burch. Wziął karabinek i skierował lufę w moje plecy. On nie obawia się celować.

– A jeżeli rozkażę ci wycelować w mojego syna? – nie ustępuje Moore.

– Nie wykonuję pana rozkazów – mówię.

Na twarzach obserwujących nas dzieciaków odmalowuje się napięcie.

Moore kiwa głową, zastanawiając się nad tym, co powiedziałem.

– A przyjmujesz prośby? – pyta.

– Jeżeli są sensowne.

– Odlóż broń.

Sprawdzam, czy karabinek jest zabezpieczony, wyciągam magazynek. Kładę jedno i drugie na ziemi przed sobą.

Czuję, że stojący za mną sierżant Burch się rozluźnia. Aaron i Francisco zajmują swoje pozycje obok Moore'a.

Nagle Moore obraca się na pięcie i pędzi w stronę syna.

– Dałeś broń nowemu? – krzyczy do Lee.

Zerka na gromadkę nastolatków, potem na sierżanta Burcha. Nikt nie śmie się odezwać.

– Dałem – przytakuje Lee, zachowując przed ojcem zimną krew.

– Dlaczego?

– Chodziło o grę – mówi Lee. – Chciałem określić jego poziom sprawności...

Moore wyciąga rękę i kładzie doń na ramieniu chłopaka. Z początku wygląda to na niewinny gest, ale jego palce bieleją, gdy wbija je w ciało Lee, tak samo jak wczoraj, kiedy na parkingu przed ośrodkiem zacisnęły się na moim ramieniu. Widzę, jak Lee zmusza się, żeby nie zareagować, gdy Moore coraz mocniej naciska palcami na splot nerwowy. Na czoło chłopaka występuje pot, jego twarz blednie, ale Lee nie wydaje żadnego dźwięku.

Moore ścisza głos, nachylając się nad synem.

– Kocham cię – mówi – i nigdy nie zrobiłbym ci krzywdy. Ale musisz się nauczyć, że podjęte decyzje mają konsekwencje. Swoim działaniem naraziłeś się na niebezpieczeństwo.

Rozumiesz?

– Tak jest – odpowiada słabym głosem Lee.

– Naraziłeś nas wszystkich na niebezpieczeństwo.

– Rozumiem.

– Nie zawsze będę cię mógł chronić – ciągnie Moore.

Z głęboką troską patrzy na twarz Lee, a potem puszcza jego ramię.

Lee gwałtownie wciąga powietrze do płuc. Widzę, że powstrzymuje łzy.

– No dobrze – mówi Moore, otrzepując ubranie. – Sierżancie Burch, porozmawiamy

o tym później.

– Tak jest.

Moore w niemym wyzwaniu wolno toczy wzrokiem po szeregu nastolatków.

Nikt nie odzywa się ani słowem.

– Danielu, może się przejdziemy? – proponuje Moore. – Jeżeli nie masz nic przeciwko

temu.

Poprawiam okulary na nosie.

– Nie mam – odpowiadam.

Muszę znaleźć sposób, żeby na parę minut zostać z Moore'em sam na sam. To może być dobra okazja.

ALE MOORE NIGDY NIE JEST SAM.

Flanelowy i Aaron idą naszym śladem, nie oddalając się od niego bardziej niż na dwa metry.

- Przepraszam, że tak cię wykorzystałem – mówi Moore.
- Wykorzystał mnie pan?
- Żeby dać nauczkę synowi.
- Co by pan zrobił, gdybym wykonał rozkaz i wycelował w niego?
- Wydałbym drugi rozkaz – odpowiada Moore.
- Rzucić broń?
- Strzelać.

Patrzę na twarz Moore'a, sprawdzając, czy żartuje. Ale nie dostrzegam żadnych oznak wesołości.

- A gdybym wykonał drugi rozkaz?
- Trudno. Tak czy inaczej dostałby nauczkę.

Zastanawiam się, jaki człowiek byłby skłonny poświęcić życie syna, żeby mu dać nauczkę.

Potem myślę o Ojcu, gdy wczoraj położył dłoń na mojej ręce, trzymającej drążek w helikopterze. Naprawdę był gotów rozbić maszynę, żeby mi coś wytłumaczyć?

– Mamy zasady wobec nowych obozowiczów – mówi Moore. – Nie wolno im dawać ostrej amunicji, dopóki nie zostaną dokładnie sprawdzeni.

– Rozumiem. Ale jeśli naprawdę miał pan obawy ze względu na to, że jestem nowy, dlaczego stanął pan przede mną, kiedy miałem naładowany karabinek?

- Nie przed tobą.
- Prawie.
- Gdybyś skierował lufę o centymetr w moją stronę, już byś nie żył.

Oglądam się do tyłu i patrzę na Francisca, który mnie obserwuje, bez przerwy przenosząc wzrok z Moore'a na mnie i z powrotem.

– Zgoda, ale gdybym był czarnym charakterem? Mógłbym posłać panu kulkę.

– Wątpię – odpowiada Moore. – Zresztą bez względu na to, co by się stało, poznałbym odpowiedź.

- Na co?
- Na pytanie, czy jesteś niebezpieczny.
- Chce pan to wiedzieć?

Kiwa głową.

– Nie strzeliłem, więc jestem czysty, nie?

Reaguję tak, jak zareagowałby Daniel Martin, ocierając z czoła nieistniejący pot.

– Niezupełnie czysty – mówi Moore. – Jest różnica między fanatykiem a profesjonalistą. Fanatyk działa, nie zważając na własne bezpieczeństwo. Profesjonalista wykonuje swoje zadanie, a po wszystkim chce wrócić do domu. Nie strzeliłeś, więc wiem, że nie jesteś fanatykiem. Ale wiem tylko tyle.

Badawczo przyglądam się Moore'owi, starając się odgadnąć jego intencje. Czy to możliwe, że wie, kim jestem?

Chcąc rozładować sytuację, zmieniam temat:

– Szczerze mówiąc, nie jadłem jeszcze śniadania, a od tej rozmowy rozboleła mnie

głowa.

– Jeszcze nie skończyliśmy – odpowiada Moore z wyczuwalną nutą groźby w głosie.

– O czym chce pan rozmawiać?

– Chcę, żebyś mi powiedział prawdę. Kim jesteś?

Prawdę. O tym samym mówił wczoraj wieczorem Francisco.

– Prawdę? Jestem chłopakiem, który chce się dostać na Camp Liberty – mówię.

– Dlaczego? – pyta Moore, słuchając z coraz większym zainteresowaniem.

Myślę o wczorajszej odprawie z Matką i Ojcem, którzy chcieli, abym pokazał Moore'owi, że mam wątpliwości. W zwykłych okolicznościach miałbym czas, żeby przed misją opracować szczegółowo tę postać, zanim jeszcze zbliżę się do obiektu, teraz jednak muszę to zrobić w czasie rzeczywistym, w obecności Moore'a.

Zaglądam w głąb duszy Daniela Martina, który pod maską aroganta może skrywać cierpienie.

– Może chcę uciec przed rodzicami – mówię.

Wypowiedziane przeze mnie zdanie trochę mnie zaskakuje.

– Co jest nie tak z twoimi rodzicami? – dziwi się Moore.

– Kłamią.

Moore kiwa głową i czeka.

– Oczekują ode mnie, że będę przestrzegał reguł, ale reguły się zmieniają. Jak mam sobie z tym poradzić?

– To nie fair wobec ciebie – przytakuje Moore.

– No właśnie. Wytykają mi jakieś bzdury, ale to nie moja wina, bo sami coś zmienili, a potem chcą, żebym ich szanował. A na szacunek trzeba zasłużyć, prawda? Nikt nie dostaje go automatycznie tylko dlatego, że jest rodzicem.

Wyczuwam, że za chwilę wymknie mi się coś osobistego, więc myślę o Danielu, wybierając konkretny cel swoich pretensji.

– Moi rodzice twierdzą, że nie wierzą w system, a potem robią wszystko, co w ich mocy, żeby zostać jego częścią, a nawet być lepszymi od innych. Mój ojciec jest gotowy dawać pieniądze takim organizacjom jak pańska, które chcą coś zmienić, ale czego naprawdę chce? Przecież daje pieniądze, żeby zmienić system, z którego sam czerpie korzyści, a organizacje istnieją, bo ludzie zarabiają na systemie, żeby mogli im coś przekazać. Wygląda mi to na jakieś wielkie pieprzone błędne koło.

Spodziewam się, że Moore poczuje się urażony, ale się uśmiecha.

– Rozumiem, że możesz się tak czuć – mówi. – Rzeczywiście, to jest system, ale każdy ma w nim swoją rolę do odegrania.

– Jak to?

– Na przykład armia składa się z różnych elementów. Są żołnierze, którzy prowadzą prawdziwą walkę w terenie, są dowódcy, których zadanie polega na analizie szerszej sytuacji i kierowaniu walką, są też ludzie od pieniędzy, którzy za to wszystko płacą. Gdyby każdy z nich nie odgrywał swojej roli, nie byłoby armii.

– Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób.

– Być może nie podoba ci się rola, którą w tym ekosystemie odgrywa twój ojciec, ale mimo to ją odgrywa. To ważna rola. Nie każdy może walczyć.

Kiwam głową na znak, że zrozumiałem.

– Wiem, jaką rolę chcę odegrać w tym ekosystemie, o którym pan mówi.

– Jaką?

– Żołnierza.

Moore się uśmiecha.

– Tak myślałem – mówi.

Daje znak Franciscowi, żeby podszedł.

– Jest gotowy – informuje go.

– Gotowy na co? – pytam.

WZDŁUŻ DROGI WYJAZDOWEJ Z OBOZU STOI RZĄD BIAŁYCH FURGONETEK.

Inaczej niż wczoraj, skierowane są przodem w stronę przełęczy. Silniki pracują, a za kierownicami widzę czekających niecierpliwie nastolatków.

Francisco prowadzi mnie na koniec rzędu, gdzie zebrała się grupa dzieciaków. Zwalniam kroku, zauważając, że większość z nich jest od stóp do głów ubrana na czarno. Widzę stojącego w środku Lee, który rozmawia z ludźmi, gorączkowo gestykulując. Dostrzega mnie i daje mi znak, żebym do nich podszedł.

– Idź – mówi Francisco. – Zaraz cię dogonię.

Zbliżam się do Lee.

– Hej – mówi. – Tato dzwonił i mówił, że jedziesz z nami. Cieszę się.

– Ja też bym się cieszył, gdybym wiedział, dokąd jedziemy.

– Na Polowanie.

– Co to jest Polowanie?

– Poszukiwanie skarbów. Jedziemy i szukamy różnych rzeczy. Jesteś zainteresowany?

– Pewnie. Może w drodze uda mi się dodzwonić do rodziców?

Kiwa głową.

– No to chodź. Pojedziesz z nami.

Prowadzi mnie do jednego z ostatnich samochodów. Otwiera drzwi i czeka, aż wsiądę.

Potem wsuwa się za mną.

Francisco kiwa nam głową znad kierownicy.

– Wszyscy na miejscach? – pyta.

– Bezpieczeństwo przede wszystkim – mówi Miranda, zapinając pas na przednim siedzeniu.

Lee klepie mnie po plecach.

– Można jechać – mówi do Francisca, a potem pochyla się do siostry. – Daniel jest już jednym z nas. Dasz wiarę?

– Uzgodniłeś to z tatą? – pyta brata Miranda.

– To był jego pomysł. Zgadza się, Francisco?

– Zgadza się – potwierdza.

– Informacja oficjalna – mówię. – Jestem z wami.

– Razem raźniej – oznajmia Miranda z niewzruszonym spokojem. Potem odwraca się i rozciąga wygodnie na fotelu.

– No to w drogę – mówi Francisco i odpala silnik.

– Zobaczysz, spodoba ci się – mówi cicho Lee. – Totalny odlot.

ZA OBOZEM SAMOCHODY SIĘ ROZDZIELAJĄ, RUSZAJĄC W RÓŻNE STRONY.

Siedzę z tyłu razem z Lee, starając się kontrolować kierunek, na wypadek gdybym później musiał zdać z tego relację. Na bocznych ścianach wozu nie ma okien, więc patrzę przez przednią szybę, zapamiętując szczegóły.

Rozpoznaję Manchester, gdy przekraczamy granicę miasta.

Rozlega się sygnał mojego telefonu.

– Co to? – pyta natychmiast Francisco.

Wydaję telefon. Następne fikcyjne przypomnienie Daniela Martina, tym razem o szkolnych targach książki, które mają się odbyć w przyszły weekend.

– Tylko mój telefon – wyjaśniam.

– Wyłącz – nakazuje Francisco.

Patrzę na Lee.

– Mówiłeś przecież, że będę mógł zadzwonić do taty.

– Później – mówi Lee. – Jeżeli masz włączony telefon, można cię namierzyć. Można namierzyć nas wszystkich.

Ruchem ręki wskazuje wszystkich pasażerów.

– No i co z tego? – nie rozumiem.

– Lepiej będzie nie dać się teraz namierzyć. Uwierz mi – odpowiada.

Przygląda się, kiedy wyłączam iPhone'a. Unosząc wzrok, widzę, że Francisco przygląda mi się w lusterku wstecznym.

– Wyłączone – informuję wszystkich.

Francisco kiwa głową. Jedziemy właśnie przez ruchliwy odcinek drogi, mijając wypełnione samochodami parkingi przy sklepach.

– Co by pomyśleli, gdyby wiedzieli, że jesteśmy tu wśród nich i jedziemy ulicą? – pyta nagle Lee.

– Kto? – nie rozumiem.

– Ludzie. Sympatyczni, praworządni obywatele.

– Jeżeli oni są praworządni, to jacy my jesteśmy?

– Daj spokój – rzuca z przedniego fotela Francisco.

Lee zgrzyta zębami. Zauważam, że raczej nie potrafi zachować pokerowej twarzy.

Nachyla się do mnie i szepcze:

– Zobaczysz, o co mi chodzi.

Miranda opuszcza lusterko z przodu i na pozór poprawia sobie włosy, ale kiedy na nią spoglądam, patrzy na mnie wielkimi oczami z rogu lusterka.

Nie odzywa się, więc też milczę.

Próbuję to wszystko rozgryźć. Co oni zamierzają zrobić?

Robimy postój na stacji benzynowej i zauważam, że przed podejściem do dystrybutora Francisco zsuwa na oczy czapkę bejsbolową. Gdy wraca do samochodu, niesie torbę pełną energetycznych batonów, suszonej wołowiny i paczek mieszanki studenckiej. Rzuca mi ją.

– Co to jest?

– Lunch dla wszystkich – wyjaśnia. – Nic lepszego tu nie dostaniemy.

– Lepsze to niż nic – mówię.

Nie jadłem cały dzień, a śniadanie mi przepadło, bo rozmawiałem z Moore'em, więc zabieram się za mieszkankę studencką, jedząc powoli, aby uzupełnić energię, ale nie wywołać szoku organizmu.

– No dobra, pora na rekonesans – oznajmia Francisco.

Wyjeżdżamy z Manchesteru i jedziemy parę kilometrów na wschód, mijając drogowskaz do jeziora Massabesic, niedaleko za Manchesterem.

– Jest przed nami – mówi Lee.

– Umiem czytać – odpowiada Francisco.

– Nie jesteś stąd, więc wolę się upewnić.

– Dzięki za troskę – mówi Francisco.

– Dość – przerywa Miranda. – Te wszystkie wasze samcze rozgrywki okropnie mnie nudzą.

Droga jest prawie pusta, Francisco prowadzi jednak ostrożnie, najwyraźniej nie znając okolicy.

– Skąd jesteś, Francisco? – pytam.

– Z różnych miejsc – zbywa mnie.

– Przybłąkał się i mój ojciec go przygarnął – wyjaśnia Lee.

– Miły to ty nie jesteś – oświadcza Miranda, związując włosy na czubku głowy i przykrywając je nijaką czapką bejsbolową. – Przecież to nasza wspólna sprawa.

Podaje mi podobną czapkę, pokazując mi, żebym ją nałożył.

– Może i nie jestem miły, ale to prawda – odcina się Lee.

Francisco zachowuje niezmacony spokój. Zamiast odpowiedzieć Lee, mówi tylko:

– Lepiej się skupić na zadaniu.

Lee nakłada czapkę, a Francisco skręca na Lake Shore Road. Jedziemy parę kilometrów, widząc jezioro ukazujące się od czasu do czasu między drzewami.

– Spokojnie okrążymy je sobie ze dwa razy – zapowiada Francisco. – Rozglądajcie się.

Robimy dwa okrążenia jeziora, a potem Francisco zwalnia, szukając czegoś przy pobliskiej drodze. Po chwili znajduje zadrzewioną ślepą dróżkę, niewidoczną z głównej drogi. Zatrzymuje się tam i wyłącza silnik.

Miranda znów układa się wygodnie na fotelu. Lee opiera głowę o ścianę wozu i zakrywa czapką oczy, jakby zamierzał drzemać.

– Co teraz robimy? – pytam.

– Czekamy – odpowiada Francisco.

– Na co?

– Na zmierzch.

PRZEZ CAŁE POPOŁUDNIE DRZEMIĄ, ALE JA NIE.

W myślach analizuję oś czasu swojej misji, starając się spojrzeć na nią z własnego punktu widzenia i z punktu widzenia Programu.

Od rozpoczęcia misji w ośrodku kultury minęły dwadzieścia cztery godziny, a Moore ciągle żyje. Z mojego punktu widzenia misja uległa opóźnieniu, ale nie została przerwana. Wręcz przeciwnie, znalazłem się blisko grona zaufanych osób, integruję się z nimi, jestem akceptowany i czuję się pewniej.

A jak to wygląda z perspektywy Programu?

Odkąd wysiadłem z samochodu Ojca, nie rozmawiałem z Programem i nie odebrałem od niego żadnej wiadomości.

Wygląda to tak, jak gdyby zniknęli, ale jeżeli coś się stało z moim iPhone'em albo łączem, im może się wydawać, że to ja zniknąłem. Martwi mnie ta myśl, ale w tym momencie nie mogę na to poradzić.

Słyszę szelest papieru, jak przy otwieraniu jakiegoś opakowania. Patrzę na Lee. Nie śpi, tylko ukradkiem rozpakowuje tabliczkę czekolady i zaczyna jeść, z każdym kęsem pochłaniając dużą kostkę.

Orientuje się, że go obserwuję.

– No co? – mówi z pełnymi ustami. – Zastrzyk energii.

– Skąd to masz? – W torbie, którą przyniósł Francisco, nie było czekolady.

– Przemyciłem z obozu – przyznaje.

Sięga do kieszeni i wyjmuje jeszcze jedną.

– Chcesz? – pyta. – To będzie nasza tajemnica.

– Chyba podziękuję – odpowiadam.

Z przodu samochodu włącza się jakiś alarm. Miranda wyciąga rękę i go wyłącza. Potem przeciąga się i głośno ziewa.

– Kto by pomyślał, że zmienianie świata będzie takie nudne? – mówi.

– Odpoczęliście trochę? – pyta Francisco.

Lee i Miranda przytakują. Dołączam do nich, chociaż w moim przypadku to nieprawda.

– Ruszamy – zapowiada Francisco. – Wszyscy gotowi?

Lee pochłania ostatni duży kawałek czekolady i ociera usta wierzchem dłoni.

– Jestem gotowy – oznajmia.

– A ty? – pyta Francisco, odwracając się do Mirandy.

Dziewczyna kiwa głową.

– Musisz potwierdzić słownie – poucza. – Przecież znasz regulamin.

– Gotowa i chętna – mówi z entuzjazmem.

– Danielu, a ty? Gotowy?

– A nie powinienem wiedzieć, co mamy zrobić, zanim uznam, że jestem gotowy?

– Jesteś gotowy nam zaufać? – pyta Francisco. – Na razie tylko tyle musimy wiedzieć.

– Pewnie – odpowiadam.

– No to chodźmy – mówi Francisco.

Wyskakuje z wozu i otwiera tylną klapę. Wyciąga zapinaną płócienną torbę i zarzuca sobie na ramię.

– Macie łączność? – zwraca się do Lee.

– Mamy, sprawdzona, działa – mówi Lee.

- Sprawdź jeszcze raz – nakazuje Francisco.
- Już sprawdzałem.
- Nie możemy sobie pozwolić na żaden błąd – mówi Francisco.
- Nie będzie żadnego błędu – odpowiada Lee i widzę, jak zaciska dłoń w pięść.

Niechętnie wyjmuję z kieszeni telefon komórkowy, sprawdza zasięg, a potem pisze jakąś wiadomość.

Sekundę później z cichym sygnałem przychodzi odpowiedź.

– Widzisz? Działa – mówi, po czym wpycha komórkę z powrotem do kieszeni. – Jedyne raz, kiedy dostajemy komórki, i nawet nie mogę ściągnąć żadnej apki.

Francisco wzdycha. Patrzy na Mirandę.

– Jaki mamy limit czasu?

Miranda wciska przycisk na swoim cyfrowym timerze.

– Trzydzieści minut – mówi.

– Co to za limit? – pytam.

– W tym czasie musimy dostać się na miejsce i wykonać zadanie – mówi.

– Zadanie?

– Polowanie – wyjaśnia.

– Zaczynamy odliczać trzydzieści minut – mówi Francisco. – To znaczy, że trzeba się spieszyć.

Posykując przez zęby, rusza przed siebie poboczem drogi, dając nam znak, żebyśmy poszli za nim.

DROGA JEST PUSTA.

Wyczuwam, że po prawej stronie mamy jezioro, którego teren otacza przysadzisty kamienny murek. Kiedy od czasu do czasu mijamy jakiś domek po lewej, Francisco każe nam skręcać z drogi do lasu i pozwala wychodzić dopiero wtedy, gdy oddalimy się od zabudowań. Tylko raz widzimy na drodze zbliżające się światła i Francisco szybko ukrywa naszą grupę za zasłoną liści, dopóki samochód nas nie minie.

Gdy jesteśmy już blisko nieznanego mi celu, Francisco rozdziela nas, żebyśmy nie rzucali się w oczy jako zwarta grupa ani nie stanowili łatwego celu w przypadku ataku. Wykorzystuję tę okazję, żeby zostać trochę z tyłu i zrównać się z Mirandą.

– Nie pierwszy raz to robicie – mówię.

– Kilka razy w roku – odpowiada. – Już od dwóch lat.

– Jeździcie w tej samej grupie?

– W różnych. Ale zwykle jestem razem z Lee.

– To coś w rodzaju wyprawy na biwak?

– Nie na biwak – mówi. – Raczej na polowanie.

– Bez rozmów, proszę – słyszę głos Francisca.

Cofnął się na tyle, że nas usłyszał.

Unosi pięść i zatrzymuje grupę, a potem pokazuje jakieś miejsce w oddali.

Widzę drogę dojazdową, prowadzącą znikąd, oznaczoną prostą drewnianą tablicą:

PRZEDSIĘBIORSTWO WODOCIĄGOWE

W MANCHESTERZE

ZAKŁAD UZDATNIANIA WODY

– Co to jest? – pytam szeptem.

– Stacja uzdatniania wody dla miasta – wyjaśnia Lee. – Jezioro jest źródłem wody pitnej dla stu sześćdziesięciu tysięcy ludzi. Zanim woda trafi do kranów, przechodzi przez ten zakład, żeby ją oczyścić.

– Co tu robimy? – pytam dalej.

– Po prostu zwiedzamy – odpowiada Lee. – Przyjechaliśmy pozwiedzać wieczorem, bez pozwolenia.

– Nie rób takiej poważnej miny – mówi Miranda. – To jest zabawa.

Bez dalszych wyjaśnień przeskakuje przez kamienny murek i znika w ciemnościach. Lee robi to samo, a potem gwizdże na Francisca i mnie, żebyśmy do nich dołączyli.

WIECZOREM PO DRODZE JEŹDZI JEDEN STRAŻNIK.

Jeden strażnik co mniej więcej dwie godziny, chyba że wcześniej coś zwróci jego uwagę. Nasze zadanie polega na tym, żeby nic nie zwróciło jego uwagi. Tak mi mówią.

Podchodzimy do zamkniętych na klucz bocznych drzwi, prowadzących do stacji uzdatniania wody.

Miranda wyciąga z kieszeni mały zestaw narzędzi i pochyla się nad zamkiem.

– Włamiemy się? – pytam Lee.

– Niezupełnie. Wejdziemy, znajdziemy to, czego szukamy, i niepostrzeżenie wyjdziemy.

Tak właśnie wygląda Polowanie. Nie mogą wiedzieć, że tu byliśmy. Inaczej nasz zespół traci punkty – wyjaśnia Lee. – Wykonanie zadania jest oceniane, a wyniki wpisuje się do tabeli i dodaje do naszych profili w grze.

– Grze, w którą wczoraj grałem.

– W której cię rozwalili – dodaje z uśmiechem.

– Ciszej – upomina Francisco.

– Właśnie, próbuję się skupić – dorzuca Miranda.

Trzymając w zębach miniaturową latarkę, fachowo pracuje nad zamkiem.

Minutę później drzwi się otwierają.

– Wchodzimy – mówi Miranda. – Szesnaście minut.

– Do roboty – mówi Lee.

Wślizgujemy się do środka i zamykamy za sobą drzwi. Z zaskoczeniem czuję to samo ożywienie, co w momencie otrzymania nowej misji od Programu. Niebezpieczeństwo, świadomość, że ktoś może mnie nakryć, potrzeba tak intensywnego skupienia, że wszystkie inne problemy życia schodzą na bardzo daleki plan.

Patrzę na Lee i Mirandę i rozpoznaję ich miny: są wniebowzięci, że robią coś zabronionego.

Potem patrzę na Francisca i widzę coś innego.

Jest spokojny.

Unosi wzrok, zauważa, że go obserwuję, i błyskawicznie zmienia się cała jego fizyczność. Unosi barki, zaciska szczękę, spina całe ciało.

Dzieje się to tak szybko, że mógłbym pomyśleć, że z początku błędnie go ocenilem.

Francisco syczy pod nosem, żeby zwrócić naszą uwagę, a potem prowadzi nas pod ścianę, wskazując na korytarz i sufit, gdzie w rogu jest zamontowana kamera.

– Nie ma czujnika ruchu – mówi. – Tylko cyfrowy zapis obrazu, ale to kamera starego typu, obrotowa, z niskim klatkowaniem.

Kamery monitoringu zwykle mają niski współczynnik klatek na sekundę. Zwykle wideo nagrywa z szybkością trzydziestu klatek na sekundę albo większą. Większość przemysłowych systemów wideo działa na poziomie sześciu do dziesięciu klatek na sekundę, żeby zaoszczędzić energię i pamięć. Odtwarzany obraz będzie rwany i niewyraźny, mimo to łatwo będzie zobaczyć ruch postaci na ekranie, ich strój...

I ich twarze.

Na szczęście Francisco zna system i jego lokalizację. Kamera jest nie tylko stara, ale umieszczona w złym miejscu, w połowie długości korytarza, pod ścianą, i obraca się w lewo i prawo. Wystarczy zaczekać, aż skieruje się w przeciwną stronę, i przejść pod nią.

Ruszamy korytarzem i bezpiecznie mijamy kamerę. Potem wchodzimy do głównego

pomieszczenia zakładu uzdatniania wody, wielkiej sali pełnej skomplikowanej maszynierii i komputerów monitorujących jej działanie. Francisco wyjmując iPada mini, otwierając na nim schemat budynku, po czym rozgląda się po pomieszczeniu, uważnie patrząc na maszyny.

– Tego szukamy – informuje nas, wskazując na jakieś urządzenie na ekranie.

– Co to jest? – pytam.

– System dozowania chemii. Tam dodają chloraminę – wyjaśnia Lee.

Chloramina. Słyszałem już tę nazwę. Związek chloru i amoniaku. W niektórych miastach dezynfekuje się nim wodę pitną, zamiast dodawać do niej czysty chlor.

– Dodają chloraminę do wody w ostatnim etapie uzdatniania, żeby wybić wszystkie świństwa – dodaje Lee.

– Po co mamy to znaleźć?

– Może chcemy, żeby świństwa tam zostały – mówi Lee.

I się uśmiecha.

– Mamy to znaleźć, bo na tym polega gra – przerywa mu Francisco. – Nie zadajemy pytań.

Nie podoba mi się to, co tu się dzieje.

Nikt nie spodziewałby się zagrożenia terrorystycznego w środku wiejskiej części New Hampshire, gdzie największym niebezpieczeństwem jest pogoda i dzika przyroda. Ale sto sześćdziesiąt tysięcy ludzi to kuszący cel. Ile takich celów istnieje w całych Stanach Zjednoczonych?

Skala jest przerażająca. Gdyby można było naruszyć sieć wodociągową w takim mieście jak Manchester, to nagle należałoby chronić systemy wodociągów podobnej wielkości i większe. Koszty zabezpieczeń, roboczogodziny i unowocześnienia struktury byłyby ogromne. Jak można chronić wodociągi w każdym mieście, każdy wydział usług komunalnych, każdą elektrownię jądrową, każdy zakład energetyczny, każde laboratorium uniwersyteckie? Musiałoby to doprowadzić do bankructwa gospodarkę USA.

– Sześć minut, chłopaki – mówi Miranda.

– Co się stanie, jeżeli się spóźnimy? – pytam.

– Za spóźnienie tracimy punkty i nie możemy sobie na to pozwolić – odpowiada Miranda.

– Tutaj – mówi Lee.

Szuka urządzenia, idąc śladem dużej rury, która biegnie wzdłuż ściany po przeciwnej stronie pomieszczenia, znikając w podłodze.

– Cholera, jest w oddzielnym pomieszczeniu – mówi. – Chodźmy.

Zaczyna schodzić po metalowej drabinie.

W POMIESZCZENIU NA DOLE.

Tam odnajdujemy system dozowania chemii, ostatni przystanek przed dostarczeniem wody do miejskiej sieci.

Miranda za pomocą telefonu Lee robi zdjęcie maszynierii.

– Jest – mówi.

Sprawdza jakość zdjęcia i wyłącza aparat.

– Możemy już iść? – pytam.

Miranda posyła nerwowe spojrzenie bratu.

– Niezupełnie – mówi.

Francisco stawia torbę na podłodze.

– O co chodzi? – dopytuję się.

Nie dostaję żadnej odpowiedzi.

– Minuta czterdzieści pięć sekund – melduje Miranda, patrząc na timer w swoim zegarku.

Spoglądam na torbę.

– Co jest w torbie, Lee?

– Coś, co dodamy do sieci – odpowiada.

Patrzę na rurę zasilającą, której górna część jest zaopatrzona w zasuwę z uchwytem obracającym się jak stalowa kierownica. Wystarczy otworzyć zasuwę i uzyskuje się bezpośredni dostęp do sieci wodociągowej.

– Co dodajemy? – pytam.

Lee i Francisco patrzą po sobie. Nie odpowiadają.

– Minuta piętnaście – informuje Miranda.

Z bocznej kieszeni torby Lee wyciąga grube rękawice. Podaje mi je.

– Dla ciebie – mówi. – Jesteś gościem honorowym.

– Co mam z nimi zrobić?

– Nałożyć. Będziesz dotykał niebezpiecznej substancji.

– Myślałem, że to gra – mówię.

Lee wymijająco wzrusza ramionami.

– Daj mi spokój – wtrąca Miranda. – Przecież nie wie, o co chodzi.

– Niedługo się dowie – mówi do niej Lee, po czym znów zwraca się do mnie. – Jeżeli jesteś z nami, to je nałóż.

– Nie mogę być z wami, jeżeli nie wiem, co robicie.

Spoglądam na Mirandę, ale unika mojego wzroku.

– Zatruwamy sieć wodociągową – mówi Lee.

Zerkam na Francisca. Przygląda mi się z uwagą.

– Dlaczego? – pytam.

– Bo takie rozkazy wydał mój ojciec – odpowiada Lee.

– I nie masz nic przeciwko temu?

– Nie kwestionuję rozkazów, tylko je wykonuję.

Słowa są tak znajome, jakby padły z moich ust.

Patrzę na rękawice, którymi wymachuje mi przed nosem.

To prawda czy tylko gra?

Sądząc po poważnych twarzach wokół mnie, to nie jest gra.

Moja misja polega na likwidacji Moore'a. Wszystko, co robię, musi służyć wyłącznie

temu celowi.

Jeżeli udział w popełnieniu aktu terrorystycznego przybliży mnie do Moore'a, to teoretycznie powinienem im pomóc.

Ale dlaczego Moore trafił na listę obiektów, jeżeli nie po to, żeby zapobiec takim zdarzeniom?

Czy mam być wierny misji, czy celowi, który jej przyświeca, a przynajmniej temu, co uważam za jej cel?

Skoro nie mogę porozmawiać o tym z Programem, będę musiał samodzielnie dokonać oceny.

Patrząc na Lee, trzymającego rękawice w wyciągniętej ręce, uświadamiam sobie, że już podjąłem decyzję.

Nie mogę stać z założonymi rękami i przyglądać się, jak ci ludzie zatruwają miejską sieć wodociągową, nawet jeżeli działanie przeciwko nim pozbawi mnie szansy wykonania misji.

Miranda wpatruje się w timer w zegarku.

– Została minuta.

– No? – ponagla mnie Lee.

Patrzę, ale nie sięgam po rękawice.

Lee wydaje pomruk zniecierpliwienia i je zabiera.

– Nie wysyłaj chłopca, żeby wykonał męską robotę – oznajmia, nakładając rękawice.

– Powoli – hamuje go Francisco. – Nie robimy nic, dopóki nie dostaniemy sygnału.

Lee posyła mu piorunujące spojrzenie.

– Otwórz torbę, Franky.

– Nie, dopóki nie mamy potwierdzenia – sprzeciwia się Francisco.

Lee się poci, nabrzmiewają mu żyły na szyi. Francisco natomiast jest rozluźniony, opanowany i patrzy na niego bez drgnienia powiek.

– Niech to szlag, otwieraj torbę – rozkazuje Lee.

– Zaczekaj – radzi spokojnie Francisco.

– Piętnaście sekund – mówi Miranda głosem drżącym z napięcia.

– Nienawidzę cię – mówi do Francisca Lee. – Nie jesteś nawet jednym z nas.

– Jestem jednym z was – odpowiada Francisco. – Twój ojciec mi ufa. Powierza mi swoje życie.

– Ja ci nie ufam. W ogóle.

– Wszystko mi jedno, co o mnie myślisz – mówi Francisco – ale przestrzegamy procedury.

– Świetnie – oznajmia Lee. Szerokim gestem wyjmuje z kieszeni telefon i trzyma przed sobą.

– Ostatnie sekundy – uprzedza Miranda.

Obserwuję Lee, oceniając odległość między nami, układając plan, jak go zaatakować, jeżeli sięgnie do torby. Jedyne pytanie jest, od kogo zacząć – czy zdążyć go zneutralizować, zanim Francisco i Miranda zorientują się, co się dzieje, i zareagują? Mając w pamięci to, co dotychczas widziałem u Francisca, dochodzę do wniosku, że rozsądniej będzie unieszkodliwić najpierw jego, zanim zajmę się Lee.

– Działamy za trzy, dwie, jedną...

Rozlega się sygnał telefonu Lee.

Patrzy na ekran i garbi się zrezygnowany.

– Szlag by to trafił – mówi. – Tylko gra.

Miranda głośno wypuszcza z płuc powietrze.

- A nie mówiłem? – odzywa się Francisco. – Nie trzeba było nawet otwierać torby.
- Jego zachowanie nie zdradza żadnych emocji.
 - Wysłałem zdjęcie – mówi Miranda i widzę, jak ze swojego telefonu przesyła fotografię systemu dozującego.
 - Wspaniale – odpowiada drwiącym tonem Lee.
 - Zachowasz pierwsze miejsce w rankingach – dodaje Miranda, próbując go pocieszyć.
 - To dziecinada – odburkuje. – Mówię o prawdziwej akcji.
 - Nie powinieneś się tak rwać do prawdziwej akcji – mówi Francisco.
 - Wszystko jedno – odpowiada Lee, zdejmując rękawice i wrzucając je do kieszeni torby.
 - Dobrze, skupmy się – radzi Francisco. – Musimy stąd jeszcze wyjść, nie zwracając niczyjej uwagi, i wrócić do obozu.
 - Może powinniśmy kazać Danielowi wracać pieszo – mówi Lee.
 - Przestań – upomina go Miranda.
 - Nie wiem, po czyjej on jest stronie – odcina się Lee.
 - Przecież jestem tu z wami, nie? – mówię.
 - Ale czy jesteś lojalny?
- Francisco i Miranda w milczeniu czekają, aż odpowiem.
 - Nie rozdaję swojej lojalności za darmo – mówię. – Trzeba na nią zasłużyć.
 - Dobra odpowiedź – ocenia cicho Miranda.
 - A my jeszcze na nią nie zasłużyliśmy? – pyta wyzywająco Lee.
 - Jeszcze nie – odpowiadam.
- Francisco kiwa głową.
 - Dobra – mówi. – Chodźmy już stąd, zanim będziemy mieli na głowie większe kłopoty.

WRACAMY DO FURGONETKI.

Francisco wiezie nas do obozu, tym razem mając obok siebie Lee, który siedzi odchylony, z czapką na twarzy, i drzemie.

Kiedy wyjeżdżamy z Lake Shore Road, Francisco włącza radio, znajduje jakąś stację grającą jazz i zostawia, trochę przyciszając.

Nachylam się do Mirandy, siedzącej przy mnie z tyłu.

– Nie rozumiem, co się dzisiaj stało – mówię cicho.

– Zespoły zostały wysłane na zwiad do różnych miejsc i na dowód mają przywieźć zdjęcie tego, co znalazły. Za każde wykonane zadanie dostajemy punkty.

Zniża głos, a ja przysuwam się do niej trochę bliżej.

– Jeżeli to tylko gra, czemu Lee tak się denerwuje?

– Musimy to traktować jak prawdziwą operację, dopóki nie dostaniemy SMS-a.

Zerka w stronę przedniego siedzenia.

– Lee chce, żeby to się działo naprawdę – szepcze – ale nigdy tak nie jest. To metoda robienia wody z mózgu autorstwa mojego taty.

– Pocieszyłaś mnie – mówię.

– Ty byś tego nie zrobił?

Wyczuwam zmianę w jej głosie, w którym nagle słychać poważny ton.

– Pytasz o zabijanie niewinnych ludzi? – pytam. – Moim zdaniem to chyba jakieś szaleństwo.

– Nie chodzi o zabijanie niewinnych ludzi. Chodzi o to, żeby mocno potrząsnąć systemem.

Patrzy na mnie, ale jej twarz kryje się w ciemności.

– Całym sercem jestem za potrząśnięciem – mówię.

– Tak myślałam.

Wyciąga dłoń i przesuwają palce po moim ramieniu. To doznanie wywołuje we mnie dreszcz.

– Mój ojciec każe nam zastanawiać się nad takimi pytaniami. To część gry.

Myślę o obozie pełnym dzieciaków, które szkoli się do wojskowych operacji na amerykańskiej ziemi. Nie wygląda mi to na grę.

Spora część szkolenia żołnierza polega na znieczuleniu rekrutów na bodźce, z którymi będą mieli do czynienia w prawdziwej sytuacji bojowej, żeby żołnierz nie wpadł w panikę, gdy w końcu znajdzie się w ogniu walki i wokół niego zaczną wybuchać pociski. To coś, czego już doświadczył, choć we względnie bezpiecznym otoczeniu w trakcie szkolenia.

Moore robi to samo z tymi dzieciakami, wielokrotnie stawiając je w sytuacjach ekstremalnych, w których nie wiedzą, co jest rzeczywistością, a co nie.

Myślę o dzisiejszej akcji, wyobrażając sobie kilkanaście białych furgonetek, z których część jedzie do Bostonu i do zachodniej części Massachusetts, a część zostaje w najbliższej okolicy. Staram się myśleć jak Moore, zastanawiając się, jakie wybrałby cele, gdyby zamierzał zaatakować: laboratorium Natick, główny ośrodek badawczy armii USA; Raytheon, siedzibę koncernu zbrojeniowego; Boston Scientific, różne laboratoria na MIT; kampusy Harvardu, Uniwersytetu Bostońskiego czy któregośkolwiek z około sześćdziesięciu innych tamtejszych college'ów i uniwersytetów. Możliwość jest cała masa, a z Bostonu już tylko kawałek do Waszyngtonu i Nowego Jorku. Nagle lokalizacja Camp Liberty w górach New Hampshire nie

wydaje mi się już tak odległa.

– Musisz przyznać, że to była niezła jazda, co? – mówi Miranda.

– Była – odpowiadam, żeby ją udobruchać.

Wsuwa rękę w moją dłoń.

– O czym tak szepczecie? – pyta Lee, budząc się z drzemki.

– Daniel mówi mi, jak dobrze się dzisiaj bawił – informuje go Miranda, równocześnie szczypiąc mnie w rękę.

– Tak, jasne – mruczy Lee. – Był ubaw po pachy.

W LIBERTY PŁONIE OGIEŃ.

Widzę go, kiedy wjeżdżamy do obozu; czerwona luna na domkach, pióropusz dymu unoszący się z centralnego placu w dolinie.

– Coś się pali? – pytam.

– To ognisko – wyjaśnia Lee.

– Po Polowaniu mamy imprezę – mówi Miranda.

Francisco parkuje furgonetkę, a Miranda natychmiast wyskakuje z samochodu.

– Chodź – zachęca, ciągnąc mnie za sobą.

– Chcę pogadać z Lee. Za parę minut cię dogonię – obiecuję.

– Dobrze – odpowiada, wyraźnie rozczarowana.

Nie chcę się dać uwikłać w rywalizację między Lee a jego siostrą, muszę jednak porozmawiać z nim o tym, co się dzisiaj stało.

Lee wysiada z samochodu, podchodzi do tyłu i otwiera klapy.

– Jak tam, w porządku? – pytam.

– W porządku? – powtarza ze złością.

Sięga do wnętrza furgonetki i przyciąga do siebie torbę. Otwiera ją i mi pokazuje.

Zaglądam do środka. Na dnie leżą dwa worki mąki szczelnie zapakowane w podwójne torebki foliowe.

– Fantastycznie, pod warunkiem że bierzemy udział w konkursie na najlepsze ciasto – mówi.

Zapina torbę i wściekłym ruchem wrzuca ją z powrotem do samochodu.

– Chciałeś otruć tych ludzi? – pytam.

Kopie zderzak i nagle cała złość z niego uchodzi.

– Nie – odpowiada, spuszcza głowę. – Nie chciałem. Chciałem tylko...

Zza samochodu wychodzi Francisco i Lee urywa w pół zdania.

– Lee, chodźmy pogadać z twoim ojcem – mówi Francisco łagodnym głosem.

– Nie teraz, Franky. Nie jestem w nastroju.

– Myślę, że powinieneś – nalega Francisco. – Lepiej się poczujesz.

– Nie obchodzi mnie, co myślisz – odparowuje Lee. – Zwłaszcza ty.

Francisco spogląda to na Lee, to na mnie, a potem rozkłada ręce i odchodzi.

Lee ciężko opiera się o tylny zderzak.

– Nie chciałem otruć tych ludzi, ale chcę coś zrobić. Gdzieś. Kiedyś. Ciągłe gadamy i gadamy, a nigdy nic nie robimy. To mnie tak wkurza, że nie mogę już rozmawiać o tym z ojcem. Jest dokładnie taki jak rząd, który podobno krytykuje. Dużo gadania, zero działania.

Unosi na mnie wzrok, wściekły.

– Ty zresztą jesteś taki sam – dodaje. – Dałem ci rękawice, ale nie chciałeś ich wziąć.

– To nie fair.

– Albo jesteś z nami, albo nie.

– Przyjechałem poznać poglądy twojego ojca. Nie możesz mnie rzucać na taką głęboką wodę i spodziewać się, że będę zadowolony.

– Może się boisz – mówi. – Może się nie nadajesz na kogoś, kto się poświęci dla sprawy.

– Zobaczmy.

– Zobaczmy. Zgadzam się. – Wali pięścią w drzwi furgonetki. – Jeżeli w ogóle tu zostaniesz. I jeżeli mój ojciec kiedykolwiek zdecyduje się coś naprawdę zrobić.

– Ten obóz jest prawdziwy – mówię, starając się odzyskać jego względy. – Prawdziwe jest to, czego wszyscy się tu uczą, prawdziwe są umiejętności, które zdobywają i stąd wyniosą.

– Czasem wydaje mi się, że to tylko taktyka zastraszania – mówi Lee. – Buduje tę swoją cudowną broń i nigdy jej nie używa, tylko macha nią ludziom przed nosem.

Słyszę w jego głosie frustrację, ale się nie zgadzam. Nikt nie wysyła dzieciaków na operacje, jeżeli nie zamierza ich kiedyś naprawdę wykorzystać. Po co miałby ryzykować, że zostanie przyłapany? Po co w ogóle miałby ryzykować, że zajmą się nim władze?

Dlatego uważam, że Lee się myli, ale rozumiem jego rozgoryczenie i żal do ojca. Może uda mi się wykorzystać tę frustrację, żeby się zbliżyć do Moore'a.

– Rozmawiasz o tym z ojcem? – pytam.

– W nieskończoność – odpowiada. – Ale to nie ma znaczenia. Widziałeś, jak mnie traktuje, jak lekceważy.

Widzę, że Lee zaciska dłonie w pięści.

– Kiedyś ja tu będę dowodzić – ciągnie. – I wszystko będzie wyglądać inaczej. Możesz mi wierzyć.

– Wierzę.

– Tak? – pyta, unosząc wzrok.

– Naprawdę.

– Myślisz, że się nadaję?

– Tak myślę. Widziałem cię dzisiaj.

Uśmiecha się.

– Przepraszam cię za tamto – mówi. – Może pomyliłem się co do ciebie.

– Może powinienem wziąć od ciebie te rękawice. Nie wiem.

– Będzie następna okazja.

– Mam nadzieję.

Rusza w kierunku głównego budynku i idę za nim.

– Myślisz, że twój ojciec pozwoli mi zostać? – pytam.

– Zobaczymy.

– Gdzie on teraz jest?

– Nie wiem. W czasie takich imprez zwykle gdzieś się zaszywa. Nie przepada za rozrywkami.

– A ty?

– Nie jestem w nastroju. Ale ty powinieneś iść.

– Może zostanę z tobą – proponuję.

Uśmiecha się.

– Wolałbym być sam – odpowiada. – Poza tym moja siostra dostanie krwotoku, jeżeli nie pojawisz się na imprezie. Chyba się jej podobasz. Zauważyłeś, jak cię dzisiaj broniła?

– Myślę, że po prostu chciała cię wkurzyć.

Lee parska śmiechem.

– Poważnie, nie masz nic przeciwko temu, żebym się spotykał z twoją siostrą? Bo jeżeli nie, to...

– Mnie to nie przeszkadza – mówi. – Ale uważaj. Tylko wydaje się taka fajna. Pod spodem jest twarda.

– Nie tylko pod spodem, na wierzchu też.

Znowu się śmieje.

Myślę o Matce, kobiecie kierującej Programem.

– W każdym razie nie musisz się o mnie martwić. Umiem sobie poradzić z rogatą kobietą.

– Tak ci się wydaje – odpowiada. – Ale możesz się zdziwić.

SŁYSZĘ DOBIEGAJĄCE Z ODDALI DŹWIĘKI MUZYKI I ŚMIECH DZIECIAKÓW.

Idąc za tym śladem, trafiam na główny plac, gdzie pali się wielkie ognisko. Zebrał się przy nim prawie cały obóz. Chłopaki i dziewczyny świętują wspólnie, śpiewając piosenki i rozmawiając o swoich dzisiejszych wyczynach.

Kilka dziewczyn zaprasza mnie, żebym się do nich przyłączył, ale uprzejmie się wykręcam i szukam Mirandy.

Nigdzie jej nie mogę znaleźć.

Nie mogę też znaleźć Moore'a.

Zamiast zostać przy ognisku, ruszam przez ciemność w stronę budynku, w którym wczoraj nocowałem.

Drzwi są otwarte. Zapalam światło w sypialni i widzę, że wszystko wygląda tak, jak zostawiłem przed wyjściem. Tylko łóżko zostało pościelone.

Nagle słyszę z korytarza odgłos spuszczonej wody w toalecie. Przypadam do drzwi i wyłączam światło. Po chwili słyszę zbliżające się kroki.

Przyciskam się do drzwi, czekając, aż zobaczę, kto to jest i czy stanowi dla mnie zagrożenie.

W drzwiach pokoju ukazuje się jakaś postać i przystaje, wyczuwając, że coś jest nie tak. Nie widzę jej w ciemnościach, ale nie muszę. Poznaje ją po zapachu.

Miranda.

– Co ty tu robisz? – pytam.

– Chyba nie cieszysz się na mój widok – zauważa.

– Mówiłaś, że spotkamy się przy ognisku.

– Zmieniłam zdanie. Za dużo tam ludzi.

– Dlatego przyszedłeś do mojego pokoju?

– Przecież nie mogłam do ciebie zadzwonić i powiedzieć, że wpadnę – mówi. – A nie, mogłam zadzwonić, bo przecież masz telefon.

W jej głosie słyszę ton kpiny, przypominający mi o tym, co się stało w nocy w lesie.

– A gdyby ktoś zauważył, że tu wchodzisz? – pytam. – Nie jestem pewien, czy twój ojciec byłby zadowolony.

– Nie powinieneś o nim myśleć w tej chwili.

– Myślę tylko o nim.

– Tylko? – pyta i zapala światło.

Jest owinięta ręcznikiem kąpielowym, ciasno związanym nad biustem, na ramiona spływają jej mokre włosy. Spoglądam w dół i poniżej ręcznika widzę jej długie, gołe nogi.

– Może nie tylko – przyznaję.

Podchodzi do mnie, zbliżając twarz do mojej twarzy i zniżając głos do szeptu.

– Wiesz, co by się stało, gdyby mój ojciec się dowiedział, że tu jestem? – pyta.

– Przypuszczam, że sprawą zająłby się sierżant Burch i opuściłbym obóz pod eskortą uzbrojonych ludzi.

Kiwa głową.

– Coś w tym rodzaju. Ale i tak miałbyś szczęście w porównaniu ze mną.

– To chyba wystarczający powód, żebyś stąd wyszła.

– Mnie się wydaje, że to wystarczający powód, żebym została.
– Skąd taki wniosek?
– Nic mnie tak nie kręci jak łamanie zasad – mówi. – Przecież też to czułeś dzisiaj na stacji uzdatniania wody?
Kładzie mi dłoń na piersi, lekko drapiąc palcem tkaninę T-shirta. Ciężko oddycha. Czuję, jak moje ciało przebiega dreszcz, a podbrzusze zalewa fala gorąca.
– Poza tym – ciągnie – nie mamy przed sobą nic do ukrycia. Znamy już nawzajem swoje tajemnice.
Sztynię pod jej dotykiem i cofam się o krok.
– Jakie tajemnice? – pytam, gotów do ataku w razie potrzeby.
– Wiem o twoim telefonie, ty wiesz o moim. Czyli szanse mamy równe. Uczyłeś się kiedyś o zimnowojennej doktrynie MAD? Równowaga oparta na groźbie wzajemnego zniszczenia. Dopóki oboje mamy taką samą broń, jesteśmy bezpieczni.
Zrzuca ręcznik i odwraca się do mnie. Ma duże piersi, których sutki twardnieją w chłodzie panującym w pokoju.
– Widzę, że masz inną broń niż ja – zauważam z uśmiechem.
– Nigdy nikt ci nie opowiadał, skąd się biorą dzieci?
– Minęło trochę czasu. Przydałby mi się kurs doszkalający.
– W tym akurat mogę ci pomóc – mówi. – Musisz mnie tylko objąć.
Przysuwam się i zaczynamy się całować, długo, angażując wargi i języki.
– Pytałam wcześniej, czy masz dziewczynę – mówi, kiedy odrywamy się od siebie, żeby zaczerpnąć powietrza.
– Pytasz jeszcze raz?
– Zastanawiałam się nad tym – przyznaje.
– Moja odpowiedź się nie zmieniła – zapewniam ją. – Nie mam dziewczyny.
– Zawahałeś się przed odpowiedzią. A to znaczy, że ktoś był, prawda?
Miranda jest bardzo spostrzegawcza. To mi się w niej podoba, ale przypomina mi, że muszę zachować ostrożność.
– Rzeczywiście był ktoś.
– Ktoś wyjątkowy?
– Bardzo wyjątkowy. I to już bardzo skończone – mówię, chcąc zmienić temat. – A ty? Jak wygląda twoja sytuacja?
– Jestem wolna i do wzięcia – odpowiada. – I bez koszuli.
– To zauważyłem.
Spuszczam wzrok i widzę, że ma na sobie skąpe majteczki z czarnej koronki.
– Zdaje się, że też bez dżinsów – dodaję.
– To jakiś problem?
– Dla mnie nie. Ale dziwię się, że nie masz tu chłopaka.
– Wybór jest raczej niewielki.
– Przecież w obozie jest mnóstwo chłopaków w twoim wieku.
– Wszyscy są tak wdzięczni mojemu ojcu, że nie odważyliby się zrobić niczego, co by go mogło zdenerwować.
– Dlaczego uważasz, że jestem inny?
– Wiem, że jesteś inny – mówi. – Niczego się nie boisz. Nawet mojego ojca.
Zdejmuje mi T-shirt przez głowę.
– Teraz oboje jesteśmy bez koszuli – mówię.
– Cóż to za zbieg okoliczności.

Przesuwa dłoń po mojej piersi, obrysowując mięśnie. Zatrzymuje się, gdy trafia na bliznę po nożu, i dotyka twardej tkanki.

– Co to jest? – pyta.

– Oparzyłem się, gdy byłem mały – wyjaśniam. – Ledwie to pamiętam.

– Dość gadania – ucina i znów się przysuwa, żeby mnie pocałować.

– Zaczekaj – powstrzymuję ją.

Możliwe, że jeżeli pójdę do łóżka z Mirandą, to nas do siebie zbliży i uzyskam dostęp do Moore'a. Możliwe też, że to skomplikuje sprawę, tworząc emocje i więzi tam, gdzie są zbędne, może nawet spowoduje, że Moore się do mnie zrazi.

Nie mogę o tym powiedzieć Mirandzie. Ale odsuwam się od niej.

– Dlaczego przerywasz? – dziwi się.

– Nie wiem nawet, czy jutro tu jeszcze będę. Twój ojciec może zmienić zdanie i kazać mi wyjechać, mogą zadzwonić moi rodzice i...

– Nie wiemy, czy któreś z nas tu będzie – przerywa mi. – Czasem trzeba wykorzystać okazję.

– *Carpe diem* – mówię.

– *Verum est* – odpowiada. Delikatnie gładzi mnie po policzku. – Ale gdybyś został...

Milknie.

– Co?

– Mogłoby tak być co noc. Nie byłoby fajnie?

– Ty, co noc, nago? Powiem tylko, że to by była spora odmiana.

– Jesteś taki męski – mówi.

Uśmiecham się szeroko.

– Nie mówię tylko o seksie – wyjaśnia. Ujmuje moją twarz w dłonie i zbliża do swojej.

– Mówię, że co noc możemy być razem. My.

My.

W tym słowie tkwi jakaś siła. Na chwilę jej ulegam, a potem czuję ulgę, kiedy odchodzi.

Misja jest wszystkim. No i mam coś do zrobienia.

– O czym myślisz?

– Myślę, że lepiej będzie wysłać cię z powrotem do twojego pokoju, zanim coś się stanie.

– Może chcę, żeby coś się stało.

– Nie ma pośpiechu – mówię.

Otwiera usta, jak gdyby chciała zaprzeczyć, ale się powstrzymuje.

– Masz rację – przytakuje. – Nie ma pośpiechu.

Szybko się ubiera. Kilka razy mam ochotę ją powstrzymać, ale tego nie robię.

Potem cmoka mnie w policzek i wymyka się z budynku.

Patrząc, jak wychodzi, czuję ból. Nie w głowie. Gdzieś indziej, gdzieś głębiej.

Bliżej serca.

POTEM NA CHWILĘ ZAMYKAM OCZY, ALE NIE ŚPIĘ.

Leżę w łóżku, myśląc o Mirandzie, o tym, co mi mówiła od mojego przyjazdu do obozu, o jej marzeniach na przyszłość, o jej rozdarciu między obowiązkiem wobec ojca a życiem, jakie chce mieć.

Myślę o tym przez jakiś czas, a potem przestaję.

Trudno mi się skupić. Nie śpię już od prawie czterdziestu ośmiu godzin. Dzięki szkoleniu mój organizm potrafi funkcjonować przy niewielkiej ilości snu, ale w pewnym momencie zaczynam tracić świadomość operacyjną. Nauczyłem się zapadać w mikrodrzemki, małe dawki snu REM, które pozwalają mi wydłużyć czas między okresami pełnego snu. Teraz jednak nawet na to nie mogę liczyć.

Zniknięcie Ojca, operacja w stacji uzdatniania wody, moje relacje z Lee i Mirandą nie pozwalają mi zasnąć.

W końcu daję za wygraną i siadam na krześle, starając się zwolnić bieg myśli i z powrotem skupić się na tym, na czym powinienem – nie na Mirandzie ani Lee, ani nawet na Programie.

Koncentruję się na misji.

Na Moorze.

Moore nocą wysłała w teren grupy dzieciaków, żeby odszukiwały cele.

Nazywają to grą. Ja nazywam to inaczej.

Terroryzmem krajowym.

Podczas misji nigdy nie poznaję powodów, dla których Program wyznaczył mi dany obiekt. Nauczono mnie nie zadawać pytań, tylko skupiać się na zlokalizowaniu i zlikwidowaniu obiektu, pozostawiając uzasadnienie innym.

Ale mieszkając z Moore'em i wśród jego ludzi nie mogę nie widzieć zagrożenia, jakie stwarzają.

A to bardziej niż cokolwiek innego utwierdza mnie w moim zamiarze. Bez względu na to, jaki jest cel tej misji z punktu widzenia Programu, mam już swój własny cel.

Muszę powstrzymać Moore'a.

Siedzę na krześle, myśląc, w jak sposób tego dokonać. Gdy spoglądam na zegar, jest siódma rano.

Wczoraj wieczorem zjadłem trochę mieszanki studenckiej, ale to za mało, żeby uzupełnić zapasy energii na kilka dni działania podczas misji. Muszę zjeść coś konkretnego.

Szybko się ubieram i ruszam w stronę głównego budynku obozu, kierując się płynącym od niego zapachem bekonu. Na centralnym placu widzę dwóch chłopaków sprzątających po wczorajszym ognisku i zbierających śmieci do dużego plastikowego worka.

Nie zatrzymują mnie, kiedy ich mijam w drodze do głównego budynku.

Naciskam klamkę w drzwiach, ale – inaczej niż w grze komputerowej – są one otwarte.

Przygotowuję się, po czym otwieram drzwi i po raz pierwszy wchodzę do środka.

WIDZĘ MOORE'A.

Stoi w korytarzu za drzwiami, jak gdyby na mnie czekał. U boku ma Francisca i Aarona.

– Dzień dobry – mówię, jakby ucieszył mnie jego widok.

– Jesteś w dobrym humorze – zauważa.

– Oczywiście – odpowiadam. Z innych jednak powodów, niż mógłby przypuszczać.

– Jak minęła noc? – pyta.

Przez chwilę myślę, że chodzi mu o wizytę Mirandy w moim pokoju, ale wątpię, czy by się uśmiechał, gdyby o niej wiedział.

– Chodzi panu o stację uzdatniania wody? Było ciekawie.

– Spodziewałem się innego słowa.

Wzruszam ramionami.

– Trudno to wszystko naraz przemyśleć.

Nastolatki idą na śniadanie, mijając nas w korytarzu. Gdy widzą rozmawiającego ze mną Moore'a, przyciskają się do ściany, zostawiając nam dużo miejsca.

– Lee opowiedział mi, co się stało – informuje mnie Moore. – Zdaje się, że miałeś jakieś wątpliwości związane z tą misją.

Chcę być szczerzy wobec Moore'a i nie ukrywać przed nim swoich obaw, przynajmniej do pewnego stopnia.

– Tak to można określić – odpowiadam.

– Myślałem, że chcesz być żołnierzem – mówi Moore.

– Chcę.

– Wczoraj brałeś udział w przygotowaniach do bitwy.

– Do bitwy z groźnymi mieszkańcami Manchesteru w New Hampshire?

Twarz Moore'a czerwienieje. Widzę, jak Aaron napina ramiona, szykując się do interwencji.

– Niech mi pan to wytłumaczy – dodaję szybko. – Pomoże mi zrozumieć.

Moore kiwa głową, a jego twarz odzyskuje normalny kolor.

– Znasz historię strzału, który usłyszał cały świat? – pyta.

– Pierwszy strzał wojny o niepodległość.

– Zgadza się. Padł podczas bitwy pod Lexington i Concord, gdzie patrioci po raz pierwszy strzelali do gnębieli kolonii. To była chwila, która zmieniła świat.

– Co to ma wspólnego z wczorajszą nocą?

– Jesteśmy współczesnymi patriotami – wyjaśnia Moore. – My wszyscy, którzy zdecydowaliśmy się zamieszkać w tym obozie. Przygotowujemy się do tego pierwszego strzału. Nie wiemy, kiedy padnie, ale wiemy, że musimy być gotowi. Powiedziałeś, że pragniesz zostać żołnierzem...

– Bardziej niż czegokolwiek.

– Na tym właśnie polega zajęcie żołnierza. Przygotowuje się do dnia, w którym będzie potrzebny dowódca.

Milczę, zastanawiając się nad tym, co powiedział Moore. W mistrzowski sposób posługuje się truizmami, żeby poprzeć swoje poglądy. Łatwo można się zgodzić z okrągłymi, powierzchownymi twierdzeniami, nie kwestionując samych poglądów.

Tym łatwiej więc zgodzić mi się z Moore'em, przynajmniej na razie.

– Rozumiem, co chce pan powiedzieć.

Moore się uśmiecha.

– Wiem, że rozumiesz, Danielu. Mam do ciebie zaufanie. Lee też. Tak mi wczoraj powiedział.

– Naprawdę? – pytam, zastanawiając się, co Lee powiedział ojcu.

Moore przywołuje gestem Francisca.

– Francisco zawiezie cię do domu – oznajmia.

– Do domu? – powtarzam, podnosząc głos.

Zatracać się w postaci Daniela, czuję się, jakbym tracił grunt pod nogami. Daniel otworzył serce przed Moore’em, a on go teraz odrzuca.

– Proszę. Nie chcę wyjeżdżać – mówię.

Przesadzam w grze, chcąc, żeby Moore zobaczył moją rozpacz. Jeżeli mnie wyrzuci, to koniec mojej misji.

Moore unosi ręce, próbując mnie uspokoić.

– Wysyłam cię do domu, żebyś się umówił z rodzicami.

– Na co?

– Żebyś wrócił i został z nami na jakiś czas.

– Na turnus?

– Nie ma już turnusów.

To właśnie próbowała mi powiedzieć Miranda pierwszej nocy w lesie.

– A tamto spotkanie dla kandydatów? – pytam.

Macha ręką, jak gdyby to było zupełnie nieistotne.

– Dla zachowania pozorów. Skończyliśmy z obozami i prowizorycznym działaniem i przeszliśmy do następnego etapu naszego rozwoju.

– Jakiego etapu?

Chcę zadać następne pytanie, ale Moore podchodzi bliżej i patrzy mi w oczy.

– Ufasz mi, Danielu? Nawet jeżeli nie do końca rozumiesz moje metody?

– Ufam.

Moore kładzie mi rękę na ramieniu. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdybym się wzdrygnął, zwłaszcza po tym, jak mnie ścisnął wtedy na parkingu, i jak zobaczyłem, jak zastosował ten sam manewr kleszczowy wobec swojego syna.

Ale nie wzdrygam się. Pozwalam się dotknąć.

Jego dłoń nieruchomo i pewnie spoczywa na moim ramieniu.

– Zrób, co tylko chcesz, żeby przekonać rodziców – mówi. – A potem wracaj do nas.

– Wrócę – obiecuję. – Najszybciej, jak będę mógł.

– WRESZCIE DOSTAŁEŚ ZAPROSZENIE – MÓWI FRANCISCO.

Nie ja pierwszy – odpowiadam.

Idziemy razem od głównego budynku do miejsca, gdzie stoją zaparkowane samochody.

– Nie pierwszy – zgadza się. – Ale w zeszłym miesiącu Moore zamknął obóz. To cud, że w ogóle cię przyjął.

– Dlaczego zamknął obóz?

– Ze względów bezpieczeństwa – wyjaśnia krótko Francisco.

Myślę o żołnierzu, który zginął. Ojciec mówił, że dostał się do obozu. Jeżeli został zdemaskowany, czy to właśnie skłoniło Moore'a do odcięcia obozu od świata? Jeżeli tak, dlaczego go teraz otwiera, żeby mnie przyjąć?

Skręcamy za róg i oglądam się, żeby spojrzeć na główny budynek.

– Wiesz, nigdy nie byłem tam w środku. Przynajmniej nie za korytarzem przy wejściu.

– W końcu tam wejdiesz – mówi. – Mnie też zajęło to trochę czasu. Teraz tam mieszkam.

– Ładnie tam?

– Nie bardzo – przyznaje. – Ale jestem blisko Moore'a. To najważniejsze.

W tym momencie widzę wyłaniającego się zza rogu Lee, który zmierza w stronę głównego budynku.

– Lee! – wołam.

– Pójdę po wóz i tam się spotkamy – mówi Francisco, wskazując na wybetonowany pas z boku budynku.

Kiwam głową i Francisco szybko się oddala.

Patrzę na Lee. Widzę, że mnie zauważył, ale się nie zatrzymuje.

– Zaczekaj chwilę – krzyczę, podbiegając do niego.

Waha się, a potem przystaje, żeby na mnie poczekać.

– Wszystko w porządku? – pytam.

Wzrusza ramionami.

– Twój tato zaprosił mnie do obozu na jakiś czas. Jadę do domu po rzeczy.

– Świetna wiadomość.

– Mówił, że rozmawialiście wczoraj o mnie. Nie wiem, co mu powiedziałeś, ale podziałało.

– Powiedziałem mu prawdę. Nic więcej.

– Prawdę można powiedzieć na różne sposoby.

– Nie mojemu ojcu. Dla niego istnieje tylko jeden sposób.

Patrzy na mnie z poważną miną.

– Zawsze mów mu prawdę. I tak się dowie. Jeżeli go okłamiesz, tym gorzej będzie później.

Słyszę klakson. Z boku budynku zatrzymuje się pikap z Franciskiem za kierownicą.

– Moja podwózka – mówię. – Może uda się nam pogadać dłużej, kiedy wrócę.

Wymijająco kiwa głową. Chcę mu zostawić pozytywne wrażenie.

– Dzięki, że pomogłeś mi się tu dostać – dodaję. – To dużo dla mnie znaczy. Naprawdę. Nie udałoby mi się, gdyby nie ty.

Uśmiecha się.

– Dobra, dobra – odpowiada. – Nie zniosę więcej wazeliny.

– Jeszcze jedno – mówię. – Zabierzesz mnie na strzelnicę, kiedy wrócę? Przez ten karabinek szturmowy mało w spodnie nie narobiłem ze strachu.

Wybucha śmiechem.

– Do zobaczenia – mówi.

PRZY BLOKADZIE NA DRODZE PEŁNI STRAŻ DWÓCH CHŁOPAKÓW Z KARABINKAMI.

Odkąd minęliśmy ją wczoraj, została wzmocniona. Teraz drogę przedziela solidna drewniana bariera i kolczatka, która przebiłaby opony każdego pojazdu mniejszego od półgąsienicowego transportowca.

Uzbrojeni chłopcy witają Francisca skinieniem głowy. Jeden z nich ściąga z jezdni kolczatkę, drugi otwiera barierę.

– Blokada wygląda dość poważnie – mówię, kiedy ją przejeżdżamy.

– Czasy są poważne – odpowiada Francisco, ale nie wchodzi w szczegóły.

Inwentaryzuję w myślach wszystkie środki bezpieczeństwa, które widziałem: jedna droga dojazdowa do doliny z blokadą w wojskowym stylu u jej wylotu; laserowa bariera wokół obozu i wartownicy w nocy; nowoczesna blokada sygnału na terenie obozu i powyżej. To tylko elementy obronne, które zidentyfikowałem. Prawdopodobnie jest ich więcej, niewidocznych.

Co takiego właściwie Moore chroni na terenie Camp Liberty?

Jedziemy stromym półtorakilometrowym wyjazdem z doliny.

– Popatrz do tyłu – mówi Francisco.

Oglądam się za siebie. W dziennym świetle Liberty sprawia wrażenie niemal uroczej wioseczki wtulonej w zieloną przełęcz.

– I co myślisz?

– Mały – mówię.

– Kiedy się patrzy stąd, widać, że obóz ma szczęście, że w ogóle istnieje.

– Dlatego tak ciężko pracujesz, żeby go chronić? – pytam

– Ciężko pracuję, bo to teraz mój dom.

– Jesteś tutejszy?

– Gdzie słyszałeś to słowo?

– Lee mi powiedział.

– Tak, jestem tutejszy – odpowiada. – Coś w tym rodzaju.

– Jak przekonałeś rodziców, żeby ci pozwolili zostać?

– Nie mieli innego wyjścia.

– Jak to?

– Mam już dziewiętnaście lat – wyjaśnia. – Moi rodzice już nie mogą o mnie decydować.

Zwykle potrafię określić czyjś wiek, ale w przypadku Francisca to dość trudne. Długie włosy i broda sprawiają, że wygląda dorosłe, ale gdy teraz spoglądam w jego oczy, widzę, że jest tylko parę lat starszy ode mnie.

– To chyba fajnie być niezależnym – mówię.

– Są plusy i minusy.

Zbliżają się do nas trzy białe furgonetki, jadące w stronę obozu. Droga jest wąska, więc Francisco musi zwolnić i zjechać prawie na pobocze, żebyśmy mogli się wyminąć. Kiedy nas mijają, trąbi klaksonem i macha. Kierowca w pierwszym samochodzie też do niego macha.

Zerkam w okno drugiej furgonetki i w chwili, gdy nas mija, widzę ją.

Nauczycielkę angielskiego z potarganą fryzurą. Tę, która próbowała zastrzelić Moore'a.

W każdym razie wydaje mi się, że to ona. Siedzi z przodu, nie patrzy w moją stronę, włosy ma schowane pod wełnianą czapkę. Rzadko się mylę w takich rzeczach. Moja pamięć

działa jak fotograficzna baza danych, odnotowując rysy twarzy, kształt oczu, fryzury i charakterystyczne cechy postawy ciała.

Jeżeli to jest tamta nauczycielka angielskiego, dlaczego została zaproszona do obozu po tym, co się stało w ośrodku kultury?

Zastanawiam się, czy nie spytać o to Francisca, ale rezygnuję.

Kilka sekund później, gdy furgonetki przejechały, Francisco wyjeżdża z powrotem na drogę. Wchodzimy w długi zakręt, który prowadzi na drugą stronę góry i do cywilizacji.

– Jak myślisz, dlaczego Moore chce, żebym został? – pytam.

– Wiem dlaczego.

– Zamieniam się w słuch – mówię.

– Moore będzie musiał ci sam o tym powiedzieć, jeżeli się zdecyduje. Ale zapewniam cię, że to nie była spontaniczna decyzja. Rozmawialiśmy o tobie przez pół nocy, a potem głosowaliśmy.

– Głosowaliście?

– On i ja.

– Nie Aaron?

– Ja jestem szefem ochrony. Nie Aaron.

Odrobinę prostuje się za kierownicą. Najwyraźniej traktuje to jako powód do dumy.

– Trochę skromnie, skoro głosowaliście tylko we dwóch – zauważam. – No i trudno wyjść z pata.

– Niekoniecznie. Jego głos liczy się podwójnie.

Zjeżdżamy po drugiej stronie góry. Droga się poszerza i Francisco może się bardziej rozpędzić.

– A jak głosowałeś? – pytam.

– Żebyś został. Zdziwiony?

– Trochę. Tak. Zwłaszcza że pierwszego wieczoru byłeś wobec mnie taki wredny.

– Moja praca nie polega na byciu miłym. Nie wobec obcych.

– To na czym polega twoja praca?

– Oceniać. I w razie potrzeby bronić.

– I oceniłeś?

– Oceniałem. Wczoraj wieczorem przyglądałem ci się bardzo uważnie.

Patrzę na Francisca. Jest o wiele bardziej przenikliwym obserwatorem, niż się wydawał na początku. Wygląd dzikusa może łatwo zmylić.

– I co postanowiłeś?

– Głosowałem, żeby cię tu zostawić.

– Nie miałem jeszcze okazji się sprawdzić.

– To nie ma znaczenia. Głosowałem na potencjał.

– A twoim zdaniem mam potencjał? – pytam.

– Większy, niż ci się wydaje.

– Ale wczoraj nie wziąłem nawet tych rękawic od Lee – zauważam.

– Myślisz, że należało wziąć rękawice?

– Mamy wykonywać rozkazy. Tak mi wszyscy powtarzają.

– Wykonujemy – przytakuje Francisco. – Ale nie ślepo. Mamy wybór.

– Co to za różnica?

– Wszyscy na świecie podporządkowują się jakiemuś programowi, wszystko jedno, czy ustalonemu przez szkołę, rodziców, pracę, społeczeństwo. Jest tylko pytanie komu albo czemu postanowią się podporządkować. Większość ludzi nawet nie zdaje sobie sprawy, że ma wybór,

więc brnie ślepo przez życie, zastanawiając się, czemu są tak nieszczęśliwi, skoro robią wszystko, jak należy.

– Ty wybrałeś. To mi chcesz powiedzieć.

– Tak.

– I jesteś z tego zadowolony?

– Na ogół. Tak.

Opuszcza osłonę przeciwsłoneczną, mrużąc oczy, gdy skręcamy w zjazd, który przez chwilę prowadzi nas na wschód.

– W Liberty jest znacznie lepiej niż tam, gdzie byłem wcześniej – dodaje Francisco.

– Gdzie byłeś wcześniej?

– W piekle.

Francisco skręca i poznaje dzielnicę w okolicy domu, w którym dwa dni temu przygotowywałem się z Ojcem do misji.

– Mówiłeś, że mieszkasz niedaleko stąd, zgadza się? – pyta Francisco.

– Możesz mnie wysadzić tu, pod Cumberland Farms. Zanim wrócę do domu, muszę kupić sobie coś do jedzenia. Tak mnie zajęliście, że nie zdążyłem nic przegryźć. Oprócz tej stęchłej mieszanki studenckiej, którą mi wczoraj dałeś.

Francisco szczyrzy zęby w uśmiechu.

– Kiedy wrócisz, dobrze cię nakarmimy – mówi. – Jeżeli wrócisz.

– Wrócę – odpowiadam. – Możesz mi wierzyć.

Wjeżdża na parking i zatrzymuje samochód.

– Z dowozem pod same drzwi – mówi.

Przez chwilę siedzę, nie odzywając się ani słowem. Z początku nie cierpiałem Francisca, ale zaczynam zmieniać o nim zdanie.

– Znajdziesz drogę do obozu, czy trzeba cię będzie przywieźć? – pyta.

– Pewnie przyjadę swoim samochodem.

– Zatrzymaj się przy blokadzie. Powiem im, żeby się ciebie spodziewali.

– Dzięki, Francisco.

Wysiadam z pikapa i idę do Cumberland Farms.

Przeglądam się ze sklepu, jak wyjeżdża z parkingu i skręca na drogę.

Patrzę na dzielnicę. Spędziłem tu jedno popołudnie – naprawdę zaledwie dwa dni temu?

W czwartek w nocy przyszli po mnie żołnierze. W piątek wieczorem pojechałem na spotkanie Moore'a z kandydatami. W sobotę wieczorem odbyło się Polowanie. Teraz jest niedzielne południe.

Mam wrażenie, że minęło więcej czasu, ale to jeden ze skutków braku snu. Zmęczenie upośledza procesy poznawcze, stępia zmysły, zwalnia proces podejmowania decyzji i wypacza postrzeganie. Może się wydawać, że minuta trwa wieczność, a jednak nie zauważa się rzeczy, które dzieją się powoli.

Kupuję kilka napojów węglowodanowych i parę batonów proteinowych. Wychodzę ze sklepu i staję pod drzewem w miejscu, w którym nie widać mnie z drogi. Właściwie potrzeba mi naprawę porządnego posiłku i przespania całej nocy, ale to mi musi wystarczyć.

Wolno przeżuwam baton, popijając słodkim napojem. W ten sposób odbudowuję energię, odzyskując siły i częściowo zdolność koncentracji.

Wyjmuję iPhone'a i przełączam go w zabezpieczony tryb. Tutaj, z dala od obozu, elektronicznej blokady, zasłony gór i potencjalnych zakłóceń, mogę go naprawdę przetestować.

Wybieram ustalony numer, bezpieczny numer Ojca w tym zadaniu.

Zawiadomię Ojca, że idę do tymczasowej kryjówki. Być może już tam na mnie czeka.

Jeżeli nie, wkrótce powinien się tam zjawić, żeby się ze mną spotkać.

Będę musiał wyjaśnić, dlaczego pojechałem do Camp Liberty. Ojciec z początku może być niezadowolony, ale kiedy mu powiem, czego się tam dowiedziałem, na pewno nagrodzi mnie za inicjatywę. Poza tym, skoro mam już pewne pojęcie o planach Moore'a, misja staje się jeszcze ważniejsza.

Słyszę trzy sygnały, a potem trzask. W słuchawce zapada cisza.

Próbuję znowu, tym razem dzwoniąc pod publiczny numer Ojca.

Nie odbiera.

Nie wiem, co się stało z łącznością z Ojcem, ale znam naszą procedurę awaryjną.

Kończę ostatni baton proteinowy i ruszam ulicą w kierunku domu, w którym będę się mógł bezpiecznie schronić.

PO DRODZE ROZGLĄDAM SIĘ PO DZIELNICY, ZWRACAJĄC UWAGĘ NA WSZYSTKO, CO ODBIEGA OD NORMY.

W okolicy panuje spokój. Zwykle niedzielne popołudnie, nic nie budzi moich podejrzeń.

Idę dalej ulicą, dopóki nie odnajduję znajomego biało-żółtego domu.

Numer 578. Na podjeździe ten sam srebrny ford escape.

Poruszam się ze swobodą chłopaka wracającego do domu po porannym spotkaniu z kumplami. Podchodzę wyłożoną kamieniami ścieżką do drzwi i przekręcam gałkę.

Są zamknięte na klucz.

Próbuję jeszcze raz, w drugą stronę. Ciągle zamknięte.

Dziwne.

Podchodzę do bocznej ściany, zaglądam przez okno. Spodziewam się, że elektromagnetyczna folia zasłoni widok, ale tak nie jest. Patrzę na wazonu ustawione nad kominkiem.

Nagle otwierają się drzwi domu.

– Hej! – mówi kobiecie głos.

Odwracam się, gotowy podjąć wyzwanie.

Widzę przed sobą atrakcyjną trzydziestopięcioletnią kobietę w dzinsach i za dużym swetrze. Nie jest dla mnie zagrożeniem. Jest tylko nieco poruszona widokiem jakiegoś chłopaka, stojącego na jej grządce kwiatowej.

Natychmiast przyjmuję niedbałą postawę spokojnego nastolatka.

– Kim jesteś? – pyta kobieta.

– A kim pani jest? – odpowiadam, wzruszając ramionami.

Patrzymy na siebie.

– Jestem właścicielką tego domu. A ty dzieciakiem, który zakrada się do mojego ogrodu.

– Nie zakradam się – wyjaśniam. – Szukam taty.

– Taty?

– Mieszka tu.

– Przykro mi. Mylisz się.

W drzwiach pojawia się mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie widziałem.

Opiekuńczym gestem obejmuje kobietę ramieniem.

– Co się tu dzieje, kochanie?

– Ten chłopak myśli chyba, że tu mieszka.

– To nasz dom – oznajmia jej mąż opanowanym, ale życzliwym głosem, chcąc wyjaśnić nieporozumienie. – Coś powinienem o tym wiedzieć. Co miesiąc płacę ratę kredytu.

– Dwa dni temu to nie był wasz dom – mówię.

– Jest nasz od sześciu lat – odpowiada mężczyzna.

Jeszcze raz patrzę na numer. 578.

Zgadza się ulica, zgadza się numer.

– Są państwo pewni, że to wasz dom?

Przyglądam się uważnie, czekając, aż wyjdą z roli i okażą się agentami Programu, może członkami jakiejś ekipy pomocniczej. Czekam na porozumiewawczy ruch głowy zapraszający mnie pod dach.

Ale nikt nie kiwa głową. Ci ludzie najwyraźniej mówią prawdę.

Czuję, że mam w głowie coraz większy mętlik.

W tym momencie zwracam uwagę, że ich skóra ma dość ciemny odcień jak na tę część kraju, nawet latem.

– Dlaczego są państwo opaleni? – pytam.

Mężczyzna patrzy na mnie dziwnym wzrokiem. Palnąłem głupstwo, ale nie rozumiem zbyt jasno.

– Wygraliśmy wycieczkę na Karaiby – odpowiada mąż. – Byliśmy na urlopie, właśnie wróciliśmy. Zresztą to chyba nie twoja sprawa.

– Nie rozumiem – mówię.

Gorączkowo myślę, usiłując powiązać ze sobą brak kontaktu z Programem i dziwne okoliczności spotkania w domu w Manchesterze.

Chyba widzą, że coś jest nie tak, ponieważ kobieta pyta:

– Dobrze się czujesz?

Nie podoba mi się wzrok, jakim na mnie patrzy. Jak na jakiegoś zagubionego dzieciaka.

– Chcesz wejść na chwilę? – proponuje żona.

– Chwileczkę – powstrzymuje ją mąż. – Nie wiemy, kto to jest.

– Potrzebuje pomocy.

– W takim razie powinniśmy zadzwonić na policję.

– Policja jest niepotrzebna – odpowiada kobieta tonem, jakby jej mąż wygadywał głupstwa.

– Może jest naćpany – mówi mąż.

Nie mogę dopuścić do tego, żeby do sprawy wmieszała się policja. Muszę wziąć się w garść.

– Przepraszam – mówię. – Chyba się pomyliłem. Dopiero niedawno przeprowadziliśmy się do Manchesteru. Wszystkie ulice wyglądają tu tak samo.

– Wejdz na chwilę – prosi żona. – Dam ci szklankę wody.

– Nie – mówię.

– Proszę.

Coś mnie w niej przyciąga. Serdeczny ton albo uśmiech, za którym kryje się troska.

– Może rzeczywiście wejdę – przytakuję.

Nie tylko przyda mi się szklanka wody, ale będę miał okazję rozejrzeć się w domu i sprawdzić, czy na pewno nie trafiłem pod niewłaściwy adres. Zyskam trochę czasu, aby przeanalizować sytuację i pomyśleć nad następnym ruchem.

Patrzę na męża. Kręci głową, jak gdyby już doświadczył takich sytuacji – musiał przystawać na decyzje żony, z którymi się nie zgadzał. Wzdycha i odsuwa się od drzwi, zapraszając mnie gestem do środka.

– Tylko na chwilę – mówi.

– Na chwilę – potwierdzam.

Wchodzę do domu. Natychmiast go rozpoznaję. Ten sam kominek, ten sam zielony koc narzucony na kanapę.

Byłem tu dwa dni temu. Na pewno.

Co się więc stało z moją kryjówką?

Siadam na kanapie, a mąż siada naprzeciwko mnie w fotelu. Patrzymy na siebie skrzepowani, podczas gdy z kuchni dochodzi brzęk szkła.

Po minucie wychodzi stamtąd żona z dwiema szklankami lemoniady, dla mnie i dla swojego męża.

– Mam nadzieję, że może być lemoniada – mówi do mnie.

– Wspaniale.

Cukier to dobre dodatkowe źródło energii. W tym momencie bardzo się przyda.

Mężczyzna pije. Ja też piję. Kobieta się nam przygląda.

– Od kiedy mieszkasz w Manchesterze? – pyta mąż.

Czuję w palcach chłód szklanki. Piję lemoniadę miarowymi łykami, żeby wystarczyło na dłużej.

Przypominam sobie odprawę sprzed dwóch dni, życie chłopaka, którego rolę mam teraz grać.

– Przyjechaliśmy parę miesięcy temu – mówię.

– Przed chwilą mówiłeś, że przeprowadziliście się niedawno – zauważa mąż.

– Niedawno, bo dopiero w tym roku. Moi rodzice przyjechali tu do pracy.

– Chciałbyś, żebyśmy zadzwonili do twoich rodziców? – pyta żona, starając się jakoś pomóc.

Parskam śmiechem. To niestosowne i w jednej chwili budzi w nich czujność. Zauważam, że kobieta rzuca przelotne spojrzenie w róg salonu.

Wtedy to widzę. Niedaleko drzwi wejściowych stoi oparta o ścianę różowa hulajnoga. Kobieta dostrzega mój wzrok.

– To naszej córki – mówi, jak gdyby mnie ostrzegęła, żebym nie ważył się robić niczego niebezpiecznego, nie próbował zakłócić spokoju tej rodziny.

Rodziny.

To nie są agenci Programu. Już to rozumiem. To prawdziwa rodzina, która wróciła do domu z urlopu, zupełnie nieświadoma, co się działo podczas ich nieobecności.

Myślę o swoim ojcu, o tym, jak siadywał w salonie naszego domu w Rochester. Gdy byłem mały, nie mieliśmy telewizora. Mój ojciec w wolnym czasie słuchał muzyki klasycznej i czytał książki. Siedział wsparty na poduszkach w rogu kanapy z nosem w jakiejś nowej powieści. Czasami matka okrywała mu kolana kocem i kładła się obok niego, żeby też poczytać.

Moi prawdziwi rodzice, czytający razem. Wtedy, gdy wszystko wydawało się normalne.

Wzbiera we mnie jakieś uczucie, tak silne, że z moich ust wyrывa się jęk.

Żona bezwiednie kładzie rękę na ramieniu męża.

Zjednoczony front. Właśnie to mi demonstrują. Zgrana para, która w razie potrzeby wyrzuci intruza.

Intruza. Czyli mnie.

Nie ma dla mnie miejsca w tym domu.

– Dziękuję za lemoniadę – mówię.

Wstaję.

Na twarzy żony maluje się ulga. Mąż ciągle zachowuje rezerwę.

Uśmiecham się, próbując rozwiać ich obawy.

– Wiedzą państwo, co sobie właśnie uświadomiłem? Chyba zapędziłem się o jedną ulicę za daleko.

– Och, a więc to tak – mówi mąż, jak gdybym przyznał się wreszcie do błędu.

– Głupio mi – wyznaję.

– Nic się nie stało – odpowiada mąż.

– Przepraszam, że sprawiłem kłopot.

– To naprawdę żaden kłopot – uspokaja mnie żona.

Odwraca się w stronę drzwi. Robi dwa kroki i w tym momencie za naszymi plecami rozbija się okno w salonie, rozpryskując się do środka i bombardując drewnianą podłogę gradem

śmiertelnie niebezpiecznych, ostrych jak brzytwa odłamków szkła.

POTEM WSZYSTKO DZIEJE SIĘ BARDZO SZYBKO.

Trzaska tłuczone szkło, słychać głuchy łomot kul. Wbijają się w ścianę naprzeciw nas, wzbijając w powietrze obłoki pyłu jak małe wulkany.

Mąż krzyczy. Żona odskakuje od źródła hałasu, ale w stronę męża, zasłaniając go ciałem.

W chwili, gdy kryję się w bezpiecznym miejscu, analizuję fakty: to nie jest normalna reakcja cywila. Nadopiekuńcza matka czy żona może osłonić ciałem bliską osobę, ale ta kobieta wykonała taki ruch, jak gdyby przeszła odpowiednie szkolenie – rzuciła się na męża, łapiąc go na wysokości kolan i pociągając na podłogę, być może przeczuwając, że duża prędkość wylotowa pocisku z broni, z której strzelono przez okno, prawdopodobnie pozwoliłaby kuli przebić na wylot jej ciało i trafić w niego, gdyby oboje stali.

Być może kobieta nie pracuje w Programie, ale jest zawodowcem, może była policjantką, która zakończyła służbę, żeby założyć rodzinę. Nie wiem.

Wiem tylko, że jesteśmy pod ostrzałem i że domy na przedmieściach małego miasta w New Hampshire nie są atakowane z broni automatycznej w niedzielne popołudnie.

Powinienem powiedzieć „pod selektywnym ostrzałem”, bo w ścianę trafiło sześć pocisków. Dwie serie z karabinka samopowtarzalnego.

Obracam się i staczam z kanapy na podłogę, nie pokazując się w świetle okna, a potem czołgam się na brzuchu w stronę kobiety i mężczyzny, którzy leżą skuleni na podłodze.

– Ile jest wejść do domu? – pytam.

– Dwa – odpowiada mąż, a równocześnie z nim żona mówi:

– Cztery.

Patrz na siebie.

– Od frontu, z tyłu, boczne i z garażu – wylicza kobieta.

– Zgadza się – przyznaje jej rację mąż.

Podoba mi się ta kobieta. Nawet pod ostrzałem zachowuje inteligencję operacyjną.

Za nami znów słychać brzęk tłuczonego szkła i drzwi od frontu przebija następna seria, świst trzech szybkich pocisków, jeden po drugim.

To oznacza, że dom atakuje co najmniej dwóch ludzi, którzy umieją przewidzieć nasze reakcje.

– Złap się mojego paska z tyłu – mówię do kobiety, czołgając się przed nią, a potem rozkazuję jej mężowi: – Ty złap się jej paska. Pójdziemy razem, jedno za drugim. Trzymajcie się nisko, idźcie za mną. Wyprowadzę was stąd.

Mężczyzna zaczyna o coś pytać, ale w tym momencie w ścianę wysoko nad nami trafia seria kul. To na razie przerywa rozmowę.

Idziemy w przysiadzie w kierunku bocznych drzwi. Tędy prawdopodobnie bezpiecznie wydostaniemy się z domu.

Wybieram boczne wyjście ze względu na przebieg ataku. Jeżeli ktoś chce cicho zająć dom, otacza go ze wszystkich stron i wprowadza zespół do środka. Jeżeli ktoś chce zlikwidować człowieka i nie pobrudzić przy tym rąk, strzela do niego przez okno od frontu. To prymitywna, ale skuteczna metoda, kilka oczek nad ostrzałem z przejeżdżającego pojazdu. Ale ponieważ atak wygląda w taki sposób, oddział prawdopodobnie został skoncentrowany przed domem.

Wyglądam przez boczne drzwi. Czysto. Zaczynam je otwierać, ale kobieta powstrzymuje mnie, łapiąc mnie za rękę.

– Niedługo wróci od koleżanki nasza córka – informuje mnie ze strachem w głosie.

– Niedługo to znaczy? – pytam.
– Za jakieś dziesięć, piętnaście minut.
– Będzie już po wszystkim – uspokajam ją. – Córce nic się nie stanie. Obiecuję.
Patrzy na mnie, próbując ocenić, czy może mi zaufać.
Spoglądamy na siebie. Przekonuję ją wzrokiem, że jestem zawodowcem.
– Kim ty jesteś, do diabła? – pyta.
Słyszę trzask łamanego drewna, dobiegający od drzwi wejściowych.
– Już są – mówię. – Musicie się stąd wydostać, inaczej zginiecie.
Mężczyzna ma szeroko otwarte, niewidzące oczy. Za chwilę będzie w szoku. Kobieta zaczyna hiperwentylować.
– Jesteś potrzebna rodzinie – mówię do niej. – Weź się w garść.
Widzę, że sięga gdzieś w głąb siebie i po chwili jej oddech się uspokaja.
Otwieram boczne drzwi i wychodzę przed nimi, rozglądając się w obie strony.
– Schrońcie się co najmniej cztery domy stąd – mówię. – Mieszka tu ktoś, komu ufacie?
Mąż ma niepewną minę, ale żona wskazuje zielony dom kilka ogródków dalej.
Słyszę, że za nami napastnicy wyłamują drzwi i wpadają do salonu.
– Nie rozumiem, co się dzieje – żali się mężczyzna.
– Wezwij policję – zwracam się do kobiety, a ona wypycha męża za drzwi, przeciska się obok niego i razem przechodzą między krzewami do ogródka sąsiada.
Mógłbym ruszyć za nimi i wydostać się na ulicę, ale dokąd miałbym iść?
Potrzebuję czarnej prostokątnej skrzynki z zestawem do łączności ukrytej w szopie, żebym mógł się skontaktować z Programem, muszę się też dowiedzieć, kim są ci ludzie.
Kiedy więc mężczyzna i kobieta uciekają, żeby się schronić w bezpiecznym miejscu, zakradam się do ogrodu za domem.
Stoi tam jeden człowiek, obserwujący tylne wyjście. Krępy i barczysty.
Stoi odwrócony pod kątem, trzyma odbezpieczony karabinek, ale skierowany lufą do ziemi, gotów go błyskawicznie unieść. Całkiem niezła postawa, ale tylko wtedy, gdy ubezpiecza cię drugi człowiek, osłaniając tył.
Tego nikt nie osłania.
Staję za nim i duszę go, zakleszczając mu na szyi zgiętą w łokciu rękę, a drugą łapiąc się za przegub. Szyja to ośrodek splotów układu nerwowego i naczyniowego, które znajdują się blisko powierzchni ciała. Niewiele trzeba, żeby poważnie uszkodzić człowieka w okolicy gardła.
Nie mam czasu ustalać, kim jest ten człowiek, ani dlaczego robi to, co robi.
Mam tylko czas, żeby go zneutralizować.
Robię to szybko, nie zważając na jego rżenie i charczenie, kiedy usiłuje złapać oddech w moim uścisku. Nauczono mnie, żeby zamiast uważać je za odgłosy wydawane przez człowieka walczącego o życie, uważać je za dźwięk ostrzegający przed zagrożeniem.
Kiedy odgłosy ustają, znika zagrożenie.
W ten sposób, pokonując naturalny ludzki odruch współczucia, łatwiej mogę się bronić.
Potężnie zbudowany mężczyzna zwisa bezwładnie na moich rękach. Puszczam go, żeby osunął się na ziemię, a potem pędzę w stronę szopy na narzędzia.
Gdy jestem w połowie trawnika, widzę, że coś jest nie tak.
Kłódka na drzwiach szopy, która miała elektronicznie odczytać odcisk mojego kciuka...
Zniknęła.
Podbiegam do szopy i szarpnięciem otwieram drzwi.
Nie ma czarnej skrzynki, nie ma broni zamontowanej na ścianie.
Widzę zwykłą szopę, w której przechowuje się sprzęt ogrodniczy.

To i tak nie ma większego znaczenia teraz, gdy od strony domu zbliża się do mnie zagrożenie. Jeden nie żyje, ale atakuje mnie jeszcze co najmniej dwóch.

Tylne drzwi domu otwierają się z trzaskiem i wybiega z nich wysoki mężczyzna. Gdyby był inteligentniejszy, wymknąłby się ostrożniej, ale ten nie jest. Otwiera z rozmachem drzwi, które walą w drewnianą futrynę.

Co oznacza, że muszę działać szybko.

Rozglądam się po szopie. U stóp mam worek ściółki. Wszędzie leżą porzucane małe narzędzia ogrodnicze. Każde z nich mogłoby się okazać śmiertelnie niebezpieczne, ale żadne nie będzie skuteczne w tej sytuacji.

Odwracam się, żeby stawić czoło człowiekowi, który wybiegł z domu, a wtedy mój wzrok pada na oparty o drzwi szpadel.

Łapię go obiema rękami i przygotowuję się do odparcia ataku.

Uwagę wysokiego mężczyzny przyciąga ciało kolegi. Klęka przy nim, żeby sprawdzić puls.

To błąd.

Nacieram na niego, pokonując trawnik w ciągu niecałych dwóch sekund. Kiedy unosi wzrok, szpadel już jest w powietrzu. Tylne ostrze uderza go w grzbiet nosa. Słyszę okropne chrupnięcie, a po chwili widzę strugę krwi.

Padając na wznak, unosi broń, żeby strzelić, ale następuję stopą na lufę i pocisk nie trafia w cel. Mężczyzna jest szybki i drugą ręką sięga po nóż u pasa. Wtedy słyszę jakiś hałas w domu – to trzeci z nich reaguje na wystrzał.

Nie ma czasu na wahania. Zanim wysoki może dosięgnąć noża, robię zamach szpadlem i walę go w bok czaszki z taką siłą, żeby wyeliminować go do końca akcji.

Przyklejam się ciałem do ściany domu, czekając na trzeciego.

Jest inteligentniejszy, czyli ostrożniejszy. Najpierw powoli wysuwa przez drzwi lufę karabinka. Strzał i dwa ciała leżące na ziemi wystarczają, żeby pobudzić go do refleksji, więc lufa zaczyna się cofać do wewnątrz domu.

Nie mogę do tego dopuścić.

Łapię lufę i szarpie tak mocno, że trzymający broń mężczyzna wylatuje za drzwi, uwiązany do karabinka pasem założonym na ramię.

Myślę, że już go mam, gdy nagle wyciąga rękę i odpina klamrę pasa, wpadając z powrotem do domu, a ja tracę równowagę i lecę razem z nim. Szpadel zahacza o framugę drzwi i wypada mi z ręki.

Teraz walczymy wręcz, zmagając się na podłodze i usiłując zdobyć przewagę jeden nad drugim. Mężczyzna jest brutalny, ma twarde mięśnie, doskonale potrafi robić użytek z łokci i kolan.

Obrywam. Ale przyjmuję to z kamienną twarzą. Dopóki nie rozlega się wrzask małej dziewczynki, na którego dźwięk obaj zastygamy na chwilę.

Trwa to nie dłużej niż ułamek sekundy, ale tyle nieuwagi wystarcza, żebym zdobył przewagę nad przeciwnikiem, unieruchomił mu szyję kolanem i szybkim ruchem skrzył mu kark.

Zrywam się na nogi, łapiąc szpadel, i wpadam w drzwi.

Jest i czwarty.

Znalazł boczne wyjście z domu i wymknął się na zewnątrz, czego nie usłyszałem.

Znalazł coś więcej niż wyjście.

Znalazł córkę gospodarzy.

Ma mniej więcej dziewięć lat, jest ubrana w dzinsy i żółtą bluzkę bez rękawów.

Kołnierzyk bluzki jest w drobne białe kwiatki. Nad kołnierzykiem widzę rękę mężczyzny.

Zaciśniętą na jej gardle.

W drugiej ręce mężczyzna trzyma pistolet samopowtarzalny.

To o tej dziewczynce wspominała żona. Niewinna cywilna osoba, która przypadkowo trafiła w niewłaściwe miejsce w niewłaściwym czasie, pechowy świadek wydarzeń, z którymi nie ma nic wspólnego.

Dziewczynka nie powinna mnie obchodzić, ale popełniam błąd i patrzę w jej oczy.

Są ciemnobrązowe, szeroko otwarte, ze zwężonymi ze strachu źrenicami. Nie widzę obcej cywilnej osoby ani świadka.

Widzę czyjaś córkę.

Mężczyzna obserwuje moją twarz, gdy patrzę na dziewczynkę. To zawodowiec. Wie, że to moja chwila słabości.

Rozgląda się, widząc swoich partnerów rozciągniętych na ziemi w ogrodzie i w otwartych drzwiach z tyłu domu.

Kiwa głową, jak gdyby gratulował mi dobrze wykonanej roboty, nadspodziewanie dobrego wyniku.

Ale szans na lepszy już nie mam. Bo przyszedł czas na rewanż.

Zaciska dłoń mocniej na gardle dziewczynki, która zaczyna kaszleć w odruchowej reakcji na duszenie.

Odkładam szpadel.

Unoszę ręce w pokojowym geście i ruszam naprzód. Mężczyzna się uśmiecha. Rozluźnia uścisk, ale nie puszcza.

Odrywa lufę pistoletu od jej głowy i celuje w moją.

Celowanie w czyjaś głowę to mało profesjonalny ruch. Ma wzbudzić strach i pod tym względem jest skuteczny. Nie jest to jednak najlepsza metoda oddania strzału.

Głowy są małe. Głowy poruszają się w przestrzeni. Głowy mogą odwrócić uwagę od tego, co robią ciała.

Moja głowa się nie porusza. Tkwi w miejscu, gdy idę w jego stronę, żeby myślał, że mnie pokonał. W pewnym sensie tak jest. Trzyma dziewczynkę za gardło, w ręce ma pistolet, a ja jestem nieuzbrojony.

Ale w grę wchodzi tu jeszcze pewne milczące oczekiwanie, którego nie jest świadomy nawet tak dobrze wyszkolony żołnierz jak ten. Właśnie je zamierzam wykorzystać, ryzykując życie.

Oczekiwanie, że się zatrzymam.

Trudno jest iść w stronę wycelowanej w siebie załadowanej broni, ale jeżeli już idziesz, jeżeli ktoś każe ci iść, przesądza się z góry, że podejdziesz do broni i się zatrzymasz.

Nikt nie wpada na lufę.

Nikt, kto zna uczucie strachu.

Nikt oprócz mnie.

Kiedy dochodzę do miejsca, gdzie zatrzymałby się zwykły człowiek, przyspieszam. Robię trzy szybkie kroki, które zupełnie go zaskakują.

Obiema rękami zadaję błyskawiczny cios, nasadą dłoni w skronie, jak gdybym uderzał w czołowe. Czaszka ma za zadanie chronić mózg przed uszkodzeniami, ale silny wstrząs może spowodować zderzenie mózgu z twardą kością. Potrafię zadać taki cios, aby wywołać chwilowe zwarcie w układzie elektrycznym mózgu.

Uderzam mocno i szybko, a oczy uciekają mu w głąb czaszki i ręka puszcza szyję dziewczynki.

Wcześniej jednak pada strzał.
W powietrze, ponad moim ramieniem.
W ciągu dodatkowej sekundy odciągam od niego dziewczynkę.
– Biegnij i schowaj się za szopą – mówię do niej, a potem odwracam się i atakuję, nie dając mózgowi mężczyzny czasu na odzyskanie połączenia z rzeczywistością.
Przewracam go na plecy i zrywam mu z ramienia karabinek zawieszony na pasie.
Krzywi się, jak gdyby czekał na strzał, ale nie strzelam. Odwracam broń i trzymając ją za lufę, przyciskam mu kolbę do gardła.
Zwiększam nacisk, powoli miażdżąc mu tchawicę.
– Po co tu przyszliście? – pytam.
Jego oczy biegają na boki w nadziei, że ocknął się któryś z jego partnerów. Nie wie, że zablokowałem taką możliwość.
– Jesteś sam – mówię. – Nikt ci nie pomoże.
Nie chce mówić. Wciskam mocniej kolbę w miękkie struktury pod skórą szyi. Kiedy zaczyna się dławić, odrobinę zmniejszam nacisk.
– Kto was przysłał? – pytam.
– Nie wiem – krztusi.
Naciskam mocniej, czując, jak zaczynają się rozrywać tkanki w gardle.
– Kto?
– Jesteśmy niezależni – udaje mu się powiedzieć. – Dostajemy zlecenia.
– Od kogo?
– Od różnych. Mamy różne zadania.
– Jesteście żołnierzami?
– Byłymi.
– Czyim rozkazom podlegacie?
– Tego, kto nam płaci.
Wyobrażam sobie jego życie. Były żołnierz, kiedyś wierny sprawie, który dziś sprzedaje usługi każdemu, kto zapłaci rachunek.
Przez chwilę jest mi go żal. Mimo że przyszedł mnie zabić i nie miał żadnych oporów, żeby przypadkową ofiarą stała się mała dziewczynka.
Żal mi go. Może właśnie dlatego postanawiam darować mu życie.
Ale w chwili, gdy odsuwam kolbę od jego gardła, przechodzi do działania, wbija łokcie w ziemię, żeby się odepchnąć, zerwać na nogi i przyjąć pozycję do ataku.
Robię zamach karabinkiem, poruszając nim jak wahadłem, i uderzam go w głowę na tyle mocno, żeby go ogłuszyć.
Ale jest wytrzymały. Cios go nie powstrzymuje.
Był dobrym żołnierzem. Teraz to widzę.
Pewnie w swoich czasach był bardzo dobry. Zanim się zbuntował, zanim przeszedł na drugą stronę.
Ale nie teraz.
Teraz sięga po leżący na ziemi pistolet, który upadł, ale został w zasięgu jego ręki.
Chciałem darować życie temu człowiekowi, ale nie zostawił mi wyboru.
Rąbię go kolbą w głowę.
Raz. Drugi. Trzeci.
Ręka wyciągnięta po pistolet drga i nieruchomieje.
W oddali słychać policyjne syreny. To oznacza, że rodzicom udało się schronić. Sądząc po dźwięku syren, mam cztery do sześciu minut, żeby to zakończyć.

Odsuwam się od martwego mężczyzny, patrzę na ciała rozrzucone po ogrodzie. Nie muszę nabierać oddechu. Oddychałem cały czas, spokojnie i miarowo, nawet gdy eliminowałem tych czterech ludzi.

Nachylam się nad ciałem mężczyzny, którego właśnie zabiłem, i sprawdzam mu kieszenie. Znajduję coś w kieszeni na piersi.

To iPhone.

Przesuwam palcem po ekranie. Przez chwilę spodziewam się, że zobaczę zestaw zabezpieczonych aplikacji Programu, ale to idiotyczne.

Po co Program miałby wysłać oddział, żeby mnie zabić? Zwłaszcza taki oddział, niepodlegający żadnej organizacji, używający prymitywnych metod.

Program jest na to zbyt inteligentny.

Ale nie mogę tego teraz roztrząsać. Sprawdzam spis ostatnich połączeń. Dziwne, ilu agentów nie poświęca chwili, żeby wyczyścić telefon przed misją. To jednocześnie aroganckie i głupie, ale pod pewnym względem zrozumiałe. Przed zadaniem prawie nikt nie myśli, że poniesie klęskę, i nie pamięta, że nawet w przypadku klęski musi chronić swoją organizację.

Ten człowiek był jednak dobry. Przed akcją wyczyścił telefon. Nie mogę znaleźć w nim żadnych informacji.

Kiedy wkładam telefon z powrotem do jego kieszeni, wyczuwam pod palcem coś twardego. Badam kieszeń. Jest pusta.

Dotykając jej zewnątrz, wyczuwam mały, twarde przedmiot.

Rozrywam podszewkę i znajduję czarną kartę pamięci microSDHC.

Wsuwam ją do swojej kieszeni.

Za plecami słyszę ciche kroki w trawie.

Odwracam się, gotowy do ataku.

To córka. Patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.

Poruszając się wolno, kładę karabinek na ziemi. Staję przed ciałem byłego żołnierza, zasłaniając go przed jej wzrokiem, bo nie chcę, żeby wrzasnęła ze strachu.

Nie krzyczy.

– Jesteś jeszcze chłopcem – mówi. – Jak to wszystko zrobiłeś?

Patrzyła, jak zabijałem człowieka. Powinna trząść się z przerażenia, nie zadawać pytania.

Zapominam, jak odporne są dzieci. Szczególnie ta dziewczynka. Córka swojej matki.

Podchodzę bliżej, mówiąc łagodnym głosem:

– Musisz iść do sąsiadów. Tam są twoi rodzice.

– Gdzie?

– Tam dalej. W takim zielonym domu. Wiesz, kto tam mieszka?

– Pani Weiss.

– Idź tam i zczekajcie na policję.

– A ty?

– Ja sobie poradzę.

Prowadzę ją między ciałami, starając się je przed nią zasłonić najlepiej, jak mogę. Otwieram furtkę i kiedy jestem pewien, że jest czysto, wypuszczam ją i patrzę, jak biegnie ulicą schronić się razem z rodzicami u sąsiadki.

Syreny wyją coraz bliżej. Słyszę pisk opon, gdy radiowozy skręcają za róg.

Na ulicy gromadzą się sąsiedzi, ośmieleni odgłosami nadjeżdżających policjantów.

Ruszam w przeciwnym kierunku, przechodząc szybko przez kilka ogródków, i wychodzę na ulicę daleko od domu.

Idę wolno, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Myślę tak, jak mógłby myśleć oddział

najemników: zastanawiam się, gdzie się zorganizowali przed atakiem, którzy ruszyli w kierunku domu, jak blisko musieli zaparkować, żeby uciec po wykonaniu zadania. Szukam konkretnego typu pojazdu, na tyle zwykłego, żeby nikt go nie zauważył, ale zaparkowanego w sposób, który będzie wskazywał, że nie należy do żadnego z mieszkańców. Mijając kilka podejrzanych samochodów, szybko je sprawdzam, ale wszystkie wyglądają na dość wysłużone. Niewykluczone, że ci czterej ukradli jakiś wóz, ale wątpię. Nie do takiej operacji, w której musieli narobić hałasu, a potem niepostrzeżenie uciec.

Znajduję go czterysta metrów dalej, na skraju drogi. To chevrolet silverado, zaparkowany pod lekkim kątem, jak gdyby zatrzymał się za szybko. Mijam go i widzę, że w środku jest zupełnie pusto, w uchwycie nie ma nawet kubka po kawie.

Kłękam, jak gdybym chciał zawiązać sznurowadło, i sięgam pod błotnik nad kołem. Moja dłoń trafia na breloczek z kluczami.

Miałem rację. Przyjechali tym pikapem.

Zostawianie kluczyków przy samochodzie to standardowa procedura. Nikt nie może ich nosić, jeżeli nie ma pewności, że wszyscy wrócą z akcji. Pozostawienie kluczyków przy samochodzie pozwala uciec w każdych okolicznościach.

Zanim wsiądę, kładę rękę na masce.

Metal jest chłodny, mniej więcej w temperaturze otoczenia.

Silnik po jeździe stygnie dwie godziny albo dłużej, w zależności od klimatu i intensywności pracy. Gdyby ci ludzie jechali za mną od obozu, zaparkowaliby tu niecałe pół godziny temu. Blok silnika byłby jeszcze ciepły.

Ale zimny silnik oznacza, że już tu byli i czekali na mnie.

Co oznacza, że wiedzieli, gdzie mnie szukać.

Otwieram drzwi pikapa i wsiadam. Na pierwszy rzut oka samochód jest pusty, nic nie leży na siedzeniach, pusta jest tacka na podłokietniku.

W schowku znajduję dowód rejestracyjny i ubezpieczenie wystawione na zwyczajną firmę leasingową.

Sięgam między siedzenia i znajduję czarny nóż z chowanym ośmiocentymetrowym ostrzem.

Nie przepadam za nożami, ale mimo to chowam go do kieszeni. Może mi się przydać.

Uruchamiam silnik. Wyjeżdżam z dzielnicy z normalną prędkością, wymijając radiowozy pędzące obok mnie w kierunku przedmieścia.

Muszę znaleźć jakieś miejsce, w którym mógłbym spokojnie pomyśleć, uporządkować wszystko, co mi się przydarzyło w ciągu ostatniej doby, nie martwiąc się o własne bezpieczeństwo.

Potrzebuję dużego, publicznego miejsca. Gdzie w niedzielne popołudnie panuje duży ruch.

CENTRUM HANDLOWE MALL OF NEW HAMPSHIRE.

Wjeżdżam na wypełniony w trzech czwartych parking, znajduję wolne miejsce na rogu z widokiem na centrum i wszystkie wjazdy i parkuję pikapa tyłem. Przez całe dziesięć minut czekam z włączonym silnikiem, rozglądając się po parkingu i obserwując wjeżdżające i wyjeżdżające samochody. Nie mam żadnego ogona, nie widzę podejrzanych pojazdów ani pieszych, tylko patrol ochrony centrum handlowego w małym elektrycznym autku, który zatacza leniwe koła wokół parkingu z prędkością dziesięciu kilometrów na godzinę.

Wyłączam silnik i zagłębiam się w fotelu, czując, jak po raz pierwszy od wielu godzin opada ze mnie napięcie.

Wyjmuję iPhone'a. Nie ma sensu jeszcze raz dzwonić do Matki ani Ojca, ale może jest inny sposób, żeby przekazać im wiadomość.

Przełączam telefon w zabezpieczony tryb i otwieram aplikację Instagram. Wychylam się przez okno i robię zdjęcia kosza na śmieci. W opisie piszę: „Ale bałagan!”. Potem wstawiam geotag, ale nie ze współrzędnymi centrum handlowego, tylko dzielnicy, w której znajdował się dom. W normalnych okolicznościach wrzuciłbym zdjęcie na monitorowany blog na Tumblrze, a wtedy Program rozpocząłby dochodzenie, natychmiast dzwoniąc do mnie, żeby sprawdzić, co się ze mną dzieje.

Ale zdjęcie nie chce się załadować i na ekranie bez końca obraca się kółko postępu. Sprawdzam telefon, widzę, że mam zasięg, ale nie mam dostępu do specjalnego serwera.

Zablokowane zostały wszystkie kanały łączności z Programem.

Dlaczego?

Analizuję fakty.

Najpierw straciłem kontakt z Ojcem i Matką, teraz z całym Programem.

Nie mam już kryjówki w domu, który został wyczyszczony.

Wreszcie zostałem zaatakowany przez oddział najemników, który czekał na mnie przy kryjówce. Może oddział wiedział, kim jestem, może nie, ale na pewno wiedział, że się tam zjawię.

Nic z tego nie ma sensu.

Cofam się i znów przeglądam listę zdarzeń, tym razem zaczynając od zniknięcia żołnierza Programu, który zginął.

Czegoś nie rozumiem, brakuje mi jakiegoś istotnego faktu.

Jeżeli mam wyciągnąć logiczny wniosek, potrzebuję więcej danych.

Ale skąd je wziąć?

Wyszkolono mnie jako agenta działającego w pojedynkę, samotnego żołnierza, który ma tylko kontakt z Ojcem, Matką i Programem.

Skoro te kontakty zostały zerwane, nikt mi nie może pomóc.

Przynajmniej nikt związany z Programem.

Tylko raz podczas misji złamałem zasady i zwróciłem się o pomoc do kogoś spoza Programu.

Do chłopaka parę lat młodszego ode mnie.

Miał na imię Howard.

WCHODZĘ DO SKLEPU BEST BUY W CENTRUM HANDLOWYM.

Kupuję za gotówkę nowego iPhone'a, zakładam konto na fikcyjne nazwisko i adres mailowy. Mam karty kredytowe wystawione na kilkanaście nazwisk. Ich numery zapamiętuję według algorytmu sekwencyjnego istniejącego tylko w mojej pamięci. Numery są anonimowe, nawet dla Programu, co ma stanowić ochronę przed złamaniem zabezpieczeń danych Programu, choć prawdopodobieństwo takiej sytuacji wynosi jeden do miliona.

Wpisuję zapamiętany numer karty kredytowej i kod zabezpieczający, a potem czekam, patrząc na obracające się na ekranie kółko.

Po chwili karta zostaje zaakceptowana.

Idę z telefonem do oddzielonej części centrum handlowego. Znajduję wolną ławkę i siadam na niej.

Wysyłam SMS-a pod specjalny numer telefonu na kartę, który kupiłem Howardowi w sklepie z elektroniką w Nowym Jorku.

To krótka, ustalona wcześniej wiadomość: **NIE MOŻEMY SIĘ TERAZ SPOTKAĆ.
ZADZWONIĘ PÓŹNIEJ.**

Jeżeli Howard pamięta procedurę, zapisze numer, z którego dostał SMS-a, zniszczy telefon na kartę, a potem zadzwoni z innego aparatu, z którego nigdy wcześniej nikt nie korzystał. Powinno to potrwać nie dłużej niż dwie minuty.

Oczywiście jeżeli pamięta, jeżeli nie stracił odwagi w ciągu tych paru tygodni, odkąd wyjechałem z Nowego Jorku, i jeżeli nic mu się nie stało z powodu tajemnic, o których się dowiedział, kiedy mnie poznał.

Mój iPhone zaczyna wibrować półtorej minuty później.

– Howard? – pytam.

– O kurde – słyszę głos Howarda. – To naprawdę ty.

– To ja.

– O kurde, o kurde, o kurde.

– Też się cieszę, że cię słyszę – mówię.

– Żartujesz? Super, że chcesz pogadać. To niewiarygodne. Myślałem, że zupełnie o mnie zapomniałeś.

Wracam pamięcią do mojego pierwszego spotkania z Howardem w sali w prywatnej szkole na Upper West Side na Manhattanie. Był blady, kędzierzawy i strasznie się pocił, nigdy nie uczestniczył w szkolnym życiu towarzyskim, ale obserwował wszystko z boku.

Uśmiecham się na to wspomnienie.

– Jak mógłbym zapomnieć? – mówię.

Podczas mojej ostatniej misji Howard wykorzystał swoje hakerskie zdolności, żeby pomóc mi w poszukiwaniu informacji o moim obiekcie, burmistrzu Nowego Jorku, i oddzielić prawdę od fikcji. Zaprzyjaźniliśmy się. Powiedziałem mu, kim jestem i co robię. Dowiedział się ode mnie rzeczy, przez które jego życie znalazło się w niebezpieczeństwie.

Gdy wyjechałem z miasta, zapowiedziałem Howardowi, że kiedyś być może do niego zadzwonię. Nie wiedziałem, że to nastąpi tak szybko. Ani że znajdę się w takich opałach.

– Ci się dzieje, Ben? – pyta.

Benjamin. Pod takim imieniem mnie zna z poprzedniej misji.

Muszę bardzo uważać na to, co mówię przez otwartą sieć. Nawet jeśli nasza rozmowa przebija się przez gęsty cyfrowy ruch na północnym wschodzie kraju.

– Dobrze cię słyszeć – mówię.

– Gdzie jesteś? – pyta, ale zaraz przerywa, zanim zdąży zbyć pytanie. – Zaraz, to głupie. Przecież nie mogę cię o to pytać, nie? Zaczekaj, wymyślę lepsze pytanie.

– Howard...

– Wymyślę, tylko daj mi chwilę. To jest trudniejsze, niż myślałem.

– Howard, proszę...

W słuchawce zapada cisza.

– Masz dziwny głos – mówi.

– Dzieją się różne rzeczy.

– Jakie rzeczy?

Zastanawiam się, co to może oznaczać, jeżeli powiem Howardowi o ostatnich wydarzeniach. Czym ryzykuje, jeżeli nie będzie do końca rozumiał, co się dzieje, a czym ja ryzykuję, jeżeli znów się przed nim otworzę.

Ze mną jest inaczej, jestem wyszkolony do podejmowania ryzyka, ale Howard to niewinny człowiek, haker ze szkoły średniej, który ma dziewczynę w Japonii, ale spotkał ją tylko jako awatara w internecie.

– Ben? – odzywa się.

– Co?

– Wszystko jedno, co to jest, ale możesz mi powiedzieć.

Dźwięczą mi w głowie lekcje z Programu. Działam w pojedynkę. Potrafię radzić sobie ze wszystkim sam, nigdzie i u nikogo nie szukając pomocy. W razie wątpliwości mam się kierować instynktem i intuicją.

A jeżeli ktoś działa przeciwko Programowi? Jeżeli Matka albo Ojciec potrzebują mojej pomocy?

Atak oddziału najemników udowodnił, że jestem w niebezpieczeństwie. Zagrożona może być nawet moja misja.

Jestem wyszkolony, żeby pracować w pojedynkę, ale sam nie mogę zrozumieć tej sytuacji. Dzięki umiejętnościom Howarda może uda mi się ustalić, co się stało z Programem, dlatego została zerwana łączność i zniknęła moja kryjówka. Nie mogę mu tego wszystkiego opowiedzieć przez telefon, ale osobiście...

– Potrzebuję twojej pomocy – mówię.

– Co mogę zrobić?

– Przyjechać do New Hampshire.

KAŻĘ MU PRZYJECHAĆ POCIĄGIEM DO EXETER.

Czternastolatek podróżujący pociągiem do Exeter w niedzielne popołudnie nie powinien wzbudzić niczyjego zainteresowania. Umawiam się, że przyjadę po niego na stację za kilka godzin. Potem się rozłączam.

Gotowe.

Po raz drugi w życiu złamałem doktrynę Programu.

Do przyjazdu Howarda zostało mi parę godzin i muszę zostać w publicznym miejscu. Na szczęście mam doskonałą przykrywkę. Jestem nastolatkiem w centrum handlowym w niedzielę.

Najpierw chodzę po centrum, zawracam, przyglądam się odbiciom w witrynach, wchodzę do kilku sklepów i wychodzę, cały czas rozglądając się w poszukiwaniu jakiegoś podejrzanego ruchu wokół siebie.

Nic.

Widzę za to coś innego.

Trzymającą się za ręce parę, która przyszła tu na randkę. Rodzinę kłócącą się, do którego sklepu najpierw iść. Grupkę nastolatków śmiejącą się z jakiegoś żartu, zrozumiałego tylko dla nich.

Widzę normalne życie, życie, którego nie mam.

W razie wątpliwości naśladuj.

Wyszkolono mnie, abym potrafił wtopić się w każde tło, dopasowując zachowanie i energię do danego środowiska. Robię to i w tej chwili. Chodzę po centrum handlowym jak nastolatki, które widzę dookoła. W odróżnieniu od nich jednak, wykorzystuję ten czas, żeby odzyskać siły po zabiciu czterech ludzi.

Idę się ostrzyć. W części gastronomicznej zamawiam małą pizzę. Siadam na fotelu do masażu w sklepie z elektroniką. Potem idę do księgarni Barnes & Noble i znajduję dział prasowy, w którym przeglądam gazety codzienne i czasopisma kulturalne.

Ponieważ nie mieszkam w jednym miejscu, muszę się bardzo starać, żeby śledzić bieżące wydarzenia. Bez porządku dnia, w którym jest czas na szkołę, rozmowy z kolegami i oglądanie telewizji, łatwo stracić rozeznanie w sytuacji na świecie. Muszę dostarczać sobie dużej porcji informacji, żeby rozumieć i znać bieżące wydarzenia, by umieć rozmawiać z ludźmi z otoczenia, nie sprawiając wrażenia przybysza z innego kraju.

Biorę „New York Timesa” i czytam kolejny artykuł o śmierci córki burmistrza Goldberga w Nowym Jorku, śmierci, o której co nieco wiem. Autor tekstu zastanawia się nad liczbą rzadkich i niewyjaśnionych zgonów z przyczyn naturalnych wśród młodych ludzi.

Przyczyny naturalne. Moja specjalność.

Według artykułu burmistrz Goldberg, pogrążony w żalu po stracie córki, nie kontaktuje się z mediami. Coś w postaci samotnego miliardera, który stracił żonę i córkę, poruszyło wyobraźnię świata, zyskując mu rozgłos i międzynarodowe zainteresowanie. Mówi się, że być może wystartuje w następnych wyborach prezydenckich.

Wracam pamięcią do zdarzeń w Nowym Jorku. To bolesne wspomnienie, zupełnie jak gdybym naciskał ranę, która jeszcze się do końca nie zagoiła.

Zacząłem wątpić w decyzje Programu i przeze mnie zginęła dziewczyna. Nie była niewinna, ale dla mnie – na krótką chwilę – była kimś ważnym.

To jednak było wcześniej. Nauczono mnie, jak sobie radzić z tym, co było wcześniej.

Trzeba to odłożyć na bok i zamienić „przedtem” na „teraz”.

Patrzę na zegarek. Minęło całe popołudnie i centrum zaczyna się już zamykać.

Czas jechać po Howarda.

Na koniec wstępuję do Gap kupić nowe ubrania i płócienną torbę.

Zrywam metki z rzeczy, zwijam je w kulę i wpycham do torby, żeby się pogniotły i wyglądały na bardziej znoszone. W toalecie przebieram się w nowy T-shirt i spodnie, wkładam stare ubrania do torby z Gap i wrzucam do dużego, zamykanego pokrywą pojemnika na śmieci, kiedy wychodzę z centrum handlowego.

HOWARD STOI NA SKRAJU ULICY PRZED DWORCEM KOLEJOWYM W EXETER.

Podjeżdżam chevroletem silverado i naciskam klakson, żeby zwrócić jego uwagę. Kiedy mnie zauważa, twarz mu się rozjaśnia. Podnosi z chodnika niewielką torbę podróżną, na ramię zarzuca wielką torbę z laptopem i wskakuje do pikapa.

– Cześć – mówię, ale szybko kładzie palec na ustach, aby mnie uciszyć.

Sięga do torby i wyjmuję kwadratowe urządzenie elektroniczne z trzema miniantenami wystającymi z jednej strony. Gdy pstryka włącznikiem, zapalają się na nim lampki i aparat wydaje pojedynczy pisk.

Howard w skupieniu ściąga brwi. Przesuwa urządzenie po wnętrzu samochodu, próbując namierzyć źródło wywołujące sygnał. Gramoli się przez oparcie fotela do tyłu, omal nie kopiąc mnie przy tym w głowę. Sprawdza tylne siedzenie, ale niczego nie znajduje. Potem wraca do przodu i aparat znów piszczy.

To ja. Ja jestem źródłem.

Na twarzy Howarda widzę niepokój. Skanuje moje ciało, zaczynając od stóp i przesuwając urządzenie w górę. Na poziomie mojej klatki piersiowej urządzenie wydaje ciągły sygnał.

Howard wskazuje na mój prawy mięsień piersiowy, ostrzegawczo trzymając palec na ustach, żebym się nie odzywał.

Sięgam do prawej kieszeni, wyjmuję telefon i mu podaję.

Skanuje telefon, ale urządzenie niczego nie wykrywa.

Jeżeli to nie telefon, to w takim razie co?

Znów przysuwa aparat do mojej piersi i znowu słychać ciągły pisk.

Wskazuje na moją klatkę piersiową, dając mi do zrozumienia, że sygnał pochodzi stamtąd. Patrzymy na siebie.

Howard powoli wyciąga rękę i dotyka kieszeni. Sięga do niej i wyjmuję kartę microSDHC, którą zabrałem dowódcy oddziału najemników pod domem. Zapomniałem, że przełożyłem ją do kieszeni nowej koszuli.

Ogląda kartę pamięci, a potem robi wydech. Wyłącza urządzenie z antenkami.

– Można bezpiecznie rozmawiać?

– Nic się nie transmituje – mówi.

– Co to za aparat?

– Taki drobiazg, który wziąłem ze sobą. Wiedziałem, że masz kłopoty, no to się przygotowałem.

Unosi kartę microSDHC, obracając ją w palcach jak pokerowy żeton.

– Wiesz, co to jest? – pyta.

– Jakaś karta z danymi. Zabrałem ją bandycie.

– Wygląda jak zwykła karta pamięci, ale to co innego. Widzę, że ma inne styki. Musisz mieć jakiś specjalny czytnik, inaczej karta jest do niczego.

– Nie mam takiego czytnika – przyznaję.

– Nie potrzebujesz czytnika – odpowiada. – Masz mnie. – Uśmiecha się. – Chyba się już cieszysz, że do mnie zadzwoniłeś? Bo jestem zarąbiście niesamowity.

Śmieję się i wrzucam bieg.

- Dobrze cię widzieć.
- Brakowało mi ciebie – mówi.
- Mnie ciebie też, bracie.

Bardziej, niż sądziłem. Fakt, że miałem wsparcie Howarda, był najjaśniejszym punktem mojej ostatniej misji. Po raz pierwszy zdarzyło mi się, że mogłem na kims polegać, zaufać komuś, kto nie miał żadnego innego celu poza chęcią przyjscia mi z pomocą.

- Kiepsko wyglądasz – zauważa Howard.
- Dość długo nie spałem.
- Z powodu misji? Wiem, że nie mogłeś o tym mówić przez telefon.
- Dojdziemy do tego – mówię, chcąc najpierw usłyszeć coś więcej od niego. – Jak tam w szkole?

Jego twarz poważnieje.

- Mam skłamać, czy wolisz prawdę?
- Prawda zawsze jest lepsza.
- Do dupy – oznajmia. – Ludzie przez jakiś czas po... tym, co się stało, byli łagodni.

A potem znowu zostałem Fajfusem Howardem i znowu zaczęli mnie tłuc. Nie ma już Sam, która by mnie broniła.

Samara. Dziewczyna, którą kochałem. I którą zabiłem.

- Była moim jedynym przyjacielem – dodaje Howard.
- Nie jedynym – prostuję. – Już nie.

Uśmiecha się.

- Dzięki, Ben.
- Teraz mam na imię Daniel – mówię.
- Zmieniłeś imię?
- Inna misja, inne imię. Nauczylili mnie zmieniać tożsamość. Krótka byłem Benjaminem.
- Jak ci się to wszystko nie miesza?
- Nie przywiązuję się.
- Do imienia?
- Do imienia, do miejsca, do okoliczności zadania. Do niczego.
- A do ludzi? – pyta Howard.

Przecząco kręcę głową.

– Zwłaszcza do ludzi – odpowiadam.

Przygryza wargę, wyraźnie zmartwiony.

- A co ze mną? – pyta po chwili.
- Ty jesteś wyjątkiem – zapewniam go.
- Wiedziałem! – woła rozpromieniony. – Zaraz, to jak właściwie mam do ciebie mówić?
- Mów mi Daniel. To nam pomoże się dogadać.
- Powiesz mi kiedyś, jak się naprawdę nazywasz?

Żyją tylko trzy osoby, które znają moje prawdziwe imię i nazwisko.

Ojciec i Matka. I Mike.

- Kiedyś powiem – mówię. – Obiecuję.
- Daniel. Na razie może być.
- Na razie.
- Przez telefon wydawałeś się przybity – zauważa Howard. – No to mów, co się dzieje.

Waham się, nie wiedząc, ile powinienem zdradzić Howardowi. Ale już tu jest, już się naraża. Zaryzykował wszystko, żeby przyjechać mi pomóc.

- Mam kłopoty.

– To ma coś wspólnego z tą kartą?

– Częściowo.

– Chcę usłyszeć wszystko – żąda.

Nabieram powietrza, niepewny, czy mówić, czy wsadzić Howarda z powrotem do pociągu i prosić, żeby zapomniał o całej sprawie.

Podaję decyzję po niecałej sekundzie.

Odjeżdżam sprzed dworca.

Jadąc do Manchesteru, opowiadam Howardowi o obozie, o zaproszeniu od Moore'a, o tajemniczym zniknięciu Ojca i Programu, o ataku na dom, który miał być moją kryjówką. Słucha, lekko kiwając głową. Nie wygląda na przestraszonego nawet wtedy, gdy ujawniam pewne szczegóły działania Programu i zadań, które dla niego wykonywałem.

Nie opowiadam o poprzednich misjach ani obiektach, ale przekazuję mu wystarczająco dużo informacji, żeby groziło mu wieczne niebezpieczeństwo, żeby narazić na utratę życia jego rodzinę i wszystkie osoby na świecie, które kiedykolwiek znał albo na których mu zależało.

Trzeba mu przyznać, że słucha uważnie, od czasu do czasu zadając pytanie o jakiś szczegół, ale kiedy coś przemilczam, respektuje postawioną przeze mnie granicę.

Kończę, gdy wjeżdżamy na parking przed Holiday Inn niedaleko lotniska w Manchesterze.

Przez jakiś czas siedzimy jeszcze w samochodzie i Howard rozmyśla nad wszystkim, co ode mnie usłyszał. Pochyla się i długo drapie się po kędzierzawych włosach.

– Rozumiem już, dlaczego zadzwoniłeś – mówi. – Strasznie poplątana sytuacja.

– Zastanawiam się nad różnymi scenariuszami, ale nie znam odpowiedzi. Przynajmniej na razie.

Prostuje się, ciągle szarpiąc włosy.

– Chyba powinniśmy zacząć od tej karty pamięci i sprawdzić, co na niej znajdziemy.

Jeżeli uda mi się do niej dobrać, będziesz wiedział dużo więcej o tym... jak ich nazwałeś?

– Oddział najemników.

– Właśnie. O oddziale najemników i ludzi, którzy ich wynajęli. Dowiemy się częściowo tego, co musimy wiedzieć.

– To chyba dobry punkt wyjścia – uznaję. – Czego potrzebujesz ode mnie?

– Prądu – odpowiada. – I cheetosów. Całej masy.

– Da się zrobić – mówię.

WYNAJMUJĘ APARTAMENT W HOLIDAY INN.

Uprzejmie proszę recepcjonistkę o apartament w spokojnej części hotelu, bez sąsiadów za ścianą. Jest dużo wolnych pokoi, więc chętnie spełniają moją prośbę.

Gdy tylko wchodzimy do środka, podważam zamek w drzwiach do sąsiedniego apartamentu i otwieram drzwi. Mamy teraz dwa połączone apartamenty, jeden na fałszywe nazwisko w systemie komputerowym hotelu, drugi w ogóle niefigurujący w systemie.

Wracam do pierwszego apartamentu i widzę, jak Howard opróżnia torbę, wyjmując z niej przewody zasilające, rozgałęźniki, listwy przeciwprzebieciowe, kable koncentryczne. W torbie kryje się miniaturowy sklepik z elektroniką.

- Przywiozłeś jakieś ubrania? – pytam.
- Po co? – dziwi się.
- Żeby się przebrać. Być może zostaniesz tu kilka dni.
- Hakerzy się nie przebierają – oznajmia Howard, jak gdyby pytanie było idiotyczne.
- Mamy ważniejsze sprawy.

Podłącza przedłużacze do gniazdek w obu pokojach, a potem podłącza dwa laptopy, iPada i iPhone'a, zasilacz, karty wi-fi i różne inne niewielkie urządzenia, których nigdy nie widziałem.

- Dobra. Rzućmy okiem na tę kartę.
- Podaję mu kartę microSDHC, ściskając ją w dwóch palcach.
- Tu jest czytnik kart SD – mówi, wskazując niewielkie urządzenie podłączone do jednego z laptopów. – Ale tam jej nie włożę.

Obraca kartę w dłoni, oglądając ją z każdej strony. Potem kładzie ją na niewielkiej matowej szybcie, a na ekranie laptopa za jego plecami wyświetla się schemat. Widzę ukrytą w obudowie karty miniaturową płytkę drukowaną i równie maleńkie elektroniczne elementy.

- Tak jak myślałem – oświadcza Howard. – To w ogóle nie jest karta microSDHC, wygląda raczej na jakieś urządzenie do bezpiecznej łączności, udające kartę microSDHC.
- Nietypowe, co?
- Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Bardzo zaawansowane i skomplikowane. Co wiesz o ludziach, którym to zabrałeś?
- Niezbyt skomplikowani – stwierdzam.
- To znaczy, że dostali tę kartę razem ze specjalnym czytnikiem. Dzięki niemu mogli mieć dostęp do danych, ale gdyby zgubili kartę albo ktoś im ją odebrał, nikt inny nie mógłby jej odczytać. Przypuszczam, że gdyby ją włożyć do zwykłego czytnika kart pamięci, sama się zniszczy.
- Umiesz się dostać do tych danych?
- Howard ogląda schemat, pogwizdując pod nosem.
- To trochę potrwa – mówi.
- Wszystko jedno ile, ale postaraj się.
- Otwiera na laptopie jakiś program. Widzę migoczące na ekranie liczby, gdy kursor przesuwa się po schemacie.
- Opowiedz mi o obozie Moore'a – prosi Howard. – O co im chodzi?
- Uważają, że rząd jest słaby, i próbują coś z tym zrobić.
- Mają rację, nie sądzisz?
- Jak to?

– Bo rząd naprawdę jest słaby. Gdybym chciał, mógłbym się teraz włamać do systemu bankowego, pewnie nawet mógłbym się dostać do sieci Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego i tylko kilkanaście osób zaczęłoby próbować mnie zatrzymać. Kilkanaście osób ochraniających cały rząd.

– Chyba jest ich więcej.

– Dobra, powiedzmy, że sto. Dwieście. Daję głowę, że dział IT w Google jest większy od trzonu specjalistów od cyberbezpieczeństwa rządu USA. Zresztą Google o wiele lepiej płaci.

– Mógłbyś się włamać, ale się nie włamujesz – zauważam. – Dlaczego?

– Bo nie jestem kutasem.

– Inni się włamują.

– To są *Phalli giganticus*. Nie mogę mówić w ich imieniu.

– Ale ich rozumiesz.

Howard wydaje jęk, jak gdyby musiał wytłumaczyć coś nudnego dziecku.

– Dlaczego ludzie to robią? – mówi Howard. – Bo mogą. Bo to ich kręci. Czują się jak pierwszorzędni spece, kiedy mogą zajrzeć do infrastruktury od wewnątrz i zobaczyć, co tam jest. Rozumiem ten impuls. Wiesz, jak w starych filmach, gdzie dzieciaki włamywały się do szkoły w weekend, wchodziły na salę pograć w kosza albo grzebały w biurku nauczyciela, żeby sprawdzić, czy znajdują odpowiedzi do sprawdzianu.

– Oglądałem takie filmy. Ale włamanie do systemu bankowego to coś zupełnie innego.

– Pewnie. Włamywać się do komputerów jest łatwiej. Możesz to zrobić, nie ruszając się z domu, w bieliźnie, gryząc orzeszki. A potem ogłaszasz to grupie znajomych z sieci i parę tysięcy ludzi cię podziwia i obserwuje każdy twój ruch. Potem próbują cię przebić, wchodząc jeszcze dalej, robiąc trochę więcej. Konkurencja jest duża. Rozumiesz, że to atrakcyjne.

– Rozumiem i wiem, że łamanie zasad może kogoś kręcić. Ale Stany były już atakowane przez siły z zewnątrz. Można by się spodziewać, że dzieciaki zamiast się w to włączać, wołałyby stanąć w obronie kraju.

– Chyba nie rozumieją tego w ten sposób – odpowiada. – Niektórzy patrzą na to jak na globalny rząd. Hakerzy kontra establishment, my kontra oni.

– My kontra oni. Tak właśnie myśli Moore.

– Dlatego wysłali cię do niego?

– Nigdy nie wiem, dlaczego mnie wysyłają. Nie muszę wiedzieć. Jestem bronią.

Myślę o tym, co w ciągu ostatnich dwóch dni widziałem w obozie Moore'a.

– Ale tym razem chyba domyśliłem się dlaczego – mówię. – Muszę go koniecznie powstrzymać. To jest najważniejsze.

Zerkam na iPhone, sprawdzając godzinę. Jeżeli mam wrócić, powinienem dotrzeć na miejsce jeszcze przed świtem.

– Czyli wracasz do obozu? – pyta Howard.

– Mam misję do wykonania.

Howard wyciąga z torby iPhone'a.

– Kupiłem go przed wyjazdem z Nowego Jorku – wyjaśnia. – Możemy być w kontakcie.

– Nie mogę do ciebie dzwonić pod numer, który można namierzyć...

– Wiem – przerywa mi. – Użyłem numeru firmowej karty kredytowej Verizon. Pokrywają z niej jakieś wewnętrzne wydatki działu. Nie zorientują się przez dobre parę miesięcy, a wtedy wyczyszczą już wszystkie dane.

– Będę miał włączony telefon – mówię. – Z tym numerem, z którego wcześniej do ciebie dzwoniłem. W całym obozie jest blokada łączności, ale gdybyś mnie potrzebował, wyślij SMS-a, przeczytam, kiedy będę mógł.

– Możesz mi dać jeszcze numer swojego specjalnego iPhone'a?

– Mojego telefonu z Programu? Po co ci?

– Gdybyśmy stracili kontakt. Na wszelki wypadek.

Waham się, nie wiedząc, czy powinienem powierzać Howardowi mój numer telefonu.

Zresztą to idiotyczne, skoro już mu powierzyłem swoje życie.

Podaję mu telefon.

Bierze delikatnie, trzymając go w obu dłoniach.

– Howard, to jest iPhone, nie małe dziecko.

– Nigdy nie miałem na rękach małego dziecka – odpowiada. – Ale wiem, jak szanować elektroniczną własność innych.

Lekko stuka w ekran, otwierając ustawienia, a potem swoim telefonem robi zdjęcie danych. Po chwili oddaje mi mój telefon z Programu.

– Dam ci znać, jak tylko odkoduję kartę SDHC.

– Howard, nie wiem, co bym bez ciebie zrobił.

– Twoje życie byłoby znacznie mniej zarąbiste – mówi.

– Masz rację.

– Naprawdę? – pyta, uradowany, że się z nim zgodziłem.

– Zaryzykowałeś wszystko, przyjeżdżając tutaj.

– Wiem – odpowiada cicho.

– To dużo dla mnie znaczy.

Zanim udaje mi się go powstrzymać, Howard rzuca się na mnie i zgniata mnie w niedźwiedzim uścisku.

– Będę szczery – mówię. – Kiedy to robisz, czuję się nieswojo.

– Tylko raz – obiecuje. – Teraz możesz znowu być twardzielem.

ZOSTAWIAM CHEVROLETA SILVERADO NA DŁUGOTERMINOWYM PARKINGU NA LOTNISKU.

Nie chcę nim jechać do Camp Liberty ze względu na cień prawdopodobieństwa, że samochód może zostać rozpoznany, ponieważ oddział najemników został wynajęty i wyposażony przez Moore'a. Po przemyśleniu tego, co Howard powiedział mi o karcie microSDHC, muszę sobie zadać pytanie, kto dysponuje tak zaawansowaną techniką, żeby umieścić własne urządzenie elektroniczne w karcie pamięci.

Mogli tego dokonać ludzie Moore'a, ale po co by mnie zapraszali, gdyby zaraz po moim wyjeździe z obozu próbowali mnie zlikwidować?

Mimo to nie mogę podejmować takiego ryzyka.

Zostawiam więc pikapa na długoterminowym parkingu, gdzie przez wiele dni nikt się nim nie zainteresuje, i szukam zastępczego wozu, który ma jeszcze ciepły silnik. Jeżeli ktoś przed chwilą zostawił samochód na długoterminowym parkingu, będę mógł korzystać z niego przez co najmniej czterdzieści osiem godzin, zanim zostanie zgłoszone jego zniknięcie.

Chodzę po parkingu w środku nocy, starając się wyglądać jak zmęczony podróżny, który właśnie wysiadł z samolotu i nie potrafi sobie przypomnieć, gdzie dokładnie postawił samochód. Zresztą to nic trudnego. Wchodząc na podjazd, naprawdę się potykam, co mi przypomina, że jestem skrajnie zmęczony i że nawet wyćwiczone mięśnie w pewnym momencie zaczynają zawodzić.

Znajduję nowy model hondy accord i otwieram w iPhone aplikacji Travel Channel. To program z wbudowaną bazą danych i powinien działać bez konieczności połączenia z serwerem Programu.

Stukam w opcję WYBIERZ CEL PODRÓŻY. Na rozwijanej liście znajduję JAPONIĘ, a potem czekam, aż aplikacja poszuka w swojej bazie kodu oryginalnego klucza hondy accord. Gdy go znajduje, przesyła zdalnie sygnał.

Słyszę znajome kliknięcie zamka centralnego, a potem odgłos uruchamiania silnika. Wsiadam i wyjeżdżam z parkingu. Używając biletu, który wzięłam przed kilkoma minutami, wyjaśniam dziewczynie przy bramce, że przez pomyłkę wjechałam na długoterminowy parking, a chciałam na krótkoterminowy.

– Może mi pani policzyć za pięć minut – dodaję z uśmiechem.

Puszcza do mnie oko i unosi szlaban.

KIEDY WRACAM DO CAMP LIBERTY, WSCHODZI SŁOŃCE.

Zatrzymuję hondę przy blokadzie drogowej przed obozem.

Unoszą się lufy karabinków. Do okna samochodu podchodzi uzbrojona dziewczyna.

Patrzy na mnie przez chwilę, a potem jej twarz się rozjaśnia.

– Znam cię – oświadcza. – Widziałam cię dwa dni temu na spotkaniu w ośrodku. Jesteś legendą.

– Nie czuję się legendą. Czuję się jak ktoś, kto musi iść do toalety i zjeść śniadanie. Bez urazy.

– Dziewczyny też chodzą do toalety – odpowiada.

– Nie mam siostry – mówię – więc nie poznałem tych ważnych szczegółów.

Śmieje się.

– Mówili nam, że może cię dzisiaj zobaczymy. Cieszę się, że wróciłeś.

– Ja też – mówię.

– Zawsze fajnie mieć nowego brata.

Pozwalam się ogarnąć uczuciom, jakie mogłyby opanować Daniela Martina: jest dumny, że udało mu się przekonać rodziców, aby pozwolili mu wrócić, trochę spięty przed ponownym wjazdem do obozu, podniecony myślą o udziale w czymś nowym.

Dziewczyna daje znak swojemu partnerowi na blokadzie, żeby opuścił broń.

– Przyjechałeś w idealnym momencie – mówi.

– Na co?

– Na śniadanie – odpowiada.

Macha ręką do chłopaka, który otwiera barierę i zdejmuje z jezdni kolczatkę, otwierając mi drogę do obozu.

PARKUJĘ HONDE I DOŁĄCZAM DO GRUPY DZIECIAKÓW IDĄCYCH DO GŁÓWNEGO BUDYNKU NA ŚNIADANIE.

Do głównego korytarza, gdzie wczoraj zatrzymał mnie Moore, przylega duża jadalnia.

Razem z grupą wchodzi przez podwójne drzwi i ogarnia mnie głośny gwar rozmów i śmiechu. Mieszkańcy obozu siedzą przy długich stołach, gdzie pośrodku stoi szereg półmisków z jedzeniem.

Jak w rodzinie.

Rozglądam się po sali, szukając wolnego miejsca.

W większości misji niezwykle ważne jest to, gdzie siadam, kiedy siadam, jak wchodzi do sali takiej jak ta. Gdybym był teraz w jakiejś szkole średniej, zwróciłbym uwagę na status i zachowanie większości, określając swoją pozycję na podstawie setek znaków tworzących ranking. Ale grupa taka jak ta stosuje inne normy oceny, muszę więc przeformatować swoje myślenie.

Jestem tu gościem. Gość nie musi dopasowywać się do reszty ani sprawiać wrażenia, że czuje się jak u siebie. Wręcz przeciwnie. Zachowuję się niepewnie, nie wiedząc, dokąd mam iść ani co robić. Odzwierciedla to moje ciało – napinam ramiona i oddycham płytko, w nienaturalny dla siebie sposób.

Szukając sobie miejsca, korzystam z okazji i uważnie oglądam salę.

Ale nie obchodzi mnie, gdzie usiądę. Szukam Moore'a.

Muszę znać jego zwyczaje. Gdzie jada, gdzie odbywa spotkania, kiedy chodzi do toalety, wszystko.

Bo to musi być zrobione.

– Daniel! – woła Lee.

Siedzi przy stole po drugiej stronie sali, obok Mirandy. Na powitanie unoszę rękę i ruszam w jego stronę.

– Dzień dobry – witam go.

– Patrzenie, kto wrócił! – mówi Lee.

Miranda lekko kiwa głową, a potem kieruje uwagę na miseczkę z niedojedzoną owsianką.

– Chodź do nas – zaprasza Lee. – Zjedz coś. Wiesz, jaka tu panuje zasada?

– Nie. To mój pierwszy posiłek z grupą – mówię.

– Każdy dba tylko o siebie – wyjaśnia Lee. – Zwłaszcza przy śniadaniu.

– Brzmi brutalnie – zauważam.

– Brutalnie to tu się robi, kiedy skończy się bekon – odpowiada Lee, na co siedzący przy stole wybuchają śmiechem.

Siadam na wolnym miejscu naprzeciw niego i spoglądam na twarze dzieciaków. Witają mnie.

– Przedstawiłbym ci wszystkich – obiecuje Lee – ale przez ostatnie dwa dni poznałeś chyba setkę ludzi. Na pewno nie zapamiętałeś żadnego imienia.

– W tej chwili ledwie pamiętam własne – odpowiadam i grupa się śmieje.

– W każdym razie wszyscy znacie Daniela – zwraca się do stołu Lee. – A jeżeli nie, to go poznacie. Bo zostanie z nami jakiś czas.

Głowy kiwają się z aprobatą.

Łapię talerz i zaczynam pałaszować jajka.

- Jesteś dzisiaj w dobrym humorze, Lee – mówię.
- Czemu nie? Mój ojciec zaproponował ci, żebyś został, a ty chyba skorzystałeś z zaproszenia.
- Nie do wiary, że zaprosił mnie po Polowaniu – odpowiadam.
- Polowanie poszło nieźle – oznajmia Lee. Widzę, jak wokół stołu podnosi się kilka głów.
- Na drugi dzień przejrzał wszystkie statystyki i powiedział, że dobrze się spisaliśmy. Niektórzy przybijają żółwia z sąsiadami z naprzeciwka.
- To ty spisałeś się świetnie – mówię. – Wcale nie dzięki mnie.
- Co to znaczy? – pyta siedząca obok mnie blondynka.
- Zerkam na Lee. Kiwa głową na znak, że mogę powiedzieć, co chcę.
- Nie okazałem się superżołnierzem – wyjaśniam dziewczynie.
- To było twoje pierwsze Polowanie – stwierdza wspaniałomyślnie Lee.
- Fakt – odpowiadam. – Jeszcze do końca nie zorientowałem się w tutejszych zwyczajach. Dostaję za dużo informacji jednocześnie.
- Nie różnimy się tak bardzo od innych miejsc, gdzie ludzie mieszkają razem. Uniwersytetów, szkół z internatem...
- Jasne – przytakuję. – Tak samo jak w Exeter. Tyle że z bronią.
- Dzieciaki przy stole wybuchają śmiechem.
- Stany Zjednoczone mają długą historię alternatywnych środowisk – zauważa Lee.
- W pewnym sensie nawet nasi ojcowie założyciele byli alternatywną grupą. Żyli inaczej, niż dyktowało im społeczeństwo brytyjskie, i przeciwstawiali się prawom, które próbowali im narzucić brytyjscy panowie.
- Porównujesz nasz rząd do brytyjskich władz kolonialnych? – pytam.
- Są podobieństwa – odpowiada Lee. – Duże i silne ciało rządowe odcina się od źródeł swojej władzy. Z czasem traci z nimi kontakt i staje się nieskuteczne, zaczyna dbać o interesy bogatych i wpływowych zamiast zwykłego człowieka.
- Zgoda, są wspólne cechy. Ale jest jedna ważna różnica. To jest nasz rząd i nasz kraj. Możemy się zmienić. Nie jesteśmy kolonią.
- Słyszałeś kiedyś, że ktoś jest „zbyt wielki, żeby upaść”? – pyta Lee.
- Pewnie.
- Jesteśmy zbyt wielcy, żeby się zmienić.
- Myślałem, że zmiany nie da się uniknąć – mówię.
- Nudzicie mnie, chłopaki – odzywa się Miranda.
- Twarz Lee tężeje.
- To są ważne sprawy, Mirando.
- Zaczyna mówić tak głośno, że słyszy go cała sala.
- Miranda spogląda mu w oczy.
- Niezmiernie ważne – przytakuje. – Do tego stopnia, że nie powinniśmy o tym dyskutować przy racuchach.
- Lee rozluźnia napięte ramiona.
- Zgoda – mówi. – Na wszystko jest czas i miejsce.
- Nagle w obozie rozlega się syrena.
- Cała sala zrywa się z miejsc i ludzie szybko, ale w zorganizowany sposób ruszają w stronę wyjść.
- Co się dzieje?
- Ćwiczenia – wyjaśnia Miranda.
- Nie wiadomo, czy ćwiczenia – prostuje Lee.

- Na pewno ćwiczenia – upiera się Miranda.
Patrzą po sobie z niepokojem.
- Co oznacza ten dźwięk? – pytam.
- To syrena ostrzegawcza – mówi Miranda, szybko wychodząc z za stołu.
- Przed czym ostrzega?
- Przed atakiem – mówi Lee.
- Musimy się pospieszyć – ponagla Miranda i wyciąga mnie z sali, a syrena znów zaczyna wyć.

ŁUDZIE BIEGNA.

Zostaję wyprowadzony z jadalni przez boczne drzwi, przy których stoi wyznaczony dyżurny z ręcznym licznikiem, sprawdzając, czy wszyscy wychodzą na korytarz. W domu, przy akompaniamencie jazgoczącej syreny panuje kontrolowany chaos. Zaczyna się pojawiać broń, karabinki i krótkolufowe strzelby. Ludzie przypinają sobie kabury, zajmując wyznaczone pozycje w całym budynku. Gdy przemierzamy się korytarzem, zaglądam do pokoi i widzę, że przy każdym oknie stoją w pozycjach strzeleckich co najmniej dwie uzbrojone osoby, osłaniając teren wokół domu.

Do Lee podbiega sierżant Burch, rzucając mu walkie-talkie.

– Ojciec? – pyta Lee.

– Bezpieczny na górze – odpowiada sierżant Burch.

– To tylko ćwiczenia, prawda? – upewnia się Lee.

– Nic podobnego – mówi sierżant Burch. – To prawdziwy alarm, dopóki nie usłyszymy, że próbny.

– Ale mój ojciec powiedziałby ci, czy to są ćwiczenia.

– Już nie – odpowiada sierżant Burch. – Odkąd...

Zerka na mnie. Kończy, ostrożnie dobierając słowa:

– Odkąd zaczęły się kłopoty.

Twarz Lee ciemnieje.

– Muszę lecieć – zwraca się do mnie. – Mirando, zajmiesz się nim?

– Co mam z nim zrobić? – pyta.

– Ukryj go w jakimś bezpiecznym miejscu, a potem idź na swoją pozycję.

Walkie-talkie trzeszczy i Lee szybko się oddala.

– Dlaczego trzeba mnie ukryć? – pytam.

– Wszyscy mają wyznaczone pozycje – tłumaczy Miranda. – Niebezpiecznie jest kręcić się samemu po obozie.

– Mogę iść z tobą?

– To nie jest dobry pomysł – odpowiada. – Umieszczę cię w wewnętrznym pokoju i dam znać Lee, gdzie jesteś. To prawie na pewno ćwiczenia. Ale jeżeli coś się stanie, któreś z nas po ciebie przyjdzie.

Prowadzi mnie szybko korytarzem, dwa razy mocno puka do jakichś drzwi, a kiedy nikt nie odpowiada, otwiera.

To pozbawione okien pomieszczenie gospodarcze. Miranda daje mi znak, żebym wszedł.

– Przepraszam, nie jest tu zbyt przytulnie – mówi. – Ale to w tej chwili najlepsze miejsce dla ciebie.

– Poradzę sobie – uspokajam ją. – W razie czego mogę się obronić mopem.

– A dzisiaj przy śniadaniu... ignorowałam cię, bo nie chcę, żeby ludzie o nas wiedzieli.

– Rozumiem.

– Naprawdę?

Wchodzi razem ze mną do ciemnego pomieszczenia, zamyka za sobą drzwi. Mocno całuje mnie w usta.

– Myślałam o tobie przez całą noc – mówi.

– Ja też o tobie myślałam – zapewniam ją, choć to w dużej części kłamstwo. Myślałem o misji.

Syrena wciąż wyje w dziesięciosekundowych cyklach, po których następuje dziesięć sekund ciszy.

– Muszę iść – mówi, a potem odwraca się i wybiega ze schowka, zamykając za sobą drzwi.

Po chwili słyszę chrobot klucza w zamku.

Odczekuję minutę, po czym sprawdzam klamkę. Zamknięte.

W korytarzu słyszę tupot nóg wielu osób biegnących na swoje pozycje.

Grupa jest w stanie najwyższego pogotowia, uzbrojona po zęby, u szczytu paranoi. Ale całą energię kierują na zewnątrz, w stronę niewidzialnego wroga.

A jestem w środku. Blisko.

Gdzieś na górze jest Moore.

Doskonały moment do działania.

Sięgam do kieszeni spodni, znajduję nóż, który wczoraj zabrałem z samochodu oddziału najemników. Wciskam przycisk i patrzę na wysuwające się ośmiocentymetrowe ostrze.

Czekam, aż znów odezwie się syrena, a wtedy wsuwam ostrze noża między drzwi a futrynę, przekręcam je mocno, aby powstała szczelina, po czym poruszam nożem tam i z powrotem, naciskając na zamek, dopóki rygiel nie odskoczy.

Wyciągam nóż, otwieram drzwi i jestem wolny.

Ludzie pospiesznie przemieszczają się przez korytarz na swoje stanowiska.

Tym łatwiej mi wyjść z pomieszczenia, zamknąć za sobą drzwi i dołączyć do płynącego korytarzem tłumu.

PORUSZAM SIĘ ZDECYDOWANYM KROKIEM, EMANUJĄC PEWNOŚCIĄ SIEBIE.

Mijając mnie w korytarzu, ludzie witają mnie skinieniem głowy. Zakładają, że wiem, dokąd zmierzam. Nie reaguję.

Mają swoje zadania; ja też mam zadanie. To chcę im dać do zrozumienia.

Posuwam się w stronę środka domu. Jest długim, prostokątnym, trzykondygnacyjnym budynkiem z piwnicą. Moore jest na górze. Tak powiedział sierżant Burch.

Moore jest dowódcą. Na pewno chce kierować akcją.

Wyższe usytuowanie daje przewagę strategiczną. Większy zasięg wzroku, lepsza orientacja na polu walki, możliwość odpowiedniego rozmieszczenia wojsk i rozdziału amunicji.

Idę więc dalej korytarzem, aż wreszcie odnajduję schody.

Stoi tu dwóch wartowników.

Widząc, że się zbliżam, unoszą broń.

– Lee mnie potrzebuje – mówię.

– Mamy nikogo nie wpuszczać na górę – odpowiada nerwowo jeden z chłopaków.

W budynku nadal słychać wycie syreny, wokół nas panuje ruch.

– Spieszę się – naciskam. – Zameldujcie stąd, że już jestem.

– Nie da rady zameldować – mówi, przygryzając wargę.

– Nie dostaliście walkie-talkie? – dziwię się, jak gdybym nie dowierzał.

Zmieszany wbija wzrok w ziemię.

– Nie jestem w DK – mówi. – Nie dają mi sprzętu do łączności.

DK. Skrót oznaczający „dowodzenie i kontrolę”, elitę oficerską odpowiadającą za planowanie działań bojowych i opracowanie strategii. Oznacza to, że tylko góra ma środki łączności, a reszta dzieciaków stoi na swoich stanowiskach, dopóki nie zostanie zawiadomiona o innych rozkazach.

– No i co chcecie zrobić? – niecierpliwie się.

Jeżeli obarczysz za dużą odpowiedzialnością chłopaka, który nie jest do tego przyzwyczajony, prawdopodobnie popełni jakiś błąd.

– Mówisz, że Lee cię potrzebuje?

– Tak mi powiedział.

Niepewnie patrzy na drugiego wartownika.

– Lepiej się pospiesz – mówi w końcu, odsuwając się na bok.

– Dobra – mówię. – Dzięki.

Biegnę na piętro, skacząc po dwa stopnie. Na końcu schodów nie trafiam palcami stóp w stopień i omal nie tracę równowagi. Ratując się przed upadkiem, łapię się poręczy i wciągam na górę, a potem skręcam za róg.

Przystaję na chwilę. Nie mogę popełniać błędów, kiedy działam na pełnych obrotach.

Nakazuję sobie trochę zwolnić, poruszać się na tyle szybko, na ile pozwala brak snu.

Wiem, że budynek ma trzy kondygnacje, ale schody kończą się już tutaj. Nie widzę żadnej drogi prowadzącej na ostatnie piętro.

Przez chwilę jestem zdezorientowany, a potem przypominam sobie coś, czego się uczyłem.

Edo, stara część Tokio, gdzie znajdowała się siedziba szoguna, przypomina labirynt.

Podobno jej układ został celowo zagmatwany, aby zmylić wrogów. Gdyby kiedyś udało im się przeniknąć do miasta, zanim zdążyliby stworzyć jakieś zagrożenie, straciliby orientację i zostali rozgromieni.

Przypuszczam, że w budynku zaprojektowano schody naprzemiennie, żeby utrudnić szybkie wejście lub zejście. Skręcam w korytarz na pierwszym piętrze i ufając instynktowi, szukam ukrytych schodów, które zaprowadzą mnie do Moore'a.

Już po kilku krokach wyczuwam, że ktoś mnie śledzi.

Zatrzymuję się na środku korytarza i staram się ustalić, czy mój cień jest za mną, czy przede mną. Ale gdy stoję, nie wyczuwam go.

Żadnego cienia. W ogóle nic.

Z niewiadomego powodu myślę o nieżyjącym żołnierzu i tym, co mogło mu się przydarzyć w obozie. Czy pewnego ranka tak jak ja tropił Moore'a? Udało mu się do niego zbliżyć? A jeżeli się udało, to co poszło nie tak?

Nie powinienem o tym myśleć. Nie teraz, kiedy idę do Moore'a, kiedy być może mam wreszcie okazję zastać go samego.

Mój tajemniczy cień, kimkolwiek był, zniknął.

Teraz jestem tylko ja, zmierzający w kierunku obiektu.

Skręcam i przed sobą widzę ukryte w rogu budynku schody prowadzące w górę. Stoi tam dwóch strażników, uzbrojonych, z których jeden krzyczy do walkie-talkie. Nie mogę ryzykować i kazać mu, aby przekazał informację ode mnie Lee albo sierżantowi Burchowi.

Robię szybki zwrot i ruszam w stronę innego korytarza w mniej ruchliwej części domu.

Tu schody są niepilnowane.

Zatrzymuję się. Intuicja mi podpowiada, że coś jest nie tak.

Niepilnowane schody daleko w przeciwległym rogu budynku.

Z jednej strony wydaje mi się, że to uśmiech losu. Z drugiej wietrzę pułapkę.

Problem w tym, że jestem zbyt zmęczony, żeby wiedzieć, którego głosu mam posłuchać.

Wejść, czy przerwać misję i czekać na następną okazję?

Szybko oceniam ryzyko i dochodzę do wniosku, że nie pora na wahania. Ruszam po schodach, skaczę po dwa stopnie, przyspieszam i nie zatrzymuję się, dopóki, niezauważony przez nikogo, nie stoję na drugim piętrze.

Piętrze dowództwa.

JEST TU.

Moore.

Słyszę jego głos dobiegający z pokoju na końcu korytarza. Wydaje rozkazy, korygując pozycje obrońców głównego budynku.

Chwilę później z pokoju wychodzą dwaj ludzie z karabinkami. Szybkim krokiem oddalają się ode mnie, nie patrząc za siebie, gdzie na pewno by mnie zobaczyli.

Uśmiech losu. Następnego może już nie być.

Pokój wygląda jak stanowisko dowodzenia, na ścianie wiszą mapy, na stole plan całego kompleksu z kolorowymi szpilkami oznaczającymi pozycje sił.

Mapę na ścianie studiuje długowłosa mężczyzna, odwrócony plecami do mnie.

Obraca się. To Francisco.

– Co tu robisz? – pyta.

– Zdawało mi się, że słyszałem Moore’a.

– Słyszałeś, ale już go tu nie ma. Odpowiedz na moje pytanie.

– Alarm się zaczął, kiedy byłem na śniadaniu. Lee i Miranda kazali mi czekać.

– Na dole?

– Tak.

– No więc dlaczego wszedłeś na górę?

– Byłem ciekawy – wyjaśniam krótko.

Nie wygląda na zaskoczonego.

– Bardzo zdolny z ciebie gość – mówi.

– Nie wiem, co masz na myśli.

– Minąłeś dwa posterunki wartownicze i jeżeli się nie mylę, sforsowałeś drzwi zamknięte na klucz. – Robi krok w moją stronę. – Uważam, że to nadzwyczajne.

– Po prostu zabłąkałem się na górę – mówię. – Poza tym wszyscy tu biegają jak kurczaki z obciętymi głowami. Nie wiem, co w tym nadzwyczajnego.

– Chodźmy się przejść – proponuje Francisco. – Sami.

– Dokąd?

– Muszę naprawić stację przekaźnikową. Możesz mi pomóc.

– Miałem nadzieję, że skończę śniadanie – protestuję.

Robi następny krok w moją stronę. Mówi stanowczym, ale opanowanym głosem.

– Weźmiesz baton proteinowy i zjesz w drodze. Chciałbym, żebyś teraz poszedł ze mną.

– Mam wybór?

Oceniam odległość między nami, kątem okna sprawdzając, czy w pokoju jest jakaś broń.

– Zawsze jest wybór – odpowiada Francisco.

Szeroko rozkłada ręce. Nie wiem, czy to gest przyjaźni, czy zaproszenie do walki.

Patrzę na niego, zastanawiając się, czy powinienem z nim iść, czy od razu to skończyć.

Przypuszczam, że sam na sam dałbym radę Franciscowi. Ale nie o to chodzi.

Chodzi o Moore’a. Jeżeli stanę do walki z Franciskiem, na pewno nie przejdzie to niezauważone i będę się musiał gęsto tłumaczyć. Mogę być zagrożony, a nawet spalony.

Zakładając, że już nie jestem spalony.

Patrzę na Francisca, który przygląda mi się z głębi pokoju. Jego twarz niczego nie zdradza.

Moore’a nie ma, a Francisco proponuje mi marchewkę.

- No to chodźmy – mówię. – Gdzie jest ta stacja przekaźnikowa?
- W górach.
- To chyba będę potrzebował górskich butów, nie?
- Mamy chyba taki sam rozmiar – odpowiada Francisco. – Możesz pożyczyć moje.

ZATRZYMUJEMY SIĘ KOŁO POKOJU FRANCISCA W GŁÓWNYM BUDYNKU.

Czekam w korytarzu, żeby zabrał rzeczy potrzebne na drogę. Zostawia otwarte drzwi, a ja, zerkając do środka, widzę prawie pusty pokój z gołymi ścianami. Albo Francisco mieszka jak mnich, albo wprowadził się tu dopiero niedawno.

Po minucie wychodzi z liną, zestawem narzędzi i dodatkową parą butów.

– Powinny na ciebie pasować – mówi.

– Skąd znasz mój rozmiar?

– Z twojego profilu.

– Jakiego profilu?

– W grze. Widziałem twoje dane. Mamy akurat ten sam rozmiar.

– Świetnie się składa – mówię.

– Prawda?

Idziemy razem do granicy obozu. Syreny umilkły jakiś czas temu, sygnalizując zakończenie ćwiczeń obronnych, ale teren Camp Liberty jest ciągle pusty. Jesteśmy sami, nie licząc jednego wartownika w oddali.

Francisco przystaje w miejscu, gdzie powinna przebiegać laserowa bariera. Z torby wyjmuje jakieś szare kanciaste urządzenie.

– Po co ci to? – pytam

– Mamy pewne zabezpieczenia. Ten aparat wyłącza je na kilka sekund.

Mówi o laserach, ale nie chce, aby myślał, że o nich wiem.

Naciska guzik.

– Masz ochotę na przygodę? – pyta.

– Zawsze.

Rusza naprzód przez obwód obronny. Wchodzę za nim na ścieżkę prowadzącą na zbocze góry. To inna ścieżka niż ta, którą wspinałem się w nocy dwa dni wcześniej. Zaczyna się pod osłoną drzew u stóp wzgórza za obozem, ale szybko przechodzi w wąski i wyraźnie zaznaczony szlak.

– Jak tam, nadążasz? – pyta Francisco po pokonaniu kilkuset metrów.

– Spokojnie.

– Nowe buty mogą być twarde.

– Ja też mogę być twardy – opowiadam.

Krzywo stawiam stopę i potykam się, wykręcając kostkę.

Francisco przystaje.

– Na pewno wszystko gra? – pyta. – Dalej szlak robi się trudniejszy – dodaje.

Dwa dni temu szedłem przez ten las bezszelestnie, ale teraz chwieję się na nogach, brak snu nie pozwala mi się skoncentrować i utrudnia chodzenie.

– Dam sobie radę – zapewniam Francisca.

Patrzy na moje stopy i mruczy pod nosem, a potem rusza dalej.

Ma silne nogi i na szlaku cały czas trzyma się z przodu. Widzę plamę potu na flanelowej koszuli poniżej karku, później pod pachami, wreszcie na całych plecach. Po drodze popija z manierki, ale nie skarży się na upał ani wysiłek, nie podwija nawet rękawów koszuli.

Staram się dotrzymać mu kroku, pijąc dwa łyki na jego jeden, żeby się nie odwoźnić

i przynajmniej w ten sposób bronić się przed wyczerpaniem.

Maszerujemy jeszcze godzinę, aż Francisco zatrzymuje się przy rozwidleniu szlaków. Przez chwilę przygląda się obu drogom, po czym bez wahania skręca w lewo.

Cały czas się rozglądam, aby jak najlepiej zapamiętać teren, nie wiedząc, czy nie będę musiał wracać sam.

Albo mu uciec.

Wychodzimy na polankę na odkrytym szczycie wzniesienia.

Jest już popołudnie, ale na tej wysokości panuje temperatura niższa o kilka stopni.

Francisco przystaje pod strzelistym drzewem, na którym w połowie wysokości widzę ukrytą między gałęzmi niewielką antenę satelitarną.

– To nadajnik satelitarny – wyjaśnia. – Chcesz mnie asekurować?

– W porządku – przytakuję.

– Zepnę nas razem – mówi.

Wpina linę do karabińczyka na pasie i zawiązuje jej koniec, a potem to samo robi na moim pasie. Podaje mi resztę liny.

– Mogę ci chyba zaufać? – dodaje.

– Że nie zrzucę cię ze szczytu góry?

– Że będziesz mnie trzymał, gdybym spadł.

– Możesz mi zaufać – mówię.

Nie ma powodu robić krzywdy Franciscowi. Chyba że mi go da.

Wspina się na drzewo, poprawia coś przy antenie satelitarnej, po czym schodzi bez żadnych incydentów.

– Popatrz – mówi.

Odwracam się i widzę pod nami całą dolinę, obóz jak ułożony z domków z klocków i krętą drogę, która wije się pod górę, znikając z oczu.

Od mojego przyjazdu tutaj minęły ledwie trzy dni. Mam wrażenie, że całe wieki.

– Co myślisz o naszym domu? – pyta Francisco.

– Stąd wydaje się mały.

– Jest mały, ale nasz. Ilu ludzi może powiedzieć, że ma coś takiego w życiu?

Podchodzi do krawędzi urwiska, niechcący kopiąc kamyk, który toczy się przez pół metra, a potem spada w przepaść.

– Możesz podejść bliżej – mówi, lekko pociągając linę u pasa. – Trzymam cię.

Sprawdzam, czy dalej jesteśmy do siebie przypięci.

Korzystam z jego propozycji i robię krok naprzód. Występ skalny jest węższy, niż się z początku wydawało, i nagle się urywa.

Staję na samej krawędzi. Przypominam sobie obóz sportowy w Vermoncie sprzed kilku dni. Stałem na krawędzi skały. Peter przyglądał się, jak skacząc do zimnej wody w dole.

Tu jednak nie ma jeziora. Tylko tysiąc metrów nagiej skalnej ściany.

Wystarczy jeden niewłaściwy krok i runę w przepaść. Jeżeli Francisco jest wystarczająco silny, zatrzyma mój upadek. Jeżeli nie, spadniemy razem.

– Mogłeś wziąć ze sobą kogoś innego – mówię.

– Ale wybrałem ciebie – odpowiada.

– Dlaczego?

Przygląda się dolinie.

– Perspektywa – mówi. – Czasem trzeba zobaczyć, z czym się trzeba zmierzyć, żeby zrozumieć, kim się naprawdę jest.

– A ty z czym się musisz zmierzyć?

– Nie tylko ja, Danielu. My.

Wskazuje rozciągającą się przed nami panoramę niewielkiej doliny, otoczonej ze wszystkich stron górami.

– Mierzymy się ze światem – mówi.

– Wydaje się, że te góry nie dopuszczają tu świata.

– Może na razie. Ale nie na zawsze.

Ustalą jego pozycję za moim plecami, sprawdzając, czy nie zauważę żadnego ruchu w moim kierunku, zmiany postawy ciała, która mogłaby zapowiadać zagrożenie.

– Od niedawna jesteś w Liberty, prawda? – pytam.

– Dlaczego tak myślisz?

– Przedwczoraj Lee rozmawiał z tobą tak, jak gdybyś był kimś obcym.

– Zazdrości mi pozycji u swojego ojca. Ale tak, jestem stosunkowo nowy. I szybko awansowałem.

– Jesteś nowy, ale nazywasz obóz swoim domem?

– Dom to kwestia wyboru – odpowiada. – Jesteśmy u siebie, kiedy uznamy, że jesteśmy u siebie.

Słyszę za sobą cichy trzask. Oglądam się i widzę, że Francisco odpiął z pasa swój koniec liny. A to oznacza, że stoję nad przepaścią sam, bez asekuracji.

Uderza we mnie podmuch wiatru, na tyle mocny, że muszę się odchylić do tyłu, by nie stracić równowagi.

Francisco rzuca na ziemię swój koniec liny i bez słowa skręca na szlak prowadzący z powrotem do lasu.

Zanim znika między liśćmi, daje mi znak, żebym poszedł za nim.

Odpinam linę i zwijam na ramieniu.

Ruszam za nim.

FRANCISCO PROWADZI MNIE GŁĘBIEJ W LAS.

Idziemy w milczeniu mniej więcej dziesięć minut, gdy nagle się zatrzymuje.

– Gdzie jesteśmy? – pytam.

– Tu, gdzie można pogadać – wyjaśnia krótko.

Miejsce jest zacienione szczelną zasłoną z liści, przepuszczającą tylko pojedyncze promienie słońca. Rozglądam się, ale nie widzę żadnych znaków, które odróżniałyby to miejsce od innych.

– Trochę daleko jak na rozmowę.

– Chciałem pogadać z tobą poza Liberty, z dala od elektroniki, bieganiny, tego wszystkiego.

Francisco kuca i podnosi z ziemi sosnową szyszkę. Zaczyna ją łuskać paznokciem.

– Ktoś cię przysłał do Camp Liberty – mówi.

Nie pyta, mówi, jak gdyby to był fakt, o którym już wie.

– Zostałem zaproszony – odpowiadam.

– Nie sądzę.

Cofam się nieznacznie, starając się zwiększyć dystans, żeby zmaksymalizować możliwości działania.

– Masz rację – mówię, przyznając mu rację zamiast się sprzeciwiać. – Przysłał mnie ojciec. Chciał, żebym tego doświadczył na własnej skórze.

– Nie twój ojciec.

– No więc kto?

Francisco opuszcza ręce. Obserwator z zewnątrz uznałby to za naturalny gest – rozluźnienie i obniżenie ramion, otwarte dłonie zwrócone w moją stronę – ale oznacza coś więcej.

Bo kiedy to robi, zupełnie zmienia się jego energia.

– Zostałeś tu przysłany przez tych samych ludzi, którzy przysłali mnie – mówi.

Widzę jego siłę, jego wyszkolenie. Widzę, do czego jest zdolny i co przede mną ukrywał.

Francisco jest żołnierzem Programu.

Tym nieżyjącym żołnierzem, który okazał się bardzo żywy.

Stoi naprzeciw mnie, patrząc na mnie bez zmrużenia powiek, ukazując mi prawdziwego siebie.

– Przyjechałem do Liberty mniej więcej cztery miesiące temu – ciągnie. – Wysłano mnie jako zabójcę. Tak samo jak ciebie.

Dziela nas cztery metry. W razie potrzeby mogę pokonać ten dystans w półtorej sekundy.

– Jeżeli mówisz prawdę, Francisco, dlaczego wpuściliście mnie do obozu?

– Wiedziałem, że po moim zniknięciu przyślą następnego zabójcę. Pytanie brzmiało tylko, kiedy się pojawi...

Robi krok naprzód. Cztery metry zmniejszają się do trzech i pół.

– I czy się zorientuję, kim jest, zanim będzie za późno. Za zgodą

Moore'a zainscenizowałem spotkanie rekrutacyjne w ośrodku kultury.

– Zainscenizowałeś?

– Chciałem to zrobić poza obozem, żeby dać dobrą okazję komuś, kto będzie próbował dopaść Moore'a, a nam okazję dopaść jego.

– A ta kobieta, która próbowała zabić Moore'a?

– Nauczycielka angielskiego? To też był mój pomysł – przyznaje Francisco. – Rodzaj testu. Wiedziałem, że ten scenariusz będzie zbyt kuszący dla potencjalnego zabójcy z Programu. Mógłby nie robić nic i zobaczyć, czy jej się uda...

– Albo mógł się zachować jak bohater i próbować to wykorzystać, żeby się zaprzyjaźnić z Moore'em.

Uśmiecha się.

– A przy tym samemu się wsypać.

Atak nauczycielki angielskiego był pułapką. Dlatego następnego dnia przyjechała furgonetką do obozu. Była jedną z nich, wykonywała rozkazy.

Czuję ogarniający mnie gniew i wstyd z powodu popełnionego błędu. Powinienem pozwolić tej kobiecie strzelić, jeżeli zamierzała. Nie powinienem się demaskować, nawet jeżeli to miało oznaczać, że stracę Moore'a.

– Nie bądź dla siebie taki surowy – mówi Francisco, jak gdyby wiedział, co czuję.

– Nawet po wszystkim nie byłem pewien, czy to ty. Równie dobrze mogłeś być jakimś stukniętym chojrakiem z ulicy.

– Dlatego postanowiłeś pozwolić mi się zbliżyć. I mnie obserwować.

– Zgadza się.

– Duże ryzyko.

– Miałem swoje powody – mówi.

Nie okazuje żadnych agresywnych zamiarów, ale nie wierzę w to, co widzę. Jako agent Programu powinien umieć kontrolować przejawy emocji, zwodzić mnie, żeby uspić moją czujność.

Nie wiem jeszcze, co Francisco chce osiągnąć, ale powtarzam sobie, że muszę bardzo uważać, dopóki go lepiej nie zrozumiem. Oddycham równo, powoli i głęboko, aby mięśnie pozostały natlenione, w stanie najwyższej gotowości.

– Kiedy się dowiedziałeś? – pytam

– Kiedy przestałem mieć wątpliwości? Dopiero dzisiaj rano podczas ćwiczeń.

– Kto jeszcze o tym wie?

– Plan znaleźliśmy tylko Moore i ja. Ostrzeżliśmy przed tobą Lee, nie wdając się w szczegóły, ale jego łatwo przekonać. Wierzył w ciebie.

– A Miranda? – pytam.

Otwiera nieco szerzej oczy.

– To ma dla ciebie znaczenie? – pyta.

Myślę o tamtej nocy, kiedy stała przede mną naga. Czyżby to była tylko sztuczka? Żeby mnie zmylić i sprowokować, żebym się ujawnił? Ta myśl mnie martwi, znacznie bardziej, niż powinna.

– Żadnego znaczenia – odpowiadam. – Ona też nie ma znaczenia.

Francisco wie, że kłamię. Widzę to na jego twarzy.

– Nie wtajemniczaliśmy jej – mówi łagodnie.

Czuję ulgę. Co mnie zaskakuje.

– Czyli wiesz tylko ty. Ty i Moore.

– Zgadza się.

– Przyprowdziłeś mnie tu, żeby mnie zabić?

– Przyprowdziłem cię tu, żeby z tobą pogadać. Bo kiedy cię poznałem, zobaczyłem w tobie coś, czego się nie spodziewałem.

– Co?

– Potencjał.

Upuszcza szyszkę na ziemię. Skupiam się na środku jego korpusu, gotów bronić się przed atakiem.

Ale Francisco nie atakuje.

Zaczyna natomiast opowiadać.

– NAZYWAM SIĘ FRANCISCO GONZALEZ – MÓWI.

Jestem synem meksykańskiego magnata. Mój ojciec zbił majątek na bankowości. Miałem błogie życie dzięki rodzinie, w której się urodziłem, i wrodzonemu talentowi od Boga. Byłem piłkarzem i jeszcze przed szóstą klasą przyjęli mnie do akademii juniorów Cruz Azul. Wyjechałem na trening, kiedy wydarzył się wypadek. Moi rodzice zginęli w katastrofie prywatnego samolotu. Oficjalną przyczyną był błąd pilota.

Błąd pilota. Wypowiedział te słowa jak obelgę.

– Nie wierzysz, że to był wypadek? – pytam.

– Straciłem rodziców, a potem zgłosił się po mnie Program. Ty byś wierzył w wypadek?

– Nigdy nie wiadomo, w co należy wierzyć, kiedy do akcji wkracza Program.

– To prawda – przytakuje. – Program zaproponował mi nowe życie. Po śmierci rodziców byłem kompletnie zagubiony, więc się zgodziłem. Pojechałem z nimi, ale nie wiedziałem, na co się piszę. Nikt z nas nie wie.

Przypominam sobie Matkę siedzącą w pokoju domu, w którym mnie szkolono.

Przypominam sobie, jak po śmierci moich rodziców rozmawiała ze mną pierwszy raz, dając mi wybór między życiem a śmiercią.

– Ile miałeś lat, kiedy po ciebie przyszli? – pyta Francisco.

– Dwanaście.

– Myślisz, że dwunastolatka powinno się stawiać przed takim wyborem?

Życie albo śmierć. Niewielki wybór.

– Czy to ma teraz jakieś znaczenie? – pytam. – Było, minęło.

– Nie mam ci tego za złe – mówi. – Wszyscy w tej samej sytuacji wybraliśmy to samo.

– Wszyscy? Chcesz powiedzieć, że jest nas więcej?

– Kilku.

– Przed tą misją wiedziałem tylko o dwóch. O mnie i tym, który mnie wprowadził.

– Kto to był? – pyta.

– Ma wiele imion. Znam go jako Mike'a.

– Mike. – Twarz Francisca blednie. – Myślałem, że to jego po mnie wyślą.

– Znasz go?

Kiwa głową.

– Jeżeli go znasz, to przecież byś go zobaczył – zauważam.

– Może. Z Mikiem nigdy nie wiadomo.

– Boisz się go – stwierdzam ze zdziwieniem.

– A ty nie?

– Nikogo się nie boję.

– Tak uważasz.

– Bo to prawda.

Uśmiecha się i kręci głową. Nie podoba mi się jego mina.

– Boję się Mike'a nie bez powodu – mówi Francisco. – Boję się, bo Mike to Alfa.

– Alfa?

– Pierwszy. Program zaczął od niego.

– Skąd to wiesz?

– Bo jestem Beta.

Nie wierzę własnym uszom. Program skrywał przede mną tajemnice, ujawniając tylko

tyle, ile jego zdaniem musiałem wiedzieć.

Ogarnia mnie przemożna ciekawość.

– A kim ja jestem? – pytam ledwie słyszalnym szeptem.

– Nie wiesz?

Potrząsam głową.

– Nie mam pewności – odpowiada. – Ale patrząc na ciebie, powiedziałbym, że jesteś

Epsilon.

Epsilon. Piąta litera greckiego alfabetu.

Porządkuję informacje, które przekazuje mi Francisco. Widzę w myślach schemat:

Mike Alfa Francisco Beta ? Gamma ? Delta ja Epsilon – Jest nas pięciu – mówię.

– Może więcej – odpowiada – ale wiem o pięciu.

– Mike jest najstarszy.

– A ty najmłodszy.

– Co się z nami potem stanie? – pytam.

– Też się nad tym zastanawiałem – mówi.

Unikałem tych pytań i niebezpiecznych miejsc, do których mogły mnie doprowadzić takie myśli, ale w rozmowie z Franciskiem pytania same cisną się do głowy.

Co się stanie, kiedy osiągniemy wiek, w którym już nie będziemy pasować do środowiska? Co się stanie, gdy nie będziemy już mogli uchodzić za dzieciaki?

Co się stanie z nastoletnim zabójcą, który już nie jest nastolatkiem?

– Nie wiem, co się stanie – ciągnie Francisco – bo nikt jeszcze nie wyrósł z tego wieku.

Najbliższy jest Mike, ale znalazł sobie dobre miejsce.

– Dobre miejsce?

– Werbownika. Jestem następny w kolejce, ale nie zamierzałem czekać, żeby się przekonać, co się stanie. Zwłaszcza że są lepsze możliwości.

Camp Liberty. Ostatnie zadanie Francisca stało się dla niego okazją do ucieczki.

– Mam do ciebie pytanie – mówi Francisco. – Jakie właściwie było twoje zadanie?

– Moore – odpowiadam.

Przełyka ślinę.

– A co ze mną? – pyta.

Przecząco kręcę głową.

– Myśleli, że nie żyjesz. Nie wysłali mnie po ciebie; wysłali mnie z twojego powodu. Bo nie wykonałeś misji.

Przez jego twarz przemyka grymas bólu. Pociera czoło, naciskając palcami skronie.

Ulega emocjom, o wiele bardziej, niż mógłbym się spodziewać po kimś z takim wyszkoleniem. Ten fakt daje mi do myślenia, wskazuje, jakie mogą być jego mocne i słabe strony.

– Czyli miałeś mnie zastąpić? – upewnia się.

– Tak.

Wybucha gromkim śmiechem, którego echo niesie się przez las.

– A to dobre, zajeście dobre – stwierdza. – Zniknąłem im i nie mogli zrozumieć, jak to się mogło stać, więc powiedzieli ci, że nie żyję, tak?

– Musieli założyć, że nie żyjesz – mówię. – Co innego mogło się stać?

Znowu się śmieje.

– Nie rozumiesz? Wyprowadziłem ich w pole – mówi. – Ich żołnierz zwrócił się przeciwko nim. To takie niepojęte, że mogli tylko uznać mnie za zmarłego. Zapłaciłbym każde

pieniądze, żeby zobaczyć twarz Matki, kiedy zniknąłem.

– Jak udało ci się tak zniknąć, że się o tym nie dowiedzieli? – pytam.

– Zniszczyłem telefon – wyjaśnia. Robi krok w moją stronę, zniżając głos do głośnego szeptu. – I coś jeszcze.

– Co?

Rozgląda się po lesie, sprawdzając, czy wciąż jesteśmy sami, a potem rozpina koszulę i wysuwa jedną rękę z flanelowego rękawa. Jest popołudnie i las jest skąpany w złotym blasku. Francisco przesuwa palce po ramieniu, szukając czegoś.

Podchodzę bliżej, mrużąc oczy, aż wreszcie widzę okaleczenia na skórze na ramionach i piersi, jak gdyby został zaatakowany przez jakieś zwierzę. Niektóre rany są zabliznione, inne jeszcze się goją.

Flanelowa koszula. Nosi ją, żeby ukryć okaleczenia.

– Trochę to trwało, ale znalazłem – dodaje.

– Co znalazłeś?

– Program. Jest w nas.

Wskazuje jedną szramę na bicepsie, blisko stawu barkowego.

– Ty też masz implant – mówi.

– Implant?

– Wszczepili ci chip – wyjaśnia.

Wracam myślami do domu, w którym mnie szkolono. Próbuję sobie przypomnieć jakieś zabiegi medyczne, operacje, coś na tyle inwazyjnego, aby mogło być implantacją.

Niczego takiego nie pamiętam.

– Jaki chip? – pytam, nie wierząc w to, ale chcę, żeby dalej mówił.

– Neurosupresor – mówi. – Już wiesz, jak działa.

– Skąd mam wiedzieć?

– Bo to czujesz – odpowiada. – Likwiduje twój strach.

Patrzę na Francisca stojącego przede mną bez koszuli, w upiornym blasku.

Jestem sam na zboczu góry z kimś wyszkolonym tak jak ja, z kimś, kto jest moim wrogiem, wiedząc, że pomoc i wsparcie są daleko stąd.

Powinienem się bać, ale się nie boję.

Nigdy się nie boję.

Misja za misją, w sytuacjach, w których staję wobec niebezpieczeństw, często ocierając się o śmierć, nie czuję strachu. Pojawia się tylko chwilami i równie szybko znika.

– Powiedzmy, że naprawdę znalazłeś chip. Skąd byś wiedział, jak działa? Powiedzieli ci?

– Nigdy – przyznaje. – Nie powiedzą nam, że przeprowadzają na nas eksperyment. Wiem, jak działa chip, bo go wyjąłem. I wszystko stało się jasne. To coś w rodzaju blokady emocji.

Kiedy czujesz strach, od razu go tłumi i wysyła do twojego mózgu sygnał, który go stępią.

Dlatego nie unikałem najbardziej niebezpiecznych sytuacji i mogłem normalnie funkcjonować. Potrafiłem jasno myśleć bez względu na to, co się działo.

Opisuje moje własne umiejętności. Cechy, które uważałem za część swojej osobowości i efekt szkolenia.

– Nie rozumieją tylko jednego... – ciągnie. – Jeżeli nie czujesz strachu, nie czujesz też radości ani miłości. W każdym razie nie w prawdziwym sensie. Bez strachu nie ma ryzyka. A bez ryzyka satysfakcja nie ma żadnego znaczenia. Prawie nic ci nie zostaje. Stajesz się nieczuły.

Przygląda mi się, badając moją reakcję.

– Wiem, o czym myślisz – mówi. – Gdyby ktoś mi to powiedział cztery miesiące temu, myślałbym to samo.

– O czym myślę?

– Że oszalałem.

Patrzę na Francisca, który poci się mimo panującego w lesie chłodu, patrzę na jego ciało poznaczone setką ran, na szaleństwo w oczach.

– Zgadza się – przytakuję.

– Porównaj to, co mówię, ze swoim doświadczeniem. Przekonasz się, że to prawda.

Uśmiecham się, próbując go uspokoić.

– Wiem, że w to wierzysz.

– Ciągłe nie rozumiesz, co? Mówię ci o tym wszystkim, bo chcę, żebyś wiedział. Żebyś się mógł uratować.

Uśmiech znika z mojej twarzy.

– Nie trzeba mnie ratować.

– Wiesz, jaka jest najlepsza śmierć?

– Znam kilka dobrych.

– Nie chodzi mi o najlepszy sposób zabijania. Najlepszy sposób umierania.

– We śnie.

– Bardzo dobrze. A dlaczego?

– Kiedy śpisz, nie wiesz, że umierasz – odpowiadam.

Kiwa głową.

– Właśnie tak jest z tobą. Umierasz i nawet o tym nie wiesz. Próbuję cię obudzić.

Znów robi krok w moją stronę. Patrzę na ślady cięć na jego rękach.

– Znajdź miejsce, gdzie kość ramienna łączy się ze stawem łokciowym. Sprawdź dwa centymetry głębiej.

Nie mogę go dłużej słuchać. To podstęp. Próbuje mnie zmylić, zmusić mnie do zmiany pozycji rąk, żeby zaatakować.

– Sprawdź – powtarza ze zniecierpliwieniem w głosie.

– Nie ma co sprawdzać – oznajmiam stanowczo i odsuwam się od niego.

Patrzy na mnie zdumiony.

– Jesteś ich własnością – mówi szeptem.

– To nie jest własność – protestuję. – To lojalność. Jestem żołnierzem.

Potrząsa głową.

– Też tak myślałem. Uczyli mnie, że mam zapomnieć o moim dawnym życiu i zastąpić je lojalnością wobec nich. Ale nie dokończyli. Bo wspomnienia wróciły. U mnie to trwało parę lat, ale wróciły. Chip działa tylko na strach. Reszta zostaje, stłamszona przez szkolenie. Dopóki nie dojdzie do głosu.

Myślę o moich wspomnieniach, które wracają między misjami. O tym, że gdy zamykam oczy, ciągle widzę swojego ojca, że czasem odwiedza mnie w snach.

– Ci, dla których pracujesz – dodaje Francisco – to nie są dobrzy ludzie.

– Bronią kraju – sprzeciwiam się. – To patrioci.

– Nie – odpowiada. – Kiedy pamiętasz, wszystko wygląda inaczej.

Muszę pamiętać tylko o jednym. O moim wyszkoleniu. O rzeczach, które nauczono mnie robić, i o sposobie, w jaki mam je robić.

– Potem będziesz szukał chipu – dodaje.

Przesuwa palce po ranach przecinających wzdłuż i wszerz klatkę piersiową. Niektóre już się zagoiły, inne są jeszcze różowe i świeże.

– Musiałem dość długo szukać – ciągnie. – Ale w końcu znalazłem. Ty też znajdziesz. Przekonasz się, że powiedziałem prawdę, i uciekniesz.

- Nie szukam ucieczki – mówię.
- Ciągłe śpisz – stwierdza. – Żal mi cię.

Kiedy to mówi, słyszę nutę kpiny w jego głosie, na ustach dostrzegam drwiący uśmiezek.

– A ty? – wybucham gniewem. – Siedzisz w Liberty, uczysz się, jak zatruwać wodociągi, wysadzać elektrownie jądrowe czy co jeszcze macie w planach, i nazywasz to przebudzeniem? Jesteś terrorystą.

Twarz mu tężeje. Ostrzegawczo unosi palec.

– Nie waż się używać tego słowa – grozi.

– Moore nazywa to inaczej?

– Nie zgadzam się ze wszystkim, co robi Moore – mówi – ale cel uświęca środki.

– Jaki cel? Jesteś takim żołnierzem jak ja, Francisco. Wyszkolono cię, żebyś bronił kraju, a nie próbował go rozmontować.

– Ciągłe jestem żołnierzem – odpowiada. – Tylko że mam teraz inną misję.

– Jaką misję?

– Obudzić ten kraj.

– Już się obudził. Jedenasty września. Zamach bombowy na „USS Cole”. Wojna w Iraku. Ataki w Syrii. Ludzie nie śpią, są świadomi i nie potrzebują twojej pomocy.

– A co z nami? – pyta.

– Z nami?

– Z Programem. Z tym, co kraj robi za ich plecami. Tego też są świadomi?

Widzę, że jestem tu jedynym patriotą. Francisco stał się kimś innym.

Zdrajcą.

Zdradził, a ja nie mogę na to pozwolić.

Dlatego atakuję.

W ułamku sekundy pokonuję dzielące nas trzy metry i zadaję mu błyskawiczny cios w środek klatki piersiowej, który go obezwładnia. Potem szybko obracam się bokiem, łapię go za ramię i szarpnię, waląc jego ciałem o drzewo.

Po minimalnym czasie reakcji przechodzi do kontry. W jednej chwili zmienia się jego energia, gdy z atakowanego staje się atakującym, a przejście jest tak płynne, że łatwo można go nie zauważyć.

Nie zauważyć i zginąć.

Takie ma świetne wykszolenie.

Celuje w moją głowę, ale robię unik i przyjmuję siłą ciosu na bark. Nawet to wystarcza, żebym poczuł wstrząs w całym ciele.

Rozdzielamy się między drzewami i patrzę na niego, na jego mięśnie grające pod obnażoną skórą.

Jego ciało, jego styl, jego czas reakcji – wszystko to znam aż za dobrze. Mam wrażenie, że walczę sam ze sobą.

– Nie musi tak być – mówi.

– A jak inaczej?

– Pytałeś, dlaczego wpuściłem cię do obozu zamiast cię zabić. Bo wiedziałem, że masz wątpliwości co do Programu. Tak samo jak ja, kiedy tu przyjechałem.

– Mylisz się – mówię.

Ale to nieprawda.

Miałem wątpliwości w trakcie ostatniego zadania. Mam je i teraz. Wątpię w cel mojej obecności w obozie, a przede wszystkim w jej powód.

– Popatrz na mnie. Odzyskałem swoje życie. Ty też mógłbyś odzyskać swoje.

– Mam już życie – odpowiadam.

Nacieram na niego, pozorując wysoki cios, ale atakując nisko, na poziomie jego stóp.

Nie daje się złapać na haczyk, ale odpowiada kopnięciem, przechodząc nagle na tajski boks. Natychmiast dopasowuję styl walki i w powietrzu śmigają nogi, zderzają się z trzaskiem golenie. Robię unik przed kopnięciem z półobrotu i kontruję, mierząc w klatkę piersiową, ale moja noga mija cel o włos.

Tracę przy tym równowagę, a on to wykorzystuje i rzuca się na mnie.

Jest równie szybki jak ja i równie inteligentny. Nie może mi jednak dorównać. Nie do końca.

Bo porzucając swoją misję, nie stał się silniejszy. Stał się słabszy. Coś wewnątrz niego pękło. Wyczuwam to tak, jak zwierzę wyczuwa słabość innego zwierzęcia. Mimo pozornej siły, wyszkolenia, wyrachowania, inteligencji...

Wewnątrz

jest uszkodzony. Agent operacyjny, który przerwał działania operacyjne. Nie można dopuścić do zaistnienia takiej sytuacji.

Nagle w mojej kieszeni rozlega się sygnał telefonu, pojedyncza vibracja sygnalizująca nadejście wiadomości.

Francisco wyczuwa u mnie chwilową dekoncentrację i wykorzystuje okazję, atakując mnie bocznym kopnięciem, a potem poprawia druzgocącym ciosem w pierś, po którym osuwam się bokiem po pniu drzewa.

Kopnięcie jest tak potężne, że tracę oddech, a przez całe ciało przebiega mi dreszcz.

Francisco ma taką siłę i wyszkolenie, że potrafi zabić jednym kopnięciem.

Ciosem w serce. Piętą w klatkę piersiową, z lekkim skrętem w ostatnim momencie, żeby poprawić kąt, strzaskać żebra, przebić worek osierdziowy i zatrzymać akcję serca.

Byłem w złej pozycji i cios trafił mnie w sam środek. To znaczy, że Francisco mógł mnie zabić, ale tego nie zrobił.

Celowo zmniejszył siłę kopnięcia, ratując mi życie.

Dlaczego?

Pewnie zobaczył moją dezorientowaną minę, bo odpowiada na pytanie, które nie padło.

– Wyobraź sobie... czego moglibyśmy razem dokonać przy naszym wyszkoleniu i sprawności.

– Dokonać? Gdzie? U Moore'a? Zamieniłeś służbę w Programie na służbę u szaleńca.

– Przyznaję, ma swoje problemy, ale można wpłynąć na jego poglądy. Moglibyśmy zrobić to razem, stworzyć coś wyjątkowego.

Zastanawiam się nad połączeniem sił z Franciskiem. Jest coś fajnego w wizji wspólnego działania, w myśli o żołnierzach, którzy zamiast zmagać się samotnie, tworzą zespół.

– Spędziłeś tu dopiero trzy dni – mówi Francisco. – Rozumiem, że może jeszcze nie dojrzałeś do decyzji, ale daj sobie trochę czasu, żeby poznać Moore'a. Daj nam czas, żebyśmy mogli o tym razem pogadać.

Waham się, czując, jak zaczyna we mnie kiełkować ziarenko wątpliwości.

– Nie mam czasu – mówię z naciskiem.

Mam misję. Nie mogę dać się podejść.

– Posłuchaj – nie ustępuje Francisco. – Chcę ci rzucić koło ratunkowe.

– Nie chcę twojego koła. Zdradziłeś Program – mówię. – Zdradziłeś swoje szkolenie, wszystko, w co wierzyłeś.

– Nigdy nie wierzyłem – odpowiada. Wpatruje się we mnie, przebijając wzrokiem

półmrok panujący w lesie. – A ty?

W tym momencie atakuję. Zadaję mu okrężne kopnięcie w bok głowy.

Jest zaskoczony moją szybkością. W ciągu niecałej sekundy z zupełnego bezruchu wyprowadzam błyskawiczny cios.

Unosi ręce, żeby się bronić, a wtedy uderzam jeszcze raz.

Próbuje podnieść z ziemi gałąź, ale jestem za szybki. Zadaję trzeci cios.

Usiłuje się odezwać, ale nie czekam, żeby usłyszeć, co ma do powiedzenia.

Dość już usłyszałem.

Wyszkolono mnie, żebym zabijał, nie zostawiając śladów.

Znam na to dwadzieścia kilka sposobów. Kiedy nie mam specjalistycznego narzędzia, umiem sobie poradzić gołymi rękami albo używając przedmiotów z otoczenia. Jeżeli chcę, zawsze potrafię zabić w niewykrywalny sposób.

Ale nie teraz.

Teraz biorę w dłonie jego głowę i rąbię nią o drzewo.

Wiotczeje mi w rękach, uchodzi z niego duch walki.

Przygważdżam go do pnia, naciskając dłonią na gardło i powoli go dusząc.

– Powiedziałeś wcześniej, że mnie rozpoznałeś – mówię.

Wydaje jęk, więc uderzam go w twarz, żeby oprzytomniał.

– Posłuchaj – rozkazuję. – Wcześniej mówiłeś, że patrząc na mnie, wiedziałeś, że to ja jestem Epsilon. Co miałeś na myśli?

– Twoją twarz – pada z zakrwawionych warg. – Jest znajoma.

– Jak może być znajoma, jeżeli nigdy wcześniej mnie nie widziałeś?

– Jesteś podobny do ojca.

Odrywam rękę od jego szyi. Staję przed nim, nie próbując przygotować się na kontratak

– Znałeś mojego ojca? – pytam.

Patrzy na mnie spuchniętymi oczami, w których maluje się zaskoczenie.

– Nie wiesz, prawda? – pyta.

– Czego?

– Jak się dostałeś do Programu. Kim naprawdę jesteś.

– Mike mnie wprowadził.

– Ale dlaczego? Musiałeś sobie coś pomyśleć.

Myślałem. Nikt nie jest niewinny, nikt, kogo Program postanawia zlikwidować. Wszyscy coś zrobili, żeby to na siebie ściągnąć.

Mój ojciec coś zrobił, żeby to na siebie ściągnąć.

Tylko co?

Wtedy Francisco mnie atakuje, biorąc szeroki zamach, w ostatniej rozpaczliwej próbie ocalenia siebie. Źle jednak oblicza czas i jest ciężko ranny. Robię unik i cios nie trafia w cel, ale ześlizguje się po mojej czaszce na tyle mocno, że zaczyna mi dzwonić w uszach.

Przypomina zwierzę, ranne, ale niebezpieczne do samego końca.

– Kim jestem? – pytam.

– Nie mogę ci powiedzieć – mówi.

– Nie wiesz.

– Nie mogę – powtarza.

Skaczę na niego, klękając mu na klatce piersiowej i zamykając dłonie na jego gardle.

– Nie możesz mi powiedzieć, kim jestem, bo nie wiesz – mówię.

Jego twarz staje się trupioblada – to znak krwotoku wewnętrznego. Szamocze się pode mną, a z kącika ust sączy się lepka strużka krwi, wsiąkając w ziemię.

Kiedy się odzywa, ma chrapliwy głos.
– Nie powiem ci, bo sam musisz się tego dowiedzieć.
Zaciskam palce na jego gardle.
Z trudem łapie oddech, patrząc na mnie.
Spoglądam mu w oczy i ściskam mocniej.
Skupiam się tylko na jednym. Muszę zmiażdżyć tego chłopaka.
Przypuszczam, że zanim zwrócił się przeciwko nam, powiedział o Programie Moore'owi.
Myślę o tym, jak powstrzymał Lee w stacji uzdatniania wody, nie dlatego, że miał moralne opory przed działaniem, ale dlatego, że czekał na instrukcje od Moore'a.
Usiłuje nabrać powietrza, ale odcinam mu dostęp.
Zdrajca. Chłopak, który był jednym z nas, ale już nie jest.
Ochronię Program przed szkodami, które wyrządził. Ochronię kraj przed zamachami terrorystycznymi, które mógłby przeprowadzić, gdyby nie został powstrzymany.
Telefon w mojej kieszeni wibruje i wibruje. Ktoś pilnie chce się ze mną skontaktować, ale wibracja dociera do mojej świadomości jak dalekie brzęczenie muchy.
Wydaje się, że czas stanął w miejscu. Jest tylko ta chwila i moja misja.
Chronić Program.
Zniszczę głos, który kłamał o moim ojcu.
Rękę zdrajcy, która podawała mi koło ratunkowe.
Żołnierza, który chciał zatruć niewinnych ludzi dla jakiejś chorej sprawy.
Umysł, który snuje plany zagłady Programu.
Ściskam, aż wszystko to znika i nie zostaje nic.
Wtedy zapada cisza i Program jest bezpieczny.

KIEDY SIĘ UPEWNIAM, ŻE FRANCISCO NIE ŻYJE, ZACIĄGAM JEGO CIAŁO GŁĘBIEJ W LAS.

W taką gęstwinę, że nikt go nigdy nie odnajdzie.
Upał i wilgoć rozpoczną dzieło, a dokończą głodne zwierzęta.
Sięgam do jego kieszeni i wyjmuję urządzenie wyłączające laserową barierę. Użyję go, żeby wrócić do obozu.
Przystaję i nasłuchuję w ciemności.
Żadnego ruchu, żadnych kroków.
Jestem sam.
Słyszę głos ptaka i daleki chlupot wody.
Idę za tym odgłosem przez las, aż wreszcie staję nad rzeką i zanurzam ręce w zimnej wodzie.
Siadam na brzegu. Zdejmuję koszulkę i płuczę w rzece. Wykręcam tkaninę, patrząc, jak wycieka z niej woda i krew. To samo robię ze spodniami. Zmywam krew z butów, które pożyczył mi Francisco.
Potem nakładam z powrotem zimną koszulkę. Szok przywraca mi kontakt z teraźniejszością.
Wcześniej wibrował telefon.
Wyjmuję iPhone'a Programu, ale na nim nie ma żadnych wiadomości. Odebrał je drugi telefon, którego używam do kontaktowania się z Howardem.
Howard wysłał sześć SMS-ów z prośbą, żebym do niego zadzwonił.
Howard.
Popełniłem błąd, prosząc go, żeby tu przyjechał. Teraz to rozumiem.
Francisco posunął się do zdrady i oszalał. Nie popełnię tego samego błędu.
Kiedy zakończę misję, kiedy zabiję Moore'a, bezpiecznie wydostanę stąd Howarda. Zatrę po nas ślady. Odeślę go do domu i już nigdy się z nim nie skontaktuję, bez względu na okoliczności.
Potem nawiążę łączność z Programem. Nic takiego się już nie powtórzy. Nie będzie naruszeń procedur. Pytań.
Wątpliwości.
Siadam w lesie. Czuję na skórze powiew chłodu.
Podczas dwóch ostatnich misji straciłem orientację. Moje zadanie nie polega na rozumieniu ogólnej sytuacji mojego życia.
Moje zadanie to jej mały wycinek ograniczony do misji. Zlokalizowanie obiektów, zbliżenie się do nich, zakończenie zadania.
To właśnie muszę teraz zrobić.
Zakończyć zadanie.
Powinienem wstać, ale nie wstaję. Nie od razu.
Czuję zmęczenie. Mam zmęczone ciało i umysł.
Mija czas.
Kiedy unoszę wzrok, na niebie jest już księżyc.
Kiedy nadeszła noc?
Dźwigam się z leśnego poszycia. Zgubiłem się w ciemnościach. Nie wiem, gdzie jestem.

Wtedy przypominam sobie o rzece.

Miranda mówiła mi, że w jedną stronę płynie do obozu, do Moore'a, do celu mojej misji.

W drugą stronę biegnie gdzie indziej, do nieznanego mi miejsca.

Ruszam wzdłuż rzeki na południe, w kierunku Camp Liberty.

Mam coś do zrobienia.

WYNURZAM SIĘ Z LASU.

Za pomocą aparatu Francisca wyłączam laserową barierę i wracam na teren obozu, niezauważony i niezaczeptany przez nikogo. Idę prosto do swojego pokoju i zamykam za sobą drzwi na klucz.

Muszę wyczyścić to miejsce. To będzie moja przedostatnia akcja tutaj.

Chodzę po pokoju, usuwając dowody mojej obecności, wycierając powierzchnie chusteczką, a potem spłukując je w toalecie, aby zatrzeć ślady mojego kodu genetycznego.

W środku kłębią mi się myśli, grożąc, że za chwilę wykipię i pogrążą mnie w chaosie, ale staram się nad nimi panować, aby nie przeszkadzały mi w działaniu.

Staję pośrodku pokoju, rozglądając się ostatni raz, żeby się upewnić, czy wszystko jest odpowiednio przygotowane. Zwykle po zakończeniu zadania wzywam ekipę sprzątaczy – kontaktuję się z Ojcem i proszę go o przysłanie zespołu, a sam oddalam się na bezpieczną odległość. Teraz jednak nie mam dostępu do tego udogodnienia.

Muszę działać sam. Muszę się sprawdzić.

Coś się ze mną dzieje. Obraz rozmywa mi się przed oczami, tracę poczucie czasu.

Kiedy przytomnieję, stoję na środku pokoju. Moja dłoń spoczywa na ramieniu drugiej ręki i naciska kości wokół łokcia, szukając czegoś pod skórą.

Szukam chipu, tak jak zapowiedział Francisco.

Opuszczam rękę.

Francisco zwariował i zdradził Program. Jego słowa są kłamstwem, jego działania są podejrzane. Nie mogę się tak pogubić w takim momencie.

Mam zadanie. Muszę skończyć to, po co tu przyjechałem.

UKRADKIEM WCHODZĘ DO GŁÓWNEGO BUDYNKU.

Słyszę gwar ludzi, jedzących kolację w jadalni na parterze. Omijam ich i ruszam w głąb domu, wchodząc po schodach na pierwsze piętro i ruszając w kierunku następnych schodów, prowadzących na drugie.

Raz już tędy szedłem. Wystarczy, żeby zapamiętać rozkład budynku.

Mijam kilka osób w korytarzu i nie zatrzymując się, pozdrawiam je skinieniem głowy. Nie ma powodu się kryć, nie ma potrzeby udawać, że nigdzie nie idę. Poruszam się zdecydowanym krokiem, emanując autorytetem, więc ludzie ustępują mi z drogi.

Skręcam na narożne schody i bez żadnych incydentów wchodzę na drugie piętro.

Do pokoju, gdzie jest stanowisko dowodzenia.

Przystaję na moment, opanowując ciało i umysł.

W głębi siebie czuję pewność, jestem skupiony jak wiązka lasera, co zawsze pozwalało mi wykonać każdą misję.

To odczucie przynosi ulgę. Oto dawny ja. Ja bez wątpliwości.

Żołnierz.

Przypuszczam, że Moore znał dzisiejszy plan Francisca. Francisco zamierzał zabrać mnie w góry, rzekomo w celu naprawy anteny satelitarnej, ale w rzeczywistości żeby sprawdzić moją wierność.

Scenariusz rozstrzygający o wszystkim.

Albo zwrócę się przeciwko Programowi, albo zginę.

Ponieważ ciągle żyję, Moore będzie przypuszczał, że zbuntowałem się przeciwko Programowi. Ale będzie chciał znać szczegóły przebiegu wydarzeń w górach.

Moja pewność musi wyglądać jak pewność chłopaka, który uważa, że poznał prawdę. Chłopaka, który dokonał nowego wyboru w życiu.

Takiego chłopaka pokażę Moore'owi.

Wchodzę do pokoju.

NIE JEST SAM.

Jest z nim Aaron.

Nieważne.

Staję w drzwiach, czekając, aż mnie zauważą.

Moore unosi wzrok, przygląda mi się, zwraca uwagę na fakt, że jestem sam.

Przyzwalająco kiwa głową i wchodzi.

– Gdzie Francisco? – pyta Aaron.

– W swoim pokoju – odpowiadam krótko.

– Myślałem, że byliście razem – mówi.

Zauważam, że patrzy na moje czoło. Pocieram je palcami. Skóra jest obtarta. Czuję lepkość zakrzepłej krwi.

– Byliśmy razem – potwierdzam. – Poszliśmy w góry, rozmawialiśmy. Jak widać, musieliśmy załatwić między sobą parę spraw.

– Załatwiliście je w satysfakcjonujący sposób? – pyta Moore.

Dotykam czoła.

– Powiedzmy, że rozumiemy się już dużo lepiej.

– Chłopcy, jak zawsze niepoprawni – mówi Moore.

– Tak jak faceci – odpowiadam. Patrzę na krew na swoich palcach i się uśmiecham.

– Myśli pan, że strasznie wyglądam? Powinien pan zobaczyć Francisca. Doprowadzi się do porządku i przyjdzie do nas.

Aaron patrzy na mnie, z morzem nieufności w oczach. Ale on nie jest w tym pokoju najważniejszy.

Patrzę w oczy Moore'a, szukając śladów wątpliwości.

Nie znajduję.

– Francisco wszystko mi wyjaśnił – mówię.

Zerkam na Aarona, jak gdybym nie był pewien, czy powinienem mówić coś więcej w jego obecności.

Moore pojmuję sugestię.

– Może zejdziesz coś przegryźć – zwraca się do Aarona.

– To chyba nie jest dobry pomysł – odpowiada Aaron.

– Rób, co mówię – nie ustępuje Moore.

Aaron spogląda na niego i na mnie. Przesługuje z nogi na nogę, wyrażając niepewność całym ciałem. Aaron bardzo chce być twardzielem. Jest odważny, ale brakuje mu umiejętności. Teraz to widzę.

– Wezmę sobie coś i wrócę za kilka minut – informuje Moore'a Aaron.

– Nie musisz się spieszyć – radzi Moore. – Daniel i ja mamy sporo do omówienia.

Aaron rzuca mi spojrzenie spod przymrużonych powiek i wychodzi z pokoju.

Sześć do ośmiu minut, taki mam przedział czasowy. Tyle według mojej oceny zostało do powrotu Aarona. W zależności od menu na kolację, długości kolejki w jadalni i obaw Aarona związanych z moim sam na sam z Moore'em.

Najważniejsze jednak, że wyszedł.

– Nie byłem pewien, ile Aaron wie – mówię.

Moore przecząco kręci głową.

– Uzналиśmy, że na razie lepiej go nie wtajemniczać.

- Wiedział pan o mnie od początku – mówię.
- Podejrzywałem. Nie wiedziałem – poprawia Moore.
- Robię krok w jego stronę. Pozwala na to.
- Francisco uprzedzał mnie, że pojawią się inni – mówi. – Że Program tak tego nie

zostawi.

Kiedy słyszę, jak wymawia nazwę mojej organizacji, zdrada Francisca uderza mnie z całą siłą. Francisco powiedział o nas temu obcemu człowiekowi, łamiąc podstawową zasadę naszej pracy.

- Potem myślę o Howardzie czekającym na mnie w hotelu. Złamałem tę samą zasadę.
- Czy coś mnie różni od Francisca?

Nie mogę się teraz nad tym zastanawiać. Odsuwam to na bok i skupiam całą uwagę na Moorze.

– Francisco ostrzegał pana przed mną, ale mimo to postanowił mnie pan wpuścić do obozu – mówię.

– Wręcz przeciwnie. To Francisco tamtego wieczoru na spotkaniu w ośrodku przekonał mnie, żeby dać ci szansę. Przypuszczał, że jesteś żołnierzem Programu, ale przypuszczał też, że możesz zostać kimś więcej.

– Tutejszym.

– Nowym rodzajem żołnierza – poprawia mnie Moore. – I miał rację, zgadza się?

Myślę o leżącym w lesie Franciscu, wytrzeszczającym oczy, gdy zaciskam mu ręce na gardle.

Minęły trzy minuty. Zostają trzy.

– Miał rację – przytakuję. Dotykam sińców na głowie. – Trzeba było mnie trochę przekonywać, ale jestem dość uparty.

– Upór cechuje najlepszych – oznajmia Moore. – Ale jeżeli zostaniesz z nami, zostaniesz z własnego wyboru. Nikt nie zmusi cię siłą.

– Wybór – mówię. – Otóż to.

Moore się uśmiecha.

– Miło mi to słyszeć – mówi. – Odegrasz ważną rolę w naszych przyszłych działaniach.

– Wiem, jak przekonał mnie Francisco, ale jestem ciekaw, jak pan go przekonał.

– Na początku?

– Tak.

– Nie musiałem go przekonywać.

– Jak to?

– Nie mam aż takiej siły perswazji, Danielu. Kiedy Francisco mnie poznał, już się zbuntował przeciwko Programowi. Potrzebował tylko kogoś, kto pokazałby mu możliwość innego życia. Potrzebował nowej misji.

– Pana misji.

Moore potakująco kiwa głową.

– I tu wracamy do ciebie – mówi. – Zacząłeś mieć wątpliwości wobec ludzi, dla których pracujesz, i wobec zadań, które ci wyznaczają. Zobaczyłem to już wtedy, na spotkaniu w ośrodku.

Robię następny krok w stronę Moore'a. Zdejmuję okulary i lekko kołyszę nimi w rękę, opuszczając ramię.

Moore odwraca się do mnie plecami i patrzy przez okno na obóz w dole.

– A teraz zostajesz z nami – ciągnie. – Mam wobec nas pewne plany.

– Chętnie o nich posłucham.

– Oczywiście – przytakuje Moore. – Gdy tylko przyjdzie Francisco.

Spogląda w głąb obozu, wciąż odwrócony do mnie plecami.

– Gdzie jest Francisco? – pyta.

– Poszedł do swojego pokoju, ale za chwilę powinien tu być.

– Rozumiem.

Przysuwam się jeszcze bliżej, aby Moore znalazł się w zasięgu mojej ręki. Ciągłe patrzy przez okno, stojąc w postawie, która świadczy o opanowaniu.

Powinno być łatwo.

Tak w każdym razie sędzę, dopóki Moore się nie odwraca z pistoletem w rękę.

– Ani kroku dalej – ostrzega.

Patrzę na pistolet.

To czarna beretta M9, przepisowa broń armii USA. Dziewięćmilimetrowe pociski bywają mało skuteczne przy większych odległościach, ale nie dzieli nas duża odległość. Jesteśmy w tym samym pokoju, stojąc niewiele więcej niż metr od siebie.

– Jesteś tu, a Francisca nie ma – mówi Moore. – Wolę zachować ostrożność i dopóki Francisco nie wróci, proszę, żebyś nie podchodził bliżej.

Trzyma pistolet nieruchomo, jak żołnierz.

Do powrotu Aarona zostały dwie minuty, a najwyżej za pięć Moore będzie przekonany, że coś jest nie tak i wyśle kogoś, żeby poszukał Francisca. Wtedy pojawią się świadkowie i wielu ludzi odgrodzi mnie od Moore'a.

Nie mogę do tego dopuścić.

– Francisco nie wróci – mówię.

– Dlaczego?

– Nie żyje.

– Tak? – pyta z niezachwianym spokojem Moore. – Jak umarł?

– Zabiłem go i zostawiłem jego ciało w lesie.

Moore milczy przez chwilę, przyglądając mi się badawczo.

– Dlaczego? – pyta.

Celuje w moją pierś. Z tej odległości na pewno nie chybi.

– Bo był zdrajcą – odpowiadam.

– Twojego Programu?

– Tak. Pana też.

Oczy mu się zwężają. To pierwsza prawdziwa reakcja, jaką udaje mi się w nim wywołać.

– Spiskował przeciwko panu – dodaję szybko. – Nie zgadzał się z pana poglądami politycznymi i chciał, żebyśmy razem przejęli dowództwo w obozie.

Moore patrzy na mnie, a broń w jego dłoni nawet nie drgnie.

– Nie zgodziłeś się na takie rozwiązanie?

– Oczywiście, że nie – odpowiadam.

Moore milczy przez chwilę, a potem wybucha śmiechem. Gromkim, serdecznym śmiechem, który zgina go w pasie.

– Zechcesz mi powiedzieć, dlaczego się nie zgodziłeś? – pyta.

– Z powodu Lee i Mirandy – wyjaśniam.

– To znaczy?

– Lubię ich. Ufam im. A oni wierzą w pana. Pomyślałem, że mogę spróbować sam.

– Naprawdę zabiłeś Francisca – stwierdza.

– Oszczędziłem panu fatygi.

Moore opuszcza pistolet.

– Ufałem mu – mówi, a jego twarz wiotczeje.

– To był błąd – mówię i jednym ruchem robię krok naprzód, jednocześnie odłączając ramię od oprawek okularów. Ręką, w której je trzymam, zakreślam szeroki łuk, wbijam mu końcówkę w bok szyi i naciskam tłok wstrzykiwacza.

Nawet się nie wzdyga, tylko patrzy na mnie ze zdezorientowaną miną.

Chwieje się na nogach, kiedy trucizna zaczyna działać. Osuwa się na jedno kolano.

Podchodzę bliżej, wyjmując mu z ręki pistolet i pomagając mu utrzymać równowagę. Nie chcę, aby przy jego upadku rozbryznięła się krew, której plama mogłaby się wydać podejrzana jego ludziom.

– To ty... – szepcze.

Nasze twarze są teraz blisko siebie. Za blisko.

Kładę go na podłodze. Pistolet wkładam do kabury u pasa.

Z trudem łapie powietrze. Jeszcze dwie sekundy...

– To ty jesteś zdrajcą – mówi, a potem patrzę, jak umiera.

Minęło dwadzieścia sekund, wystarczająco dużo czasu, żeby nie było już żadnej nadziei reanimowania Moore'a. Słyszę w korytarzu kroki zmierzające do pokoju.

Skończył się mój czas.

– Na pomoc! – krzyczę.

Kroki przyspieszają. Do pokoju wpada Aaron.

– Rozmawialiśmy i nagle upadł – mówię, starając się, żeby głos mi drżał.

Aaron rozgląda się po pokoju, szukając broni, szukając jakichkolwiek śladów użycia przemocy. Widzę, jak szuka i nie znajduje. Szybko przenosi wzrok na Moore'a.

– Chyba ma atak serca – mówię.

– Gdzie Francisco? – pyta Aaron.

– Nie wiem – odpowiadam.

Aaron przypada do podłogi obok Moore'a, sprawdza oznaki życia i przystępuje do reanimacji. Ma za małe doświadczenie, by wiedzieć, że już za późno.

– Mam na pasie walkie-talkie – mówi do mnie. – Przekaż, że mamy wypadek. Potrzebujemy natychmiastowej pomocy medycznej.

WYKORZYSTUJĘ ZAMIESZANIE, ŻEBY W TŁUMIE OSÓB OPUŚCIĆ BUDYNEK.

Pada drobny deszcz. Wiadomość szybko się roznosi. Kiedy dochodzę na drugi koniec obozu, dzieciaki wybiegają już z domków i z przerażeniem w oczach pędzą w stronę głównego budynku, z parasolami albo w plastikowych torbach na głowach.

Kilka osób spogląda w moją stronę, zauważając, że zamiast kierować się w stronę głównego budynku, oddalam się od niego, ale nikt mnie nie zatrzymuje. Idę z opuszczoną głową, nie pozwalając się nikomu zaczepiać.

Wyczuwam strach i dezorientację przenikające tłum, i coraz większą panikę. Spoiwem łączącym tę grupę jest Moore. Bez niego spoiwo zacznie się rozpuszczać. Dzieciaki się rozpierzchną, wracając do swoich domów i rodzin, szukając pozorów życia, które kiedyś znali.

Wyjdę stąd pierwszy, ale na pewno nie ostatni.

Zmierzam w stronę parkingu. Skręcam za róg i widzę czarnego pikapa Francisca. Wiem, że kluczyki będą w stacyjce, jak we wszystkich pojazdach na terenie obozu.

Nagle z lasu za parkingiem wynurza się sierżant Burch. Dostrzegam, że ma coś w rękach, ale na mój widok szybko chowa to do kieszeni.

To iPhone.

Co robił z telefonem w lesie?

Idzie wolno przez plac, rozglądając się zmęczonym wzrokiem.

Wybór:

Mogę go zagadnąć, próbować wybrnąć z sytuacji.

Albo mogę go zneutralizować. Jestem od niego młodszy i silniejszy, ale nie ma wątpliwości, że sierżant potrafi walczyć i nie sprzeda tanio swojej skóry. Będę go musiał zabić.

Następny żołnierz, następna śmierć. Burch to dobry człowiek. Wolałbym tego uniknąć.

Podchodzi bliżej. Patrzymy na siebie.

Kiwa głową, prawie niedostrzegalnym ruchem. Przeskakuje między nami jakaś iskra porozumienia i już wiem, że nie powinienem się zatrzymywać ani zadawać pytań.

Cokolwiek robił z tym telefonem, to nie moja sprawa.

Każdy z nas idzie swoją drogą.

Nie odzywamy się do siebie ani słowem.

JADĘ PRZEZ DESZCZ.

Opony pikapa walczą o przyczepność na stromej górskiej drodze z Camp Liberty.

Udało mi się wyjechać z obozu, ale nie jestem wolny. Jeszcze nie.

Przed sobą mam blokadę.

Szybko do niej podjeżdżam w nadziei, że bez zbędnych pytań otworzą barierę, ale jest inaczej. Muszę ostro hamować w ostatniej chwili. Otwieram okno, a jeden z wartowników podbiega do mnie z bronią w rękę.

– Jezu, ale mnie wystraszyłeś – mówi, poznając moją twarz.

– Już słyszeliście? – pytam.

– Co z nim?

– Źle – mówię. – Jadę po pomoc.

– Zanim otworzę, muszę to zgłosić – oznajmia wartownik.

– Rób, co chcesz – odpowiadam – ale się pospiesz. Jeżeli umrze, to przez ciebie.

Kiedy to do niego dociera, na sekundę oczy uciekają mu w głąb czaszki.

– Otwieraj! – woła do swojego partnera. Błyskawicznie ściągają kolczatkę z jezdni i ruszam z piskiem opon.

Gdy tylko wiem, że moje światła stopu nie będą widoczne z obozu, zjeżdżam na pobocze i wyciągam z kieszeni iPhone'a.

Przełączam go w zabezpieczony tryb i wybieram numer Ojca.

To standardowa procedura po zakończonej misji: telefon do Ojca, meldunek o pomyślnym wykonaniu zadania i odebranie dalszych instrukcji.

Od spotkania w ośrodku kultury z Programem nie ma łączności, ale może to był jakiś test, rodzaj zadania, które miało sprawdzić moją zdolność do samodzielnego działania. Jeżeli tak, to śmierć Moore'a powinna być logicznym zakończeniem testu. Ojciec odbierze telefon. Odzyskam kontakt z Programem i wszystko wróci do normy.

Słyszę sygnał, ale nikt nie odbiera.

Ojca nie ma.

Gaśnie we mnie nadzieja.

Czuję się głupio, ale wybieram numer Matki.

Nie ma połączenia.

To bezmyślne z mojej strony, nawet niebezpieczne, że jeszcze raz użyłem tego telefonu. Jeżeli doszło do naruszenia zabezpieczeń Programu, być może właśnie wysłałem moje zamiary temu, kto dokonał tego naruszenia.

Z rozmachem walę prawym górnym rogiem iPhone'a w deskę rozdzielczą. W ten sposób uruchamiam zabezpieczenie wbudowane w oprogramowanie mojego telefonu. Akcelerometr mierzy kąt i siłę uderzenia, po czym wysyła do baterii sygnał, który powoduje jej przegrzanie. Bateria przepala wnętrze telefonu, niszcząc je.

Otwieram okno i wyrzucam do lasu zneutralizowany telefon. Nie będzie już można z niego korzystać.

Wykonałem misję, ale co teraz?

Wtedy przypominam sobie o Howardzie i kilku wiadomościach, które do mnie wysłał.

SPODZIEWAM SIĘ CISZY.

Uświadamiam to sobie, pukając do drzwi pokoju hotelowego w Manchesterze. Spodziewam się ciszy albo czegoś gorszego – nieznajomej twarzy, która ukaże się w drzwiach i zapyta, czego chcę.

Nic w tej misji nie jest takie, jak powinno. Nikomu nie mogę ufać.

Pukam i odsuwam się od drzwi, przygotowując się na każdą ewentualność. Przyjmuję strategiczną pozycję, z której mogę najskuteczniej zaatakować.

Matka nauczyła mnie reagować na sytuacje w momencie ich powstawania, przygotowując się wcześniej, a potem improwizując, w zależności od zaistniałych na miejscu faktów.

Kiedy więc otwierają się drzwi, jestem przygotowany na wszystko.

Wszystko oprócz tego, co widzę.

Howarda, który mruga oczami, jak gdybym obudził go z drzemki.

– Dzięki Bogu – mówię na mój widok. – Dostałeś moje SMS-y?

– Sytuacja się skomplikowała. Nie mogłem odpowiedzieć.

– Myślałem już, że stało ci się coś złego.

Przezcąco kręcę głową, ale w myślach staje mi obraz Francisca.

Howard dziwnie mi się przygląda.

Nie wiem, co dokładnie widzi, ale uśmiech znika z jego twarzy.

– Lepiej wejść – mówi i odsuwa się od drzwi, robiąc mi bardzo dużo miejsca.

Mijam go i wchodzę do apartamentu, a równocześnie sprawdzam, czy nie ma broni.

Robię to odruchowo, zwracając uwagę na ułożenie tkaniny koszuli w pasie i pod pachami, ruch nogawek w okolicy kostek, ciężar przedmiotów w kieszeniach.

Traktuję go jak potencjalne zagrożenie. Potem to samo robię w pokoju. Ostrożnie przechodzę z pomieszczenia do pomieszczenia, dokładnie sprawdzam obydwa apartamenty i łazienki, a potem oglądam okna i zamki w drzwiach.

Howard stoi z tyłu i nie przeszkadza mi, cały czas mnie obserwując.

Ja tymczasem powtarzam obchód, sprawdzając wszystko jeszcze raz.

Potem staję pośrodku pokoju, nie wiedząc, co dalej począć.

– Może powinienes usiąść – proponuje Howard.

Uświadamiam sobie, że chwieję się na nogach.

Patrzę na krzesło. Nie wygląda zachęcająco. Coś mi się nie podoba w krzesłach, jak gdyby wiązało się z nimi wspomnienie czegoś niebezpiecznego.

Siadam na skraju łóżka.

– Przyniosę ci wody – mówi Howard.

– Nic mi nie jest – zapewniam go. Mimo to wybiega do łazienki i po chwili wraca ze szklanką wody. Kiedy wypijam ją kilkoma długimi łykami, zaraz przynosi mi drugą. Wypijam i oddaję mu pustą szklankę.

– Zrobione – mówię.

– Zrobione?

– Moja misja. Skończyłem.

– Moore?

– Nie żyje. To znaczy, że możesz wracać do domu, a ja...

Próbuję pomyśleć, co teraz ze sobą począć, ale nie mam dokąd iść. Bez instrukcji Programu nie mam żadnego celu.

– Muszę ci coś powiedzieć – mówi Howard, a na jego twarzy odmalowuje się zaniepokojenie. – Dlaczego wysyłałem ci SMS-y.

– Przepraszam, że nie mogłem odpowiedzieć.

– Posłuchaj, odszyfrowałem tę kartę microSDHC – mówi.

Zapomniałem o karcie, którą zabrałem dowódcy oddziału najemników.

– I co tam znalazłeś?

– Na karcie jest plik z informacją o lokalizacji twojej kryjówki.

– Kto miałby dostęp do tej informacji? – pytam.

Howard nie odpowiada.

Myślę o skomplikowanej budowie chipu, którą opisał mi Howard. Pomysł ukrycia urządzenia w innym urządzeniu. To metody działania Programu.

– No jasne, taką informację miał Program – odpowiadam na pytanie, którego Howard nie zadał – ale nigdy nie ujawniłby jej nikomu spoza naszego kręgu.

Howard otwiera laptop i obraca w moją stronę.

– Dane na karcie zostały zaszyfrowane cyfrowym znakiem wodnym. Ustaliłem, że pochodzą z anonimowego huba komunikacyjnego.

– Co to znaczy?

– Ten sam hub jest źródłem bezpiecznych numerów, które wzięłem z twojego iPhone’a.

Myślę gorączkowo, próbując znaleźć błąd w logice Howarda.

– To Program – wyjaśnia. – Wynajął tych ludzi, żeby zaatakowali kryjówkę.

– Niemożliwe – mówię.

Program to mój pracodawca, moje dowództwo, moje życie.

To nie są dobrzy ludzie, powiedział Francisco.

Próbował mnie ostrzec. Próbował dać mi wybór.

– Jesteś pewien? – pytam Howarda.

– Sprawdzalem trzy razy – odpowiada. – Te wszystkie informacje zapisał na karcie

Program.

Siedzę, zastanawiając się dlaczego.

– I co teraz? – pyta Howard.

– Nie wiem – przyznaję.

Howard blednie.

– Przecież zawsze wiesz.

Odchylam się do tyłu na łóżku. Moje ciało staje się ciężkie.

– Dobrze się czujesz? – pyta Howard.

– Nie spałem – mówię. – Nie umiem logicznie myśleć.

Kładę się. Staram się nie zamykać oczu, ale to bardzo trudne.

Nagle widzę przed sobą twarz ojca. Nachyla się, otulając mnie kołdrą.

Otwieram oczy i widzę Howarda, który przykrywa mnie kocem.

– Mój ojciec – mówię. – Musisz mi pomóc go znaleźć.

– Chodzi o twojego dowódcę z Programu?

– Nie, o mojego prawdziwego ojca. Pod koniec mojej ostatniej misji Mike mi powiedział, że on żyje.

– Kto?

Staram się, żeby Howard mnie zrozumiał, ale z niewiadomego powodu nie umiem się z nim porozumieć przez mgłę.

– Pomóż mi. – Tylko tyle potrafię powiedzieć.

– Pomogę ci – obiecuje Howard. – Zrobię wszystko, co chcesz.

Ogarnia mnie zmęczenie i zapadam w głęboki sen.

OTWIERAM OCZY, NIE WIEDZĄC, GDZIE JESTEM.

Obcy pokój, obce miasto, misja, której nie pamiętam.

Pokój oświetlają ekrany laptopów, stojących na biurku. Z naprzeciwka dobiega chrapanie.

Siadam na łóżku i sobie przypominam.

Jestem w hotelu w Manchesterze. Howard śpi na krześle w głębi pokoju z twarzą oświetloną na niebiesko przez komputer, który trzyma na kolanach.

Potem przypominam sobie inne rzeczy. Rzeczy, które zrobiłem w ciągu zeszłego dnia. I rzeczy, które zrobiono mnie.

Wstaję z łóżka, chcąc w jakiś sposób sprawdzić godzinę. Wyglądam przez żaluzje i widzę, że jest ciemno. Pozycja księżycy mówi mi, że do świtu zostało kilka godzin.

Bezszelestnie idę do przylegającej do pokoju łazienki. Zamykam drzwi i zapalam światło.

Wciąż mam na sobie ubranie z Liberty. T-shirt i spodnie kamuflażowe.

Nachylam się, żeby odkręcić wodę i krzywię się z bólu. Zdejmuję T-shirt. Na żebrach mam czarno-sine ślady po walce z Franciskiem. Dopiero teraz stają się widoczne uszkodzenia pod skórą.

Badając żebra centymetr po centymetrze, odnajduję źródło największego bólu. Krzywię się, dotykając go, ale dochodzę do wniosku, że nie mam żadnych złamań. Zaczynam badanie od początku, sprawdzając drugą stronę. Następnie przesuвам ręce w górę klatki piersiowej i wzdłuż barków, dokonując doraźnej oceny swoich urazów.

Nie stwierdzam żadnych poważnych obrażeń, ale badam dalej, przechodząc do miejsca, w którym nie czuję bólu – ciała między kością ramienną a łokciem.

Francisco mówił, że będę szukać chipu i miał rację. Muszę wiedzieć.

Dotykam i uciskam to miejsce, ale niczego nie znajduję.

Jeżeli coś mi wszczepiono, prawdopodobnie miałbym bliznę, przynajmniej niewielką. W ludzkim ciele jest jednak mnóstwo miejsc, w których można ukryć chip. Wyobrażając sobie schemat mojego ciała, zaznaczam w myślach punkty, w których może się kryć chip, ustalając procent prawdopodobieństwa dla każdego z nich. Najpierw skupiam się na miejscach, gdzie miękka tkanka graniczy z twardą, do której można przymocować urządzenie.

Potem na podstawie tej mapy przeszukuję swoje ciało, badając szpary, wciskając palce najgłębiej, jak się da.

Niczego nie ma.

Pochylam się nad umywalką, żeby zbliżyć się do lustra, i o porcelanę stuka coś twardego. Coś wewnątrz kieszeni spodni.

Nóż z samochodu oddziału najemników.

Wciskam guzik i wysuwa się srebrne ostrze.

Przyciskam je do skóry między kością ramienną a łokciem. Zagłębiam na centymetr, potem trochę więcej. Nie skupiam się na bólu, odsuwając go daleko od świadomości, tak jak mnie uczono.

Czuję ciało i skórę, ale żadnych obcych ciał. Nacinam dalej, powiększając ranę w kierunku nadgarstka, uważając, żeby nie drasnąć tętnicy promieniowej. Badam czubkiem noża przez minutę, ale niczego nie umiem znaleźć.

Następnie sprawdzam wnętrze łokcia, kostny wyrostek z zagłębieniem. Wpycham tam ostrze, tym razem delikatniej. Nie tnę głęboko, tylko tyle, żeby przedostać się przez skórę i cienką warstwę tłuszczu. Znowu badam nożem środek.

Nic.

Zdejmuję resztę ubrania i stoję nagi z nożem w ręku.

Unosząc wzrok, widzę swoje odbicie w lustrze: chłopaka z szaleństwem w oczach, trzymającego nóż, z krwawiącymi ranami na obu rękach.

Zwariowałem, myślę. Tak jak Francisco.

Nie umiem jednak przestać myśleć o chipie, zastanawiając się, gdzie może być, jak mogli mi wszczepić takie urządzenie.

Nagle przypominam sobie szpital i wizytę u doktor Acosty sprzed paru dni. Dziwny tomograf. Ból i ciepło – nie w całym ciele, ale w jednym konkretnym miejscu.

Pod blizną.

Jeżeli Program coś mi kiedyś wszczepił i chciał ukryć bliznę, jaki był najlepszy sposób?

Zamaskować bliznę wewnątrz innej blizny.

Wracam myślą do walki sprzed lat, która zakończyła się dla mnie ciosem noża.

Pamiętam, jak Program przywiózł mnie potem do ambulatorium, jak oczyszczono mi ranę i zaaplikowano zastrzyki. Przeprowadzono drobny zabieg, żeby zamknąć ranę.

A potem ją zszyto.

Blizna wewnątrz blizny.

Doktor Acosta powiedziała, że skaner został zaadaptowany do specjalnych celów. Czy można go było wykorzystać do wyregulowania chipu, który już miałem w środku?

Kciukiem naciskam bliznę, przypominając sobie, co odczuwałem głęboko w klatce piersiowej podczas badania.

Płuczę nóż wodą i rozcinam nim tkankę bliznowatą na mojej piersi.

W ranie zbiera się krew i kapie do umywalki. Najpierw sprawdzam ostrzem, a potem palcami rozdzielam skórę, patrząc na różową szczelinę w ciele. Ból się wzmacnia, ale potrafię sobie z nim poradzić.

Czuję go, ale mnie nie powstrzymuje. Robię to, co muszę zrobić.

Nachylam się bliżej lustra i zaglądam w głąb rany.

Dostrzegam wyrastający z mięśnia fragment tkanki wyglądający jak przetoka. Trącam go delikatnie czubkiem ostrza. Wewnątrz jest twardy.

Tkanka zarasta obce ciało, tworząc powłokę ochronną. Wiem to z nauki biologii. Przecinam tę wewnętrzną tkankę bliznowatą.

Widzę w środku jakąś lśniącą drobinę, która żarzy się na niebiesko.

To sterylny cylinderek ze szkła Gorilla Glass wielkości grubego ziarenka ryżu.

Patrzę jeszcze raz, żeby się upewnić, że wyobraźnia nie płata mi figla. Stukam krawędzią noża i czuję twarde szkło.

Prawdziwe.

Głęboko nabieram powietrza. A potem sięgam w głąb rany i wyciągam drobinę.

Przemywam cylinderek w umywalce, splukując z niego krew. Unoszę go pod światło.

Widzę coś przypominającego miniaturowy chip z owiniętą wokół maleńką anteną. Całe urządzenie jest zamknięte w kompaktową, niemal niewykrywalną formę wewnątrz szklanej osłony.

Jarzyło się, kiedy było we mnie, ale światelko już zgasło.

Z dołu cylinderka wystają dwa krótkie przewody, które tkwiły w tkance mięśnia, gdy go wyciągnąłem.

Francisco mówił prawdę.

Program był we mnie, ukryty w ostatnim miejscu, w którym bym go szukał: w bliznie nad sercem.

Odsuwam się od lustra. Krew spływa po moim ciele i zbiera się na podłodze u moich stóp.

Nie czuję się inaczej. Może Francisco się mylił w swoich przypuszczeniach co do działania chipu.

Nagle słyszę za sobą hałas i błyskawicznie się odwracam.

W drzwiach stoi blady Howard i przygląda mi się, dygocząc na całym ciele.

– Co ty sobie robisz? – pyta drżącym głosem.

– Francisco mówił prawdę – odpowiadam.

– Kto to jest Francisco?

Wyciągam zakrwawioną dłoń z cylinderkiem.

– Był żołnierzem – mówię. – Tak jak ja.

HOWARD DEZYNFEKUJE RANY WÓDKĄ Z HOTELOWEGO MINIBARU.

Następnie wyjmuję z torby rolkę taśmy izolacyjnej i jak polowym opatrunkiem zamyka rany. To tymczasowe rozwiązanie, ale pozwoli zatamować krew i zacząć proces gojenia, dopóki nie znajdę w aptece odpowiedniejszych materiałów opatrunkowych.

Kiedy kończymy zajmować się moimi obrażeniami, siadamy w pokoju i opowiadam Howardowi, co wiem o chipie. Powtarzam mu to, co mówił Francisco o jego neurosupresyjnych właściwościach, o działaniu polegającym na blokowaniu strachu.

– Nigdy nie słyszałem o czymś takim – przyznaje Howard.

– Ale to możliwe? – pytam.

– Prowadzono dużo eksperymentów z wpływem pola magnetycznego na mózg. Ale nie ma niczego skutecznego na taką skalę. To by był poziom zaawansowania wyprzedzający o całe lata dostępne dzisiaj rozwiązania.

– Logiczne – zauważam. – Jeżeli chcesz stworzyć doskonałego żołnierza, najpierw pozbawiasz go strachu.

– Jak się czujesz bez tego w środku?

– Tak samo jak przedtem.

– Czyli to może być bzdura. Albo pomylił się co do jego działania.

– Może. Ale nie mylił się, że mam chip. Bo co to może być innego?

– Zobaczmy – mówi Howard. Włącza komputer, po czym kładzie cylinderka na urządzeniu z podświetloną taflą pleksiglasu, którym wcześniej skanował kartę microSDHC.

Po chwili na ekranie wyświetla się powiększony obraz cylinderka. Howard pokazuje mi go.

– Tu jest chip komputerowy. Widzisz ten cienki drucik otaczający połowę chipu?

– Co to jest?

– Może źródło zasilania. Albo antena.

W tym momencie dzwoni hotelowy telefon, którego dźwięk rozlega się echem w ciszy panującej w pokoju.

Howard patrzy na mnie.

– Nie odbieraj – ostrzegam.

Telefon dzwoni dalej.

– Musisz stąd wiać – mówię do Howarda. – Idą.

– Kto idzie?

Program. Oddział najemników. Ludzie Moore'a.

Wszystko jedno kto, ale zbliżają się kłopoty.

Nie mam czasu mu tego tłumaczyć.

– Bierz wszystko i idź do tamtego pokoju – mówię.

Wyobrażam sobie, że na dole pytają właśnie w recepcji o numer naszego pokoju. Jeżeli recepcja jest w porządku, nie ujawni im tej informacji. Ale w Manchesterze w środku nocy dyżuruje prawdopodobnie jakiś młody człowiek, który wolałby być gdzie indziej. Młody człowiek, który nie chce żadnej awantury i byłby gotów udzielić jakiejś drobnej informacji, gdyby na blacie pojawiło się czterdzieści dolarów.

Może poprosili go, żeby zadzwonił, chcąc sprawdzić, czy jestem w pokoju, a może

zorientował się, że coś się dzieje, i sam zadzwonił, kiedy odeszli od recepcji. W każdym razie to nie jest żaden zbieg okoliczności. Nie o piątej rano.

Howard zaczyna odłączać sprzęt od prądu, pospiesznie zamykając laptopy i składając jeden na drugi, żeby je przenieść do sąsiedniego apartamentu.

– Zaczekaj, aż usłyszysz, jak otwierają się drzwi do tego pokoju – mówię. – Potem wyjdź, najszybciej i najciszej jak potrafisz. Schowaj się gdzieś w hotelu i nie wychodź, choćby nie wiem, co się działo. Czekać, aż na górze albo na parkingu będzie spokój, a potem zwijaj się stąd i wracaj do Nowego Jorku. Wsiądź do pociągu, ale gdybyś potrzebował, z tyłu garażu stoi czarny pikap. Kluczyki pod przednim nadkolem.

– Co zrobisz?

Potrząsam głową, unikając odpowiedzi.

– Jeżeli coś mi się stanie...

– Nie strasz mnie.

– Słuchaj – mówię spokojnie. – Jeżeli coś mi się stanie i z jakiegoś powodu się do ciebie nie odezwę, nie chcę, żebyś mnie szukał. Zniszcz wszystkie dowody naszych kontaktów. Tylko w ten sposób możesz być bezpieczny.

– O kurde, o kurde, o kurde – powtarza, wpadając w panikę.

Łapię go za ramiona.

– Nic ci się nie stanie. Przyrzekam.

Robi głęboki wdech i patrzy mi w oczy. Widzę, jak jego ciało odrobinę się rozluźnia.

– Bądź ostrożny.

– Będę.

Wybiega do drugiego apartamentu, a ja zamykam za nim drzwi.

Przez następne sześćdziesiąt sekund doprowadzam pokój do porządku: wygładzam poduszki, sprawdzając, czy nie został żaden ślad obecności Howarda.

Przelotnie widzę się w lustrze: jestem rozebrany do pasa, mam rany sklezione taśmą.

Ostrożnie odrywam kawałek taśmy na piersi.

Przyciskam szklany cylinderek do lepkiej strony i ponownie zakrywam taśmą ranę.

Chip nie jest już wewnątrz mnie, ale bezpiecznie ukryty na moim ciele, czekając, aż będę mógł dokładniej go obejrzeć.

Narzucam T-shirt, ale widzę, że nie zasłania ran na rękach, więc wyciągam z szafy bluzę z kapturem i zapinam po szyję, ukrywając krwawe ślady.

Słyszę, jak drzwi w korytarzu otwierają się i zamykają.

Ktokolwiek nadchodzi, wszedł po schodach, nie chcąc ryzykować jazdy windą.

Wyłączam światła i siadam na krześle po przekątnej od drzwi.

Oddycham szybko, znacznie szybciej niż zwykle. Koncentruję się przez chwilę, rozluźniając ramiona i starając się zwolnić oddech, jak robiłem już tysiące razy.

Nic z tego.

Mój oddech staje się płytki i przyspieszony, pierś porusza się w dziwny sposób. Coś jest nie tak z moim ciałem. Jak gdyby reagowało w sposób, którego nie potrafię opanować.

Udaje mi się uspokoić tylko dzięki ogromnemu skupieniu. Zdążam tylko wykonać trzy głębokie oddechy i wtedy słyszę ten dźwięk.

NIE JEST GŁOŚNIEJSZY OD SZEPTU.

Odgłos wstrzykiwania smaru w sprayu do zamka drzwi, a potem wsuwania jakiegoś narzędzia. Potem lekkie szarpnięcie gałki i drzwi się otwierają.

Do pokoju wchodzi jakaś postać, poruszając się lekko jak cień.

Znam tę sylwetkę, te zdecydowane ruchy, którymi przemieszcza się przez świat.

To Mike.

Patrzy na mnie, a ja bez drgnienia powieki patrzę na niego.

Wchodzi dalej w głąb pokoju i zamyka za sobą drzwi. Oddech więźnie mi w piersi.

– Nie wyglądasz dobrze – mówi.

Ocieram pot z czoła.

Przez żaluzje wpada blask hotelowego neonu, oświetlając profil Mike'a na tle drzwi.

Stojąc w pokoju, wydaje się olbrzymi.

– Źle śpiam – mówię.

– Nie, to co innego – odpowiada. Przygląda mi się ciekawie. – Wyglądasz, jakbyś się bał.

Chyba się mnie nie boisz, co?

Siłą woli powstrzymuję się od reakcji na jego uwagę. Przywołuję na twarz wyraz spokoju, oddycham równo i powoli. Znów dotykam czoła i widzę, że mam mokrą rękę.

– Po co przyszedłeś, Mike?

– Nie z wizytą towarzyską, jeżeli tak przypuszczasz.

– To dobrze, bo nie miałem czasu przygotować poczęstunku.

– Dowcip cię nie opuszcza – mówi. – Nawet pod presją.

– Nie jestem pod presją. Ale ty najwyraźniej tak. Zakradasz się do hotelu w środku nocy.

– Nie wiedziałem, co tu zastanę.

– Zastałeś mnie. Może mi w końcu powiesz, co tu robisz?

Udało mu się zbliżyć do mnie w taki sposób, że w ogóle się nie zorientowałem. Każdy krok przypominał ruch figury szachowej.

Francisco miał rację. Można znać Mike'a i nie zauważyć, kiedy nadchodzi.

– Przysłał mnie Program – wyjaśnia krótko.

Wstaję, przyjmując postawę pełnej gotowości. Chcę, żeby Mike widział we mnie agenta operacyjnego, takiego samego jak on. Równie groźnego.

– Przecież Program... zniknął – mówię.

Patrzy na mnie dziwnym wzrokiem.

– Dostałem instrukcje tak jak zawsze. Tym razem nawet z dołączonym kodem „pilne”.

– Co jest takiego pilnego?

– Ty. Twój status.

Rozgląda się po pokoju. Wiem, że sprawdza, czy nic mu nie grozi, szuka śladów obecności innych ludzi, ukrytego niebezpieczeństwa, potencjalnej broni.

– Cztery dni temu straciłem kontakt z Programem – mówię. – Nawet kryjówka była wyczyszczona, kiedy do niej dotarłem.

Nie mówię mu o oddziale najemników. Postanawiam nie ujawniać tej informacji, przynajmniej na razie.

– Jak sądzisz, co się stało? – pyta Mike.

– Myślałem, że zostało naruszone bezpieczeństwo Programu.

– A teraz?

– Teraz nie wiem.

Kręci głową.

– Odcięli cię – wyjaśnia.

– Jak, do cholery...

Przez parę dni niepokoiłem się o Program, nie rozumiałem, co się dzieje, denerwowałem się, próbując ustalić, co mam robić bez ich wsparcia i instrukcji.

– Dlaczego miałoby mnie odcinać? – pytam. – Przecież dostałem zadanie.

– Znasz już odpowiedź – mówi Mike.

– Nie znam.

Wzdycha.

– Odcięli cię, bo pojechałeś do obozu.

– Nie miałem innego wyjścia.

– Wyglądało to zupełnie inaczej. W każdym razie z ich punktu widzenia.

– Jak wyglądało?

– Nie znam wszystkich szczegółów – odpowiada Mike. – Ale przypuszczam, że wyglądało bardzo podobnie do tego, co stało się wcześniej.

– Chodzi o tamtego żołnierza, który zginął?

Na czole Mike'a dostrzegam napięcie. Jeżeli Francisco mówił prawdę, to Mike zwerbował go do Programu i to on częściowo ponosi za niego odpowiedzialność.

– Żołnierz, którego wysłano wcześniej, zginął – mówi Mike. – Dlatego zakazano ci wchodzić do obozu, ale zignorowałeś rozkazy.

– Nie zignorowałem. To była przemyślana decyzja. Wynikająca z rozwoju misji.

– Przemyślana czy nie, pojechałeś tam, związałeś im ręce. Nie mieli innego wyjścia.

Mogli tylko cię odsunąć.

– Przecież nie zniknąłem – protestuję. – Cały czas próbowałem nawiązać z nimi kontakt.

– Skąd mogli wiedzieć, że to ty?

– Korzystałem z procedur bezpieczeństwa!

Mike kuca, opierając dłonie na udach. Ścisza głos.

– Nie powiniennem z tobą o tym rozmawiać, ani ogólnie, ani szczegółowo.

Nie odzywam się i czekam. Nie ma sposobu, żeby podejść Mike'a. Powie albo nie, ale to będzie jego własna decyzja.

– Moore przypomina Szczurołapa z Hameln – mówi. – Boją się go, boją się tego, do czego jest zdolny. Jeden żołnierz wchodzi i znika. Drugi wchodzi wbrew rozkazom. Nie zamierzali ryzykować. Uznali, że operacja jest spalona.

– Po to przyszedłeś? – pytam. – Żeby spalić ją do końca?

Wstaje i przygryza wargę, zastanawiając się nad pytaniem.

Nie zmieniam postawy ciała. Ale jestem przygotowany na niego, przygotowany na nieuchronny atak.

Oceniam szanse. Jestem po misji, a Mike wygląda na wypoczętego i pełnego energii. Ten czynnik przemawia na jego korzyść. Z drugiej strony, jesteśmy w niewielkiej przestrzeni, więc jego przewagę fizyczną ogranicza brak pola manewru. Poza tym lepiej od niego znam tę przestrzeń. Ten czynnik przemawia na moją korzyść.

Ale czuję, że moje serce bije szybciej, niż powinno przed walką. Bez chipu mam mniejszą kontrolę nad własnymi reakcjami.

Obliczam przewagę Mike'a na sześćdziesiąt procent do moich czterdziestu.

– Uspokójmy się – proponuje. – Czuję, że za bardzo się gorączkujesz. Niepotrzebnie. To nie jest spalona operacja. Przyszedłem odebrać od ciebie raport o statusie. I przekazać ci

wiadomość.

- Jaką wiadomość?
- Najpierw status – mówi.

Chrząkam. Nie jestem przyzwyczajony do składania raportów Mike'owi i nie czuję się z tym dobrze. W tym momencie nie mam jednak większego wyboru.

- Moore nie żyje – mówię. – Wykonałem misję.
- Naprawdę? – pyta Mike, a jego twarz łagodnieje, rozjaśniając się w szerokim uśmiechu.
- Wiedziałeś – mówię, ani przez sekundę nie wierząc w jego reakcję.
- Wiedziałem – przyznaje. – Nawiasem mówiąc, nie miałem wątpliwości, że to zrobisz.

Mimo tego, co mogli... hm, myśleć niektórzy.

Podtekst jest czytelny. Matka i Ojciec wątpili.

- Mówiłeś, że masz dla mnie jakąś wiadomość?
- Bardzo ciekawą – mówi Mike. – Prawda jest taka, że zacząłeś misję. Ale nie

skończyłeś. Jeszcze nie.

- Co ty wygadujesz?
- Odciąłeś głowę wężowi, ale miałeś do czynienia z hydrą. Wielogłowym wężem z greckiej mitologii.

– Siedzimy tu, a tymczasem sytuacja w obozie się rozwija – dodaje Mike.

- Liberty się rozsypuje. To się zaczęło jeszcze na moich oczach, zanim wyjechałem.
- Mylisz się. Założyłeś, że się rozpada. A w rzeczywistości dzieje się coś odwrotnego.

Myślę o Lee, o jego złości na ojca i desperackim pragnieniu, żeby pokazać, ile jest wart.

- To Lee – mówię. – Przejął dowództwo.
- Zgadza się – przytakuje Mike. – Razem ze swoją siostrą.

Myślę o zachowaniu Mirandy pierwszej nocy mojego pobytu w obozie. Pomagałaby bratu po śmierci ich ojca? Czy raczej skorzystałaby z okazji, żeby się wyrwać na wolność?

- Myślałem, że obóz jest odcięty od świata. Skąd Program wie, co się tam dzieje?
- Ktoś przekazuje informacje FBI. Przechwyciliśmy je – wyjaśnia Mike.
- Agent?

– Mało prawdopodobne. To ktoś z obozu. Strach go obleciał i zaczął wysyłać e-maile z lasu.

Myślę o sierżancie Burchu, który wyłonił się z lasu, gdy zabiłem Moore'a, i jak minęliśmy się bez słowa. Burch, który tak długo lojalnie służył u boku Moore'a. Pewnie widział, jak Moore się radykalizuje, patrzył, jak obóz zmienia się w coś, czym nigdy nie miał być. Wyobrażam sobie, co przeszedł, zanim postanowił działać przeciwko przyjacielowi, jaką przeżył mękę.

– Dostaliśmy tę wiadomość – ciągnie Mike – a wcześniej widzieliśmy pikapa wyjeżdżającego z obozu. Przesłano mnie tu, żebym sprawdził, czy to ty...

– No i?

– Kazano mi wysłać cię tam z powrotem, żebyś zneutralizował sytuację. Pamiętasz, co najpierw zrobił rząd amerykański podczas wojny z Irakiem w 2003 roku? Nie zabił Saddama Husajna.

Przypominam sobie lekcje historii wojskowości w ramach szkolenia.

- Zabił jego synów – mówię.
- Zgadza się. Bo gdyby Saddam zginął, a jego synowie przeżyli, nic by się nie zmieniło.

Wiesz, do czego to zmierza, prawda?

- Dzieci Moore'a.
- Musisz się nimi zająć – mówi Mike. – Szybko i skutecznie.

– Czemu nie wyślemy do tego FBI? – pytam.
– FBI ma dobre chęci, ale działa z szybkością biurokracji. Mamy sytuację bezpośredniego zagrożenia. Zanim FBI zda sobie sprawę z prawdziwego charakteru zagrożenia, będzie za późno.
– Nie jesteś moim przełożonym. Nie możesz mi wyznaczyć zadania.
– Nie wyznaczam – odpowiada Mike. – Zadanie wyznacza ci Program.
– Jeżeli są tacy nieufni w stosunku do mnie, dlaczego wysyłają mnie tam z powrotem?
– Nie mam pewności – przyznaje Mike – ale mnie to wygląda na test.
– Test czego?
– Twojej lojalności.
Spod pach zaczyna mi płynąć pot.
– Moja lojalność jest niewzruszona – oświadczam głosem wyższym o pół tonu.
– Doprawdy?
Myślę o Franciscu w lesie, o jego ciele pociętym mnóstwem szram.
Zabiłem go, żeby chronić Program, a teraz znalazłem w sobie ten sam chip, który doprowadził go do obłądu.
Nie mówię tego Mike’owi, ale nie potrafię ukryć gniewu.
Mike obserwuje mnie, nie odzywając się ani słowem.
To klasyczna technika przesłuchań. Nie oskarżać podejrzanego. Pozwolić działać ciszy i poczuciu winy, żeby w końcu sam się oskarżył.
Na mnie to nie podziała.
Odpowiadam na milczenie Mike’a milczeniem.
Równocześnie analizuję możliwe scenariusze. Czy Mike po prostu wykonuje instrukcje Matki i Ojca?
A może sam ma wobec mnie wątpliwości, których Matka i Ojciec nie podzielają?
Pod koniec mojej poprzedniej misji Mike wiedział, że miałem opory przed zabiciem córki burmistrza, Samary. Potraktował mnie jak przyjaciela, mówiąc, że nie ujawni tej informacji Programowi.
Ale mógł kłamać. Może powiedział im wszystko, tworząc w ten sposób łamigłówkę wątpliwości ze mną jako głównym elementem.
Mike wzdycha, a potem zaczyna chodzić po pokoju. Kiedy myśli, zaczyna nieświadomie spacerować. Już to u niego widziałem. To jedyna oznaka słabości, którą u niego zauważam.
– Lojalność – mówi, podejmując wątek naszej rozmowy. – Uczą nas, że to coś trwałego, punkt w przestrzeni, który się nigdy nie zmienia. Ale ja mam inne doświadczenia. Dla mnie lojalność przypomina rzekę. Wznosi się i opada. Jeżeli masz szczęście, płynie wartkim nurtem od samego źródła. Jeżeli nie masz szczęścia, źródło się zatyka i rzeka wysycha.
Mike zwilża usta językiem. Obserwuje mnie.
– Jak to teraz wygląda u ciebie? – pyta. – Mam na myśli tę rzekę.
– Dla mnie to nie jest rzeka – odpowiadam.
– Rozumiem – mówi, jak gdyby nie dowierzał. – A więc co to jest?
– Po co przyszedłeś, Mike? – pytam.
– Już powiedziałem. Z wiadomością.
– A wiadomość pochodzi z góry? – pytam dalej.
– Skąd mogłaby pochodzić, jeżeli nie z góry?
Patrzę na Mike’a, starając się ustalić, czy mówi prawdę.
Prawda i kłamstwo. Lojalność i fałsz. Niełatwo to teraz ustalić. Nie po tym, co zrobiłem z Franciskiem. Nie po ostatnich trzech dniach.
– Miernikiem oceny żołnierza nie jest to, co robi, kiedy ktoś go obserwuje – mówi Mike

– ale to, co robi, gdy nikt nie patrzy. Kiedy nie wiesz, gdzie jesteś, a cel twojej misji staje się niejasny.

– Misja jest wszystkim – mówię.

– Nowa misja – uściśla. – O czym chcesz opowiedzieć po jej zakończeniu? O chwilach, w których miałeś wątpliwości i pokazałeś, na co cię stać, czy o tym, jak zdradziłeś kraj?

– Wiem, o czym opowiem – mówię.

– To mi się podoba – oświadcza Mike.

MIKE ODPROWADZA MNIE NA DÓŁ, A POTEM RUSZA ZA MNĄ, KIEDY ODJEŹDŹAM Z PARKINGU PIKAPEM.

Jedzie za mną na wschód przez parę kilometrów, trzymając się w odległości kilku samochodów. Przy skrzyżowaniu z Nottingham Road skręcam w lewo i widzę w lusterku wstecznym, że Mike jedzie dalej w innym kierunku.

Myślę o Howardzie, który siedział w sąsiednim pokoju, kiedy rozmawiałem z Mikiem. Minęło ponad piętnaście minut, dostatecznie dużo, żeby Howard się wydostał.

Wyobrażam go sobie na dworcu w Manchesterze, gdzie czeka na pociąg do Nowego Jorku.

Nagle w samochodzie rozlega się szept:

– Już jest bezpiecznie?

Wciskam hamulec i pikap gwałtownie się zatrzymuje.

Na tylnym siedzeniu pojawia się głowa Howarda.

– Co ty tu robisz? Napędziłeś mi stracha. – mówię. Ciężko oddycham, zaskoczony jego widokiem.

– Przecież niczego się nie bo... – zaczyna Howard, ale urywa w pół zdania i otwiera usta.

– Chip – dodaje. – To działa.

Kładę sobie rękę na piersi, czując silne bicie serca.

Nabieram powietrza, próbując zwolnić jego tempo, ale to nie działa.

Dlatego się pocilem, siedząc w pokoju z Mikiem, dlatego w jego obecności miałem dziwne uczucia.

– Masz rację – przyznaję.

– Przepraszam, że cię przestraszyłem – mówi Howard. – Musiałem sobie znaleźć jakąś kryjówkę.

– W moim samochodzie?

– Skoro myśleli, że jesteś w hotelu, po co mieliby sprawdzać pusty samochód? Z tyłu był koc, więc się położyłem i przykryłem. Nie myślałem, że wskoczysz do wozu i odjedziesz ze mną.

Muszę przyznać, że rozumowanie Howarda nie jest pozbawione pewnej logiki.

Wrzucam bieg i ruszam w dalszą drogę.

– Jedziemy do domu? – pyta Howard.

– Ja nie. Jeszcze nie. Mam zadanie.

– Od tego gościa?

– Widziałeś go?

Howard kiwa głową.

– A on cię widział?

– Nie – mówi Howard. – Widziałem go przez okno, jak przechodził koło samochodu. Na pewno mnie nie widział.

Oddycham z ulgą.

Próbuję pomyśleć, co zrobić z Howardem, jak mu pomóc dostać się w bezpieczne miejsce. Nie mogę wysadzić go na drodze. Jesteśmy w szarym polu, a Mike może nas obserwować z daleka.

– Na razie siedź z tyłu i nie wychylaj się – nakazuję mu.

Kładzie się na tylnym siedzeniu.

Droga zwęża się dopiero od tego miejsca. Muszę podjąć decyzję w sprawie Howarda. Zostawić go ukrytego z tyłu i wjechać z nim do Camp Liberty, licząc na to, że nikt go nie znajdzie, czy wysadzić go na drodze, skąd będę go mógł później zabrać.

- Jadę z misją do Camp Liberty i nie mogę cię tam zabrać. To zbyt niebezpieczne.
- Nie mogę udawać twojego asystenta?

Uśmiecham się.

- To nie jest misja tego rodzaju.

Jesteśmy już niecały kilometr od obozu. Jeszcze jeden zakręt i go zobaczę.

– Zatrzymam się na poboczu – mówię. – Wskocz i ukryj się w lesie, dopóki po ciebie nie przyjadę.

- Długo będę musiał czekać?

– Nie wiem dokładnie.

– Nie należę do miłośników lasu – wyznaje. – Całe życie mieszkam na Manhattanie. Nie lubię nawet Central Parku.

- Masz przy sobie telefon?

– Mam iPhone'a – mówi.

- Jeżeli nie zobaczysz mnie przed zmierzchem, wracaj wzdłuż drogi, aż złapiesz zasięg.

Zadzwoń na policję i powiedz, że wybrałeś się w góry i zabłądziłeś. Jest tu tylko jedna droga, więc powinni cię znaleźć bez kłopotu.

- Dobra – mówi, wyraźnie zdenerwowany.

Zatrzymuję się na poboczu. Wyłączam silnik i przez chwilę siedzę, wdychając świeże powietrze i sosnowy zapach lasu.

- Przepraszam, że cię w to wciągnąłem – mówię.

– Sam się zgłosiłem, pamiętasz? Chciałem z tobą pracować.

- Mimo wszystko to był egoizm z mojej strony i żałuję.

Howard wyciąga rękę nad oparciem fotela i poklepuje mnie po ramieniu.

- Wczoraj, zanim zasnąłeś, coś powiedziałeś – mówi. – Chciałem cię o to zapytać.

– Co powiedziałeś?

- O swoim ojcu. Powiedziałeś, że żyje i że chcesz, żebym ci go pomógł znaleźć.

– Tak powiedziałeś? Nie pamiętam.

- Mówiłeś, że wiesz to od jakiegoś Mike'a.

Wolno wypuszczam powietrze z płuc. Ujawniłem Howardowi dużo informacji, więcej, niż sądziłem.

– Ten facet, który przechodził koło samochodu, to był Mike. Kiedy w zeszłym miesiącu spotkałem się z nim w Nowym Jorku, powiedział mi, że mój ojciec być może żyje. Ale mógł kłamać.

- Powinniśmy się dowiedzieć – stwierdza Howard.

– To będzie niebezpieczne – mówię.

- Poradzę sobie – uspokaja mnie Howard. – Zwłaszcza w sieci.

– A co z Goji? – pytam. To dziewczyna Howarda, Japonka z Osaki, z którą ma romans na odległość.

- Nic nie wie o tym, co dla ciebie robię – zapewnia mnie.

– Nie o to mi chodzi – mówię. – Chcę, żebyście się kiedyś spotkali. Żebyś nie robił dla mnie niczego więcej, co może zagrażać twojemu życiu.

– Przecież jesteśmy przyjaciółmi – protestuje Howard. – Jeżeli przyjaciele nie pomagają sobie nawzajem, to kto?

Kodeks przyjaźni Howarda. Taki prosty. W odróżnieniu od Programu, jego gier i testów.

– Jeżeli Mike powiedział, że twój ojciec żyje, to znaczy, że myślałeś, że nie żyje? – pyta Howard.

– Widziałem, jak umiera. Tak mi się w każdym razie zdawało.

– Jak?

– Mike go zabił. Na rozkaz Programu – wyjaśniam.

– Więc tak możemy znaleźć twojego ojca – mówi Howard. – Na podstawie tego rozkazu.

– Nie nadążam.

– Program żyje w internecie, zgadza się?

Program istnieje w cyberprzestrzeni – to Howard ustalił podczas mojej ostatniej misji. Znalazł sieć młodych hakerów, wśród których byli nawet dwunastolatki, zbierających dane, odkrywających bajty informacji prowadzących do obiektów, które mam likwidować.

– Kiedyś coś jest w sieci, zawsze da się znaleźć – stwierdza Howard. – Nawet kiedy zostanie skasowane. Jeżeli wydali taki rozkaz, możemy znaleźć taki rozkaz. Albo jego ślady.

– Duchy w komputerze – mówię.

– A ja jestem łowcą duchów – odpowiada Howard.

– Co chcesz wiedzieć?

– Możemy zacząć od tego, jak się nazywa.

Imię i nazwisko mojego ojca są głęboko zagrzebane z resztą mojej przeszłości, daleko poza moją świadomością, gdzie nie mogą mi zrobić nic złego. Jeżeli ujawnię je Howardowi, otworzę mu drogę do inwigilacji Programu, co jest równoznaczne ze zdradą.

Ale czym jest wszczęcie mi chipu wbrew mojej woli? Czym jest wysyłanie mnie na misję, a potem cofnięcie mi wsparcia, żeby chronić interes Programu kosztem swojego własnego żołnierza?

Nabieram powietrza i wydobywam z głębi pamięci nazwisko ojca.

– Doktor Joseph Abram.

Od dawna nie wypowiedziałem tego głośno. Słowa dziwnie brzmią w moich ustach, jak obcy język.

– Doktor medycyny? – pyta Howard.

– Nie. Pięć lat temu był wykładowcą psychologii na Uniwersytecie Rochester.

– Znajdę, co się da – obiecuje Howard.

– Dziękuję.

– Zakładając, że jeszcze dzisiaj wyjdę cały z tego lasu i nic mnie nie poźre.

– Jesteś za chudy, żeby cię pożreć – uspokajam go. – Dużo gryzienia i marna satysfakcja.

– Raczej mnie nie pocieszasz.

– Uważaj na siebie, bracie.

– Ty też – mówi. – Do zobaczenia.

Wysiada z pikapa i czmycha do lasu, ściskając w rękach koc. Przykro mi, że muszę go tu zostawić samego, ale nie mam wyboru.

DROGĘ ZAGRADZA ZWALONE DRZEWO, ZA KTÓRYM STOI NA WARCIE PÓL TUZINA UZBROJONYCH CHŁOPAKÓW.

To nie jest wczorajsza blokada. To pospiesznie wzniesiona barykada, solidniejsza, bardziej niebezpieczna. Na domiar złego nie rozpoznaję żadnego z wartowników.

Nie można objechać blokady. Po jednej stronie jest przepaść, po drugiej gęsty las.

Analizuję opcje:

Mógłbym wycofać, zostawić wóz

i

pójść pieszo.

Mógłbym próbować ich przekonać, żeby mnie przepuścili.

Mógłbym przerwać misję.

Trzy opcje. Dwie złe; trzecia nie do pomyslenia.

Wybieram.

Wyjmuję z kieszeni nóż i wsuwam do prawego rękawa bluzy, przytrzymując go ściągaczem.

Potem wolno ruszam naprzód. Zaczę od rozmowy, a potem zrobię to, co będę musiał.

Kiedy do barykady podjeżdża pikap, unoszą się lufy. Za nimi widać poważne twarze.

Jakiś wyższy chłopak wychodzi naprzód i przez przednią szybę zagląda do środka. Trzymam obie ręce na kierownicy, żeby je widział.

Widzę zmianę w wyrazie twarzy chłopaka, który woła do jednego z kolegów z tyłu. Pojawia się walkie-talkie. Wysyłają i odbierają komunikat.

– Wyłącz silnik – mówi wysoki chłopak. Ma taktyczny model strzelby pompki, ze zmodyfikowaną kolbą i uchwytem pistoletowym. Celuje z niej we mnie.

Patrzę na lufę czarnej strzelby. Potem spoglądam na chłopaka, który wpatruje się we mnie, szukając powodu, żeby nacisnąć spust.

Wyłączam silnik.

Czuję ciężar noża w rękawie na nadgarstku. Jeżeli obrócę i wyprostuję ramię, nóż znajdzie się w mojej dłoni. Półtorej sekundy na ruch, sekunda na to, żeby nóż wpadł do garści, następne pół sekundy, żeby otworzyć ostrze, i dwie sekundy, aby nóż pokonał odległość od okna do gardła chłopaka.

Pięć sekund.

Ale jego umysł w ciągu zaledwie dwóch sekund zarejestruje zagrożenie i każe mu nacisnąć spust strzelby.

Nie ruszam się.

Wyczuwam ucisk w klatce piersiowej.

To uczucie. Pamiętam je z bardzo dawna, jak odległe echo dzieciństwa.

Strach.

Howard ma rację. Chip działa.

A raczej nie działa, ponieważ jest teraz przyklejony do mojej skóry i nie ma na mnie żadnego wpływu.

Silą woli zmuszam się, by patrzeć tylko na kierownicę przede mną, ale straciłem zdolność do kontrolowania impulsów. Mój wzrok znowu kieruje się w lewo i zatrzymuje na lufie strzelby.

Wyobrażam sobie pocisk tkwiący w komorze i czuję suchość w ustach.

Po chwili chłopak z walkie-talkie daje znak.

Strzelba wędruje w dół.

– Przesuń się – poleca mi wysoki chłopak. – Ja wjadę.

WJEŹDŹAMY DO LIBERTY.

Widzę furgonetki z nocy Polowania, których boki są teraz opatrzone wymalowanymi napisami NORTHEAST ELECTRIC.

Dlaczego udają samochody przedsiębiorstwa energetycznego?

Przy białych wozach stoją na warcie uzbrojeni chłopak i dziewczyna. Kiedy ich mijamy, witają skinieniem głowy mojego kierowcę.

W miarę jak zbliżamy się do obozu, widzę coraz więcej nastolatków z bronią. Na dźwięk silnika natychmiast odwracają głowy w naszą stronę.

Wszyscy są uzbrojeni, wszyscy spięci.

Mijamy pierwsze budynki, a potem moim oczom ukazuje się centralny plac.

Widzę ustawioną na środku koparkę z łyżką uniesioną na maksymalną wysokość, jak gdyby właśnie coś kopała.

W kabinie nie ma operatora. Koparka nie pracuje, po prostu stoi z uniesionym ramieniem. Kiedy podjeżdżamy bliżej, zauważam coś jeszcze. Sznur przywiązany byle jak do łyżki z zawieszoną na nim kukłą wielkości człowieka, jak atrakcja na przyjęciu.

Dopiero po sekundzie dociera do mnie, co naprawdę widzę.

To nie kukła. To zwłoki.

Zwłoki sierżanta Burcha.

Jego głowa jest przechylona pod nienaturalnym kątem, a sznur mocno zaciska się na szyi.

Został powieszony.

Nastolatki przechodzą pod wiszącym ciałem, nieznacznie przyspieszając kroku, ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Kiedy ostatni raz widziałem sierżanta Burcha, ukradkiem wychodził z lasu, tuż przed moim odjazdem z parkingu. Teraz jestem pewien, że to on przekazywał wiadomości FBI. Ktoś się dowiedział i wydał rozkaz egzekucji.

Z jednego z budynków wychodzi Miranda. Ma na sobie dzinsy i niedopiętą bluzkę, rude włosy swobodnie spływają jej na ramiona. Tylko jej twarz zdradza powagę sytuacji.

Kierowca zatrzymuje pikapa i daje mi znak, żebym wysiadł. Miranda podchodzi bliżej. Zauważam, że jest bez broni.

– Myśleliśmy, że cię straciliśmy – mówi.

– Ale się znalazłem – odpowiadam.

– Dlaczego uciekłeś?

– Przestraszyłem się, kiedy twój ojciec...

Spuszczam wzrok, chcąc, aby myślała, że to dla mnie bolesne wspomnienie.

Robiłem to tysiące razy, naśladować emocje, które widziałem u innych, udając przeżycia, żeby ludzie uwierzyli w to, co chcę.

Robiłem to tysiące razy, ale teraz jest inaczej.

Bo czuję prawdziwy żal. Nie po Moorze ani po tym, co próbował zrobić, zanim zaczął błądzić, ale po Franciscu, moim towarzyszczu z Programu.

Towarzyszczu, którego zabiłem.

Nagle zaczyna mi brakować tchu. Otwieram usta, chwytając powietrze, ale go nie ma.

– Wszyscy się przestraszyliśmy – mówi Miranda łagodnym głosem. – Ja ciągle się boję.

Wskazują koparkę na głównym placu.

– Widziałem, jak wjechaliśmy – mówię. – Sierżant Burch. Co się stało?

– Lee go o coś oskarżył i ludzie oszaleli.

Wokół nas zrobiło się pusto. Jesteśmy sami. Miranda stoi w zasięgu mojej ręki.

– Dzieje się tu coś, o czym nie wiesz – mówi.

– Powiesz mi?

– Najpierw muszę cię o coś spytać. Dlaczego właściwie wróciłeś?

– Miałem przeczucie – odpowiadam.

Badawczo przygląda się mojej twarzy, szukając czegoś więcej.

– Jakie przeczucie?

– Że mogę być potrzebny.

Wyciąga rękę i dotyka mojego ramienia.

– Wejdz – mówi. – Musimy o czymś pogadać.

Idę za nią do drzwi budynku, w którym wcześniej nie byłem. Prowadzi mnie długim, ciemnym korytarzem.

– Dokąd idziemy? – pytam.

Nagle słyszę za sobą świst, a potem trzask i z tyłu trafiają we mnie haczyki elektrod paralizatora. Mój mózg rejestruje to w ciągu sekundy, szybciej niż prąd przepływa przez przewody do mojego ciała. Rozluźniam się, wiedząc, że jeżeli będę się szamotał, tylko pogorszę sytuację.

Byłem atakowany taserem w ramach szkolenia i wiem, że można przetrzymać porażenie jak burzę, by potem zostać osłabionym, ale nie obezwładnionym. Ale gdy przepływa przeze mnie prąd, czuję, że to nie jest standardowy paralizator. To zmodyfikowane urządzenie z jakimś hiperładunkiem, który przejmuje kontrolę nad moim ciałem i demoluje mi świadomość.

Na szyi czuję jakieś ukłucie: ostra igła i trujące ciepło jakiejś substancji chemicznej, wstrzykiwanej do mojej tętnicy.

Próbuję pamiętać o misji, o planie, o celu mojego przyjazdu. Próbuję odnaleźć twarz Mirandy w ciemnym korytarzu przede mną.

Ale połączenie prądu i chemii zagłusza to wszystko, wtrącając mnie w tak czystą ciemność, że wydaje się prawie spokojna.

ODZYSKUJĘ PRZYTOMNOŚĆ W BETONOWYM POMIESZCZENIU, W KTÓRYM PANUJE PÓLMROK.

Próbuję się poruszyć, ale nie mogę. Mam ręce związane z tyłu. Siedzę na krześle i boli mnie całe ciało.

Ktoś wymierza mi piekący policzek i głowa odskakuje mi do tyłu.

To Lee. Chodzi przede mną. Usiłuję wstać, ale orientuję się, że nogi też mam związane.

– Gdzie jestem? – pytam.

– Nieważne – mówi Lee. – Nikt tu nie wejdzie, a ty nie wyjdiesz.

W jego głosie słychać ostry ton. Lee chodzi tam i z powrotem, wyraźnie wzburzony.

– Gdzie Francisco? – pyta.

– Skąd mam wiedzieć? – odpowiadam.

Lee staje naprzeciwko mnie. Jego oczy wyglądają inaczej. Pojawiło się w nich coś mrocznego, złość i napięcie, które budzą niepokój.

– Ty ostatni go widziałeś – mówi.

Lee wie, że byłem z Franciskiem, ale nie wie, co się stało, inaczej nie zadawałby tego pytania.

A jeżeli nie wie, co się stało, nie może znać sekwencji wydarzeń. Może uda się to wykorzystać przeciwko niemu.

– Czyli Francisco się nie pojawił? – pytam zdziwionym tonem.

– Najwidoczniej nie – mówi Lee.

– To ci nie daje do myślenia? – pytam.

– Co mam myśleć?

– Zniknął zaraz po śmierci twojego ojca – zauważam.

– Po? – nie rozumie Lee.

– Co cię obchodzi Francisco? – wtrąca Miranda. – Mógłbyś już dać spokój?

Miranda jest gdzieś w pomieszczeniu poza moim polem widzenia. Przyprowadziła mnie tu, co oznacza, że wiedziała, co się stanie. Zwabiła mnie w pułapkę.

– Francisco jest nam potrzebny! – krzyczy do siostry Lee. – Potrzebujemy jego pomocy.

– Poradzimy sobie bez niego – odpowiada Miranda.

– Posłuchajcie – mówię, starając się panować nad głosem. – Nie wiem, co się właściwie dzieje, ale wiem, że popełniacie błąd.

– Żaden błąd – nie zgadza się Lee. – Po śmierci ojca wyjechałeś z obozu. Tak mógł się zachować tylko ktoś winny.

– Nie tylko ja wyjechałem – zauważam.

Lee znów mocno uderza mnie w twarz.

– Lee – mówi Miranda, próbując go uspokoić.

– Chce nas wykołować – mówi Lee.

Odwraca się i znika za moimi plecami, podchodząc do Mirandy.

– Musimy zabić tego skurwiela – oświadcza.

– Nie, nie musimy – odpowiada Miranda.

– Tato powiedział, że mogą przysłać zabójcę do obozu – nie ustępuje Lee.

– On nie jest zabójcą – mówi Miranda, co mnie dziwi, bo znalazła mnie w lesie, skąd próbowałem zadzwonić. Ma najwięcej dowodów na to, że mogę być kimś innym, niż twierdzą.

Dlaczego kłamie i mnie chroni?

– Nie można mu ufać – upiera się Lee. – Nie teraz, kiedy mamy do zrobienia coś ważnego.

– Ojciec mu ufał.

– I jak to się dla niego skończyło?

Francisco powiedział, że ostrzegał Lee przede mną, ale że łatwo go przekonać. To znaczy, że mnie lubił. Mogę zagrać tą kartą.

– Nie wiem, co robicie, ale może mógłbym wam pomóc – proponuję.

– Może mógłby – przytakuje Miranda. – Widziałeś go na Polowaniu. Nieźle sobie radził.

– Nieźle nie wystarczy – ucina Lee.

Okrąża krzesło, żeby popatrzeć mi w twarz.

– Dokąd pojechałeś, kiedy uciekłeś z obozu? – pyta.

– Spanikowałem – odpowiadam. – Pojechałem do domu porozmawiać z rodzicami, ale ich nie było. Nie wiedziałem, co robić. Błąkałem się bez sensu, a potem pojechałem do centrum handlowego.

– Ma rację. Nie tylko on wyjechał z obozu – mówi Miranda.

– To prawda – zgadza się Lee, myśląc o tym.

Miranda wychodzi zza krzesła i staje obok brata, kładąc dłoń na jego ramieniu.

– Może zadajemy niewłaściwe pytanie – mówi. – Zamiast pytać, dlaczego uciekł, powinniśmy zapytać, dlaczego wrócił.

Lee spogląda na nią.

– Myślisz, że się rozmyślił?

– Może jest jednym z nas – odpowiada Miranda.

Lee zastanawia się nad tym przez chwilę, a potem zdecydowanie potrząsa głową.

– Nie możemy tak ryzykować – oznajmia. – Nie teraz, kiedy jesteśmy blisko.

Blisko czego? Co planuje Lee?

Miranda pochyla głowę.

– Nie możemy go zabić.

– Nie ty będziesz o tym decydować – mówi Lee.

Ma w rękach tamten paralizator przypominający tasera. Kiedy zdążył go wziąć?

– Zaprosił mnie twój ojciec – mówię.

– Nie popełnię tego samego błędu co ojciec – odpowiada Lee. – Nie wiem, kim naprawdę jesteś, ale wiem, że już ci nie mogę ufać. Byłeś w porządku wobec mnie i mojej siostry, więc daruję ci życie.

Lee wyraźnie panuje nad sytuacją. W jego osobowości szybko zaszła zmiana i zaczął się zachowywać jak wojskowy dowódca.

– Zanim się ockniesz, będzie już po wszystkim – dodaje.

Rozglądam się za Mirandą, ale jej nie widzę.

– Znajdą cię tu – uspokaja mnie Lee. – Na pewno. I zaświadczysz, że to my.

Podchodzi bliżej. Sprawdzam sznur na rękach, licząc na to, że znajdę jakiś luźny węzeł.

Jeżeli uda mi się wysunąć rękę...

Lee łapie mnie za podbródek, zbliżając do siebie moją twarz. Ma szaleństwo w oczach i cuchnący oddech.

– Powiesz im, że to byłem ja. Nie mój ojciec. Nikt inny.

Wbija mi paznokcie w skórę pod brodą.

– Powiesz im, że to ja – powtarza. – Słyszysz?

– Tak – mówię.

Zabijając Moore'a, dałem Lee szansę wyjścia na pierwszy plan. Dzięki mnie mógł zostać człowiekiem, jakim jego ojciec chciał, żeby był. Nieświadomie uruchomiłem to wszystko.

Lee szybko odsuwa się o krok i wymierza w moją pierś zmodyfikowany paralizator.

– Wszyscy mamy jakąś rolę do odegrania, Danielu. Będziesz posłańcem. A ja wiadomością.

Zanim mogę się odezwać, naciska spust i przesywa mnie prąd, wyginając moje ciało w łuk kolejnymi falami elektryczności o takiej sile, że zupełnie tracę kontrolę, a świat po raz drugi zasnuwa ciemność.

MÓJ OJCIEC SIEDZIAŁ NA KRZEŚLE W SALONIE.

Mike przyprowadził mnie tam, obejmując mnie mocno ramieniem i podtrzymując pod pachą, żebym nie stracił równowagi. Chwilę wcześniej podał mi środek usypiający. Gdy znalazłem się w salonie, ledwie powłóczyłem nogami.

Miałem dwanaście lat, a Mike był od niedawna moim najlepszym przyjacielem. Tak w każdym razie myślałem.

Potem Mike przyprowadził mnie do salonu, żebym zobaczył, co zrobił mojemu ojcu. I żeby mój ojciec zobaczył, co stanie się ze mną.

Ciągle wraca do mnie to wspomnienie, mój mózg uparcie nie chce się go pozbyć, nawet kiedy próbuję go do tego zmusić. Wtedy, pięć lat temu, ostatni raz widziałem ojca żywego.

Prędzej czy później wszystko się zapomina. Życie toczy się dalej. Nawet straszne rzeczy z biegiem czasu się starzeją. Psychologia nazywa to habituacją. Ludzie mieszkający w pobliżu lotnisk przestają słyszeć odrzutowce. Właściciele rezydencji przestają czuć się bogaczami.

A ludzie, którzy kogoś stracili, w końcu przestają rozpaczać.

Nasze umysły są przystosowane do habituacji. Przeszłość ulega zapomnieniu, zostaje odłożona na właściwe miejsce. Intensywne bodźce stają się drugą naturą. A straszne rzeczy powszednieją.

Nie można tego powstrzymać, nawet jeżeli chcemy.

Są też jednak rzeczy, które pozostają. Nie te, które wybierzemy, ale te, które wybierają nas.

Na przykład to wspomnienie.

Mike który mnie podtrzymuje. Dotyk jego ramienia. Widok ojca przede mną.

Zawsze myślałem, że to wspomnienie zdrady Mike'a, głębokiej zdrady przyjaciela, brata, który nie jest bratem.

Ale gdy byłem nieprzytomny, spojrzałem na to z innej strony.

Są powody, dla których zostają wysłany z zadaniem. Czyli na pewno były powody, żeby wysłać Mike'a z zadaniem, które zetknęło nas ze sobą.

Mój ojciec.

Mike pojawił się w naszym życiu z powodu czegoś, co zrobił mój ojciec.

Tak to zaczynam rozumieć. Nie wspominam, jak Mike zdradził mojego ojca.

To wspomnienie tego, jak mój ojciec zdradził mnie.

– DANIEL.

Przez mgłę przebija się jakiś głos. Potrząsa mną czyjaś ręka.

– Daniel – powtarza głos.

Czuję na czole wodę, która przywraca mnie do rzeczywistości.

– Obudź się, Daniel.

To nie jest moje imię, ale brzmi znajomo. Tak jak głos osoby, która do mnie mówi.

Howard.

– Obudź się – mówi.

Wzdrygam się na krześle, poruszając rękami i nogami. Są wolne. Od kiedy?

Howard znów mną potrząsa.

– Spokojnie – mówię. – Obudziłem się.

Otwieram oczy. Nade mną stoi Howard z głęboko zatroskaną miną.

– Zrobić ci usta-usta? – pyta.

– Dlaczego?

– Byłeś nieprzytomny.

– Przestałem oddychać?

– Nie.

– No to nie zbliżaj swoich ust do moich. Bez obrazy.

– W porządku.

Rozglądam się po pokoju. To nie pokój. Raczej bunkier.

– Jak mnie tu znalazłeś? – pytam.

– Nie wróciłeś do zmroku, więc pomaszerowałem do obozu.

– Minąłeś blokadę?

– Przeszedłem lasem.

– Jednak coś umiesz – mówię.

– Jeżeli siedzę z nosem w komputerach, to nie znaczy, że od czasu do czasu nie jestem niezłym wymiataczem.

– Naprawdę jesteś wymiataczem?

– Nie wiem nawet, co to właściwie znaczy. Ale fajnie brzmi.

Próbuję się zaśmiać, ale za bardzo boli.

– Pomożesz mi wstać? – proszę.

Obejmuje mnie ramieniem i podtrzymuje, gdy wstaję. Dotyk jego ręki na moich plecach przywołuje wspomnienie sprzed chwili.

Mój ojciec. Z powodu czegoś, co zrobił, Mike po raz pierwszy pojawił się w moim życiu.

Ojciec mnie zdradził.

Może był pierwszy, ale nie ostatni.

Zdradziła mnie Samara, dziewczyna, którą kochałem.

Nawet Program mnie zdradził.

Patrzę na Howarda, nagle niepewny, czy dobrze zrobiłem, obdarzając go zaufaniem.

– Mogę ci wierzyć, Howard?

Przez chwilę się nad tym zastanawia.

– Powiem tak: powinienem siedzieć teraz spokojnie w domu na Manhattanie, zajadać cheetosy i odrabiać zadanie z całek i różniczek. A ja jestem w górach w New Hampshire i narażam życie, żeby ocalić cię przed jakimś krzesłem tortur.

- Słusznie – przyznaję.
- Masz jeszcze jakieś wątpliwości?
- Żadnych. Chodźmy stąd, bracie.

Prowadzi mnie w stronę drzwi, pozwalając mi się na sobie wspierać, dopóki moje mięśnie w pełni nie wrócą do życia.

- Naprawdę lubisz cheetosy, co?
- Najbardziej te ostre – odpowiada. – Ale ser robi za duży syf na klawiaturze, więc próbuję rzucić.

LIBERTY WYGLĄDA JAK WYMARŁE MIASTECZKO.

Wszyscy obozowicze zniknęli. Mijamy puste domy z półotwartymi oknami, kosze na śmieci czekające na opróżnienie.

Budynki stoją, ale nie ma ludzi. Dokądkolwiek pojechali, zabrali się stąd w pośpiechu.

Z początku jestem ostrożny, idąc przed Howardem i sprawdzając teren, czy na ziemi nie ma ukrytych żyłek albo laserów, które mogłyby odpalić miny pułapki.

Niczego nie widzę.

Kiedy dochodzimy do głównego budynku, moje mięśnie wracają już do życia i znów mogę normalnie chodzić. Koparka wciąż stoi pośrodku placu, ale ciało Burcha zniknęło, zabrane Bóg wie dokąd.

Prowadzę Howarda w kierunku głównego budynku. Wolno otwieram drzwi, sprawdzając, czy nie ma ukrytej pułapki, ale wejście jest czyste.

Przystaję przy wnęce za drzwiami.

– Zaczekaj tu na mnie parę minut – mówię.

– Dokąd idziesz? – niepokoi się.

– Muszę się dowiedzieć, dokąd pojechali – odpowiadam. – Zaraz wrócę.

ZAKRADAM SIĘ DO POKOJU FRANCISCA.

Szukam śladów planu, o którym mówił Lee.

Pokój jest prawie pusty, jakby nikt w nim nie mieszkał. Na nocnym stoliku leży odwrócona grzbietem do góry książka. Szklanka wody. Na łóżku poduszka z wgłębieniem po głowie.

Patrzę na książkę. *Neuromancer* Williama Gibsona. Otwieram ją i kartkuję. To stary egzemplarz i niektóre strony są pozlepiane.

Przeszukuję pokój, szafę, szuflady.

Sprawdzam każdą możliwą skrytkę, szukając notatników, rysunków, jakichkolwiek wskazówek, które mogłyby mi pomóc, ale znajduję tylko ubrania i przybory toaletowe. Zestaw narzędzi w skrzynce przy drzwiach.

Nic tu nie ma.

Jeszcze raz obrzucam spojrzeniem cały pokój. Tuż przed wyjściem coś mi jednak przychodzi do głowy.

Kartki w powieści Gibsona. Kiedy ją przeglądałem, miałem wrażenie, że coś z nimi jest nie tak.

Sięgam do kieszeni i wyciągam nóż.

Jeszcze raz otwieram książkę i ostrzem noża rozdzielam posklejane kartki. Niczego nie znajduję. Ale potem patrzę na wewnętrzną stronę okładki.

Została oddarta i przyklejona jeszcze raz, a odrobina kleju wylała się na kartki. Ostrożnie rozcinam wyklejkę.

Coś wypada na podłogę.

Zdjęcie.

Podnoszę je.

Mężczyzna o latynoskich rysach siedzi na dworze na składanym krześle ogrodowym. Obok niego stoi ładna kobieta, opierając mu dłoń na ramieniu. Na kolanach mężczyzny siedzi mały chłopiec.

Mężczyzna obejmuje chłopca w pasie, przytrzymując go.

Rozpoznaję oczy chłopca.

To Francisco razem ze swoimi prawdziwymi rodzicami, jak się domyślam.

Francisco, zanim został zwerbowany przez Program. Zanim tu przyjechał i zdradził wszystko, czego go nauczono.

Odwracam się i dostrzegam swoje odbicie w lustrze w pokoju Francisca. W brudnej bluzie z kapturem wyglądam jak na wpół obłąkany.

Otwieram szafę Francisca i znajduję parę flanelowych koszul z długim rękawem.

Zdejmuję bluzę i T-shirt, które zwijam w kłębek. Wyciągam koszulę Francisca i zakładam. Natychmiast robi mi się gorąco, ale strój zasłania rany na moich rękach i torsie.

Znów patrzę w lustro. Przez chwilę mam wrażenie, jakby Francisco wrócił i był ze mną w pokoju.

Odwracam się od swojego odbicia. Zamykam nóż i chowam w kieszeni.

Patrząc w dół, zatrzymuję wzrok na fotografii małego Francisca.

Powinienem ją spalić, a popiół rozrzucić na zewnątrz, żeby rozniósł go wiatr. W ten sposób Program pozostanie bezpieczny i zniknie ostatni ślad obecności Francisca na świecie.

Ale robię coś innego.

Podnoszę zdjęcie, wsuwam do kieszeni flanelowej koszuli i starannie zapinam guzik.

Nie wiem, po co zabieram ze sobą to zdjęcie. To dla mnie potencjalne zagrożenie, dowód, którego nie powinienem mieć przy sobie. To pod każdym względem dowód, który w ogóle nie powinien istnieć.

Mimo to chcę go ocalić. Nie wiem dlaczego.

Wracam biegiem do korytarza, gdzie zostawiłem Howarda. Kiedy go widzę, pakuje do plecaka butelki z wodą i jakieś jedzenie.

– Na wszelki wypadek – wyjaśnia.

– Coś umiesz – mówię, stukając go w czoło.

Uśmiecha się.

– Znalazłeś jakieś wskazówki? – pyta.

– Jeszcze nie. Ale mam inny pomysł.

PO RAZ PIERWSZY BRAMA DO WARSZTATU JEST OTWARTA NA OŚCIEŻ.

Howard i ja stoimy w niej, patrząc w pustą przestrzeń. Żadnych samochodów, żadnych ludzi.

Długie stoły warsztatowe zostały pospiesznie uprzątnięte, narzędzia zrzucano na podłogę, wielkie puste szpule po przewodach nadziano na pręty zainstalowane wzdłuż ściany. Na podłodze leżą porozrzucone ścinki kolorowej izolacji, takie jak czerwony kawałeczek, który znalazłem na ziemi pierwszej nocy w obozie.

W całym budynku warsztatu piętrzą się jakieś duże, puste, metalowe walce. Zostały wykonane od zera, zespawane i wykute, i wyglądają jak fragmenty gigantycznych rur.

– Co to jest? – pyta Howard.

– Nie bardzo wiem.

Patrząc na betonową posadzkę, dostrzegam resztki białych ziarenek, jak gdyby kulek pokruszonego styropianu.

– Opakowania? – przypuszcza Howard.

Pochyliam się, zbieram kilka drobin i oglądam. Wącham. Mają ledwie wyczuwalny zapach, ale rozpoznaję substancję ze szkolenia.

– Azotan amonu – mówię.

– Co to jest?

– Saletra. Główny składnik nawozów. I materiałów wybuchowych.

Patrzę na metalowe walce, potem przypominam sobie rząd furgonetek czekających przed warsztatem. Wyobrażam sobie, że są załadowane czymś w rodzaju gigantycznych bomb rurowych.

– Materiałów wybuchowych? – pyta Howard. – Co zamierzają wysadzić?

Przebiegam myślą miejsca na północnym wschodzie, które mogłyby się stać celem zamachu, miejsca, do których w tym tygodniu jechaliśmy na Polowanie. Bazy Gwardii Narodowej, siedziby dużych korporacji, komunalne instalacje wodociągowe i energetyczne. I kadra nastoletnich terrorystów, rozjeżdżająca się po całym terenie, przygotowana do ataku.

Ale to był plan Moore'a, a Moore nie żyje.

Teraz dowodzi Lee.

Będzie miał inne metody. Na większą skalę.

Myślę o furgonkach, które widziałem w drodze do obozu. Tamtej nocy były nieoznakowane. Teraz jednak wszystkie nosiły tę samą nazwę.

NORTHEAST ELECTRIC.

Przypominam sobie, co powiedział Lee o ich grze komputerowej pierwszej nocy po moim przyjeździe do obozu.

To nie jest zwykła gra. To szkolenie.

Powiedział mi też, że był jedną z osób opracowujących jej scenariusze.

– Znasz się na grach komputerowych, nie? – zwracam się do Howarda.

– Traktuję to pytanie jako retoryczne.

– Chcę, żebyś teraz w jedną zagrał.

– W innych okolicznościach byłbym zachwycony, ale czy nie powinniśmy teraz ratować kraju? – pyta.

– Gra. Właśnie tak to zrobimy.

WŁĄCZAM KONSOLĘ W MOIM POKOJU.

Pokazuję Howardowi, jak działa, wyświetlając profil Daniela X, mojego bohatera z tamtej nocy.

– Masz marne statystyki – zauważa Howard.

– Mam marne statystyki w grze. Liczą się te w życiu.

Howard wyszczerza zęby w uśmiechu.

– To slogan z twojego podręcznika dla szpiegów?

Wzdycham.

– Bardziej cię lubiłem, kiedy byłeś przerażonym dzieciakiem na szkolnym korytarzu.

– To dawny ja. Teraz jestem asem wywiadu.

Wyświetlam ekran SCENARIUSZE GRY.

– Niesamowite – ocenia Howard. – Sami ją stworzyli?

– Dla nich to rodzaj symulatora szkoleniowego.

– Super – mówi. – Mają u siebie prawdziwe talenty. Szkoda, że się marnują.

Howard przewija listę scenariuszy.

Planowanie

Prowadzenie wojny

Uformowanie

– Od czego mamy zacząć? – pyta. Klika na jeden ze środka listy, ale system nie pozwala mu wejść do gry. – Zadałem złe pytanie. Musimy zacząć od początku.

– Dlaczego?

– Bo scenariusze są ułożone w porządku rosnącym. Nie możesz przejść do następnego poziomu, jeżeli nie ukończyłeś poprzedniego.

– Czyli trzeba wygrać w scenariuszu, żeby grać dalej?

– Chyba że masz kody do tej gry.

– Nie mam.

Kiwa głową.

– W takim razie będę musiał wygrać. Ale to nie będzie łatwe ze statystyką twojej postaci.

Bez obrazu.

– Dość już o tych statystykach.

– Przepraszam. Lepiej zacznę.

– Będę ci patrzył przez ramię, dopóki nie znajdę tego, czego szukam.

– A czego szukasz?

– Będę wiedział, kiedy to zobaczę – odpowiadam.

Jestem wyszkolony do przetwarzania ogromnych ilości danych wizualnych, klasyfikowania ich, segregowania i porównywania danych z różnymi hipotezami. Jeżeli odpowiedź kryje się w grze, wierzę, że będę ją potrafił dostrzec.

– Możesz grać, kiedy ktoś ci się przygląda? – pytam.

– Żartujesz? Widziałeś kiedyś turniej gier?

– Nie miałem tej przyjemności.

– No to teraz zobaczysz – oznajmia Howard. – Nadchodzi Fro-Fro, żeby wymiatać.

„Fro-Fro”. Tak mnie nazywa Goji.

– Pamiętam – mówię.

Przygryza wargę i ze skupieniem na twarzy klika pierwszy scenariusz, PLANOWANIE,

w który grałem swojej pierwszej nocy w obozie. Pojawia się plan obozu i oglądam rozwijający się na ekranie atak agentów ATF.

– Zarąbiste – mówi Howard.

W odróżnieniu ode mnie zupełnie swobodnie radzi sobie z kontrolerem, poleceniami wewnętrznymi, manewrowaniem postacią w grze. Jak gdyby biegle znał drugi język, gładko adaptując się w tym świecie za pomocą paru kliknięć.

– No i proszę – mówi. – A teraz sunę.

Pędzi przez główny plac w grze i w jakiś sposób udaje mu się przetrwać cało masakrę urządzoną przez ATF, uzyskać dostęp do budynku i bezpiecznie się tam schronić.

Kilka sekund później pierwszy scenariusz się kończy, Howard triumfuje, a statystyki Daniela X znacząco się poprawiają.

– Było całkiem niezłe – uznaje Howard. – Następny poziom.

Prostuje kark i przechyla się, a potem wraca do gry.

Przez następne dwadzieścia minut Howard gra jak natchniony, a ja przyglądam się tej specyficznej wycieczce przez filozofię przyświecającą Camp Liberty. Widzę strategie defensywne i ofensywne, różne sposoby atakowania infrastruktury na świecie. Jeden ze scenariuszy jest podzielony na wiele części, z których jedna rozgrywa się w sztucznej sieci internetowej, gdzie postać Daniela X zostaje przeobrażona w cyfrowy pakiet danych, który Howard musi niepostrzeżenie przeprowadzić przez liczne zagraniczne serwery, by w końcu móc się przedostać przez firewall dużego komercyjnego banku.

Obserwuję to wszystko, myśląc o Lee, i porównuję to, co widzę, z tym, co – jak sędzę – wiem o nim, o jego chęci bycia zauważonym, o potrzebie przewyższenia ojca.

Wreszcie Howard rozpoczyna piąty scenariusz.

Atak ogniowy

Już coś w tytule sugeruje, że mógłby być atrakcyjny dla Lee.

Howard otwiera mapę gry. To szereg wysokich budynków stojących blisko siebie, centrum jakiegoś miasta.

Howard znów przygryza wargę, studiując mapę, którą oglądam, patrząc mu przez ramię.

– Gdzie to się dzieje? – pyta. – Zobaczmy...

Pędzi drogą jakimś pojazdem.

– Zatrzymaj ten samochód.

– Nie mogę się zatrzymać – protestuje. – Widzisz GPS na desce rozdzielczej?

– Po prostu stań.

Hamuje z piskiem opon i zjeżdża na bok drogi.

– Teraz wysiądź i przejdź się kawałek. Proszę.

Howard otwiera drzwi samochodu na ekranie. Wysiada i idzie kilka kroków ulicą. Budynki rzucają na jezdnię długie cienie z zachodu na wschód.

Właśnie zachodzi słońce.

– Zrób coś dla mnie. Odwróć się i popatrz na samochód.

Jego postać się obraca. To nie jest zwykły samochód. To biała furgonetka. Z napisem NORTHEAST ELECTRIC na boku.

– To tu – mówię.

– Co to za miasto?

Howard każe swojej postaci rozejrzeć się w okolicy i przejść do rogu, z którego ma lepszy widok.

Przyglądam się konfiguracji zabudowań centrum. Jeden z budynków wydaje mi się znajomy. Przeglądam bazę danych budynków w mojej głowie.

- Prudential Tower – mówię.
- To w Bostonie – zauważa Howard.
- Co oni robią w Bostonie?

Howard odkłada kontroler na stół. Przechyla się do tyłu i przeciera oczy.

– Próbuję sobie coś przypomnieć – mówi. – Coś się miało wydarzyć w Bostonie w tym tygodniu.

Przypominam sobie swoją niedzielną wizytę w centrum handlowym. Siedziałem w księgarni Barnes & Noble, czytając bieżące wiadomości w czasopiśmie. Przy wyjściu miałem stojak z gazetami i rzuciłem na nie okiem.

Był wśród nich „Boston Globe”.

Odtwarzam w pamięci tę scenę, próbując sobie przypomnieć nagłówek, który wtedy widziałem.

Nagle mnie oświeca.

– Nowy budynek federalny imienia Kennedy’ego – mówię. – Dzisiaj jest otwarcie.

TO MIAŁ BYĆ SYMBOL SIŁY.

Przebudowany plac wokół budynku federalnego imienia Kennedy'ego w centrum rządowym. Park publiczny, hołd dla ofiar, nowa nadzieja dla miasta.

Tam znajdę Lee.

Wiozę Howarda z powrotem do Holiday Inn w Manchesterze. W drodze milczy, pogrążony w myślach. Wkrótce zatrzymuję się na parkingu.

– Musimy ich powstrzymać – mówi Howard.

– Ja muszę – poprawiam go.

– Chcę jechać z tobą.

– Już zrobiłeś, co do ciebie należało. Nawet więcej.

Patrzy na mnie, jak gdyby chciał się kłócić.

– Pakuj wszystko i zmywaj się stąd. Nie jedź od razu do Nowego Jorku. Musiałbyś jechać przez Boston, a to zbyt niebezpieczne. Wsiądź do pociągu na zachód do Albany czy dokąd masz ochotę jechać. Za jakiś tydzień będziesz mógł wrócić do domu.

– Skąd będę wiedział, że jesteś bezpieczny?

– Zadzwoń.

– Dobra – mówi. – Tymczasem popracuję nad tym, o czym gadaliśmy. Sprawę twojego ojca.

– Na razie to zostaw. Po prostu jedź się gdzieś schronić. O sprawie ojca możemy pogadać później. Rozumiesz?

Kiwa głową.

– Dzięki, Daniel.

– Co ty, przecież to ty ocaliłeś mnie przed krzesłem tortur, pamiętasz?

Wyciąga ręce i mnie obejmuje. Pozwalam na to. Może nawet trochę odwzajemniam ten uścisk.

Otwiera drzwi pikapa, ale jeszcze nie wysiada.

– Kiedy spotkamy się następnym razem, będziesz miał inne imię – mówi.

– To prawda.

– Ale to ciągle będziesz ty.

– Będę.

– I będziesz o mnie pamiętał?

– Przyrzekam.

– Bądź ostrożny – mówi i wysiada z samochodu.

DO BOSTONU JEDZIE SIĘ PROSTO JAK STRZELIŁ.

Cały czas pędzę drogą numer 93 na południe, wyciskając z wozu, ile się da, zwalniając tylko po to, żeby uniknąć radarów. Mam niezły czas. Przyjeżdżam na miejsce wczesnym wieczorem, gdy w centrum Bostonu kończą się godziny szczytu po dniu pracy.

Zmierzam w przeciwną stronę niż większość samochodów, do centrum, kierując się w stronę nowego, ulepszanego budynku imienia JFK.

Zastanawiam się, co mogę tam znaleźć.

W każdej budowli federalnej wzniesionej po jedenastym wrześniu są drzwi przeciwwybuchowe, wzmocniona stal i zewnętrzne bariery. Nie ma takiej możliwości, żeby mały konwój białych furgonetek podjechał i zaparkował obok budynku. Bez względu na to, co planuje Lee, będzie to musiał zrobić od wewnątrz.

Co więcej, zamach bombowy na budynek federalny stanie się ważną wiadomością, ale niestety niezbyt oryginalną.

Próbuję zajrzeć do głowy Lee.

Pełen złości chłopak, który chce pokazać ojcu i światu, na co go stać.

Atak ogniowy.

Nie potrafię tego na razie rozgryźć, ale budynek federalny to zbyt kuszący cel. Właśnie tam jadę.

Ruch jest zamknięty już kilka skrzyżowań przed placem, muszę więc zaparkować samochód i dalej ruszyć pieszo. Widzę już budynek wyłaniający się z dachów Bostonu, czterdzieści pięter stali i szkła.

Na uroczyste otwarcie został jasno oświetlony. Palą się światła od dołu do samego dachu, zwieńczonego łańcuchami czerwonych, białych i niebieskich światełek. Dodatkowo rozjaśnia go blask ustawionych na ziemi gigantycznych reflektorów punktowych, skierowanych na boczne ściany.

Kiedy wysiadam z pikapa, słyszę eksplozję daleko za sobą. Huk odbija się echem od zabudowań centrum. Patrzę w stronę budynku federalnego, ale tam nic się nie dzieje. Chwilę później słychać następne wybuchy w różnych częściach miasta. Dostrzegam czarny słup dymu unoszący się kilka ulic dalej na tle zachodzącego słońca.

Pomyliłem się co do miejsca zamachu. Może w grze była jeszcze jakaś podpowiedź i powinienem pozwolić Howardowi dalej grać.

Nie wiem, w którą stronę mam iść, które budynki są celem zamachu.

I nagle ulica pogrąża się w mroku.

To wygląda jak fala, najpierw gasną światła w oddali, potem coraz bliżej, przez Cambridge Street, wokół mnie i dalej. Rozlega się pisk opon hamujących samochodów, gdy przestaje działać sygnalizacja. Z jezdni dobiegają trzaski stłuczek i ryk klaksonów.

Potem pozbawione zasilania budynki jeden po drugim zaczynają gasnąć.

Furgonetki w Liberty. Wszystkie miały napis NORTHEAST ELECTRIC.

Przypuszczam, że stoją zaparkowane przy podstacjach energetycznych na terenie całego Bostonu. Awaria nawet jednej podstacji może pogrążyć w ciemnościach znaczną część miasta. A kilku?

Rozglądam się i widzę, że prądu nie ma już w całym centrum.

Prawie całym.

Bo budynek federalny jest ciągle jasno oświetlony. Jaśniej, wznosząc się nad bostońską

ciemnością jak latarnia morska.

Plan Lee zaczyna mi się układać w głowie.

Pogrążyć całe miasto w ciemności oprócz budynku, który jest symbolem rządu i jego władzy.

To początek, ale jeszcze nie koniec. Na pewno nie.

Ruszam biegiem przez ciemne ulice w stronę budynku federalnego.

OCHRONA NA PLACU IDZIE W ROZSYPKĘ.

Eksplozje przerwały uroczystość odbywającą się w budynku. Wybiegają policjanci w galowych mundurach, wezwani do swoich komisariatów postawionych w stan pogotowia w związku z rozwijającą się sytuacją kryzysową. Przed frontem gromadzą się agenci FBI w garniturach i rozmawiają przez komórki, patrząc na smugi dymu na niebie.

Gdy zbliżam się do bocznego wejścia, widzę prowadzący pod budynek wjazd dla obsługi.

Po jedenastym września wiele nowych budynków przeniosło obsługę dostaw i strefy załadunku do punktów oddalonych od głównego obiektu. Inne w ogóle pozbyły się podziemi, a nawet parterów, i stoją na wzmocnionych palach, aby mieć większe szanse przetrwania w przypadku zamachu terrorystycznego. Ale więcej bezpieczeństwa oznacza więcej niedogodności, opóźnień, kłopotów. Budynki nie chcą rezygnować z lokali komercyjnych na parterze ani z zysków, które przynoszą, a szefowie biur nie chcą godzinami czekać, aż pilne przesyłki zostaną prześwietlone. W następnych latach po jedenastym września firmy budowlane zaczęły się mniej przejmować bezpieczeństwem, przedkładając nad nie wygodę.

Patrzę w stronę wjazdu służbowego, gdzie stoi strażnik otoczony wybiegającymi z budynku ludźmi, którzy zasypują go pytaniami.

Dość łatwo przejść obok niego tak, żeby mnie nie zauważył.

– Trwa ewakuacja budynku – informuje kogoś, a wtedy mijam go, przepycham się przez grupę ludzi i zakradam się do środka.

SCHODZĘ KORYTARZEM DO NIŻSZEGO POZIOMU PODZIEMIA.

To strefa wyladunku dla samochodów dostawczych.

Stoi tu ponad pół tuzina białych furgonetek. Widać, że są przeładowane, zawieszenie jest dociśnięte do ziemi. Zaglądam przez tylną szybę jednego z samochodów i widzę te same cylindry, które widziałem w warsztacie w Camp Liberty. Leżą na tyle furgonetki, a między nimi tkwią szpule przewodów i sprzęt elektryczny. Przypadkowy obserwator uznałby, że to wóz techniczny ze sprzętem potrzebnym przy obsłudze dużego wydarzenia.

Ale ja wiem, że samochód jest załadowany czymś innym.

Materiałem wybuchowym.

Odnotowuję rozmieszczenie furgonetek w garażu. Widzę, że więcej wozów stoi bliżej rogu i uświadamiam sobie potencjalne skutki skoordynowanej eksplozji dla budynku nade mną.

Na tym polega plan Lee. Wyłączyć prąd w całym mieście, a potem zburzyć budynek, który najlepiej symbolizował rząd. Jeżeli władza nie potrafi się sama bronić, to jak ma bronić swoich obywateli?

Oglądam inne furgonetki, ale nie widzę żadnych przewodów ani innego stałego połączenia między nimi, co może oznaczać dwie rzeczy. Albo jest zapalnik czasowy, albo zdalny detonator. Jeżeli detonator, to może być odpalony z daleka za pomocą telefonu komórkowego albo urządzenia, które wymaga obecności zamachowca w pobliżu ładunków.

Staram się myśleć tak jak Lee. Czy chciałby być daleko stąd i obserwować eksplozję i późniejszy chaos z drugiego końca miasta? Nie sądzę. Instykt mi podpowiada, że gdzieś tu jest. Dokona tego własnoręcznie i chce być na tyle blisko, żeby to zobaczyć.

Tylko gdzie go znajdę?

Myślę o zachowaniu Lee w stresujących sytuacjach. Przypominam sobie, jak pierwszego wieczoru podczas spotkania rekrutacyjnego sięgnął bo brownie, a podczas Polowania po tabliczkę czekolady.

Co zrobiłby Lee teraz, przed najważniejszą misją w życiu?

Być może zjadłby czekoladę.

Nie widzę go w podziemiu, więc na wycucie pytam jakiegoś pracownika obsługi, gdzie mogę znaleźć automaty ze słodyczami. Patrzy na mnie jak na wariata.

– Musisz się stąd wydostać – mówi.

– Najpierw muszę znaleźć brata – odpowiadam.

Wskazuje mi schody.

– Piętro wyżej, w przyziemiu. Ale szybko

Dziękuję mu i pędem ruszam po schodach. Kiedy biegnę korytarzem w stronę automatów, widzę zbliżającego się do mnie Lee. Przecucie mnie nie myliło. Gryzie ciastko oblane czekoladą, nie odwijając do końca plastikowego opakowania, żeby nie ubrudzić palców.

Na mój widok staje. Dopiero po chwili dociera do niego, co widzi. Zostałem uwięziony w Camp Liberty, a teraz jestem wolny. Zjawiłem się tu i prawdopodobnie jestem dla niego zagrożeniem.

Ten moment wahania powinien mi wystarczyć, żeby do niego doskoczyć, ale Lee przytomniejsze szybciej, niż się spodziewałem, upuszcza ciastko, robi obrót o sto osiemdziesiąt stopni i bez słowa rzuca się sprintem w stronę schodów.

Ruszam w pogoń.

Schody prowadzą w dwóch kierunkach: na górę do holu i w dół na dolny poziom podziemia. Przystaję i słyszę pod sobą tupot kroków. Skręcam za tym odgłosem.

Ma nade mną przewagę dziesięciu metrów. Dzięki treningowi fizycznemu w obozie jest szybki, ale ja jestem szybszy i błyskawicznie zmniejszam dystans. Lee pcha drzwi prowadzące na dolny poziom, a sekundę później jestem przy nich i depczę mu po piętach. Obliczam trajektorię skoku, żeby podciąć mu nogi, ale zanim udaje mi się go wykonać, odwraca się i wyciąga przed siebie rękę.

Coś błyszczy w świetle.

Lee unosi przedmiot, żebym mógł go zobaczyć. Chce, żebym go zobaczył.

Telefon. Włączony. Ze świecącym ekranem.

To więcej niż zwykły telefon komórkowy.

To detonator.

Pytanie tylko, jak mu go odebrać, zanim zdąży go użyć.

Trzy metry. Pokonanie ich zajmie mi dwie sekundy – mnóstwo czasu, żeby wcisnąć klawisz i wykonał połączenie, które spowoduje wybuch.

– Jak uciekłeś z obozu? – pyta.

– Ocknąłem się po kilku godzinach. Połamałem krzesło i wyszedłem.

Zastanawia się nad tym.

– Niezły jesteś – stwierdza. – Ale nie wierzę, że aż tak.

– To jak twoim zdaniem się wydostałem?

– Ktoś ci pomógł.

Patrzy za moje plecy, potem rozgląda się po garażu, sprawdzając, czy przyprowadziłem ze sobą kogoś jeszcze.

– Gdyby ktoś mi pomógł, po co bym ryzykował i przyjeżdżał? Czemu po prostu nie zadzwoniłem na policję?

– Nie wiem – odpowiada, ciągle się rozglądając.

Obserwuję jego dłoń. Palec nie rusza się, zawieszony nad klawiszem telefonu.

– Może przyjechałem, bo chciałem tu z tobą być – mówię.

– Przecież nie wiedziałeś, gdzie będziemy.

Będziemy.

Czyli jest tu też Miranda.

– Domyśliłem się – odpowiadam. – Zagrałem w waszą grę.

Szeroko otwiera oczy.

– Atak ogniowy – dodaję.

– Spryciarz z ciebie, Daniel. Zawsze tak uważałem. Po co taki spryciarz pojawiałby się tu nieproszony?

– To ty mi pokazałeś, jak grać. Pierwszej nocy w Liberty. Przypuszczałem, że nie bez powodu.

Kiwa głową, przyznając mi rację.

– Rozumiem, dlaczego mogłeś tak pomyśleć – mówi. – Ale wcześniej niewiele brakowało, żebym cię zabił.

– Chyba się cieszysz, że tego nie zrobiłeś? – pytam z uśmiechem, jak gdybym wszystko mu przebaczył.

Dostrzegam maleńki błysk wątpliwości w jego oczach.

– Czyli przyjechałeś, żeby być tutaj ze mną? – upewnia się. – Furgonetki są wyładowane taką ilością ładunków, że zniszczą ten budynek. Jeżeli grałeś, to znasz plan.

– Znam.

Macha trzymaną w dłoni komórką.

– A to jest detonator – mówi.

Odsuwa się, zwiększając odległość między nami.

– Dalej chcesz tu być? – pyta.

Poważnieję, jak gdybym zmagiał się z decyzją. Najważniejszą decyzją w swoim życiu.

Chcę, żeby w to uwierzył.

– Jeżeli wolisz wyjść, dam ci taką szansę – mówi Lee.

– Dlaczego chcesz to zrobić?

– Może jestem ci coś winien, bo strzeliłem do ciebie z paralizatora.

– Strzeliłeś dwa razy – zauważam.

– No to jestem ci winien podwójnie – odpowiada i się uśmiecha.

Dostrzegam przebłysk tamtego Lee, którego spotkałem pierwszego wieczoru. Poważnego dzieciaka, ale mimo wszystko dzieciaka.

– Niektórzy z ludzi tam na górze zginą – mówię. – O to ci chodzi?

– Nie o to – odpowiada – ale mam odwagę zrobić to, co trzeba, żeby do ludzi coś dotarło.

W przeciwieństwie do mojego ojca.

– A Miranda? Przecież też tutaj jest.

Spogląda na swojego buty. Wykorzystuję okazję i robię krok w jego stronę. Teraz stoimy dwa metry od siebie.

– Zabroniłem jej tu zostać – mówi.

– Ale cię nie posłuchała, co?

– Chciała być ze mną – wyjaśnia. – Jest moją siostrą i jest lojalna. Powiedziała, że powinniśmy zostać razem do końca.

– Po Polowaniu zapytałeś mnie, czy nadaję się na kogoś, kto się poświęci dla sprawy.

Pamiętasz?

– Pamiętam.

– Nadaję się – mówię.

Uśmiecha się.

– No to jest nas troje.

– Tak.

Przysuwam się do niego krok za krokiem, pokonując pozostały dystans.

Z początku zaczyna się cofać, ale nie zatrzymuję się, rozkładając ręce, aby pokazać, że nie jestem dla niego żadnym zagrożeniem.

– Dobrze będzie sobie towarzyszyć – mówię.

Stara się nie okazać ulgi, ale zdradza go ciało. Ramiona lekko się opuszczają, znika napięcie pleców.

Niełatwo jest umierać samotnie w ciemnym garażu, nawet jeżeli ktoś robi to dla sprawy, którą uważa za słuszną. Proponuję mu swoje towarzystwo w jego ostatnich chwilach, a on jest na tyle zdesperowany, że tego chce.

Wzdycham i zdejmuję okulary.

– Kiedy to zrobimy? – pytam.

Odłączam ramię od okularów i pozwalam oprawkom spaść na ziemię.

– Upuściłeś okulary – mówi.

W momencie, gdy spuszcza wzrok, jestem już przy nim. Jedną ręką chwytam nadgarstek dłoni, w której trzyma telefon, a drugą robię zamach i wbijam mu igłę w szyję.

Tę samą igłę, którą zabiłem jego ojca.

Zbiorniczek zawiera trzy dawki trucizny. Nigdy nie musiałem użyć więcej niż jednej.
Aż do tej chwili.

Lee usiłuje odpalić ładunki, ale najmocniej, jak potrafię, naciskam zwój nerwowy nad przegubem, uniemożliwiając mu zamknięcie dłoni.

Wystarczą mi trzy sekundy, żeby środek zadziałał, może trochę więcej, bo jest młody i sprawny fizycznie. Szamocze się ze mną przez połowę tego czasu, ze wszystkich sił próbując dotknąć kciukiem klawiatury telefonu.

Ale jeszcze mocniej ściskam jego nadgarstek i przekręcam do tyłu, dopóki nie poczuję pękających kości.

Nagle opada z sił i bezwładnie osuwa się w moją stronę. Wyciągam mu z ręki komórkę.
Pada mi w ramiona, przysuwając twarz blisko mojej twarzy.

Czuję, jak jego klatka piersiowa rozszerza się i kurczy, usiłując po raz ostatni zaczerpnąć tchu, zanim paraliż to uniemożliwi.

Otwiera usta. Próbuje coś powiedzieć, ale nie ma już szansy.

Przechyliłam głowę na drugą stronę, jego twarz opada mi na ramię, czuję na szyi nad kołnierzykiem wilgotną plamę śliny, intymną jak pocałunek.

Nie patrzę mu w oczy.

Czuję, że mnie szukają, ale nie chcę tego widzieć.

Czekam, aż skończą się charczące dźwięki i uleci z niego ostatnia resztką życia. Czekam, aż chłopak, który miał na imię Lee, umrze razem ze swoją przeszłością i przyszłością.

Odbieram mu jedno i drugie.

Bo takie jest moje zadanie.

A przynajmniej takie było.

Myślę o szklanym ziarenku ryżu przyklejonym taśmą do mojej piersi z ukrytym wewnątrz chipem Programu. O zdradzie, którą ten chip oznacza.

I nagle sobie uświadamiam: nie zabiłem Lee dlatego, że tak mi kazał Mike.

Zrobiłem to, bo Lee był niebezpieczny. Dla siebie. Dla mnie. Dla całego świata.

Zrobiłem to nie dlatego, że taki był rozkaz Programu, ale dlatego, że tak należało zrobić.

W cieniu ponad ramieniem Lee coś się porusza.

Kiedy po chwili mój wzrok przyzwyczajają się do półmroku, widzę, co to jest.

Kto to jest.

Miranda.

Cały czas się przyglądała.

Nagle się odwraca i znika w ciemności. Słyszę echo jej kroków i odgłos zatraskiwanych drzwi klatki schodowej.

Muszę ją złapać. Ale jeszcze nie teraz. Najpierw muszę to skończyć.

Kładę ciało Lee na betonowej posadzce. Sprawdzam puls.

Nie żyje.

Sprawdzam, czy jego telefon jest wyłączony, a potem rozgniatam go obcasem, trwale unieszkodliwiając detonator.

Nie ma już Lee, jego plany zostały udaremnione.

Ale to dopiero połowa mojej misji.

Druga właśnie stąd wybiegła.

BIEGNĘ PO SCHODACH, PRZEZ PUSTĄ JUŻ KUCHNIĘ, WPADAM DO SALI BANKIETOWEJ.

Mijam kilku kelnerów, którzy jako ostatni zmierzają do wyjścia, i pytam, czy widzieli dziewczynę. Wskazują w przeciwną stronę, w głąb budynku.

Z haka na mijanych drzwiach zdejmuję kurtkę pracownika obsługi i z pochyloną głową lawiruję między kelnerami, zwalniając kroku, gdy wchodzę po pochylni do holu, który prowadzi do głównego atrium.

Zebrało się tu kilku agentów, którzy żywo dyskutują o wydarzeniach na zewnątrz. Nic nie wiedzą o zagrożeniu, które właśnie czyha na dole. Ale muszę ich wygonić z budynku.

– Bomba! – krzyczę, wskazując na podłogę.

To ich podrywa z miejsca. Pędzą przez hol, wołając do ludzi, żeby wychodzili.

Idę wzdłuż sali przy ścianie. Nagle na drugim końcu atrium dostrzegam ruch. To Miranda, która biegnie w kierunku wind.

Rzucam się sprintem przez hol, niezauważony przez nikogo w gorączce ewakuacji. Ale gdy dobiegam do wind, Mirandy już nie ma.

Patrzę na wyświetlacz. Wszystkie kabiny stoją na parterze z wyjątkiem jednej. Winda na samym końcu mija właśnie dwudzieste piętro.

Przypominam sobie, jak Miranda śledziła mnie w nocy, kiedy wchodziłem na górę. Przyzwyczała się do wspinaczki, żeby z góry móc popatrzeć z właściwej perspektywy.

Miranda powinna stąd uciec, ale została. Wsiadła do windy.

Widzę, że wjeżdża jeszcze wyżej. Przypuszczam, że Miranda nie zamierza się zatrzymywać, dopóki nie dotrze na sam szczyt budynku.

Tam właśnie pojedę.

TARAS WIDOKOWY.

Kiedy wysiadam, mam za szybą panoramę Bostonu, którą przysłania kilka sąsiednich wieżowców tej samej albo większej wysokości. Nie widzę Mirandy, ale jej winda tu stoi, drzwi są otwarte i zablokowane, słychać ciągły dzwonek alarmu.

Jestem na tarasie widokowym, ale można wejść jeszcze wyżej.

Na dach.

Widzę wejście na schody. Drzwi otwierają się cicho na dobrze naoliwionych zawiasach. Wbiegam na górę, przeskakując po dwa stopnie. Alarm windy cichnie za moimi plecami.

Otwieram drzwi na dach i w twarz uderza mnie silny podmuch wiatru. Ciepłego wieczornego powietrza, rozkołysanego przez silne turbulencje na dużej wysokości.

Miranda stoi w trzech czwartych odległości od krawędzi dachu, opierając się porywom wiatru, nie patrząc w moją stronę. Z łoskotem zamykam za sobą drzwi, licząc na to, że dobiegnie ją ten hałas.

Odwraca się.

Chcę, żeby się odwróciła. Nie będzie niespodzianek. Nie tutaj.

Powoli do niej podchodzę.

Czeka, aż zbliżę się na tyle, żeby ją usłyszeć, po czym mówi:

– Widziałam, co zrobiłeś mojemu bratu. Miał rację. Rzeczywiście ktoś cię przysłał, żeby nas powstrzymać.

– Tak – odpowiadam.

– Jesteś czymś agentem.

Kiwam głową. Przez jej twarz przebiega grymas bólu.

– Powinam pozwolić Lee, żeby cię zabił.

– Czemu tego nie zrobiłaś? Wiedziałaś o mnie na tyle dużo, żeby przynajmniej coś podejrzewać.

Nie odpowiada, tylko spogląda na ulicę, którą radiowozy i wozy strażackie napływają w stronę ciemnych zabudowań placu wokół budynku.

– Od początku próbowałaś mi pomóc – ciągnę. – Ostrzegłaś mnie, żebym nie zostawał w obozie, nie zdradziłaś mnie, kiedy znalazłaś mnie w lesie, a potem powiedziałaś bratu, żeby mi darował życie.

– Czy to ma teraz jakieś znaczenie? – mówi, podchodząc bliżej krawędzi dachu.

– Dla mnie ma.

– Podobałeś mi się – mówi. – Dlatego to zrobiłam.

– „Podobałeś”? W czasie przeszłym?

– Hm, sprawy trochę się skomplikowały, nie sądzisz, Daniel? Czy jak naprawdę masz na imię.

Moje prawdziwe imię.

Od lat nie zdradziłem nikomu swojego prawdziwego imienia.

Patrzę na Mirandę stojącą na skraju dachu. Wiatr targa jej włosy.

Staram się skupić na misji. Dwa obiekty, z których tylko jeden został zlikwidowany.

Nie potrafię jednak o tym teraz myśleć.

Bez chipu uczucia kotłują się we mnie, intensywne i nie do opanowania.

– Może da się z tego wybronić – mówię.

– Z czego?

– Przed sądem. Przetrzymywano cię w obozie wbrew twojej woli. Nie planowałaś tego zamachu. Zostałaś zmuszona, żeby wziąć w nim udział.

– I tak uznają mnie za winną.

– Ale mogą wziąć pod uwagę okoliczności łagodzące. Unikniesz kary śmierci.

– I spędzę resztę życia w więzieniu? Nie, dziękuję. Będą potrzebowali winnego, Danielu. Będą chcieli kogoś ukarać.

– Zawsze jest szansa na złagodzenie kary – odpowiadam. – Kilka lat w więzieniu, a potem będziesz mogła wrócić do domu.

– Jakiego domu? – pyta.

Ma rację.

Jej ojciec i brat nie żyją. Camp Liberty zostanie rozwiązany.

Wsuwa rękę do kieszeni bluzy i coś stamtąd wyjmuję.

Telefon, taki jak u jej brata.

Patrzy na mnie przez szerokość dzielącego nas dachu. Robię krok w jej stronę, a ona przesuwa się bliżej krawędzi.

Wyciąga przed siebie komórkę, trzymając ją między nami jak ostrzeżenie.

– Wiesz, co to jest? – pyta.

– Zapasowy detonator.

– Zgadza się.

Uderza w nas kolejny podmuch wiatru i muszę balansować ciężarem ciała, żeby nie stracić równowagi.

Patrzę na postawę Mirandy. Stoi wyprostowana, mocno opierając się wiatrowi. Jest zdesperowana i nie ma wyboru.

Dostałem zadanie i muszę ją zabić. Przynajmniej według tego, co mówił Mike.

Od kilku dni nie miałem wiadomości od Ojca ani Matki. Potem pojawił się Mike, twierdząc, że jest posłańcem od nich, ale skąd mam wiedzieć, po co naprawdę przyszedł?

O ile mi wiadomo, Program przestał istnieć. Mike mógł mnie okłamać, wysyłając mnie z tą misją dla siebie tylko znanych powodów.

Może był rozgoryczony faktem, że Francisco zbuntował się przeciwko Programowi. Pierwszy zwerbowany przez niego żołnierz został zdrajcą, więc w odwecie wymyślił misję.

Jeżeli rzeczywiście nie ma żadnej misji, to znaczy, że jestem tu sam, bez prawdziwego celu.

Co oznacza, że mogę mieć wybór. Możemy mieć oboje.

– Wyszłabyś stąd ze mną? – pytam Mirandy.

– I dokąd mielibyśmy pójść?

– Dokąds. Wszystko jedno.

– Chcesz mnie aresztować.

– Nie jestem z policji.

– Może i nie, ale tam na ulicy jest ich pełno. Zgodzę się, zabierzesz mnie na dół i wydasz policji. A potem znikniesz.

– Nie o tym mówię.

– To o czym?

Opuszcza detonator.

– Pierwszej nocy, wtedy na górze – mówię – powiedziałaś, że chcesz wiedzieć, co się dzieje w prawdziwym świecie. Możesz pomieszkać w nim jakiś czas, przekonać się, jak to jest.

Oboje możemy.

Jej rysy na moment łagodnieją, ale zaraz oczy zasnuwa cień, a twarz staje się nieruchoma

jak kamień.

– Gdybym z tobą poszła, to kim bym wtedy została? – pyta.

– Wolnym człowiekiem – odpowiadam.

– Nie – mówi, potrząsając głową. – Zdrajczynią, jak moja matka.

Mój wzrok przyciąga ruch jej ręki. Widzę, że stuka w klawisze komórki, wybierając numer.

– Nie rób tego – ostrzegam.

– Nie mam innego wyjścia.

Myszę o tym, jak cztery dni temu stałem otoczony przez pierścień żołnierzy, którzy celowali do mnie z broni. O zagadce, którą przygotował dla mnie Ojciec.

– To nieprawda – mówię. – Zawsze jest jakieś wyjście.

– Przykro mi – odpowiada, wstukując ostatnią cyfrę i naciskając ZADZWONĪ.

Przygotowuję się na eksplozję...

Mija sekunda, dwie, trzy.

Nic się nie dzieje.

Miranda patrzy na telefon, sprawdza, czy numer się zgadza. Naciska jeszcze raz.

Patrzę na otaczające nas gigantyczne anteny.

– Mamy dookoła anteny wysokiej częstotliwości – mówię. – Z takiej odległości mogą blokować sygnał.

Niespokojnie rozgląda się po dachu.

– To koniec, Mirando.

Wychyla się za krawędź dachu i patrzy na ulicę.

– Jeszcze nie koniec. Sam to powiedziałeś. Zawsze jest jakieś wyjście. Mogę złapać sygnał. Muszę być tylko bliżej ziemi.

Nagle rozumiem szalony plan, który zrodził się w jej głowie.

– Nie wiesz, czy ładunki w furgonetkach zostały dobrze podłączone. Nie wiesz, czy sygnał komórki może się przebić przez ściany podziemia.

– Ale jest taka szansa, prawda? Gdybym znalazła się bliżej ładunków. Jest szansa, że się uda.

Słyszę w dole syreny, których odgłos niesie wiatr.

– Być może na dole jest już ekipa pirotechników – mówię. – I wszystko rozmontowała.

– Nie wszystko – protestuje. – Nie przypuszczam. Bomby zamknięte w furgonetkach, z zabezpieczeniami i dodatkowymi zapalnikami kontaktowymi? Będą potrzebować sporo czasu.

– Tego nie wiemy.

– Chyba się mylisz – mówi. – Bomby są ciągle uzbrojone. Potrzebny jest tylko odpowiedni sygnał.

– Nie rób tego – nalegam. – Zjedź ze mną na dół.

Uśmiecha się.

– Myślisz, że mnie uratujesz, ale się mylisz.

Spogląda w ciemną przestrzeń miasta. Jej ubranie łopocze na wietrze.

– Nie chcę, żebyś mnie ratował. Chcę tylko skończyć to, co zaczęliśmy.

– Zaczęliście?

– Moja rodzina. Moje dziedzictwo – mówi i robi krok poza krawędź budynku.

Podbiegam na skraj dachu i patrzę, jak spada w przestrzeń.

Niewielu potrafiłoby zrobić to, co próbuje Miranda. W czasie spadania większość ludzi machałaby rękami i nogami i obracała się w niekontrolowany sposób. Przed upadkiem na ziemię mogliby stracić przytomność, a nawet dostać ataku serca.

Ale Miranda z wprawą koryguje ułożenie ciała w powietrzu, szeroko rozkładając ręce i nogi w klasycznej pozycji stabilizującej skoczek spadochronowego. Spadający obiekt nigdy nie przyspiesza w nieskończoność. Osiąga prędkość graniczną i nie może spadać szybciej. Przyjmując pozycję stabilizującą, Miranda ma kontrolę nad opadaniem, zwiększając opór powietrza i opóźniając osiągnięcie prędkości granicznej.

Nie ma szans na przeżycie, ale nie próbuje przeżyć.

Próbuje dokończyć misję.

W ostatnich sekundach przed upadkiem widzę, jak łączy ręce nad głową, wciąż ściskając w jednej dłoni telefon, a drugą wciskając klawisz.

Zanim uderzy w ziemię, odwracam wzrok.

Sekundę później czuję głucho dudnienie wybuchu daleko przede mną.

Wibracja przebiega w górę po stalowej konstrukcji jak potężny dreszcz, a dach nagle przekrzywia się na jedną stronę, gdy eksplozja narusza jedną z podpór budynku daleko w dole. Po chwili puszcza druga podpora i kąt przechyłu się zwiększa.

To nie jest profesjonalna rozbiórka, w której piętra zawalają się na siebie po kolei w wyniku serii starannie odmierzonych wybuchów. To gigantyczna eksplozja w jednym rogu wieżowca, która niebezpiecznie odchyła go od linii prostej.

Nie mam szans, żeby zdążyć się stąd wydostać.

Jedynie, co mogę zrobić, to pobiec w kierunku opadania budynku.

Myślę gorączkowo, obliczając kąt i odległość, które zmieniają się z każdą chwilą.

Między dachem a najbliższym, niższym wieżowcem po drugiej stronie ulicy jest około dziesięciu metrów.

Odległość dziesięć metrów, wysokość spadku ponad dwadzieścia. Niewykonalny skok.

Ale w miarę jak budynek federalny się przechyla, zmniejsza się przestrzeń między budynkami.

Jeżeli dobrze obliczę czas, wykonam coś w rodzaju skoku z jednej przewracającej się kostki domina na drugą, która jeszcze stoi.

Jeżeli obliczę czas.

Słyszę zgrzyt metalu i huk pękających okien. Trzask puszczonego śrub i krzyki ludzi stojących na dole.

Serce łomocze mi z przerażenia. Wyobrażam sobie, że skaczę w przestrzeń i jak kamień spadam na ziemię jak Miranda.

Dachy dzieli już odległość siedmiu i pół metra.

Tak mówi mój wzrok, ale mogę się mylić. Przy tej ilości stresu umiejętności oceny mogą zawodzić. Jestem wyszkolony, żeby działać pod presją i nawet w najbardziej niezwykłych okolicznościach podejmować znaczące decyzje, od których może zależeć moje życie.

Cztery metry to byłoby dopuszczalne ryzyko. Ale ponad siedem?

Na decyzję zostało parę sekund.

Za bardzo się boję, żeby się ruszyć. Tkwię w miejscu jak przymurowany, gorączkowo obliczając odległość, możliwość udanego skoku, prawdopodobieństwo popełnienia błędu.

Budynek przechyla się dalej i przewracam się na dach. Udaje mi się dźwignąć na nogi.

Jeżeli tu zostanę, zginę. Jeżeli skoczę, mam przynajmniej jakieś szanse.

Pewna śmierć albo niepewne życie.

Nagle odległość przestaje mieć znaczenie.

Rzucam się w kierunku krawędzi dachu. Czekam do ostatniej chwili, a potem skaczę w przestrzeń...

Dalej niż w połowie odległości zdaję sobie sprawę, że się nie uda.

Spadam szybciej niż poruszam się w linii poziomej, mimo że wyprężam ciało i wyciągam przed siebie ręce, nie mam szans przedostać się na drugą stronę.

W pamięci staje mi obraz sprzed tygodnia, na obozie w Vermoncie, piękny letni dzień, ciemnozielone jezioro. Skakałem ze skał do wody na głowę, wierząc w los.

Łatwo wierzyć w los, kiedy myślisz, że jest po twojej stronie.

Czasem jednak los odwraca się od ciebie.

Tak jak odwrócił się ode mnie w dniu, w którym poznałem Mike'a.

Tak jak odwraca się od ludzi, których poznaję na swoich misjach, ludzi, którzy wydają ostatnie tchnienie na moich rękach.

Tak jak odwraca się ode mnie teraz.

Bo właśnie spadam.

Pod stopami mam pustkę. Robię ostatni wdech, napełniając płuca tlenem, przygotowując się na straszliwe lądowanie na jezdni w dole.

Los rozprawi się teraz ze mną, każąc mi spaść.

Moje wyszkolenie nie ma już żadnego znaczenia. Spadam i nic nie mogę na to poradzić.

Wtedy ją dostrzegam.

Linę.

Ukazuje się przede mną jak gdyby znikąd, jasnopomarańczowa, z węzłami w regularnych odstępach na całej długości.

Przemyka mi przez głowę myśl, że to figiel wyobraźni. Halucynacja zrozpaczonego chłopaka, który za moment zginie.

Wszystko jedno, czy to złudzenie, czy nie, wyciągam po nią rękę.

Moje palce zaciskają się na twardym nylonowym sznurze. Prawdziwym sznurze.

Chwytam linę, ale wyslizguje mi się z rąk. Wytężam wszystkie siły i staram się trzymać ją na tyle mocno, by przestać spadać.

Jestem silny. Nie puszczam.

Dłonie palą mnie żywym ogniem, gdy zsuwam się po linie, ale zatrzymują się prawie na samym końcu. Nagle przestają lecieć w dół i zaczynam się wznosić, uczepony liny, która kołysze się w silnych porywach wiatru.

Spoglądam w górę, podążając wzrokiem za nylonową liną i wyciągając szyję, aż wreszcie znajduję źródło. Linę spuszczonego z helikoptera.

Patrzę na brzuch maszyny, która wolno się unosi, zagarniając powietrze łopatomy wirnika i ciągnąc mnie coraz wyżej.

Gdy spoglądam w dół, widzę, jak budynek federalny wali się na centrum miasta, a kilka ulic wypełnia rozpędzona chmura pyłu. Ten widok jest straszny i zarazem znajomy.

Po zburzeniu wieżowca w mieście zapadają kompletne ciemności. Boston pode mną zmienia się w czarną próżnię. Nad sobą mam niebo.

Zaczynam się wspinać.

Chwytam się płozy helikoptera, a potem wciągam do przedziału bagażowego. Poznaję ten śmigłowiec. Takim samym leciałem tydzień temu w Vermoncie.

Osuwam się ciężko na podłogę i zamykam za sobą drzwi.

Pilot odwraca się do mnie z zatroskaną miną.

To Ojciec.

– WITAJ NA POKŁADZIE – MÓWI.

Skąd się tu wzięłeś – pytam.

– Czy to ważne? Jestem. Rzuciłem ci koło ratunkowe.

Koło ratunkowe.

Tego samego wyrażenia użył Francisco.

– Dlaczego teraz? – pytam.

– Bo chyba tego potrzebowałeś, nie sądzisz?

– A wcześniej? Kiedy byłem odcięty od świata w Camp Liberty i próbowałem się z wami skontaktować?

– To temat na nieco dłuższą rozmowę – odpowiada.

Przyglądam się Ojcu, który z niewzruszoną miną obrzuca mnie badawczym spojrzeniem, oceniając stan mojego ciała.

– Nie masz obrażeń – mówi.

Brzmi to raczej jak stwierdzenie niż pytanie.

– Nie mam.

– W takim razie zabieram cię stąd.

OWIJAM KRWAWIĄCE DŁONIE OPATRUNKIEM POLOWYM.

Potem siadam na fotelu pasażera obok Ojca.

Patrzę przez szybę. Jeszcze przed chwilą niebo wyglądało jak śmierć. Teraz wprost przeciwnie.

– Przez cztery dni nie mogłem się z wami połączyć – mówię.

Ojciec unika mojego wzroku. W skupieniu patrzy przed siebie, monitorując przyrządy helikoptera.

– Próbowałem się z wami skontaktować – ciągnę ze złością. – Mieliśmy procedury awaryjne, kryjówkę, plan...

– Wiem – przerywa mi Ojciec.

– Ale zniknęliście! Dlaczego?

– Dostałem rozkaz – odpowiada. – Nie miałem innego wyjścia, musiałem odciąć łączność z tobą.

Robię głęboki wdech, siłą woli opanowując kipiącą we mnie wściekłość.

– Powiedz tylko dlaczego – mówię.

– Najpierw przepadł Francisco, potem ty zniknąłeś w obozie. Program krwawił. Tak to wyglądało z naszego punktu widzenia. Musieliśmy zatamować krwotok, bo inaczej ryzykowaliśmy, że stracimy wszystko. Potrafisz to zrozumieć?

Mike mówił prawdę. Pojechałem do obozu i Program zinterpretował to jako zdradę.

– Jak sądziliście, co się ze mną stało? – pytam.

– Uzналиśmy, że zostałeś zwerbowany i się zbuntowałeś.

– Uważasz, że moja lojalność jest aż tak krucha?

– Rozmawialiśmy przed misją o tym, że pojawiły się pytania na twój temat.

– Ale zrobiłeś mi test. Powiedziałeś, że jestem gotów do służby.

– A potem złamałeś rozkaz i pojechałeś do Liberty.

– Dlatego mnie skreśliliście.

– Przecież rozumiesz, dlaczego mieliśmy wątpliwości po tym, co się niedawno stało.

Z tobą i tamtym żołnierzem.

Dwaj agenci naruszają regulaminowe zasady, jeden po drugim. Z punktu widzenia Programu to nie mógł być zbieg okoliczności – musieli przyjąć założenie, że jest w tym regularność. W tym momencie wierność każdego staje się podejrzana, dopóki nie będzie dowodu, że jest inaczej.

Z jednej strony ich decyzja o odcięciu łączności ze mną wydaje się logiczna.

Z drugiej jednak zostawili mnie w terenie, zdanego na własne siły, zakładając zdradę zamiast mnie wydostać.

– Jeżeli ciągle mieliście wątpliwości – mówię – powinniście się ze mną skontaktować. Mogliśmy o tym porozmawiać.

– Gdybyśmy próbowali nawiązać z tobą kontakt w obozie, Moore mógłby cię zabić. Musieliśmy przyjąć założenie, że zdemaskował naszego żołnierza i spodziewał się drugiej misji wewnątrz obozu. Każde podejrzane zachowanie sprowokowałoby go do ataku na ciebie. Dlatego nie mogliśmy się z tobą skontaktować.

– Skoro tak się baliście, że Moore mnie zabije, dlaczego postanowiliście to sami zrobić?

- O czym ty mówisz?
- O rozkazie likwidacji – odpowiadam.
- Nigdy nie wydaliśmy rozkazu likwidacji.

Przyglądam się twarzy Ojca, żeby sprawdzić, czy kłamie. Nie widzę żadnych oznak fałszu, ale jest specjalistą od maskowania takich rzeczy.

- Wysłaliście oddział najemników, żeby zaatakował mnie w kryjówce – mówię.
- To nie ty miałeś być celem – odpowiada.
- Dziwne, bo właśnie do mnie strzelali.

Ojciec wolno wypuszcza powietrze z płuc, mocniej zaciskając doń na drążku sterowniczym.

– Wiemy, że opuściłeś Camp Liberty, żeby pojechać na operację nad jeziorem Massabesic.

- W stacji uzdatniania wody.

– Zgadza się. Widzieliśmy zdjęcie wysłane ze stacji. Musieliśmy przyjąć założenie, że się zbuntowałeś. Jeżeli tak, to prawdopodobnie ujawniłeś Moore’owi informacje o nas. Być może powiedziałeś mu o kryjówce. Przypuszczaliśmy, że mógłby wysłać ludzi, żeby ją sprawdzili, może spróbowali uzyskać dostęp do naszej łączności. Wysłaliśmy na miejsce najemników, żeby na nich zaczekali. Na wszelki wypadek.

– Ale wcześniej wyczyściliście dom. Gdyby nawet zjawili się tam ludzie Moore’a, niczego by nie znaleźli.

- To była dobra okazja.

Patrzę na Ojca. Jego twarz znów jest opanowana, pilotuje śmigłowiec spokojną, pewną ręką.

- Jaka okazja? – pytam.

– Kobieta, którą spotkałeś w domu, to była agentka FBI. Należała do zespołu, który dziesięć lat temu prowadził dochodzenie przeciwko Moore’owi.

Myślę o tej kobiecie, przypominając sobie, jak reagowała, gdy otworzyli do nas ogień, jak sobie radziła w sytuacji, w której powinna ulec panice.

– Czyli posłaliście na miejsce oddział najemników i gdyby w jej domu pojawili się ludzie Moore’a...

– Wyglądałoby to tak, jakby Moore brał odwet – kończy za mnie Ojciec. – Atak na dzielnicę mieszkalną na przedmieściu. Cywilne ofiary. Ludzie Moore’a na miejscu zdarzenia.

- Zastawiliście na niego pułapkę – pojmuję nagle.

– FBI miałyby niepodważalny powód, żeby wkroczyć i rozwiązać obóz. Nie była to misja, jaką planowaliśmy, ale zdaliśmy sobie sprawę, że trzeba zlikwidować Moore’a, w taki czy inny sposób.

Pomysłowy plan, jeżeli pominąć fakt, że Program był gotowy poświęcić niewinną rodzinę, żeby zrealizować cel.

Uświadamiam sobie, że popełniłem błąd, myśląc, że oddział najemników został wysłany ze względu na mnie. Gdyby Program chciał mnie zabić, miał inne metody.

Dyskretniejsze.

- Nie mogliśmy wiedzieć, że to ty pojawisz się w tym domu – dodaje Ojciec.

- Ale to byłem ja – mówię. – I byłem sam.

– Żałuję – odpowiada Ojciec. – Ale zrobiłeś to, czego zostałeś nauczony. I dzięki Bogu przeżyłeś.

Ojciec zmienia kurs, kierując helikopter na zachód i oddalając się od Bostonu.

Kiedy na niego zerkam, obserwuje mnie.

- Spędziłeś w obozie dużo czasu – mówi.
- W sumie zaledwie trzy dni.
- Ale wystarczyło – zauważa Ojciec.
- Żeby zabić Moore’a? Tak.
- Żeby poznać prawdę. O naszym żołnierzu.

Kiwam głową. To go interesuje. Widzę, jak usiłuje sprawić wrażenie, że nie przywiązuje do tego szczególnej wagi.

- Co się stało z tym żołnierzem? – pyta.
- Nie żyje.

Przyglądam się twarzy Ojca, oceniając reakcję i próbując zrozumieć, co czuje, jeżeli w ogóle coś czuje.

- Nic nie widzę. Żadnego smutku ani żalu.
- Jesteś pewien, że nie żyje? – pyta Ojciec.

– Sam go zabiłem.

Chrząka.

- Zbuntował się – mówi Ojciec ledwie słyszalnym szeptem.

Kiwam głową.

Przypominam sobie, co powiedział mi Moore. Francisco zbuntował się przeciwko Programowi na długo przed przyjazdem do Camp Liberty. Moore dał mu tylko możliwość innego życia, alternatywnego wobec służby w Programie. Bardziej atrakcyjnego dla Francisca.

Mógłbym powiedzieć to Ojcu, ale z jakiegoś powodu nie chcę, żeby o tym wiedział.

Wystarczająco straszna jest dla niego myśl, że inna organizacja mogłaby się okazać lepsza od Programu. Ale świadomość, że jego żołnierze myślą niezależnie, przyniosłaby jeszcze więcej szkody.

Zatrzymam dla siebie tę informację, dopóki mi się nie przyda.

Przedstawiam Ojcu inną wersję.

– Moore zrobił mu pranie mózgu. Zaawansowane techniki wzbudzania kultu, psychomanipulacja, kompletna izolacja, wywoływanie poczucia zależności, paranoiczny lęk przed zewnętrznym światem...

- To nie powinno działać na kogoś takiego jak Francisco.

– Byłem tam trzy dni i zaczęło mi się mącić w głowie. Francisco spędził tam prawie cztery miesiące.

- A więc naprawdę nie żyje?
- Zająłem się tym.
- Chronić Program – mówi Ojciec.

Zaglądam mu w oczy.

- Mój główny cel – przytakuję.
- Dobra robota – mówi Ojciec.

Zapinam pas i rozciągam się wygodnie w fotelu.

- Na razie wystarczy – uznaje Ojciec. – Będzie dużo czasu, żebyś złożył raport z misji.

Kiwam głową i zamykam oczy.

Moje ciało wyłącza się po tym wszystkim, czego doświadczyło, i przechodzi w tryb regeneracji. Kilka minut później zasypiam.

Budzę się tylko raz i widzę, że Ojciec patrzy na mnie. Pokazuje butelkę wody obok mojego fotela. Pociągam łyk, spluwam sadzą na podłogę między swoimi nogami. Potem prawie jednym haustem wypijam połowę butelki, odchylam się na fotelu i znów zapadam w głęboki sen.

Koszmary, jeżeli się pojawią, przyjdą później.

Teraz śni mi się tylko wiatr i niebo, łomot wirników, które niosą mnie w bezpieczne miejsce, lina, która zmaterializowała się przede mną w czarodziejski sposób.

Otwieram oczy, gdy czuję, jak helikopter zaczyna schodzić do lądowania. W dole widzę bazę wojskową.

– Baza lotnicza Hanscom – informuje mnie Ojciec. – Jesteśmy około pięćdziesięciu kilometrów na północny zachód od miasta.

– Nie zauważą nas? – pytam.

– Lotnictwo i Gwardia Narodowa zostały postawione w stan gotowości – odpowiada Ojciec. – Poza tym nie ma nic niezwykłego w tym, że wojskowy śmigłowiec ląduje w wojskowej bazie.

Ojciec sadza maszynę. Łopaty wolno obracają się nad nami.

Patrzę na swoje spodnie i poplamioną krwią koszulę. Ojciec to zauważa.

– Za siedzeniem jest worek dla ciebie – mówi.

Z tyłu znajduję niewielki płócienny worek marynarski. Otwieram go i wyjmuję nową wojskową bluzę i spodnie kamuflażowe. Z legitymacji wynika, że jestem żołnierzem Gwardii Narodowej.

– Dzięki temu powinieneś bez kłopotów wydostać się z bazy. Zresztą ta pomoc nie jest ci potrzebna – mówi Ojciec.

Nie mogę zdjąć przed nim koszuli, bo zobaczyłby rany. Pojawiłyby się pytania. Dlatego zakładam wojskową bluzę na zakrwawioną koszulę, a potem wkładam spodnie.

– Raporty z Bostonu sugerują, że liczba ofiar będzie minimalna. Dzięki tobie ewakuacja zaczęła się na tyle wcześniej, że ludzie zdążyli się uratować. Departament Bezpieczeństwa Krajowego zgarnia grupy, które wysadziły stacje energetyczne.

– To tylko dzieciaki – mówię.

– Ale niebezpieczne dzieciaki – zauważa Ojciec. – Ale zostaną potraktowane sprawiedliwie. W każdym razie ta sprawa nas nie dotyczy. Już nie.

Wyjmuję z worka dokument gwardzisty i wsuwam do kieszeni.

– Co się stało na dachu? – pyta Ojciec. – Nie mogłeś temu zapobiec?

– Źle oceniłem tę dziewczynę.

– Wygląda mi na to, że masz z tym problem.

Nie poruszam się, starając się nie zareagować na uwagę Ojca.

– Nie mam problemu – odpowiadam.

Ale kłamię. Bo próbowałem ratować Mirandę.

Naprawdę porzuciłbym Program, żeby z nią być?

Nigdy się tego nie dowiem. Nie dała mi szansy, żebym się mógł przekonać.

– Raz to anomalia – mówi Ojciec. – Ale dwa razy to już problem.

Ma rację. Pierwsza była Samara. Druga Miranda. Numeru trzy nie będzie. Program na to nie pozwoli.

– Nie wiedziałem, że ma zapasowy detonator – mówię.

– Nie mogłeś go jej odebrać?

Pytania Ojca mnie złością.

– Skoczyła, zanim zdążyłem do niej podbiec – wyjaśniam szybko. – Widziałem, jak zginęła.

Chcę powiedzieć więcej, ale się powstrzymuję. Bez chipu trudniej mi opanować rozbuchane emocje. Boję się otworzyć usta, żeby się nie uzewnętrzniły.

Mój ton sprawia, że wyraz twarzy Ojca się zmienia. Łagodnieje.

– Dużo przeszedłeś – mówi.

Jak gdyby to miało jakieś znaczenie. Jak gdyby się o mnie martwił.

– Wybuch trochę mnie wytrącił z równowagi. Dam sobie radę.

Furkoczą nad nami łopaty wirnika. Tłumię w sobie emocje, przybierając twarą, beznamiętną minę żołnierza.

– Też myślę, że dasz sobie radę – mówi. – Jestem tego pewien.

Biorę worek i otwieram drzwi helikoptera.

– Opieramy się na czymś bardzo kruchym, Zach.

Zach.

To dla mnie szok słyszeć z jego ust moje prawdziwe imię.

– Program jest kruchy – ciągnie. – Może wydaje się inaczej, ale to prawda. Podstawą jego działania jest zaufanie.

– Oczywiście – przytakuję.

– Musimy sobie wzajemnie ufać – mówi Ojciec.

Myślę o oddziale najemników w ogrodzie za domem, który miał być moją kryjówką.

Myślę o chipie ukrytym teraz pod taśmą na mojej piersi. O tym, co o Programie powiedział mi Francisco.

Być może Francisco oszalał, ale w tym, co mówił, była prawda.

Patrzę na Ojca.

Nie ufam mu. Już mu nie ufam.

Sięgam po wszystkie swoje umiejętności, żeby ukryć przed nim swoje uczucia, przykrywając je kilkoma warstwami innych uczuć, a na koniec zasłaniając maską spokoju.

Ojciec czeka, żebym coś powiedział.

– Ufam wam – mówię.

– To dobrze.

Kiwa głową. Wszystko załatwione.

– Wyjdź z bazy. Zniszcz swój telefon. Dwie ulice stąd na parkingu pod Stop&Shop stoi infiniti G37. Kiedy stąd wyjedziesz i będziesz w bezpiecznym miejscu, sprawdź skrzynkę mailową. Przyślemy ci instrukcje.

Wracamy do normalnej pracy. Po zadaniu jest czekanie.

– Długo będę czekać tym razem? – pytam.

– Jeszcze nie wiem.

Zaczynam wysiadać z helikoptera.

– Zach? – odzywa się Ojciec.

Zatrzymuję się w drzwiach.

– Jeżeli znowu będzie ich za dużo, zadzwonisz do mnie?

– Za dużo? Czego?

– Myśli. Wiem, że czekanie jest dla ciebie trudne.

– Zadzwonię.

– Wolałbym. Te kilka dni... – Milknie, starannie dobierając słowa. – Musiałem podjąć decyzje, które były dla mnie bardzo trudne osobiście. Nie powinienem ci o tym mówić, ale uważam, że lepiej będzie, żebyś wiedział. Chciałbym, żeby to była tylko anomalia, o której będziemy mogli zapomnieć.

– Ja też bym chciał – mówię.

– Zadzwoń, jeżeli będziesz miał problem. Żeby znowu nie doszło do tego, co tym razem.

– Nie dojdzie. Przyrzekam.

Staję na płycie lotniska. Łopaty zwiększają obroty, wywołując potężny wir powietrza, i helikopter startuje, a potem robi ostry przechył i znika w ciemnościach.

NA PARKINGU PRZED SKLEPEM SPOŻYWCZYM NIEDALEKO BAZY CZEKA G37 COUPE.

W środkowej konsoli ładuje się iPhone, w schowku jest zestaw dokumentów. Opuszczam osłonę przeciwsłoneczną, otwieram klapkę lusterka i chucham na nie. Ukazuje się liczba, PIN zabezpieczający telefon, który będzie moim kodem podczas etapu czekania na nowe zadanie. Zapamiętuję kombinację cyfr, a potem wycieram lusterko.

Uruchamiam samochód. Silnik ożywa z głębokim rykiem. To potężny silnik o mocy 330 koni, z którego słynie Infiniti, rzadka przyjemność w dzisiejszych czasach.

Wyjeżdżam z parkingu, czując podmuch wiatru wpadającego przez otwarte okna.

Program wrócił, wszystkie procedury działają, zorganizowano mi bezpieczny odwrót po wykonanej misji.

Jak gdyby ostatnich czterech dni w ogóle nie było. Jakby Program nigdy nie zniknął, nigdy mnie nie zostawił.

Z jednej strony chcę się z tym pogodzić. Wykonałem zadanie i przeżyłem. To była moja misja. Wprawdzie miała bardziej skomplikowany przebieg niż poprzednie, ale trudno. Wszystko wraca do normy.

Z drugiej strony jednak wiem, że to kłamstwo. Kiedyś ufałem tym ludziom.

Już im nie ufam.

Z zamyślenia wrywa mnie wibracja telefonu.

To nie nowy iPhone Programu podłączony do ładowarki w środkowej konsoli. To mój iPhone, o którym zapomniałem. Ten, przez który kontaktuję się z Howardem.

– Odrzutowce zostawiają ślad na niebie – mówi, gdy odbieram.

W jego głosie słychać pośpiech i podniecenie. Howard na przyspieszonych obrotach.

– Nie rozumiem – mówię.

– Odrzutowce zostawiają ślad. Tak jak cyfrowe sygnały. E-maile, wiadomości, wewnętrzna wymiana informacji między agencjami. Wszystkie zostawiają w sieci niewyraźne ślady, nawet te zabezpieczone. Zwłaszcza zabezpieczone, bo nawet kiedy się je skasuje, nie zostają nadpisane przez ruch w sieci, który nadpisuje zwykłą komunikację publiczną.

– Do czego zmierzasz, Howard?

– Poszedłem ich tropem.

– Dokąd?

– Do twojego ojca.

Przyspieszam, nie zdając sobie z tego sprawy, i gdy unoszę wzrok, siedzę na zderzaku jadącego przede mną pikapa. Ostro skręcam i prawie ocierając się o niego, wjeżdżam na wolny pas.

– Gdzie teraz jesteś? – pytam.

– Jeszcze w Manchesterze.

– Mówiłem, żebyś stamtąd wyjechał.

– Przed wyjazdem musiałem zrobić jeszcze jedną rzecz – odpowiada. – Jedna rzecz doprowadziła do następnej, zaczęły przychodzić dane...

– Obiecuj mi, że spakujesz się, jak tylko odłożysz telefon.

– Jasne – mówi. – Przrzekam potrójnie. Tak chce Goji, kiedy umawiam się na FaceTime'a z Osaką, ale zapominam i...

– Mój ojciec. Mów, czego się o nim dowiedziałeś.
– Dobra, dobra – przytomnieje, wracając do tematu. – Był w archiwalnych danych. Danych Programu. Pamiętasz tego dwunastoletniego hakera, o którym ci mówiłem w Nowym Jorku?

– Nieskończony.
– Zgadza się. Nieskończony. Ten, któremu się wydaje, że jest cholernym geniuszem. Nie zgadniesz. Dał ciała i zostawił uchyloną furtkę w firewallu. Może niezupełnie furtkę. Raczej coś w rodzaju tunelu, który z zewnątrz wygląda na zamknięty. Chodzi o to, że wszedłem do środka i dostałem się do jednego ze zdalnych serwerów Programu.

– Chcesz mi powiedzieć, że znalazłeś dane o moim ojcu na serwerze Programu?
– Właśnie. Kontaktowali się ze sobą.
– To znaczy, że zanim został zabity, w tajemnicy nawiązali z nim kontakt? Jakby go chcieli zrobić przed misją?

– Właśnie to jest dziwne – mówi Howard. – Kontaktowali się z nim otwarcie.
– Nie rozumiem.
– To było coś w rodzaju wewnętrznej wymiany informacji w ramach organizacji.
– Mój ojciec pracował dla Programu?
– Nie – odpowiada Howard. – Program pracował dla twojego ojca.
– Jak to możliwe?

– Mam e-maile, zabezpieczone wiadomości tekstowe, nawet parę...
Howard milknie.

– Howard? Halo?

W słuchawce zapada cisza.

Wciskam hamulec i gwałtownie zjeżdżam na pobocze.

Wybieram numer Howarda, słucham sygnału. Nie odbiera.

Czekam sześćdziesiąt sekund i dzwonię jeszcze raz.

Nic.

Czekam następne dwie minuty i znowu próbuję. Bez skutku.

Ruszam i zawracam, przecinając cztery pasy ruchu, nie zważając na protest jazgoczących klaksonów. Pędzę z powrotem na wschód, układając w głowie trasę, która pozwoli mi ominąć Boston i zaprowadzi mnie na północ w stronę Manchesteru.

W ciągu kilku godzin dzwonię do Howarda jeszcze pięć razy, ale nie odbiera. Wreszcie daję spokój, wiedząc, że mi się nie uda. Próbuję sobie wyobrazić przyczynę tej sytuacji, przyczynę, która wykluczałaby możliwość, że stało mu się coś strasznego, ale nie potrafię.

Nie zostaje mi nic innego, jak tylko skupić się na prowadzeniu i patrzeć na autostradę przed sobą, odmierzaną słupkami milowymi, które pojawiają się co trzydzieści siedem sekund.

W RECEPCJI MÓWIĄ MI, ŻE W OGÓLE SIĘ NIE WYMELDOWAŁ.

Idę do apartamentu i pukam, ale odpowiada mi cisza.
Dostrzegam światło w szparze pod drzwiami. Otwieram zamek i ostrożnie wchodzę do środka.
Pokój jest pusty. Pali się jedna górna lampa, tak jak czasem zostawia się ją włączoną, wychodząc za dnia i wiedząc, że wróci się dopiero wieczorem.
Na biurku leży niedojedzona paczka cheetosów. Nic więcej.
Na dole szafy znajduję torbę Howarda. Rozpinam ją i przeglądam zawartość.
Mnóstwo kabli i zasilaczy, ale nie ma laptopów. Przynajmniej w torbie.
Sprawdzam resztę pokoju, a potem włamuję się do sąsiedniego apartamentu.
Też jest pusty.
Komputery zniknęły. Może Howard musiał szybko opuścić pokój i w pośpiechu zdążył wziąć tylko laptopy? Przez chwilę tli się we mnie nadzieja, że może Howard jest bezpieczny, że wykorzystał coś, czego go uczyłem, i swoje naturalne zdolności ucieczki.
Wtedy jednak mój wzrok spoczywa na plamie na wykładzinie. To niewielka ciemna plamka, mniejsza od monety.
Krew.
Nadzieja pryska.
Przyglądam się plamie bliżej i widzę, że zakrzepła na powierzchni wykładziny. Nie została przejechana odkurzaczem ani wdeptana we włos butami.
Co oznacza, że to świeża krew.
Mówiłem Howardowi, żeby był ostrożny. Mówiłem, że od tego zależy jego życie.
Teraz zniknął, a została plama krwi na wykładzinie.
Tknięty przeczuciem, wyjmuję iPhone'a i wybieram jego numer. Słyszę bzyczenie dobiegające z głębi apartamentu.
Telefon Howarda.
Przetrzęsam wszystkie kąty w pokoju. Wreszcie znajduję telefon głęboko pod łóżkiem, wepchnięty aż pod ścianę, gdzie leży pod dziwnym kątem.
Odtwarzam scenariusz. Howard szamocze się z kimś. Telefon spada na podłogę i podczas walki zostaje kopniakiem posłany pod łóżko. Napastnik go nie podnosi. Może nie zauważył, może za bardzo mu się spieszyło i nie miał czasu sięgać pod łóżko.
Przeglądam menu w telefonie Howarda i odnajduję spis ostatnich połączeń. Widzę dziewięć nieodebranych połączeń i dziesiąte sprzed chwili.
Wszystkie z moim numerem.
Być może telefon kryje w sobie więcej informacji. Wkładam go do kieszeni, żeby obejrzeć go później.
Ostatni raz sprawdzam pokój, szukając śladów, których mogłem nie zauważyć wcześniej.
Niczego nie znajduję.
Gdy zmierzam do drzwi, dzwoni telefon w pokoju.
Patrzę na stolik przy łóżku, na błyskającą czerwoną lampkę sygnalizującą połączenie.
Po trzech dzwonekch podnoszę słuchawkę.
– Wiedziałem, że wrócisz – mówi czyjś głos.

Natychmiast go rozpoznaję.

To Mike.

– Posłuchaj uważnie – mówi Mike. – To jest publiczna linia.

Chrząkam, potwierdzając, że rozumiem.

– Mają twojego przyjaciela – ciągnie Mike.

– Mają?

– Usłyszałeś wyraźnie.

Mike należy do Programu. Jeżeli Howarda ma Program, Mike powinien powiedzieć „mamy”.

„Mamy” twojego przyjaciela.

Ale nie powiedział. Powiedział „mają”. Dwie możliwości:

1. Ktoś inny niż Program ma Howarda.

2. Howarda ma Program, ale Mike wyłącza się poza nawias.

– Muszę się z tobą zobaczyć – mówi Mike.

Od zakończenia szkolenia widziałem Mike’a dwukrotnie. Za każdym razem na jego warunkach. Za każdym razem zagrożone było moje życie.

– Pamiętasz, gdzie się poznaliśmy? – pyta.

Byłem wtedy w siódmej klasie. Mike w połowie roku został przeniesiony do naszej szkoły. Pierwszy raz go tam zobaczyłem, ale poznaliśmy się gdzie indziej.

Raz po południu byłem w Twelve Corners Plaza w Brighton, na przedmieściu Rochester w stanie Nowy Jork. Kupiłem pizzerinkę, a kiedy wychodziłem ze sklepu, wpadłem na niego.

– Chodzisz do mojej klasy – powiedział.

Z powodu tego spotkania moje życie miało się zakończyć sześć tygodni później, ale wtedy nie miałem o tym pojęcia.

– Pamiętasz, prawda? – pyta przez telefon Mike.

– Tak.

– Spotkajmy się tam za dwa dni od dzisiaj – mówi.

I nic więcej.

Odkładałem słuchawkę. Kręci mi się w głowie.

Patrzę na swoje odbicie w lustrze nad komodą. Wyglądam marnie z powodu braku jedzenia i snu. Nie potrafię logicznie rozumować ani zebrać myśli.

Najgorsze ze wszystkiego jest to, że się boję.

Zdejmuję koszulę. Odrywam taśmę od blizny i znajduję przyklejony do niej chip.

Neurosupresor. Tak nazwał go Francisco.

Odklejam go od taśmy.

Rana na piersi jest jeszcze świeża. Palcami rozrywam skórę, odsłaniając różowo-czerwone ciało.

Płynie krew. Nie zwracam na to uwagi.

Kładę chip na czubku palca i wpycham z powrotem do środka, przyciskając mocno do tkanki mięśnia.

Ból jest niewiarygodny, ale mnie nie powstrzymuje. Naciskam, dopóki miniaturowe przewody nie wbiją się w mięsień. Wewnątrz szklanego cylinderka rozjarza się nikły blask.

Znów działa.

Zamykam ranę i z powrotem zaklejam taśmą.

Od razu czuję, jak emocje tracą intensywność, ciało się uspokaja, myśli przestają mi się kłębić w głowie.

Znów patrzę na siebie w lustrze.

Wyglądam na silniejszego, sprawniejszego. Może to tylko figiel mojej wyobraźni.
Nieważne.
Jeżeli mam odnaleźć Howarda, będę musiał wykorzystać każdy, każdy atut.

PODZIĘKOWANIA

Pragnę podziękować swoim wydawcom – Little, Brown Books for Young Readers w Stanach Zjednoczonych i Orchard Books w Wielkiej Brytanii – za to, że stale wspierają serię *Chłopak Nikt*. Szczególnie jestem wdzięczny zespołowi z LBYR – mojej redaktorce Kate Sullivan, Leslie Shumate, Andrew Smithowi, Megan Tingley oraz wielu innym, którzy towarzyszą serii od samego początku.

Dziękuję wielu zagranicznym wydawcom, którzy wybrali tę serię i przetłumaczyli ją dla czytelników na całym świecie.

Dziękuję Sony Pictures i Overbrook Entertainment za starania, aby przenieść *Chłopaka Nikt* na duży ekran.

Szczególne podziękowania składam Judy Kim za jej wsparcie i słowa zachęty w ciągu powstawania drugiej książki.

Na koniec szczególne i gromkie słowa wdzięczności dla czytelników, blogerów, księgarzy i bibliotekarzy, którzy przeczytali pierwszą książkę, kiedy ukazała się pod poprzednim tytułem. Powiedzieliście o niej znajomym i rodzinie, recenzowaliście ją w internecie i w przeróżny sposób pomogliście jej uzyskać rozgłos. Teraz przerodziła się w serię. Mam nadzieję, że cieszycie się tak samo jak ja. To ogromna przyjemność podzielić się z wami następną książką.

